

*Bestsellerowy szwedzki fenomen
mistrzini psychologicznego suspense
wypełniający miejsce między Kafką a Kingiem.
„Aftonbladet”*

MARIE HERMANSON

RAJSKA DOLINA



Rajska Dolina

Marie Hermanson

Amber (2013)

Kiedy Daniel dostał list, pomyślał, że chyba śni. Na kopercie widniało pismo jego brata...

Daniel nigdy wcześniej nie dostał listu od Maxa. Jednak to nie dlatego drżą mu ręce i coś ściska go za gardło. Zawsze tak się czuł przed spotkaniem z Maxem - jakiś nieokreślony niepokój. A w tym liście brat bliźniak prosi Daniela, żeby go odwiedził - w ekskluzywnym sanatorium dla ludzi „wypalonych”.

Położona w malowniczych szwajcarskich Alpach Rajska Dolina przypomina luksusowy hotel, chociaż pacjenci nie mogą jej opuszczać. Ale Daniel jest zachwycony pięknem przyrody i miłą atmosferą panującą w klinice.

Do czasu gdy dowiaduje się, że Max musi wyjechać i chce, żeby Daniel na kilka dni go zastąpił...

Zanim Daniel zdąży się zastanowić, Max znika. A Daniel zaczyna zdawać sobie sprawę, że Rajska Dolina ma swoje tajemnice. Idylliczne miejsce odsłania przerażające oblicze...

Korekta
Renata Kuk
Barbara Meisner

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Roy Bishop/Arcangel Images

Tytuł oryginału
Himmelsdalen

HIMMELSDALEN © 2011 by Marie Hermanson
First Publisher by Albert Bonniers Förlag, Sweden
Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2013 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4831-8

Warszawa 2013. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja:



Zło to jedynie rodzaj niemożności

Bertolt Brecht

Dobry człowiek z Seczuanu

Część I

Kiedy Daniel zobaczył list, pomyślał, że sam szatan do niego napisał.

Gruba koperta z czerpanego papieru w lekko żółtym odcieniu. Nie było nadawcy, a imię i nazwisko Daniela, a także jego adres napisane były niechlujnym, niemal nieczytelnym pismem charakterystycznym dla jego brata. Jakby ktoś w dużym pośpiechu rzucał litery na papier.

Ale list nie mógł być od Maxa. Daniel nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek dostał od brata list czy chociażby kartkę. Jeśli Max w ogóle się z nim kontaktował, to tylko telefonicznie.

Znaczek był zagraniczny. Ale nie pochodził z piekła. Nadawcą listu nie był szatan, jak Danielowi przez chwilę się zdawało, tylko jego brat, a list został nadany w Szwajcarii.

Wziął go z sobą do kuchni, położył na stole i zaczął parzyć kawę. Kiedy wracał do domu, zwykle zamiast obiadu zjadał kilka kanapek i wypijał kawę. Lunch jadł w szkolnej stołówce. Był samotny i rzadko chciało mu się gotować tylko dla siebie.

Stary ekspres do kawy zaczął szumieć. Daniel wziął do ręki list i zaczął otwierać kopertę. Zauważył, że drżą mu ręce, ledwie był w stanie utrzymać nóż. Z trudem łapał powietrze, miał wrażenie, że coś utknęło mu w gardle. Musiał usiąść.

Zawsze tak się czuł przed spotkaniem z Maxem. Z jednej strony była radość ze spotkania. Tęsknił za bratem. Już sobie wyobrażał, jak padają sobie w ramiona, ale jednak coś go powstrzymywało. Jakiś bliżej nieokreślony, ale stale obecny niepokój.

– Mogę przynajmniej przeczytać, co ma mi do powiedzenia – powiedział głośno stanowczym tonem, jakby przemawiał przez niego ktoś inny, bardziej rozsądny.

Zdecydowanym ruchem chwycił mocniej nóż i rozciął kopertę.

Gisela Obermann siedziała zwrócona twarzą do dużego panoramicznego okna i wpatrywała się w skalną ścianę po drugiej stronie doliny. Gładka powierzchnia, biała z lekkim odcieniem żółtego, jakby ktoś rozciągnął biały papier, przez który prześwitywały czarne cienie. Przyszło jej do głowy, że cienie przypominają pismo.

Na szczycie skalnej ściany wznosiły się dumne świerki. Niektóre rosły tak blisko krawędzi, że przechyliły się i wyglądały teraz jak połamane zapalki.

Twarze wokół stołu konferencyjnego wydawały się blade w padającym na nie świetle, głosy były przytłumione, jakby ktoś ściszył radio.

– Jakież wizyty w tym tygodniu? – spytał ktoś.

Gisela czuła się zmęczona, jakby całkiem opadła z sił, poza tym była spragniona. Pewnie z powodu wina, które wczoraj wypila. Ale wino nie było jedynym powodem jej nie najlepszego samopoczucia.

– Mamy wizytę rodziny – odezwał się doktor Fischer. – Max będzie miał gościa. To chyba wszystko.

Gisela nagle się ożywiła.

– Kto do niego przyjeżdża?

– Jego brat.

– Myślałam, że nie utrzymują z sobą kontaktów.

– Taka wizyta na pewno dobrze mu robi – dodała Hedda Heine. – Pierwszy raz się zdarza, że ktoś do niego przyjeżdża, prawda?

– Chyba tak.

– Tak, to jego pierwsze odwiedziny – potwierdziła Gisela. – To dobrze. Ostatnio bardzo się zmienił, w pozytywnym znaczeniu. Jest bardziej zrównoważony, bywa nawet radosny. Dobrze, że brat go odwiedzi. Kiedy przyjeżdża?

– Powinien być tu dzisiaj po południu albo wieczorem – powiedział Karl Fischer. Rzucił okiem na zegarek i zaczął zbierać papiery. – Skończyliśmy?

Czterdziestolatek z rudą brodą zaczął energicznie machać ręką.

– Brian?

– Nie ma żadnych nowych wiadomości o Mattiasie Blocku?

– Niestety nie, ale poszukiwania nadal trwają.

Doktor Fischer wziął papiery i wstał. Pozostali poszli za jego przykładem.

Jak zwykle, pomyślała Gisela Obermann. Przyjeżdża brat Maxa, a mnie, jego lekarki, nikt o tym nie poinformował.

Tutaj wszystko tak funkcjonowało. Dlatego miała tego serdecznie dosyć. Jej energia, która zawsze pozwalała jej radzić sobie ze wszystkimi przeciwnościami losu, była tu bezużyteczna. Odbijała się od otaczających ją ścian i trafiała w nią rykoszetem.

Daniel podążył za strumieniem ludzi, kierujących się do wyjścia z terminalu. Przed budynkiem stała gromadka kierowców, unoszących tabliczki z wypisanymi na nich ręcznie nazwiskami. Przeleciał po nich wzrokiem, wskazał ręką na tę z jego nazwiskiem.

– To ja – powiedział po niemiecku.

Kierowca skinął głową i zaprowadził go do minibusa z ośmioma miejscami. Daniel zauważył, że jest jedynym pasażerem. Oddał kierowcy bagaż i wszedł do środka.

– To daleko? – spytał.

– Dobre trzy godziny jazdy. Po drodze zrobimy sobie przerwę – zapowiedział kierowca, zasuważąc drzwi.

Zostawili za sobą Zurych i jechali teraz wzdłuż jeziora otoczonego pokrytymi lasem wzgórzami. Daniel chętnie dowiedziałby się czegoś więcej o okolicy, ale miejsce kierowcy oddzielone było od pasażerów szybą. Odchylił się więc w fotelu i przeciągnął palcami po brodzie, już po raz któryś podczas tej podróży.

Musiał przyznać, że nie tylko troska o brata skłoniła go do przyjęcia zaproszenia. Jego obecna sytuacja finansowa nie była najlepsza. Był nauczycielem, ale bez stałego zatrudnienia. Zastępował nauczycielkę na urlopie macierzyńskim, która jednak wkrótce miała wrócić do pracy. Wówczas znów będzie skazany na dorywcze zastępstwa i pewnie jakieś tłumaczenia od czasu do czasu. Na urlop w tym roku na pewno nie będzie go stać. Dlatego propozycja Maxa, że pokryje koszty biletu do Szwajcarii, okazała się bardzo kusząca. Odwiedzi brata, a potem zatrzyma się na tydzień w jakimś niewielkim alpejskim pensjonacie. Spędzi kilka dni na niezbyt wyczerpujących wędrówkach i będzie napawał się pięknymi widokami.

Za oknem była zieleń. Wiązy, klony, leszczyna. Wzdłuż brzegu jeziora ciągnęły się małe, dobrze utrzymane domki, otoczone ogródkami. Od czasu do czasu nad drogą przelatywały duże brązowe ptaki.

W ostatnich latach Daniel i jego brat właściwie nie utrzymywali z sobą kontaktu. Max, podobnie zresztą jak on sam, mieszkał za granicą. Najpierw w Londynie, potem w różnych innych miejscach. Prowadził interesy, o ile Daniel dobrze pamiętał.

Od młodości Max zawsze znajdował się na huśtawce, raz był na górze, raz na

dole. Zdarzały się okresy, kiedy tryskał pomysłami, pełen energii zaczynał jakiś projekt i nagle – kiedy już osiągnął cel, tracił zainteresowanie przedsięwzięciem. Wzruszał ramionami i rzucał wszystko. Bezradni współpracownicy w porzuconych biurach i zawiedzeni klienci wydzwaniali do niego, ale on nie odbierał.

Ciężko doświadczony ojciec braci próbował wielokrotnie ratować Maxa z najróżniejszych opresji. Być może właśnie kłopoty z nieobliczalnym synem sprawiły, że pewnego dnia stracił przytomność i upadł w łazience. Zawał okazał się śmiertelny.

Przy okazji jakiejś rozprawy sądowej Max został skierowany na badania psychiatryczne. Lekarze stwierdzili, że cierpi na chorobę dwubiegunową. Diagnoza była zapewne wytłumaczeniem chaosu panującego w jego życiu. Niepewne interesy, destrukcyjne zachowania i niezdolność wytrwania w dłuższym związku z kobietą.

Od czasu do czasu Max dzwonił do Daniela. O najróżniejszych porach dnia i nie zawsze trzeźwy.

Kiedy zmarła ich matka, Daniel włożył wiele wysiłku, by się z nim skontaktować, ale pogrzeb odbył się pod nieobecność brata. Jednak wiadomość o jej śmierci jakoś w końcu do niego dotarła, bo kilka miesięcy później zadzwonił do Daniela z pytaniem, gdzie matka została pochowana. Chciał pojechać na jej grób z kwiatami. Daniel zaproponował, żeby się spotkali i pojechali na cmentarz razem. Max obiecał, że się odezwie, jak tylko przyjedzie do Szwecji, ale nigdy tego nie zrobił.

Szyba się odsunęła, kierowca odwrócił się do niego.

– Jakiś kilometr stąd jest gospoda. Chce pan się zatrzymać i coś zjeść?

– Zjeść nie, ale chętnie napiję się kawy – odpowiedział Daniel.

Szyba zasunęła się. Po krótkiej jeździe zatrzymali się przed niewielką gospodą. Stojąc przy barku, wypili każdy swoje espresso. Milczeli, z głośników w głębi płynęły głośnie przeboje.

– Był pan już kiedyś w Rajskiej Dolinie? – odezwał się w końcu kierowca.

– Nie. Jadę odwiedzić brata.

Kierowca pokiwał głową, jakby dobrze o tym wiedział.

– Często ma pan tam kursy? – spytał Daniel z pewnym wahaniem.

– Od czasu do czasu. W latach dziewięćdziesiątych mieściła się tam klinika chirurgii plastycznej. Wtedy to był ruch. Boże drogi! Zdarzało mi się wieźć pasażerów, którzy wyglądali jak mumie. Nie każdego było stać, by czekać, aż wszystko się zagoi. Kiedyś wiozłem kobietę, której spod bandaży widać było tylko oczy. Pełne łez i niesamowicie smutne. Cały czas płakała z bólu. Kiedy się tu zatrzymaliśmy, zawsze się tu zatrzymuję, bo to dokładnie w połowie drogi, a więc

kiedy się zatrzymałem, ona została w samochodzie. Przyniosłem jej szklankę soku pomarańczowego i słomkę. Siorbała przez nią ten sok, siedząc w samochodzie. Jej mąż znalazł sobie młodą kochankę, więc zdecydowała się na lifting, żeby go odzyskać. Boże drogi! „Wszystko będzie dobrze. Znow będzie pani śliczna”, zapewniałem ją, trzymając ją za rękę. Tak było!

– A teraz? Co teraz tam się mieści? – dopytywał się Daniel.

Kierowca zastygł na chwilę z maleńką filiżanką espresso w ręku, rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Pański brat nic nie mówił?

– Nie do końca. Pisał chyba, że to klinika rehabilitacyjna.

– To prawda. – Kierowca pokiwał głową, odstawił filiżankę na talerzyk. – Jedziemy dalej? – spytał.

Kiedy samochód ruszył, Daniel natychmiast zapadł w drzemkę. Gdy znow otworzył oczy, jechali doliną wśród zielonych łąk w promieniach zachodzącego słońca. Nigdy jeszcze nie widział tak intensywnej zieleni. Miał wrażenie, że jest sztuczna, ale może była to wina światła.

Dolina wyraźnie się zwężyła, krajobraz się zmienił. Po prawej stronie wznosiła się niemal pionowa skalna ściana zasłaniająca słońce, w samochodzie zapanował półmrok.

Nagle kierowca zahamował i się zatrzymał. Przed nimi na drodze pojawił się mężczyzna w koszuli od munduru i w czapce z daszkiem. Za nim widać było opuszczony szlaban. Nieco dalej stała furgonetka, z której po chwili wysiadł drugi mężczyzna, także w mundurze.

Kierowca opuścił szybę, zamienił kilka słów z jednym z mężczyzn, podczas gdy drugi otworzył bagażnik wozu. Szyba oddzielająca kierowcę od pasażera pozostawała zaciągnięta, więc Daniel nie słyszał, o czym mężczyźni rozmawiali. Po chwili opuścił szybę od swojej strony i zaczął nasłuchiwać. Odniósł wrażenie, że kierowca i funkcjonariusz rozmawiają o pogodzie, w jakimś niemieckim dialekcie, którego prawie nie rozumiał.

W pewnej chwili funkcjonariusz nachylił się nad nim i poprosił o dokumenty. Daniel podał mu paszport. Mężczyzna powiedział coś, czego Daniel nie zrozumiał.

– Może pan wyjść – wytłumaczył mu kierowca. Odwrócił się w jego stronę i odsunął dzielącą ich szybę.

– Mam wyjść?

Kierowca pokiwał głową zachęcająco.

Daniel wyszedł z samochodu. Stali teraz wszyscy tuż obok skalnej ściany. Była pokryta mchem i porostami, tu i ówdzie widać było strużki wody. Ściana była

chłodna, w powietrzu unosił się lekko kwaśny zapach.

Mężczyzna wyjął detektor metalu i szybko przesunął nim wzdłuż ciała Daniela, z przodu i z tyłu.

– Ma pan za sobą długą drogę – powiedział uprzejmie, oddając mu paszport.

Jego kolega włożył do bagażnika walizkę Daniela, którą w międzyczasie zdążył sprawdzić.

– Przyleciałem dzisiaj rano ze Sztokholmu – odparł Daniel.

Mężczyzna z wykrywaczem metalu zajrzał do wewnątrz i szybkim ruchem przeciągnął przyrządem po siedzeniu pasażera, po czym skinął głową, dając do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

– Może pan już wejść – rzucił kierowca do Daniela.

Mężczyźni zasalutowali, kierowca włączył silnik, szlaban poszedł do góry.

Daniel nachylił się w stronę kierowcy, chciał zadać mu pytanie, ale ten go uprzedził.

– Rutynowa kontrola, szwajcarska dokładność – powiedział. Wcisnął guzik i szyba znów się zasunęła.

Przez otwarte okno od swojej strony Daniel obserwował pokryte mchem skalne ściany, które odbijały szum silnika, wzmacniając go.

Poprawił się na siedzeniu. Kontrola sprawiła, że jego niepokój powrócił. Wiedział, że wizyta nie będzie przyjemna. Nie miał złudzeń. Jeśli Max po tylu latach zdecydował się go wezwać, sprawa musiała być poważna. Najwyraźniej był mu potrzebny.

Czuł się wzruszony, ale i smutny. Czy będzie w stanie pomóc bratu? Po tylu latach zawiedzionych nadziei teraz już chyba nikt nie mógł mu pomóc.

Pocieszał się, że decydując się na przyjazd, wykazał przynajmniej dobrą wolę. Max go wezwał, a on przybył, gotów być przy nim, wysłuchać go. A potem, po kilku godzinach, wróci. Nic więcej nie był w stanie dla niego zrobić.

Samochód skręcił ostro w lewo, Daniel otworzył oczy. Otaczały go górskie zbocza, świerkowe lasy, w dali widać było miasteczko i wieżę kościelną. W jednym z ogródków stała kobieta, pracowała pochylona nad morzem kwitnących dalii. Kiedy usłyszała zbliżający się samochód, wyprostowała się i pomachała im łopatką.

Kierowca skręcił w wąską boczną drogę, która prowadziła ostro pod górę. Minęli las, droga zrobiła się jeszcze bardziej stroma.

Po chwili Daniel zobaczył klinikę, potężny dziewiętnastowieczny budynek otoczony parkiem. Kierowca podjechał pod samo wejście, wyjął z bagażnika walizkę Daniela i otworzył drzwi od strony pasażera.

Powietrze, które wpadło do środka, było chłodne i tak świeże, że Daniel poczuł,

że drżą mu płuca. Jakby ze zdziwienia.

– Jesteśmy na miejscu.

Max i Daniel byli bliźniętami jednojajowymi, ale niewiele brakowało, a mieliby różne daty urodzenia. Kiedy ich matka, która wówczas miała trzydzieści osiem lat i rodziła po raz pierwszy, po dziesięciu godzinach trudnego porodu w końcu wydała na świat pierwsze z bliźniąt, okazało się, że drugie, Max, bynajmniej nie zamierzało jeszcze opuszczać jej łona. Był późny wieczór i położna, która też zaczynała już być zmęczona, westchnęła ciężko i powiedziała:

– Wygląda na to, że chcą osobno obchodzić urodziny.

Gdy personel zajmował się Danielem – został umyty i zważony, po czym grzecznie zasnął w swoim łódeczku – prowadzący poród lekarz sięgnął po kleszcze. Ruchliwe ciało brata stawiało jednak opór. Matka cierpiała, miała wrażenie, że jej macica została wywrócona na lewą stronę. Kiedy w końcu lekarzowi udało się chwycić dziecko kleszczami, Max najwyraźniej uznał, że żarty się skończyły i postanowił zadziałać szybko i skutecznie, zaskakując wszystkich. Później stało się to jego ulubioną metodą postępowania.

– Mamy go na haczyku... – powiedział lekarz, ale zanim zdążył dokończyć zdanie, jego ofiara, sama, bez żadnego wsparcia, wyslizgnęła się i wylądowała na jego kolanach wśród krwi i śluzu.

Była za pięć dwunasta w nocy, wspólne urodziny były uratowane.

Za pięć dwunasta. Jak należało to tłumaczyć?

Że Max od początku robił wszystko, żeby się wyróżnić? Że za wszelką cenę nie chciał przyjść na świat w tym samym dniu co brat, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i jednak wybrał wspólnotę?

A może po prostu była to cecha jego charakteru?

Max często się spóźniał, chociaż nigdy nie zdarzyło mu się przyjść naprawdę za późno: na spotkanie, na pociąg czy na samolot. Zjawiał się w ostatniej chwili, a potem śmiejąc się, pytał zdenerwowanych przyjaciół, czego można się spodziewać po kimś, który urodził się pięć minut przed północą? Zawsze balansował na granicy, zawsze przykuwał uwagę.

Pierwszy okres życia bracia spędzili razem w willi rodziców w Göteborgu. Ojciec był przedsiębiorcą w branży elektronicznej, a matka – do chwili urodzenia chłopców – studiowała, nieco bez planu, przedmioty humanistyczne na uniwersytecie.

Na początku chłopcy bardzo się różnili.

Daniel dobrze jadł, był grzeczny, rzadko płakał, przykładnie przybierał na wadze. Rozwijał się zgodnie z wykresami dla swojego wieku.

Max rozwijał się wolniej, a kiedy w wieku dwudziestu miesięcy nie tylko nie mówił, ale nie przejawiał też żadnej ochoty, by zacząć się samodzielnie poruszać, jego matka zaniepokoiła się. Zabrała obu chłopców do znanej pediatry w swojej rodzinnej Uppsali. Kiedy lekarka zobaczyła chłopców, uznała, że wytłumaczenie jest proste. Jak tylko Max odwracał głowę w stronę jakiegokolwiek zabawki, którą lekarka w celach eksperymentalnych brała do ręki, Daniel na swoich tłustych nóżkach natychmiast ruszał w jej stronę, brał zabawkę i przynosił ją bratu.

– Sama pani widzi – zwróciła się do matki chłopców, wskazując ołówkiem na dzieci. – Max nie musi chodzić, ponieważ Daniel wszystko mu przynosi. Pewnie też za niego mówi?

Matka skinęła głową. Przyznała, że Daniel jakby czytał w myślach brata i wykorzystując swój jeszcze dość skromny zasób słów, tłumaczył je otoczeniu. Potrafił powiedzieć, że Max jest spragniony, że jest mu gorąco albo że trzeba zmienić mu pieluszkę.

Lekarce zaniepokoił ten niemal symbiotyczny związek i zaproponowała, żeby chłopców na jakiś czas rozdzielić.

– Max nie ma naturalnej motywacji, żeby zacząć chodzić czy mówić, bo brat wszystko robi za niego – tłumaczyła matce chłopców.

Ta początkowo miała wiele wątpliwości. Była przekonana, że bracia boleśnie przeżyją rozdzielenie. Zawsze byli sobie bardzo bliscy. Miała jednak zaufanie do lekarki, która była autorytetem zarówno w dziedzinie pediatrii, jak i psychologii dziecięcej i po długich dyskusjach z ojcem dzieci, który uznał pomysł za rozsądny, w końcu też uległa.

Postanowiono, że chłopcy spędzą osobno letnie miesiące. Ojciec chłopców miał wtedy urlop i mógł zostać z Maxem w domu w Göteborgu, podczas gdy matka zabierze Daniela do swoich rodziców do Uppsali. Lekarka twierdziła, że lato jest okresem, kiedy dzieci rozwijają się najszybciej i są najbardziej otwarte na zmiany.

Przez pierwszy tydzień obaj chłopcy płakali rozdzierająco, jeden w Göteborgu, drugi w Uppsali.

W drugim tygodniu Daniel nieco się uspokoił. Zaczął dostrzegać plusy bycia jedynakiem i cieszył się niepodzielną uwagą matki i dziadków.

Natomiast Max płakał dalej. I w dzień, i w nocy. Ojciec, który był nowicjuszem, jeśli chodzi o opiekę nad dziećmi, był coraz bardziej zrozpaczony, czemu dawał wyraz w rozmowach telefonicznych z matką. W końcu rodzice uznali, że należy

zakończyć eksperyment. Lekarka radziła jednak, żeby jeszcze trochę wytrwali. Zasugerowała, by ojciec zatrudnił do synka opiekunkę.

Znalezienie kogoś odpowiedniego w środku lata nie było proste, tym bardziej że matka nie chciała powierzyć opieki nad dzieckiem byle komu. Nie wyobrażała sobie, by mogła to być niedoświadczona, niedojrzała nastolatka, skłonna zrobić wszystko, byle tylko zarobić parę koron.

– Spróbuję kogoś załatwić – obiecała lekarka, kiedy matka zaczęła się jej żalić.

I rzeczywiście, kilka dni później zadzwoniła, polecając niejaką Annę Rupke. Kobieta miała trzydzieści dwa lata. Opiekowała się dziećmi z problemami psychicznymi i tak ją to wciągnęło, że zaczęła studiować psychologię i pedagogikę, a obecnie kończyła doktorat. Lekarka pamiętała ją z jednego z prowadzonych przez siebie kursów. Anna zwróciła jej uwagę swoją inteligencją i zaangażowaniem. Mieszkała co prawda w Uppsali, ale jeśli będzie miała gdzie zamieszkać, była skłonna przeprowadzić się do Göteborga i zająć się małym Maxem.

Dwa dni później Anna Rupke wprowadziła się do gościnnego pokoju w domu rodziny w Göteborgu. Jej obecność przyniosła wyraźną ulgę ojcu chłopców. Młoda kobieta zdawała się całkowicie odporna na płacz i krzyki dziecka. Max siedział na podłodze i darł się tak, że ściany drżały, a ona nieporuszona studiowała jakiś niezwykle ciekawy raport naukowy. Od czasu do czasu ojciec zaglądał do pokoju, by upewnić się, czy aby na pewno wszystko jest w porządku. Może chłopiec cierpi na jakąś poważną chorobę? Anna kręciła głową, uśmiechając się uspokajająco.

Więc może jest głodny? Przez cały dzień nic nie jadł.

Nie odrywając wzroku od raportu, Anna wskazała głową na leżące obok na stołeczku herbatniki Singoalla, które Max uwielbiał. Ojciec zwalczył odruch, żeby podejść i podać synkowi kilka herbatników. Wyszedł z pokoju i udał się do swojego gabinetu na górze. Krzyki trwały nadal. Po kolejnej godzinie, kiedy ojciec stwierdził, że nie wytrzyma sekundy dłużej, nagle nastąpiła cisza. Zbiegł ze schodów, bojąc się, że chłopiec zemdleł z głodu albo z wyczerpania.

Kiedy wszedł do pokoju, zobaczył, jak jego synek czołgając się, a trochę i raczkując, zmierza w kierunku stołeczka ze wzrokiem wbitym w leżące na nim herbatniki. Był skupiony i wściekły. Chwycił stołeczek, gwałtownym ruchem podciągnął się i sięgnął po herbatniki. Odgryzł solidny kęs i z pełną buzią zaczął czołgać się z powrotem. Uśmiechnął się triumfująco, tak szeroko, że kawałek herbatnika wypadł mu z buzi.

Anna Rupke posłała ojcu znaczące spojrzenie, by natychmiast znów zagłębić się w lekturze.

Kolejny tydzień był bardzo intensywny. Za pomocą herbatników Singoalla Max

w przyspieszonym tempie przeszedł kolejne fazy rozwoju ruchowego. Szybko opanował pełzanie i raczkowanie, w końcu stanął i zaczął chodzić.

W kolejnym tygodniu Anna zajęła się mową. Początkowo Max komunikował się z nią na swój zwykły sposób, czyli wskazywał na coś i zaczynał krzyczeć. Jednak zamiast biec i próbować się domyślić, o co dziecku chodzi, Anna siedziała i spokojnie czytała książkę. Dopiero kiedy chłopiec wymówił poprawnie właściwe słowo, dostawał nagrodę. Max miał bowiem bogaty zasób słów, tylko ich nie używał. Rozumiał zaskakująco dużo z tego, co inni mówili. Tylko nigdy nie wpadł na pomysł, żeby samemu zacząć mówić.

Lato dobiegło końca, przyszedł czas na powrót do wspólnego życia.

Chłopcy sprawiali wrażenie, jakby się nie poznawali.

Daniel zachował się tak, jak zwykle się zachowywał w obecności obcego dziecka. Był lekko zawstydzony i wyczekujący.

Max potraktował brata jak uzurpatora i zareagował agresją, kiedy Daniel sięgnął po zabawki, które on uważał za swoją wyłączną własność. Czego pewno można było się spodziewać, mając na uwadze fakt, że „moje” było pierwszym słowem, jakie Max wypowiedział, a jego pierwsze zdanie brzmiało: „Mieć to!”

Podczas separacji rodzice nieco niefortunnie uznali, że teraz każde z nich ma swojego „synka”. Za każdym razem, kiedy chłopcy zaczynali się kłócić, natychmiast tworzyły się dwa obozy. Po jednej stronie był Daniel, jego matka i dziadkowie ze strony matki, jako dodatkowe wsparcie; po drugiej – ojciec, Anna Rupke i Max. Matka zawsze uważała, że Max źle traktuje jej małego Danielka. Ojciec i Anna byli zdania, że agresywne zachowanie Maxa było czymś pozytywnym, dowodem jego uniezależnienia się od brata.

Po nieudanej próbie połączenia braci, postanowiono – wspólnie z panią pediatrą w Uppsali – że chłopców należy ponownie rozdzielić.

Anna Rupke powinna właściwie wrócić do pracy nad doktoratem, ale postanowiła jeszcze chwilę poczekać, by dalej zajmować się Maxem. Jako pedagog, jak to określała. Ojciec chłopców był jej za to bardzo wdzięczny, świadom, że młoda kobieta miała przed sobą wspaniałą karierę naukową. Anna zapewniała jednak, że Max był tak interesującym dzieckiem, że opieka nad nim w żadnym razie nie była przeszkodą dla jej pracy naukowej, wręcz przeciwnie.

Matka z Danielem wyjechali ponownie do dziadków chłopca do Uppsali.

I tak rodzice spędzili całą jesień rozdzieleni, każdy ze „swoim synkiem”. Codziennie dzwonili do siebie, informując się o postępach chłopców.

Podczas zbliżających się świąt Bożego Narodzenia postanowiono podjąć kolejną próbę połączenia dzieci. Jednak pęknięcie w rodzinie było już tak duże, że nie

można było go ignorować. Podczas przedłużającej się separacji ojciec rozpoczął bowiem bliską relację z opiekunką synka.

Właściwie sam nie potrafił powiedzieć, jak do tego doszło. Zaczęło się od tego, że był „pod wrażeniem”. Po wrażeniu tego, jak Anna radziła sobie z Maxem, pod wrażeniem jej stanowczego charakteru, spokoju i inteligencji. Z zadowoleniem stwierdził, że – podobnie jak on – była pragmatycznym naukowcem, a nie pełną rozterek, chwiejną kobietą jak matka chłopców.

W niewytłumaczalny dla siebie sposób jego „bycie pod wrażeniem” zamieniło się w zauroczenie. Był zauroczony jej słowiańską urodą, wysokimi kośćmi policzkowymi, ale i świeżym zapachem szamponu, który zostawał w łazience po jej kąpielach, sposobem, w jaki bawiła się swoim naszyjnikiem, i odgłosami ziewania, jakie wieczorem dochodziły z pokoju gościnnego.

Może po prostu jest tak, że mężczyzna zwykle bywa zauroczony kobietą, która mieszka w jego domu i opiekuje się jego dziećmi?

Matka bliźniąt ułożyła sobie tymczasem życie w Uppsali. Podczas gdy jej matka zajmowała się Danielem, ona pracowała jako sekretarka w Instytucie Języków Klasycznych, gdzie jej ojciec nadal wykładał.

Rok później nastąpiło usankcjonowanie tego układu. Rodzice chłopców rozwiedli się, ojciec ożenił się z Anną, a matka przeprowadziła się do mieszkania leżącego dziesięć minut drogi od mieszkania dziadków Daniela.

Tak więc chłopcy dorastali każdy ze swoim rodzicem. Czy bracia nadal byli do siebie podobni? Co ich łączyło? A czym się różnili?

Widać było wyraźnie, że choć byli bliźniętami, jednak pod pewnymi względami byli różni. Max był towarzyski, chętnie zabierał głos, podczas gdy Daniel był nieco wycofany i ostrożny w kontaktach. Trudno było sobie wyobrazić, że Max kiedyś był całkowicie zależny od brata.

Podczas gdy charakterologiczne różnice między nimi się pogłębiały, z wyglądu stawali się coraz bardziej do siebie podobni. Max, początkowo niższy i szczuplejszy od brata, szybko rósł i w wieku trzech lat chłopcy mierzyli i ważyli dokładnie tyle samo. Rysy twarzy też mieli podobne. Buzia Daniela straciła z czasem swoją pulchność, a głos Maxa, na początku wysoki i piskliwy, stał się nieco niższy i przyjemniejszy dla ucha. Gdy chłopcy spotkali się z okazji swoich siódmych urodzin, stwierdzili z mieszaniną zachwytu i przerażenia, że jeden był niemal lustrzanym odbiciem drugiego.

Urodziny chłopców były jedyną okazją do spotkania dwóch obozów: Maxa, ojca i Anny i Daniela, matki i dziadków. Odżywały dawne emocje. Dziadkowie ze strony matki uważali ojca za zdrajcę winnego rozpadu małżeństwa ich córki. Matka zaś

krytykowała sposób, w jaki Anna wychowywała jej syna. Anna, która uważała się za eksperta w tej dziedzinie, nie zamierzała słuchać uwag kogoś, kto był jedynie amatorem. Natomiast ojciec chłopców, widząc nagle swojego syna w jeszcze jednym egzemplarzu, wydawał się całkowicie zdezorientowany.

Podczas gdy dorośli dyskutowali i zawzięcie się kłócili, chłopcy wybiegali do ogrodu, schodzili do piwnicy albo znajdowali sobie inne, równie atrakcyjne zajęcia. Byli sobą niezwykle zaintrygowani. Kłócili się, ale zaraz znów się godzili. Bili się, żeby po chwili zaśmiewać się do rozpuku, płakali i pocieszali się.

Ten jeden dzień w roku dostarczał im tak intensywnych przeżyć, że przez następny tydzień często byli chorzy, co między innymi objawiało się wysoką gorączką.

Dorośli, którzy mieli odmienne zdania niemal we wszystkim, co dotyczyło chłopców, co do jednego byli zgodni: jedno takie spotkanie w roku było wystarczające.

Daniel wszedł do pomieszczenia, przypominającego bardziej westybul eleganckiego, aczkolwiek nieco staromodnego hotelu niż sanatorium.

Przywitała go młoda kobieta, ubrana w świetnie skrojony jasnoniebieski kostium, na nogach miała niezbyt wysokie szpilki. Kostium i wyprostowana sylwetka budziły skojarzenia ze stewardesą. Przedstawiła się jako „opiekunka”.

Wydawała się wiedzieć, kim jest Daniel i do kogo przyjechał. Poprosiła, żeby wpisał swoje nazwisko do książki w zielonych okładkach, a następnie wskazała mu kanapę naprzeciwko ogromnego kominka z secesyjną ornamentyką. Na ścianie nad kominkiem wisały skrzyżowane narty, obok myśliwskie trofea: łeb kozicy z ogromnym porożem i łeb lisa, który nawet po śmierci szczyrzył kły.

– Brat zaraz przyjdzie. Zawiadomię go, że pan już jest, a mój kolega zanieś pańską walizkę do pokoju gościnnego.

Daniel chciał usiąść, ale właśnie w tym momencie podszedł do niego młody mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami i krawacie i wziął jego walizkę.

– Ale ja nie zamierzam się tu zatrzymać – zaprotestował Daniel. – Zamieszkać w hotelu. Natomiast chętnie zostawiłbym tu walizkę na kilka godzin.

Mężczyzna zatrzymał się.

– W jakim hotelu chce się pan zatrzymać? – spytał.

– Jeszcze nie wiem. Pewnie w najbliższym. Może pan mi jakiś polecić?

Kobieta i mężczyzna wymienili zatroskane spojrzenia.

– W pobliżu nie ma żadnego hotelu. A dalej, na zboczach są głównie sanatoria. Mają swoich stałych klientów, którzy rezerwują pokoje z dużym wyprzedzeniem. Nie sądzę, żeby o tej porze roku mieli wolne pokoje.

– Niedaleko jest miasteczko. Może ktoś prywatnie wynajmuje pokoje? – nie ustępował Daniel.

– Nie polecamy gościom szukania pokoi w miasteczku – powiedziała kobieta. – Ktoś panu już coś proponował?

Kobieta nadal się uśmiechała, ale w jej oczach pojawiło się coś czujnego.

– Nie – roześmiał się Daniel. – Tak po prostu przyszło mi to do głowy.

Stojący obok mężczyzna odchrząknął.

– Gdyby ktoś wyszedł z taką propozycją, proszę grzecznie odmówić – powiedział spokojnie. – Grzecznie, ale stanowczo. Proponuję, żeby pan jednak zatrzymał się

w jednym z naszych pokoi gościnnych. Nasi goście zwykle tak robią. Może pan zostać nawet kilka dni, akurat mamy sporo wolnych miejsc.

– Nie planowałem dłuższego pobytu.

– Nie będzie to pana nic kosztować. Większość krewnych przyjeżdża z daleka. To zrozumiałe, że chcą się tu kilka dni zatrzymać. Wtedy można się spokojnie zaaklimatyzować i pobyc z sobą. Był pan już kiedyś w Rajskiej Dolinie?

– Nie.

Mężczyzna, który podczas rozmowy cały czas trzymał w ręku jego walizkę, najwyraźniej uznał sprawę za załatwioną.

– Zapewne chce pan zobaczyć pokój i rozpakować się. Winda jest tuż obok – powiedział i ruszył przed siebie po grubym dywanie.

Daniel podążył za nim. Weszli do windy. Być może rzeczywiście powinien tu przenocować, przynajmniej dzisiaj, pomyślał. Zbliżał się wieczór, nie miał ochoty rozpoczynać poszukiwań pokoju o tak późnej porze.

Pokój gościnny był niewielki, ale jasny i przyjemnie urządzone. Na pomalowanym na biało stoliku stał wazonik ze świeżo zerwanymi kwiatami, a widok z okna na dolinę i wznoszące się w oddali alpejskie szczyty zadowoliłyby najwybredniejszego turystę.

Rajska Dolina. Ładna nazwa ładnego miejsca, pomyślał Daniel.

Umył się nad umywalką i włożył czystą koszulę. Potem położył się na plecach na łóżku i odpoczywał kilka minut. Łóżko było nowoczesne i wygodne. Chętnie przespałby się godzinę przed spotkaniem z Maxem, ale kobieta zdążyła go poinformować, że brat już na niego czeka. Cóż, spać będzie później.

Zjeżdżając windą, uświadomił sobie, co go tak zdumiało podczas niedawnej rozmowy. Toczyła się w dwóch językach. On zwracał się do kobiety i do mężczyzny po niemiecku, zakładając, że to ich język ojczysty, a oni odpowiadali mu po angielsku. Był tak przyzwyczajony do przechodzenia z jednego języka na drugi, że w pierwszej chwili nawet tego nie zauważył. Pozostało mu jednak uczucie pewnej dysharmonii.

Zawsze miał łatwość do języków. Jako dziecko spędzał dużo czasu z dziadkiem, ojcem matki, który był językoznawcą. Matka i on niemal codziennie jadal obiad w domu dziadków. Kiedy po posiłku matka szła z babcią do kuchni zmywać naczynia, on szedł z dziadkiem do jego wielkiego gabinetu pachnącego tytoniem.

Uwielbiał siadać na podłodze i przeglądać książki ze zdjęciami egipskich malowideł nagrobnych, greckich posągów i średniowiecznych reliefów, podczas gdy dziadek opowiadał mu o językach, tych, które nadal były żywe, i tych martwych.

I o pokrewieństwie języków, sięgającym niekiedy bardzo zamierzchłych czasów. Daniel słuchał zafascynowany. Wypytywał dziadka o pochodzenie różnych słów. Niekiedy dziadek odpowiadał mu natychmiast, czasem jednak sięgał do książek na biurku.

Daniel zauważył zdziwiony, że słowa, których używał na co dzień, były znacznie starsze od niego, starsze nawet od dziadka i starego domu z trzeszczącymi podłogami, w którym mieszkali. Że niektóre z nich odbyły podróż między odległymi krajami, zanim trafiły do pokoju Daniela. I że będą kontynuowały swoje podróże także wtedy, kiedy jego już tu dawno nie będzie.

Ten zachwyt i szacunek wobec języka Daniel zachował już na zawsze. W liceum wybrał profil klasyczny, potem studiował filologię niemiecką i francuską, aż zaczął pracować jako tłumacz w Parlamencie Europejskim w Brukseli i Strasburgu.

Wyrażanie swoim głosem myśli i poglądów innego człowieka, niekiedy całkowicie sprzecznych z jego własnymi, stymulowało go, a czasem w przedziwny sposób wręcz podniecało. Tłumacząc bardziej emocjonalne wystąpienia, nie ograniczał się jedynie do głosu, ale pomagał sobie też gestami czy wyrazem twarzy. Czuł się wtedy jak marionetka, którą ktoś pociągał za sznurki. Jakby został pozbawiony własnej duszy. Słyszał, jak zmienia się brzmienie jego głosu, jak inaczej pracują mięśnie jego twarzy. Ach, myślał wtedy zafascynowany, tak jest być tobą.

Czasem, po tłumaczeniu szczególnie intensywnej dyskusji, musiało minąć trochę czasu, zanim znów wrócił do siebie. Przez ułamek sekundy miał wtedy wrażenie, że w ogóle nie istnieje.

Często zdarzało się, że ludzie mylili go z mówcą. Kłócący się rozmówcy traktowali go oschle, bo uważali go za swoiste „przedłużenie” swojego oponenta.

I odwrotnie. Bywało, że sympatia dla osoby mówiącej przechodziła także na niego. Podejrzewał, że właśnie w taki sposób udało mu się wzbudzić zainteresowanie kobiety, która potem została jego żoną.

Emma była prawniczką, specjalistką od ochrony środowiska. Danielowi zlecono tłumaczenie rozmowy między nią a niemieckim ekspertem do spraw gospodarki wodnej, przystojnym mężczyzną w średnim wieku, charyzmatycznym i wręcz emanującym seksem. Podczas tłumaczenia Daniel odczuwał bardzo silny związek z Niemcem. Do tego stopnia, że niemal potrafił przewidzieć, jakich słów mężczyzna za chwilę użyje.

Emma najwyraźniej odbierała ich jako jedną osobę, bo kiedy Niemiec poszedł, kontynuowała z Danielem rozmowę na temat gospodarki wodnej, jakby to on był jej partnerem w dyskusji. Kilka razy przypominał jej, że tak naprawdę nic na ten temat nie wie, ale rozmowa trwała dalej. Po jakimś czasie przeszli na inne tematy,

kontynuowali rozmowę we włoskiej restauracji i zakończyli wieczór w jej pokoju hotelowym. Kiedy się kochali, kilka razy dla żartu zwróciła się do niego *mein Herr*. Poczł się nieco urażony.

Nawet po ślubie nie mógł się uwolnić od wrażenia, że jego żona tak naprawdę ma go za kogoś innego. Miał też wrażenie, że co jakiś czas to do niej dociera i wtedy czuje się zawiedziona.

A potem odkrył, że zdradziła go z pewnym biologiem z Monachium. Po jakimś czasie się rozwiedli.

Rok po rozwodzie przeżył poważny kryzys duchowy. Nie bardzo rozumiał, co jest tego powodem. Rozwód zniósł zadziwiająco dobrze, uznał go za rozsądny krok. W pracy go doceniano, dobrze zarabiał, miał ładne mieszkanie w centrum Brukseli. Od czasu do czasu miewał przelotne romanse z kobietami, które – podobnie jak on – nie były zainteresowane dłuższym związkiem. Właściwie niczego mu nie brakowało. I nagle pewnego dnia ni z tego, ni z owego uświadomił sobie, że jego życie jest puste i całkowicie pozbawione sensu. Wszystkie jego relacje były powierzchowne, a słowa, które wypowiadał zawodowo, nie były jego słowami, tylko należały do innych osób. Kim więc był? Pacynką, która krygowała się kilka godzin dziennie, a potem szła w odstawkę? Żył jedynie kiedy tłumaczył, ale to nie było jego życie.

Świadomość ta objawiła mu się z całą ostrością, kiedy pewnego ranka, jadąc do pracy, zatrzymał się przy kiosku, żeby kupić gazetę. Wyjął monetę, żeby zapłacić i nagle zamarł. Stał i patrzył na monetę, która leżała w jego dłoni. Sprzedawca spytał, jaką gazetę mu podać, a on nie potrafił odpowiedzieć. Schował pieniądze do kieszeni, odszedł kawalek i śmiertelnie wyczerpany opadł ciężko na stojącą w pobliżu ławkę. Miał tego dnia umówione ważne spotkanie, ale czuł, że nie jest w stanie pracować.

Dwa miesiące przebywał na zwolnieniu lekarskim. Z powodu depresji. Ale on wiedział, że chodzi o coś innego, o coś znacznie poważniejszego. Nagle uświadomił to sobie z przerażającą jasnością. Było to niemal jak objawienie religijne. Tyle że ludzie nawróceni zwykle widzą jasność, a on ujrzał mrok. To właśnie ciemność pozwoliła mu dojrzeć prawdę. Ułudna płachta zasłaniająca rzeczywistość rozsunała się i nagle ujrzał swoje życie takie, jakie było naprawdę. Przeżył szok, ale jednocześnie czuł też wielką wdzięczność. Wzdrygnął się na myśl, że mógłby dalej żyć błędząc.

Wypowiedział pracę, wrócił do swojego rodzinnego miasta, Uppsali, gdzie załatwił sobie zastępstwo w szkole. Jako nauczyciel języków w liceum zarabiał co prawda znacznie mniej niż dotąd, ale postanowił się tym zadowolić. Musiał

przemyśleć wiele spraw i zastanowić się, co dalej robić ze swoim życiem.

W wolnych chwilach zaczął grać na komputerze. World of Warcraft i Grand Theft Auto. Początkowo grał dla zabicia czasu, ale szybko się wciągnął. Im bardziej szare wydawało mu się jego własne życie, tym bardziej zajmujący wydawał mu się fikcyjny świat gier. Czas spędzany w szkolnych klasach i w pokoju nauczycielskim był jakby jedynie poczekalnią, w której spędzał niecierpliwe godziny, recytując jak lunatyk odmianę czasowników czy rozmawiając o niczym z kolegami. Po skończonym dniu pracy zaciągał żaluzje w oknach swojej kawalerki, włączał komputer i rzucał się w wir życia, tego jedyne, które było w stanie sprawić, że krew zaczynała mu żywiej pulsować, a mózg tryskał coraz śmielszymi pomysłami. Kiedy nad ranem ledwie przytomny kładł się do łóżka, dziwił się, że może tak silnie przeżywać coś, co w ogóle nie istnieje i co tak naprawdę w ogóle go nie obchodziło.

Daniel wysiadł z windy i ruszył w stronę kanapy i stojących przed kominkiem foteli, kiedy drzwi wejściowe się otworzyły i do holu wkroczył Max.

Obawiał się nieco tego momentu. Doświadczał tego już wielokrotnie, ale nadal nie potrafił się przyzwyczaić: szedł na spotkanie samego siebie, za chwilę miał spojrzeć we własne oczy, zobaczyć przed sobą własne rysy twarzy.

Odetchnął z ulgą, kiedy spostrzegł, że mężczyzna, zmierzający w jego stronę, ma w sobie co prawda coś znajomego, ale podobieństwo wydaje się odległe i trudno uchwytne.

Dotknął szybko palcami brody, jakby chciał się przekonać, że nadal ją ma. Tę miękkość, ale jakże skuteczną osłonę, która chroniła jego wrażliwą twarz.

Max był opalony. Lekko ubrany, w szortach, bawełnianej koszulce i sandałach, wyglądał jak turysta. Miał krótko ostrzyżone włosy, a jego szeroki, olśniewająco biały uśmiech kazał Danielowi przypuszczać, że właśnie przechodzi fazę maniackalną swojej choroby. Takie wrażenie odniósł też, czytając jego list, ale list był sprzed miesiąca, a nastrój Maxa zmieniał się szybko. W ciągu kilku godzin potrafił wpaść w czarną rozpacz albo w graniczące z agresją rozdrażnienie. W tym momencie wydawał się jednak radośnie pogodny. Oczywiście było to lepsze niż gdyby było odwrotnie.

Brat uściskał go serdecznie, można powiedzieć niemal namiętnie, i poklepał kilka razy po plecach.

– Witaj, braciszku! A jednak przyjechałeś! Przyjechałeś. *Yesss!*

Roześmiał się głośno, uniósł zaciśnięte dłonie w geście zwycięstwa, jakby dziękował niewidocznemu Bogu.

Daniel odwzajemnił niepewnie jego uśmiech.

– Jasne, że przyjechałem – powiedział. – Fajnie znów cię widzieć. Dobrze wyglądasz – dodał.

– Sytuacja jest stabilna. A co u ciebie? Boże, nadal nosisz tę okropną brodę? Wygląda naprawdę strasznie. Dziwię się, że w ogóle wpuścili cię na pokład. Wyglądasz jak talib.

Max chwycił Daniela za brodę i pociągnął, drażniąc się z nim.

– Lubię mieć brodę – stwierdził Daniel, robiąc krok do tyłu.

– Naprawdę? – roześmiał się Max. – I te okulary! Gdzie znalazłeś takie oprawki?

Dlaczego nie nosisz soczewek jak cywilizowani ludzie?

– Nie lubię wkładać ich do oczu. To nieprzyjemne.

– Bzdura. Chociaż rzeczywiście jest z tym trochę zachodu. Od paru lat zastanawiam się, czy nie poddać się operacji. Ale po zabiegu laserowym trzeba zrobić sobie dwa tygodnie wolnego, a ja nie mam na to czasu. Ale dość o tym. Wezmę twoje rzeczy do siebie, a potem pójdziemy coś zjeść. Zajrzałem do karty, podają dzisiaj pstrąga. Gdzie masz bagaż?

– Personel wstawił wszystko do pokoju gościnnego.

– Do pokoju gościnnego? Nie! Jesteś moim gościem, więc oczywiście zatrzymasz się u mnie.

– A gdzie ty mieszkasz?

– Mam niewielki domek, niedaleko stąd. Skromnie urządzone, ale bardzo przyjemny. Pokój gościnny! Też mi coś! To twój klucz?

Max wziął do ręki klucz z mosiężną blaszką, który Daniel trzymał w ręku, i ruszył w stronę windy.

– Zaczekaj tu na mnie – rzucił bratu, wciskając niecierpliwie przycisk.

Po trzech sekundach czekania zrezygnował i ruszył na górę schodami, pokonując po dwa stopnie naraz.

Daniel patrzył za nim zdziwiony. Ledwie się zjawił, już zdążył go zakrzyczeć, zdominować.

Kilka minut później Max wrócił, niosąc w ręce jego walizkę. Energicznym krokiem wyszedł przez drzwi, zszedł szerokimi schodami i ruszył przez park. Daniel podążył posłusznie za nim. Co innego mógł zrobić?

– To chyba przyjemne miejsce – powiedział, kiedy dogonił brata. – Miły personel. Żadnych białych kitłów.

– A dlaczego ktoś miałby tu nosić biały kitel? O ile mi wiadomo, kolor fartucha jeszcze nikogo nie uleczył. Podobają mi się kostiumy, które noszą kobiety. Są seksowne. Nie uważasz?

– Może.

Na zboczu nad parkiem leżało kilka niewielkich domków z drewnianych bali w alpejskim stylu. Max otworzył drzwi jednego z nich i zaprosił Daniela do środka.

– Tu mieszkam. Jak ci się podoba?

Domek składał się z jednego pokoju, urządzonego sosnowymi meblami w stylu rustykalnym. Na drewnianych ławach leżały poduszki w ludowe wzory. W pomieszczeniu był kominek, niewielki kącik kuchenny i alkowa do spania, oddzielona kotarą.

– Można by go urządzić bardziej elegancko, ale ja lubię prostotę – powiedział

Max, stawiając na podłodze walizkę brata. – Możesz spać na ławie. Jedną noc chyba wytrzymasz?

– Mieszkasz tu sam? – spytał Daniel zdziwiony.

– Oczywiście. Nie chcę żadnego sublokatora. Ty to co innego. Lubię być sam. Pod tym względem to miejsce bardzo mi odpowiada. Dają człowiekowi możliwość wyboru. Ale teraz chodźmy coś zjeść. Mam nadzieję, że nie dałeś się namówić kierowcy i nie zjadłeś w tej okropnej knajpie, gdzie on zwykle się zatrzymuje? Podejrzewam, że ma z nimi jakąś umowę.

– Nie, wypiliśmy tam tylko kawę.

– Dobrze, bo to znaczy, że jesteś głodny i docenisz smak świeżo złowionego pstrąga z kieliszkiem schłodzonego rieslinga. Oczywiście możesz wybrać coś innego, ale osobiście polecam pstrąga.

Zanim poszli coś zjeść, Max oprowadził brata po terenie kliniki.

Była większa niż Daniel się spodziewał. Poza starym głównym budynkiem było też kilka innych, nowszych, ze szklanymi fasadami. Wszystkie w otoczeniu pięknego parku, po którym spacerowali ludzie, pogodni, odprężeni. Większość ubrana była sportowo i wyglądała raczej na bogatych turystów niż na pacjentów sanatorium. Daniel domyślał się, iż ich dolegliwości, podobnie jak dolegliwości jego brata, były raczej natury psychicznej.

– Grasz może w tenisa? – spytał nagle Max. – Możemy zarezerwować kort na jutro rano.

– Nie, dziękuję.

– Mamy tu też sale sportowe i siłownię. Jest hala do tenisa stołowego i całkiem przyzwoita sala gimnastyczna – poinformował go Max, wskazując ręką na spory budynek, który właśnie mijali. Na jego tyłach był basen. Kilku pacjentów leżało na białych drewnianych leżakach, korzystając z ostatnich promieni popołudniowego słońca. Daniel zmrużył oczy i przyglądał się im zdziwiony.

– Prawdę mówiąc, po lekturze twojego listu wyobrażałem sobie to miejsce nieco inaczej. Bardziej jak szpital.

Max skinął głową.

– Jak zapewne się domyślasz, jest to prywatna klinika. Dla ludzi, których na to stać.

– Ile kosztuje taki pobyt?

Na twarzy Maxa pojawił się grymas, jakby temat był dla niego przykry.

– Zdecydowanie za dużo, jak dla mojego portfela. Ale jeszcze mnie stać. Chociaż, jeśli wkrótce nie zostanę uznany za zdrowego, to może być nieciekawie. Dlatego staram się zachowywać najnormalniej jak potrafię. Trzymam się z daleka od

największych świrów, flirtuję z pielęgniarkami i prowadzę uczone rozmowy z lekarzami. Już kilka razy zdarzało mi się słyszeć, jak za moimi plecami mówią: „Co on tu robi, na Boga? Wydaje się równie zdrowy jak każdy z nas”. Oczywiście istnieje ryzyko, że będą chcieli mnie tu zatrzymać ze względu na pieniądze. Dlatego też dałem Giseli Obermann, mojej pani doktor, jasno do zrozumienia, że moje finanse są na wyczerpaniu i doceniłbym, gdyby wkrótce pozwolono mi opuścić to miejsce.

Szli przez park. Powietrze było chłodne, pachniało świerkowym lasem. Od strony kortów dochodziły odgłosy miarowych uderzeń rakieta w piłkę.

– Jakiemu leczeniu cię tu poddają?

– Żadnemu.

– Ale przyjmujesz chyba swoje stałe leki?

Jakiś mężczyzna wydawał się zmierzać w ich kierunku, ale Max położył rękę na ramieniu Daniela i skręcił w inną stronę.

– Jak tylko tu przyjechałem, Gisela kazała mi je odstawić – zaczął mu opowiadać. – Chciała zobaczyć, jak funkcjonuję bez nich. Podobno zawsze najpierw chce poobserwować, jak pacjent radzi sobie bez leków.

Max zatrzymał się, stanął naprzeciwko niego, położył mu rękę na ramieniu, i mówił dalej stanowczym tonem, głośno i wyraźnie, jakby zależało mu, żeby brat dokładnie go zrozumiał.

– Psychiatra badający pacjenta, który przyjmuje leki, czuje się jak internista, który bada pacjenta w ubraniu. Nawet gdyby chory miał wysypkę czy guza, lekarz nic by nie zauważył. W tym wypadku farmaceutyki funkcjonują jak ubranie, mają pewne rzeczy ukryć. Nie leczą, to nie penicylina, która zabija złe bakterie.

Daniel pokiwał głową ze zrozumieniem, cofnął się. Max był podniecony i mówiąc, pluł.

– Leki w psychiatrii to rodzaj maty ochronnej – ciągnął. – Takiej, która łagodzi skutki eksplozji, nie dopuszcza do tego, żeby kamienie i odłamki skał fruwały w powietrzu. Zabezpiecza otoczenie, ale... – Max wychylił się w stronę brata i zniżył głos niemal do szeptu. – Ale czy ktoś pomyślał, jakie szkody takie tłumione eksplozje wyrządzają naszej duszy?

Zamilkł, nie spuszczając oczu z Daniela. Po chwili ruszyli dalej. Zatrzymali się na moment, żeby przepuścić młodego chłopaka w dresie.

– I jak ta twoja lekarka cię ocenia? Jak funkcjonujesz bez leków? – spytał Daniel ostrożnie.

– Chyba dobrze. Kiedy ostatnio z nią rozmawiałem, stwierdziła, że nie widzi konieczności, żebym coś brał.

– Naprawdę?

Daniel był autentycznie zaskoczony. O ile dobrze pamiętał, brat zaczął regularnie przyjmować leki, kiedy był nastolatkiem. Niekiedy odstawiał je, ale potem zawsze przyznawał, że nie powinien był tego robić. Biorąc leki, był w stanie prowadzić względnie normalne życie. A teraz twierdził, że właściwie może obywać się w ogóle bez leków. Dziwne.

Max się roześmiał.

– Nie rób takiej przerażonej miny. Istnieje coś takiego jak samoleczenie. Nie słyszałeś o tym? Na to obecnie się stawia. Na leczniczą moc przyrody jako takiej.

Zatrzymał się znów na chwilę, powiódł ręką wokół, wskazując na zieloną łąkę, lśniące fasady domów, góry.

– Smaczne, pożywne jedzenie. Czyste powietrze. Cisza i spokój. Stare, wypróbowane środki, o których zapomniano, gdy dostaliśmy do dyspozycji środki chemiczne. Niektórzy są przekonani, że ludzie są jak te olbrzymy ze stali. Trudno je powalić, ale potem jeszcze trudniej postawić znów na nogi. Pomyśl, co z człowiekiem może zrobić nawet niewielki stres. Wielu tutejszych pacjentów przejawia objawy wypalenia. Widziałeś, jak to wygląda? Pewna kobieta po prostu siedziała i patrzyła przed siebie. Nie potrafiła nawet powiedzieć, jak się nazywa. Trzeba było ją karmić, bo zapomniała, jak używa się widelca. Można by pomyśleć, że to wynik jakiejś strasznej traumy, doświadczenie wojny, tortur. Ale nie. To po prostu zwykły stres. Zbyt duże wymagania, presja, i z góry, i od dołu. Dziwne, że takie rzeczy mogą człowieka całkowicie załamać. Ale cóż, nie jesteśmy ze stali, nasza konstrukcja psychiczna bywa słaba. A potem trzeba trochę czasu, żebyśmy mogli się pozbierać. Trochę czasu i spokoju. Ładna okolica też temu sprzyja. Takie proste rzeczy, na które na ogół nie zwracamy uwagi.

Daniel pokiwał głową, zamyślony.

– Więc u ciebie nastąpił proces samoleczenia?

Max odwrócił się do niego, uśmiechając się promiennie.

– Doktor Obermann uważa, że jestem na dobrej drodze.

– Cieszę się.

Max skinął szybko głową i zaklaskał w dłonie, dając znak, że temat został wyczerpany.

– Teraz idziemy coś zjeść! – oświadczył.

Ku zdziwieniu Daniela klinika mieściła restaurację, która sprawiała wrażenie bardzo eleganckiego lokalu. Była gustownie urządzona, sufit ze stiukami, orientalne dywany na podłodze, stoliki przykryte białymi obrusami, lniane serwetki, eleganckie kieliszki. W jednym kącie siedział samotny mężczyzna, poza tym byli w lokalu sami.

– To dla pacjentów? – zdziwił się głośno Daniel.

Max podszedł do stolika, usiadł.

– Dla pacjentów? Tu nie ma pacjentów. Są klienci, którzy płacą horrendalne pieniądze, by móc tu przez jakiś czas odpocząć. Mamy chyba prawo oczekiwać, że dostaniemy za nie przyzwoite jedzenie w miłym otoczeniu. Weźmiemy pstrąga.

Dał znać kelnerce, żeby nie przynosiła im jadłospisu.

– Poprosimy pstrąga i butelkę gobelsburgera. Zimnego.

Kelnerka skinęła głową uprzejmie i oddaliła się.

– A co u ciebie, Danielu? – spytał Max. – A może już cię o to pytałem, tylko nie pamiętam, co odpowiedziałeś.

– U mnie wszystko w porządku. Jak wiesz, mieszkam w Uppsali. Praca w Parlamencie Europejskim stała się zbyt stresująca. Pod koniec czułem się tam już bardzo źle. Poza tym rozwiódłem się. Ale to też wiesz.

– Jest wino!

Max spróbował łyk, który kelnerka naląła mu do kieliszka. Skinął głową zachwycony.

– Spróbuj! Niemal codziennie wypijam kilka kieliszków. Wiem, że nie do wszystkiego pasuje, ale nie przejmuję się tym.

Daniel wypił łyk. Wino miało wytrawną świeżość i naprawdę było bardzo dobre.

– Za dużo tego wszystkiego – odezwał się.

– Za dużo? – zdziwił się Max. – Piłeś już dzisiaj?

– Nie, nie to miałem na myśli. Nie przejmuj się. Wino jest doskonałe. Ma świeży smak. Jest takie krzepiące.

– Krzepiące! To jest właściwe słowo. Zawsze potrafisz znaleźć odpowiednie określenie. Ale też jesteś ekspertem.

– Nie, jestem tylko tłumaczem. Czy raczej byłem.

– Jeśli tłumacz nie jest ekspertem w sprawach języka, to kto nim jest?

Daniel wzruszył ramionami.

– Mam łatwość do języków – przyznał. – Chociaż tak naprawdę jestem tylko papugą.

– Papugą? Coś w tym jest. Lubisz naśladować ludzi. A jednocześnie bardzo się boisz podobieństwa do drugiej osoby, na przykład do mnie. Dlaczego?

– Nie boję się. Nie wiem, dlaczego tak myślisz – zaprotestował Daniel.

Był bardziej wzburzony niż pragnął to okazać.

– Nie kłóćmy się. Mała Marike chyba się przestraszyła.

Max uśmiechnął się do kelnerki, która podeszła z talerzami do ich stolika.

– Nie bój się, Marike. Wygląda groźnie, ale nie gryzie.

Pstrąg był dobrze usmażony, podany z młodymi ziemniakami, topionym masłem i cytryną.

– Miła dziewczyna, prawda? – powiedział Max, kiedy kelnerka odeszła.

Marike miała około czterdziestki i na pewno nie była już dziewczyną.

– Może na pierwszy rzut oka tego nie widać, ale coś w sobie ma. Zauważyłeś, jaki ma szeroki tyłek? Wszystkie miejscowe kobiety taki mają. Od razu poznać, czy ktoś jest stąd, czy nie. Mówiąc stąd, mam na myśli ludzi, którzy są tu od pokoleń. Wszyscy mają nadmiar tłuszczu, szczególnie na biodrach, no i szerokie tyłki. Mężczyźni też są korpulentni, ale u kobiet jest to wyraźniejsze. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego u kobiet bardziej to widać? Pewnie dlatego, że kobietom przyglądamy się bardziej niż mężczyznom – odpowiedział Daniel.

– Ja nie żartuję. Zastanawiałeś się, dlaczego mieszkańcy rejonów górskich zwykle są pulchniejsi niż ludzie zamieszkujący równiny? Tak jest wszędzie na świecie. Mieszkańcy wysp na morzach południowych czy w południowoamerykańskiej dżungli są zbudowani podobnie. Krępi, tężdy. A ludzie żyjący na równinach, na przykład Masajowie we wschodniej Afryce są wysocy i szczupli. Dlaczego? – spytał Max retorycznie, wskazując widelcem na Daniela. – Otóż dlatego, że gdy przychodzi głód, ludzie na równinie mogą wyruszyć w poszukiwaniu jedzenia. Ci wysocy i długonodzy są bardziej ruchliwi, łatwiej im się przemieszczać niż tym pulchnym o dużych tyłkach. Ci zostają na miejscu i umierają z głodu. Ale mieszkańcom wysp czy dżungli, czy odciętej od świata, zasypanej śniegiem alpejskiej doliny ruchliwość nie pomoże. Mogą tylko zagryźć zęby i próbować doczekać lepszych czasów. Przeżyją ci, którzy mogą czerpać ze swojego tłuszczu.

Daniel skinął głową. Miał pewne trudności z nadążeniem za skomplikowanym wywodem brata.

– Brzmi sensownie – powiedział i zamilkł. – Pstrąg jest znakomity – dodał po

chwili, by przerwać ciszę. – Jest naprawdę świeży. Myślisz, że został złowiony gdzieś tu w okolicy?

– Pstrąg? Oczywiście. Tam obok, w potoku. Być może nawet ja go złowiłem.

– Ty?

– Ja albo ktoś inny. Zwykle łowię więcej niż jestem w stanie zjeść. Wtedy oddaję ryby restauracji. A wracając do poprzedniego tematu, to jest to bardzo interesujące, nie uważasz? Że tego typu cechy genetyczne przetrwały. Możemy przejechać świat wzdłuż i wszerz, wszędzie jest tak samo. Natura zadbała, by mieszkańcy dolin, zmuszeni trwać w jednym miejscu, mogli przeżyć, czerpiąc z własnych rezerw. Bardzo pomysłowe. I atrakcyjne. Mam na myśli szerokie tyłki. Pobudzają wyobraźnię. Nie uważasz?

Max spojrział na kelnerkę, która mijała ich, kierując się do stolika, przy którym siedział samotny mężczyzna.

– Być może.

Kelnerka zebrała naczynia i ruszyła do kuchni ze stosem talerzy. Max wyciągnął rękę i poklepał ją po pośladku. Kobieta odwróciła się. Na jej twarzy malował się grymas niezadowolenia. Ale nic nie powiedziała.

– To było niepotrzebne – skwitował Daniel.

Max się roześmiał.

– Kretyn może sobie chyba pozwolić na odrobinę szaleństwa. Trzeba spełniać oczekiwania. Ale oczywiście należy uważać, by nie przekroczyć pewnych granic. Inaczej ani się obejrzysz, a wylądujesz w kaftanie bezpieczeństwa. I zamienisz luksusowy domek na celę tortur w piwnicy.

– Naprawdę? – spytał Daniel przerażony, zanim zrozumiał, że Max żartuje. Chcąc pokryć niezręczność, spytał: – Powiedz, dlaczego tu jesteś? Mam wrażenie, że naprawdę dobrze się czujesz.

Uśmiech zniknął z twarzy brata. Wyprostował się i zaczął opowiadać:

– Jak może wiesz, pracuję obecnie we Włoszech. Zajmuję się produkcją oliwy z oliwek.

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałem – przyznał Daniel zdziwiony.

– To trudna branża. Szczególnie dla cudzoziemca. Muszę jednak nieskromnie przyznać, że radzę sobie całkiem nieźle, ale wszystko ma swoją cenę. Mój tydzień pracy to nie czterdzieści godzin. Ostatnio pracowałem w zasadzie na okrągło, dzień i noc.

– Ach tak – powiedział Daniel cicho. Wiedział, co to znaczy, kiedy Max pracuje dzień i noc.

– I dotarłem do ściany, jak to się mówi. Jak większość z obecnych tu osób.

Tempo pracy, szczególnie dla pracowników wyższego szczebla, jest zabójcze. Nie mówię o Szwecji. Tam wygląda to inaczej niż w innych krajach w Europie, gdzie wielu ludzi nie wytrzymuje narzuconego im tempa pracy i stresu. Nikt o tym głośno nie mówi, ale od czasu do czasu na każdego przychodzi kolej. To jest jakby część umowy. Jesteśmy jak wozy Formuły 1, które wymagają regularnych przeglądów, wymiany opon, uzupełnienia paliwa. Potem znów mogą jechać.

Max zrobił młynek palcem i roześmiał się zadowolony z porównania.

– I to jest to miejsce, gdzie dokonuje się przeglądu? – spytał Daniel, rozglądając się po restauracji, w której teraz byli już jedynymi gośćmi.

– Tak. Rajska Dolina to miejsce, gdzie dokonuje się przeglądu. Być może najlepsze w Europie. A teraz zamówimy kawę i coś do kawy – powiedział Max, uderzając ręką w blat stolika. – Ale nie tutaj – dodał. – Znam pewne miłe miejsce w miasteczku. Chodź – zwrócił się do brata.

Zmiał serwetkę i wstał.

Daniel zaczął się rozglądać za kelnerką. Chciał zapłacić za obiad, ale nie bardzo wiedział, jakie obowiązują tu zwyczaje.

– W miasteczku? – powtórzył za bratem. – Możesz tak po prostu stąd wyjść?

– Oczywiście. To jest właśnie największa zaleta Rajskiej Doliny – wyjaśnił Max. – Dopisz do mojego rachunku, złotko – zwrócił się do niewidzialnej kelnerki i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wyjścia.

Wino mozelskie. Zimne i łagodne, jakby pochodziło ze źródła w głębi ziemi.

Gisela Obermann żałowała, że nie ma swoich rodowych kieliszków z czeskiego kryształu, tylko musi się zadowolić masową produkcją, będącą na wyposażeniu służbowego mieszkania. Ale swoje piękne kryształowe kieliszki podarowała organizacji charytatywnej, która sprzedała je na dorocznym jarmarku. Gisela pozbyła się wszystkich swoich rzeczy, gdy okazało się, że dostała pracę w Rajskiej Dolinie. Sprzedała swoje piękne mieszkanie, zerwała niszczący ją związek, w którym tkwiła od lat. Zostawiła sobie jedynie trochę markowych ubrań i kilka książek z dziedziny psychiatrii, zachowała też kotkę, Śnieżynkę.

– Spaliłam swoje okręty – powiedziała na głos sama do siebie.

Lubiła to porównanie. W dawnych czasach kapitanowie kazali palić okręty, by załoga nie mogła uciec, gdy bitwa okazywała się zbyt krwawa. Miała je przed oczyma: płonące okręty, płomienie odbijające się w wodzie. Piękny, ale i przerażający obraz.

Położyła się na łóżku i przytuliła do długowłosego kota. Chłoneła zapach jego miękkiej, czystej sierści. W odróżnieniu od psów koty zawsze pachniały przyjemnie. Pomyślała, że chciałby mieć perfumy o takim zapachu.

Kotka zaczęła mruczeć, białe futerko drżało lekko obok jej twarzy.

Okno było uchylone. Gdzieś na zewnątrz śpiewał kos. Słyszała głosy i stukot metalu o kamienny bruk. Po chwili doszedł ją zapach węgla do grillowania. Kolejna impreza pracownicza, pomyślała. Nie zamierzała w niej uczestniczyć.

Zamknęła oczy, pozwoliła, by miękkie futerko kotki dotknęło jej twarzy. Wyobrażała sobie, że jest to dłoń doktora Kalpaka.

Doktora Kalpaka nie spotka na żadnej imprezie dla personelu. Doktor Kalpak nie bywał na przyjęciach. Kiedy tu przyjechała, podał jej dłoń na powitanie. Nigdy nie zapomniała tego uścisku. Tej dłoni. Szczupłej, opalonej, o najdłuższych palcach, jakie kiedykolwiek widziała. Jakby nie była to dłoń, tylko żywa istota. Jakieś zwierzę. Szybkie, zwinne, o jedwabistej skórze. Może tchórzofretka.

Jego melodyjny akcent świetnie pasował tu, wśród gór. Był miękki, falował, unosił się jak akcent w austriackim czy norweskim. Ale jego prawdziwym językiem były dłonie, gdy zaczynało się na nie patrzeć, przestawało się słyszeć słowa.

Gisela Obermann zrezygnowała z większości swoich marzeń. Opadały jak liście,

targane surowym wiatrem życia. Ale marzenie, by kiedyś móc poczuć dłonie doktora Kalpaka na swoim nagim ciele, zachowała. Sięgała po nie, gdy była sama.

Zamknęła oczy, czuła, jak wino szumi jej w głowie. Przypomniła sobie, że Max ma dzisiaj gościa. Przyjechał jego brat. Max był jedynym z jej pacjentów, z którym nadal wiązała jakieś nadzieje. Czemu miała służyć ta wizyta, zastanawiała się.

Kotka zamruczała.

– „Kocham zwierzęta dlatego, że są żywymi istotami, ale nie ludźmi”. Kto to powiedział? Majakowski? Dostojewski?

Znów zaczęła myśleć o dłoniach doktora Kalpaka. Dwa aksamitne zwierzątka, przemieszczające się po jej ciele. Jedna leżała na jej piersi, druga na brzuchu, po chwili poczuła ją niżej, między udami.

Na zewnątrz było już ciemno. Rzadko ustawione latarnie oświetlały parkowe alejki wokół kliniki. Max i Daniel schodzili do miasteczka.

– Wygląda na to, że poruszasz się tu całkiem swobodnie – zauważył Daniel.

– Oczywiście. Klienci kliniki nie zaakceptowałyby żadnych ograniczeń. Jeśli noce spędzam grzecznie we własnym łóżku, to w ciągu dnia mogę właściwie robić, co chcę.

Zeszli ze zbocza i dotarli do wąskiej asfaltowej drogi, zdecydowanie lepiej oświetlonej niż parkowe alejki. Minął ich niewielki żółty samochodek. Kierowca przywitał się. Miał na sobie rodzaj munduru, wyglądał jak dozorca czy portier w hotelu, obok niego w ciasnej kabinie siedział drugi mężczyzna ubrany tak samo jak on. Daniel pomyślał, że pewnie obaj należą do personelu kliniki. Max odpowiedział na powitanie nieco roztargniony, i ruszył dalej szybkim krokiem.

Minęli jakieś budynki, skręcili w jedną z bocznych uliczek i nagle znaleźli się w centrum miasteczka.

Niewielki rynek z fontanną na środku otaczały domy z balkonami tonącymi w kwiatkach. Zza szyb w ołowianych szprosach widać było ciepłe światło, z daleka dochodził gwar, gdzieś w głębi w dolinie czekały psy. Trudno było sobie wyobrazić, że w tym baśniowym miasteczku toczyło się zwykłe codzienne życie.

Max skręcił w jedną z uliczek i nagle znaleźli się przed brązowym domem z niewielkim ogródkiem, z kolorowymi lampionami zawieszonymi na drzewach.

– Hannelores Bierstube – wyjaśnił Max, właściwie niepotrzebnie, bo to właśnie było wypisane dużymi kunsztownymi białymi literami nad drzwiami lokalu.

– Wygląda jak domek Baby-Jagi – zażartował Daniel.

– Kto wie? Odważysz się wejść? – spytał Max.

– Chętnie napiję się piwa. Darujmy sobie kawę. Wolę porządny kufel chłodnego niemieckiego piwa. Wejdźmy do środka. Wygląda sympatycznie.

– Jaś i Małgosia też tak mówili, ale jak chcesz – powiedział Max i dał Danielowi znak, żeby wszedł pierwszy.

Max był najwyraźniej stałym bywalcem domku z piernika. Kiedy weszli do środka, od razu podszedł do jednego ze stojących w kącie stolików, odwrócił się w stronę baru i unosząc dłoń, bez słowa zamówił dla nich dwa piwa. Tęga starsza kobieta przyjęła zamówienie, skinąwszy głową. Po chwili przyniosła im dwa wielkie

kufle. Zdecydowanym ruchem postawiła je na stoliku. Miała silne ręce drwała i szczęki buldoga.

– A nie mówiłem – wyszeptał Daniel, wzdrygając się. – Nie boisz się, że nas zje?
Max wzruszył ramionami.

– Do tej pory jakoś sobie radziłem. Podejrzewam, że czeka, aż dorobię się prawdziwego brzucha piwosza. Czasem szczypie mnie w pasie, jakby chciała sprawdzić. Twoje zdrowie, braciszku. Bardzo się cieszę, że tu jesteś!

Unieśli kufle.

– Ja też się cieszę – powiedział Daniel. – Nawet bardziej niż myślałem... – Nagle urwał, uniósł zdziwiony głowę.

Jego wywód przerwało donośne „kuku!” Dopiero teraz zauważył stojący obok stolika okazały zegar z kukułką. Na ich oczach rozgrywała się scenka rodzajowa, wprowadzająca w ruch mechanizm zegara. Kukułka wyskoczyła z dziupli, obok niej dziadek rąbał drwa, a staruszka próbowała doić kozę. Kozą przewracała wiaderko, a staruszka je podnosiła.

– Boże drogi – jęknął Daniel oszołomiony, kiedy scenka się skończyła i kukułka wróciła do swojej dziupli.

Max wydawał się nieporuszony. Pił łąpczywie piwo, trochę piany połało się na blat stolika. Natychmiast, niczym duch, zjawił się chudy mężczyzna w fartuchu i zaczesanymi do tyłu włosami i dokładnie starł blat ściereczką. Kiedy nachylił się nad świeczką, Daniel zobaczył, że ma wystające kości policzkowe. Wyglądał jak szkielet.

– Rozumiem, że to jest Jaś – zażartował, kiedy mężczyzna skończył wycierać stół, skłonił się i wycofał do kuchni. – Bardzo dba, żeby nie przytyć.

– Jest też Małgosia – podchwycił Max. – Tylko nie wiem, czy dzisiaj ją tu spotkamy – powiedział i zaczął się rozglądać po lokalu. – Może Baba-Jaga już ją zjadła? Nie zdziwiłbym się. Jest bardzo apetyczna. Gdyby nie moja mała Giuletta, chętnie też bym posmakował.

– Giuletta? To twoja nowa dziewczyna?

– Ostatnia i jedyna. Dwudziestodwuletnia piękność, córka hodowcy oliwek z Kalabrii. Nadal mieszka z rodzicami, ale jesteśmy zaręczeni.

– Ma dwadzieścia dwa lata? Jesteś od niej o trzynaście lat starszy – obliczył szybko Daniel.

– W Kalabrii to nic niezwykłego. Jej rodzice są bardzo ze mnie zadowoleni. Jestem dojrzały, doświadczony, dobrze sytuowany.

– I wypalony. Do tego stopnia, że trafiłeś do kliniki. A może nie wspomniałeś im o tym?

– Rzeczywiście nie. Sądzą, że jestem w Szwecji, w interesach.

– A Giulietta? Jest równie zadowolona?

– Szaleje za mną.

– Też myśli, że jesteś w Szwecji?

– Tak. Ale jak wrócę, zwolnię tempo. Pobierzemy się i osiedlimy w Kalabrii.

Będziemy mieli dzieci. Siedmioro, może nawet więcej.

Max pokiwał głową zadowolony. Po chwili spojrzał uważnie na Daniela.

– Ty nie masz dzieci, prawda?

– Przecież wiesz, że nie mam. Emma chciała jeszcze zaczekać, a potem się rozwiedliśmy.

Max położył dłoń na jego ramieniu.

– Spokojnie. Nie ma powodu do paniki. Nam, mężczyznom, się nie spieszy. Z kobietami jest inaczej. Wypijesz jeszcze jedno piwo?

– Jeszcze mam. Ale zamów dla siebie. Ja stawiam.

– Daj spokój. Jesteś moim gościem – powiedział Max i gestem ręki dał znać kobiecie, żeby przyniosła kolejny kufel.

W lokalu było gwarno, gości przybywało. W większości byli to mężczyźni, w mroku nie było widać ich twarzy. Kilka reflektorków oświetlało barek, ale na stolikach stały tylko świeczki.

– Mam wrażenie, że pobyt tu ci służy – powiedział Daniel. – Przyznaję, że zaniepokoiłem się, kiedy dostałem twój list.

– Mówiłem ci już, że jeśli chodzi o syndrom wypalenia, to tu są najlepsi specjaliści. Nawet sobie nie wyobrażasz, w jakim byłem stanie, kiedy tu przyjechałem – powiedział Max.

Przekręcił głowę, wystawił język i zaczął przewracać oczami.

– Syndrom wypalenia – powtórzył Daniel zamyślony. – Do tej pory nigdy nie miałeś czegoś takiego.

– To prawda. Sam się zdziwiłem. Ale kiedy zacząłem się zastanawiać, doszedłem do wniosku, że właściwie wszystkie moje załamania miały miejsce po okresach wyjątkowo intensywnej pracy. Tuż przed ostatnim załamaniem pracowałem dzień i noc, w ogóle nie spałem. Nic dziwnego, że czułem się wykończony.

– Ale taka nadaktywność to przecież objaw twojej choroby – wszedł mu w słowo Daniel. – Nie jej przyczyna – podkreślił.

– Jesteś pewien? Może ktoś się pomylił? Może przez te wszystkie lata byłem błędnie diagnozowany? Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że od początku chodziło właśnie o syndrom wypalenia. To może się różnie wyrażać. Pewnie miałem jego nawroty.

– No tak – przytaknął Daniel i zaczął ziewać. – Jeśli zaraz nie wrócimy do domu i nie położę się spać, to mnie też dopadnie syndrom wypalenia i nawet nie chcę myśleć, czym może się wyrażać.

Ledwie skończył mówić, gdy gdzieś w głębi lokalu rozległy się przewlekłe dźwięki akordeonu, zaraz potem usłyszeli śpiew kobiety. Niski, wyraźny głos. Daniel odwrócił głowę zdziwiony.

W blasku reflektorka, gdzieś w końcu lokalu pojawiła się nagle młoda kobieta w stroju ludowym, w gorsecie i bluzce z bufiastymi rękawkami. Zaczęła śpiewać. Akompaniował jej na akordeonie mężczyzna w średnim wieku, ubrany w kwiecistą kamizelkę i obcisłe spodnie do kolan. Na głowie miał zabawny płaski kapelusik z kilkoma kwiatkami, zatkniętymi za wstążkę.

– Rozrywka dla turystów! – wykrzyknął Daniel. – A ja myślałem, że turyści raczej tu nie zagląдают. Ale w takim razie może uda mi się jednak znaleźć tu jakiś hotel?

– Nie nazwałbym tego rozrywką dla turystów – wszedł mu w słowo Max. – To raczej miejscowa rozrywka. Tutejsi ludzie też lubią się czasem zabawić. Idziemy czy chcesz zostać i posłuchać?

– Nie możemy wyjść, skoro właśnie zaczęli. Zaczekajmy chwilę – powiedział Daniel.

Kobieta śpiewała, artykułując nieco przesadnie słowa i gestykułując, jakby śpiewała piosenkę dla dzieci. Mimo to Daniel niewiele rozumiał z jej szwajcarskiego niemieckiego. Od czasu do czasu kobieta potrząsała dzwoneczkiem. Piosenka była długa, opowiadała jakąś zabawną historię, tyle był w stanie zrozumieć. Po kilku zwrotkach potrafił już przewidzieć, kiedy wejdzie dzwoneczek.

– To może trwać wieczność. Chodźmy już – odezwał się Max tuż przy jego uchu. Daniel pokręcił głową.

Coś w kobiecie go fascynowało. Miała wąskie brązowe oczy, niewielki, lekko zadarty piegowaty nosek i usta pomalowane szminką na czerwono. Jej kasztanowe włosy były obcięte na pazia, grzywka była równa, jakby obcięta przy linijce.

Daniel patrzył na nią, zdumiony jej niezwykłą, chociaż wcale nie oczywistą urodą. Była urocza, nieco jak lalka, ale pod gładką powierzchnią kryła się zupełnie inna twarz, o silnych, wyrazistych chłopskich rysach. Zaczął sobie wyobrażać, jak wyglądali jej przodkowie i jak ona sama będzie wyglądać za parę lat. Delikatna powierzchowność kryła dużą siłę, co nie ujmowało nic z jej atrakcyjności.

Chociaż właściwie o jej urodzie decydowały głównie jej oczy. Kiedy stała nieruchomo, błyszczały niczym pulsujące gwiazdy, a kiedy się poruszała, ich blask rozświetlał przestrzeń dookoła niej.

Nie miała szczególnie ładnego głosu, cały występ był nieco śmieszny.

Przesadzony. Na granicy absurdu. Dziewczyna otwierała szeroko oczy, poruszała nimi jakby była lalką. Przesadzone gesty: skrzyżowane na piersi ręce, przechylona na bok głowa. I czerwone usta jak gumki recepturki.

A obok niej mężczyzna, z czerwonymi policzkami, z akordeonem i w tym swoim śmiesznym kapeluszu. Czyżby to miał być żart? Parodia miejscowych zwyczajów?

Paradoks polegał na tym, że cały występ, chociaż wydawał się dziecinnie prosty, był całkowicie niezrozumiały. Daniel nigdy jeszcze nie słyszał tak dziwnego dialektu. Domyślał się, że kobieta śpiewała o krowach. O krowach i miłości. Jakieś szaleństwo! Cóż za brak smaku. A mimo to fascynujące. Daniel siedział jak zaczarowany, nie mogąc oderwać oczu od dziewczyny.

Skończyła śpiewać, ukloniła się, ujmując spódnicę kokieteryjnym gestem. Dziękowała za rozlegające się tu i ówdzie oklaski. Daniel uznał je za zbyt mało wyraziste i próbował ratować sytuację, bijąc głośno brawo. Dziewczyna spojrzała w ich stronę, miał wrażenie, że mrugnęła do niego porozumiewawczo. A może nie do niego, tylko do Maxa?

– Chodźmy, zanim znów zaczną grać – rzucił brat.

Podniósł się i ruszył szybkim krokiem w stronę wyjścia.

Daniel podążył za nim, idąc tyłem. Nadal bił brawo i nie spuszczał kobiety z oczu.

Kiedy doszli do drzwi, akordeon znów zaczął zawodzić, po chwili kobieta dołączyła ze swoim śpiewem, ale oni byli już w ogródku, gdzie na drzewach wzdłuż ścieżki prowadzącej do furtki kołysały się czerwone i zielone lampiony.

– Przepraszam, że tak cię pospieszam, ale najpóźniej o północy musimy być w domu. To jedyna zasada obowiązująca w klinice. Wszyscy musimy jej przestrzegać.

– Co to za kobieta? – spytał Daniel.

– Ta, która śpiewała? To Corinne. Jest tu niemal co wieczór. Czasem śpiewa, czasem podaje do stołu – powiedział Max.

Skręcili z szosy na ścieżkę, prowadzącą przez świerkowy las do kliniki. Wokół panowała ciemność, drzewa pachniały intensywnie. Nagle Daniel poczuł się bardzo zmęczony.

– Sądzisz, że będę mógł zamówić taksówkę z kliniki? – spytał. – Na jutro rano – dodał. – Muszę dostać się do najbliższej stacji kolejowej.

– Chcesz już jechać? Dopiero co przyjechałeś – powiedział Max zawiedziony. Zatrzymał się na środku ścieżki. – Kiedy przyjeżdża ktoś z rodziny, zostaje zwykle cały tydzień...

– Pomyślałem, że zostanę tu tylko...

– Zaplanowałeś sobie urlop w Alpach na mój koszt, tak? Godzina z szalonym

bratem w pokoju odwiedzin, a potem własne rozrywki?

– Nie... To znaczy... Sam nie wiem.

Daniel był tak zmęczony, że nie potrafił trzeźwo myśleć. Nie wiedział, jak da radę dotrzeć na górę do domku Maxa. Nogi miał miękkie jak z waty. Poza tym słyszał zawód w głosie brata i czuł wyrzuty sumienia. Rzeczywiście to Max opłacił jego podróż.

– Rób, jak chcesz. Ale będzie mi bardzo miło, gdybyś został chociaż jeszcze jeden dzień. Jest tu tyle rzeczy, które chciałbym ci pokazać – powiedział Max nagle łagodnie, niemal prosząco.

Szli dalej, podchodząc mozolnie pod strome zbocze. Między drzewami widać było jeden z nowszych budynków kliniki, cały ze stali i szkła. Tylko najwyższe piętra były oświetlone, co sprawiało, że budynek przypominał unoszący się w powietrzu statek kosmiczny.

– Bardzo mi się tu podoba – powiedział Daniel. – Kiedy dostałem twój list, pomyślałem, że to od szatana. Źle przeczytałem napis na znaczku.

Max roześmiał się gromko, jakby Daniel powiedział znakomity dowcip. Szli dalej, przedzierając się przez gałęzie. Daniel potknął się o wystający korzeń i niewiele brakowało, a byłby się przewrócił. Max złapał go, nadal się śmiejąc.

– Cudowne! Naprawdę cudowne! Znasz opowieść o człowieku, który przeprowadzał łodzią ludzi do piekła?

– Nie.

– Anna opowiadała mi ją, kiedy byłem mały. A więc był pewien człowiek, któremu kazano przeprowadzać umarłych przez rzekę do piekła. Pływał w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Był tym wszystkim niezmiernie zmęczony, ale nie wiedział, co zrobić, żeby się uwolnić od zleconego mu zadania. Aż pewnego dnia wpadł na pewien pomysł. Wiesz jaki?

– Nie.

– Pomyślał, że przecież może przekazać wiosła komuś innemu. Rozumiesz? To było bardzo proste. Musiał tylko poprosić któregoś z pasażerów, żeby na chwilę przejął od niego wiosła. I był wolny, mógł uciec, zostawiając kogoś innego przy wiosłach – zakończył Max, zaśmiewając się do rozpuku.

Wyszli z lasu i szli teraz parkiem. Wokół latarni krążyły ćmy. Nagle oślepiło ich światło reflektora, po chwili pojawił się jeden ze śmiesznych małych żółtych elektrycznych samochodzików. Wychylił się z niego młody mężczyzna i zawołał:

– Strasznie się ociągacie. Pamiętaj, Max, że za kwadrans będzie u ciebie patrol!

– Boże, musimy się pospieszyć – wymamrotał Max pod nosem.

Pięć minut później wchodzili zdyszani do domku na szczycie wzgórza.

Nie rozbiegając się, nawet nie umywszy zębów, Daniel od razu zaległ na ławie, którą wcześniej wskazał mu Max. Miał wrażenie, jakby zaraz miał zemdleć. Brat rzucił mu koc i poduszkę.

– Przepraszam, ale to był wyjątkowo długi dzień – wymamrotał Daniel, już niemal śpiąc.

Wzdrygnął się, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Już idę! – usłyszał wołanie Maxa.

Brat stał w łazience w kalesonach i szczotkował zęby. Ze szczoteczką w ustach ruszył do drzwi.

– Nocny patrol – mruknął niewyraźnie, przechodząc obok brata.

Spod na wpółprzymkniętych powiek Daniel zobaczył kobietę w jasnoniebieskim kostiumie, opiekunkę, i mężczyznę, także w jasnoniebieskim mundurze. Pewnie opiekun, pomyślał. Kobieta i mężczyzna weszli przez drzwi, ale zatrzymali się w progu, uśmiechnęli się i pokiwali głowami. Powiedli spojrzeniem po wnętrzu, zauważyli Daniela, który leżał na ławie, przykryty kocem.

– Twój brat już usnął? – wyszeptał mężczyzna. – Ty też już się kładź, Max. I śpij dobrze. Mam nadzieję, że jutro spędzicie miły dzień.

Max odpowiedział coś niewyraźnie, nadal ze szczoteczką do zębów w ustach.

Mężczyzna i kobieta wyszli. Chwilę później Daniel usłyszał, jak pukają do drzwi sąsiedniego domku.

Zamknął oczy. Myśli kłębiły mu się w głowie. Przypominał sobie wszystko, co przeżył w ciągu tego długiego i niezwykłego dnia. Fragmenty wydarzeń przelatywały mu przed oczami: głosy, zapachy, obrazy, drobiazgi, które odnotował nawet o tym nie wiedząc.

W jego krainie na granicy jawy i snu pojawiło się wspomnienie, ostre i wyraźne w każdym szczególe. Nagle przypomniał sobie umundurowanych mężczyzn, którzy zatrzymali ich do kontroli przed szlabanem. Widział ich twarze pod daszkami czapek. I wykrywacz metalu. I pustą, wijącą się w cieniu doliny drogę. Nagą skalną ścianę ze spływającymi po niej strużkami wody i zapach wilgotnych kamieni. Na chwilę jego mózg znów się obudził, poczuł dziwny niepokój.

A potem zapadł w głęboki sen. Jego sny, jak można się było spodziewać, były chaotyczne, niejasne. Tylko jeden z nich pozostał mu w pamięci: obraz Corinne w gorsecie. Stała na pustej drodze obok skalnej ściany i zatrzymała go, dzwoniąc dzwoneczkiem. Zahamował – bo to on prowadził, w jego śnie nie było kierowcy – zatrzymał się, wysiadł z samochodu i wyszedł na drogę.

Corinne potrząsnęła dzwoneczkiem, jego dźwięk odbił się echem od skalnej ściany. Podeszła do niego i śmiejąc się, przeciągnęła delikatnie dzwoneczkiem po

jego ciele, najpierw z tyłu, potem z przodu.

Kiedy zbliżyła dzwoneczek do jego piersi, spoważniała. Jakby coś odkryła. Powoli przysuwała dzwoneczek coraz bliżej. Miał nagi tors, przycisnęła dzwoneczek do jego skóry, dokładnie w miejscu, gdzie było jego serce. Na jej twarzy pojawiło się skupienie, oczy zamieniły się w wąskie szparki, zdawała się czegoś nasłuchiwać, a może próbowała wyczuć jakieś wibracje?

Wiedział, co odkryła. Też to słyszał: jego serce biło jak oszalałe, szybko i mocno, jakby miało rozerwać mu pierś.

Odkryła moją tajemnicę! Wszystko przepadło – pomyślał, jakby jego serce było pasażerem na gapę i teraz jego tajemnica wyszła na jaw.

W jego śnie kobieta nie miała na imię Corinne, tylko Corinte. Był tego pewien, chociaż żadne z nich nie odezwało się nawet słowem. To miało coś wspólnego z jej oczami.

Pierwsze, co poczuł, kiedy się rano obudził, to zapach smażonego boczku. Kiedy otworzył oczy, cały domek był rozświetlony słońcem. Max stał przy kuchence.

Daniel zmrużył oczy i spojrzął na zegarek. Zdziwiony zobaczył, że jest dwadzieścia po dziewiątej. Zwykle budził się za kwadrans siódma, codziennie, sam z siebie. Nie potrzebował budzika. Niewiarygodne, że spał tak długo mimo słońca w pokoju i odgłosów dochodzących z kącika kuchennego.

– Za pięć minut jest śniadanie – oznajmił Max.

Rozległo się brzęczenie sztućców i stukot talerzy. Max z hałasem zamknął drzwiczki szafki.

Daniel wstał i poszedł do łazienki, wziął szybki prysznic, po czym usiadł przy stoliku. Max był już w trakcie śniadania. Przez okno widać było dolinę z leżącą w cieniu stromą skalną ścianą na południu.

– Na sen nie możesz narzekać – powiedział Max, nalewając mu kawy do filiżanki. – Ale dobrze, że wypocząłeś, bo czeka nas dzisiaj wyprawa. Pojedziemy w góry, w moje ulubione miejsce nad potokiem, gdzie będziemy wędkować.

– Pojedziemy?

– Tak, rowerami. Wszystko załatwiłem, kiedy ty sobie smacznie spałeś. Zamówiłem też prowiant na drogę. Mógłbym sam coś nam przygotować, ale mam pustki w lodówce, a szkoda mi było czasu na zakupy. Przygotują nam coś w kuchni, a my, jadąc, to odbierzemy.

Daniel nie przypominał sobie, żeby wcześniej była mowa o jakiejś wycieczce rowerowej.

– Wiesz, że dzisiaj ruszam z powrotem. Mówiłem ci – przypomniał bratu. Żeby nie być niegrzecznym, dodał zaraz: – Spędziliśmy wczoraj bardzo miły wieczór. Kolacja była wyśmienita. Gospoda też mi się podobała. Tylko krępowało mnie, że za mnie zapłaciłeś.

Brat machnął ręką lekceważąco.

– Mam wrażenie, że mieliśmy za mało czasu. Nie zobaczyłeś nawet połowy tego, co tu warto zobaczyć. Łowiłeś kiedykolwiek pstrągi?

– Nie.

– To nie wiesz, co straciłeś. To fascynujące zajęcie. Wymaga całkowitego

skupienia. Powinieneś spróbować. Wynajęłam wędkę i rowery. Poczuję się zawiedziony, jeśli mi odmówisz.

Daniel poddał się.

– Dobrze. Skoro wszystko już załatwiłeś, to jeźdźmy.

Przed domkiem stały dwa rowery górskie z torbami po bokach. Do każdego przytwierdzony był podłużny futerał, zapewne z wędką, pomyślał Daniel.

Wzięli rowery, podeszli z nimi do głównego budynku. Max wszedł do kuchni, po chwili wyszedł, niosąc dwa plastikowe pojemniki i piwo. Włożył wszystko do toreb, przymocowanych do rowerowego bagażnika i ruszyli przed siebie. Zjechali ze zbocza, skręcili w wąską ścieżkę, prowadzącą malowniczo nad miasteczkiem.

Minęli zabudowania i ukazała się przed nimi dolina w pełnej krasie. Zieleń była tak intensywna, że wydała się Danielowi wręcz nierzeczywista. Jakby znalazł się w środku jakiejś gry komputerowej.

Prędkość, z jaką jechał, też wydała mu się nierzeczywista. Naprawdę potrafił tak szybko jeździć? Jakby się z kimś ścigał. To pewnie zasługa roweru, miał świetne przerzutki, niemal sam jechał, pokonując każdy opór. Frunął.

Może to miało też coś wspólnego z powietrzem? Wszystko dookoła było niezwykle wyraźne, widać było każdy szczegół, nawet z daleka widział małe kwiatki.

Jechali wąską polodowcową doliną. Po jednej stronie wznosiły się trawiaste zbocza, wyżej ciągnęły się lasy, a nad nimi skały, strome i zimne. Miejscami zbocza pokryte były drobnymi kamyczkami, jakby gruzem czy żwirkiem.

Po drugiej stronie doliny skały wznosiły się pionowo od samego skraju drogi, niczym skalny mur. Daniel zauważył jadącą drogą niewielką furgonetkę. Przypomniawszy sobie, że poprzedniego dnia też tędy jechał. Zwrócił wtedy uwagę na pokrytą mchem skałę i zsuwające się gdzieś kamienie.

Max jechał przed nim, nachylony nad kierownicą jak zawodowy kolarz. Od czasu do czasu odwracał się do niego i uśmiechał szeroko. Miał ładny uśmiech, zdrowe, białe zęby i wyraźnie zarysowane szczęki, bardzo męskie. Daniel uznał, że brat jest przystojny. Nagle uświadomił sobie, że w takim razie on chyba też. Jako brat bliźniak, i to jednojajowy, miał niezwykle przywilej: mógł oglądać siebie ze wszystkich stron. Z tyłu, z profilu, w ruchu, podczas jazdy na rowerze. To coś całkowicie innego niż oglądanie siebie – czy raczej swojego odbicia – w lustrze.

A więc tak wyglądam bez brody – pomyślał i nagle postanowił, że jak tylko wróci do domu, natychmiast ją zgoli. Przypomniawszy sobie słowa jednej z koleżanek, która twierdziła, że zarost dodaje mu co najmniej dziesięć lat.

Broda miała jednak swoją historię. Daniel zaczął ją zapuszczać, kiedy miał

dziewiętnaście lat. Nadal doskonale pamiętał, dlaczego się na to zdecydował.

Pojechał do Londynu odwiedzić Maxa, który w Camden wynajmował mieszkanie z drugiej ręki. Brat przyjął go bardzo wylewnie i od razu zabrał na miasto.

Na jakimś ulicznym straganie Daniel kupił dość prowokacyjny T-shirt i ledwie zdążył za niego zapłacić, gdy Max kupił dokładnie taki sam. I natychmiast włożył go na siebie. Daniel nie był tym zachwycony, ale Max położył rękę na jego ramionach i ruszyli przed siebie. Kiedy ludzie pokazywali ich sobie palcami, Max tylko się śmiał. Daniel natomiast czuł się skrępowany, jakby ich podobieństwo było rodzajem kalectwa.

Dotarli do ulicy pełnej pubów i barów. Daniel chciał wejść do jednego z nich, lokal był kameralny i przyjemny, ale Max zaciągnął go do dużego pubu, gdzie było gwarno i szaro od dymu, na wielkich ekranach goście oglądali mecz piłki nożnej.

Tłocząc się przy barze razem z Maxem i jego przyjaciółmi, Daniel zauważył nagle dziewczynę, która siedziała sama przy stoliku i coś jadła. Miała jasnoblond włosy, była szczupła i niemal przezroczysta, jakby zrobiona z mlecznego szkła. Zwrócił uwagę na jej ruchy, na sposób, w jaki trzymała widelec, w jaki patrzyła przed siebie, nie zaczepiając o nic wzroku. Była w niej stanowczość i zdecydowanie, graniczące wręcz z agresją.

Max natychmiast zauważył zainteresowanie Daniela.

– Założę się, że to Szwedka – wyszeptał mu do ucha.

W lokalu było głośno, grały telewizory, publiczność dopingowała zawodników, głośno komentując grę. Ledwie się słyszeli.

– Tu jest dużo Szwedów. Rzucają się w oczy. Poza tym jeszcze o jedno mogę się założyć – powiedział Max.

Nachylił się do niego tak, że siedzieli, niemal dotykając się nosami. Wzrok Maxa był lekko zamglony, na czole brata pojawiły się krople potu. Daniel poczuł, że pachnie mu nieprzyjemnie z ust.

– Założę się, że jest dziewicą – powiedział Max.

Po jakimś czasie brat chciał już iść dalej, ale Daniel postanowił zostać.

– Idźcie – powiedział do brata. – Ja tu jeszcze zostanę.

Kiedy Max i jego koledzy wyszli, podszedł do stolika, przy którym siedziała dziewczyna i spytał, czy może się dosiąść. Dziewczyna jadła rybę z frytkami, nie wyglądało to apetycznie, ale wygląd dania najwyraźniej jej nie zrażał.

– Smakuje ci? – spytał Daniel po szwedzku.

– *O yes, I really...* – zaczęła dziewczyna i nagle urwała. – Jesteś Szwedem! – krzyknęła zdziwiona. – Nie, prawdę mówiąc, to dość okropne, ale postanowiłam

spróbować.

Pracowała jako au pair u rodziny z trójką dzieci. Wiosną zdała maturę z przedmiotów matematyczno-przyrodniczych. Chciała studiować chemię, ale najpierw postanowiła zwiedzić kawałek świata. W Londynie czuła się fatalnie, tęskniła za domem. Jeden dzień w tygodniu miała wolny, ale nie знаła tu nikogo i nie bardzo wiedziała, dokąd iść. Ku swojemu przerażeniu odkryła, że bardzo słabo zna angielski. W liceum miała świetne oceny, ale okazało się, że w Londynie ludzie wcale nie mówią tak jak w angielskich serialach telewizyjnych. Niemal ich nie rozumiała.

Daniel spytał, dlaczego nie wraca do domu, skoro tak bardzo tęskni. Wyprostowała się, podniosła głowę i oświadczyła, że nie zamierza się poddawać. Nigdy się nie poddawała. Była jedynym dzieckiem swoich rodziców, którzy byli z niej bardzo dumni.

– Trudno jest być jedynaczką – powiedziała. – Żałuję, że nie mam brata albo siostry. A ty masz rodzeństwo?

– Nie – odparł Daniel.

Nie bardzo wiedział, dlaczego tak powiedział, ale nie chciał wspominać o bracie bliźniaku. To zawsze zwracało uwagę.

– Więc wiesz, jak to jest – stwierdziła dziewczyna.

Rozmawiali z sobą pewnie ze dwie godziny. Zwierzyła mu się, że od miesięcy z nikim tak długo nie rozmawiała. Była bardzo samotna. Nie miała chłopaka, żadnych przyjaciółek.

Miała w sobie coś szczególnego. Jakąś delikatność, ale jednocześnie też i siłę. Była dziewczyną ze szkła i ze stali, pomyślał Daniel. Miała bardzo jasne rzęsy, większość dziewcząt pewnie nałożyłaby na nie tusz, ale ona nie miała żadnego makijażu. Kiedy się denerwowała, jej jasna twarz robiła się czerwona, źrenice się rozszerzały i ciemniały, ta czerń nieco go przerażała, ale była też bardzo kusząca.

Ku własnemu zdziwieniu Daniel odkrył, że jest zakochany. Było to dla niego nowe uczucie. Bolesne i cudowne. Czuł wielki szacunek dla dziewczyny, ale i palące pożądanie.

Wypił dużo piwa. W pewnym momencie musiał przeprosić dziewczynę i pójść do toalety, zyskując w ten sposób chwilę, żeby się zastanowić nad tym, co się wydarzyło. Jak powinien się zachować? Poprosić ją o numer telefonu? Napisać do niej po powrocie do Szwecji? A może przeniesie się do Londynu? Rozpocznie studia na jakimś angielskim uniwersytecie, znajdzie pracę, jakąkolwiek, nawet w knajpie. Myśli kłębiły mu się w głowie. Kolejka do toalety była długa, zaczął się niepokoić. A jeśli dziewczyna pomyśli, że zostawił ją i uciekł? Może nie będzie chciała na niego

czekać i wróci do domu?

Kiedy w końcu wyszedł z toalety i ruszył z powrotem do stolika, zobaczył, że jego miejsce jest zajęte. Na krześle przy stoliku siedział Max i rozmawiał z dziewczyną. Najwyraźniej odłączył od swoich przyjaciół i wrócił tu po niego. Pewnie stał i ukrywał się w tłumie, obserwując ich uważnie. A kiedy Daniel poszedł do toalety, skorzystał z okazji.

Dziewczyna była całkowicie pochłonięta rozmową, śmiała się głośno. Daniel niemal jej nie poznał, nagle wydała mu się o wiele ładniejsza. Uświadomił sobie, że kiedy wcześniej z sobą rozmawiali, dziewczyna w ogóle się nie śmiała. Ani razu w trakcie ich długiej rozmowy. Max najwyraźniej mówił jej coś miłego, bo jej szczupła, blada twarz promieniała.

Po chwili oboje, śmiejąc się, wstali od stolika i opuścili lokal, nawet nie zerkając w stronę Daniela.

Z bijącym sercem, z uczuciem upokorzenia, ale i złości, Daniel zamówił kolejne piwo, wypił je, a potem poszedł do kolejnego pubu, tego, do którego chciał iść za pierwszym razem, bo sprawił na nim miłe wrażenie.

Przy drzwiach zatrzymał go ochroniarz. Spojrzał na niego chłodno.

– Nie licz, że po tym, co ostatnio zrobiłeś, będziesz jeszcze kiedyś mógł tu wejść – powiedział.

Daniel spojrział na niego zdziwiony i poszedł dalej. Do kolejnego pubu wszedł bez problemu. Upił się niemal do nieprzytomności. Po kilku godzinach wrócił taksówką do mieszkania Maxa. Zadzwoił do drzwi, ale nikt mu nie otworzył. Spędził noc na ławce w parku.

Następnego dnia Max otworzył mu drzwi z szerokim uśmiechem na ustach.

– Miałem rację – oznajmił mu triumfująco. – Dziewczyna jest Szwedką. I dziewczyną.

Daniel wziął prysznic, wytarł się, a potem sięgnął po maszynkę do golenia. Nagle jednak zmienił zdanie, szybkim ruchem starł piankę z brody. Postanowił się nie golić. Zapuści brodę. Nie chciał, żeby kiedykolwiek w przyszłości znów ktoś pomylił go z bratem.

To tutaj - oświadczył Max zdyszany. - To moje ulubione miejsce.

Pokazał wędką na potok i zaczął iść między kamieniami. Woda płynęła tu spokojnie, tworząc niewielkie rozlewisko. Potem jednak potok przyspieszał bieg, kaskady rwącej wody spływały w dół.

- Za kamieniem jest niewielkie zagłębienie, tam przyplływają. Czasem stoją w wodzie niemal nieruchomo, pięć, sześć sztuk. Można wyjmować je rękami. Tobie pierwszemu pokazuję to miejsce.

Kolejne dwie godziny spędzili wędkując. Danielowi brakowało doświadczenia, ale szybko się uczył i już koło południa zarzucał wędkę niemal równie sprawnie jak brat. Nie wiedział, że Max interesuje się wędkarstwem. Pewnie zdecydował element hazardu, pomyślał.

- Przyjeżdża tu dużo turystów? - spytał brata, kiedy znaleźli płaski kamień, na którym rozłożyli się z przywiezionym z sobą jedzeniem.

- Turystów? Tu do Rajskej Doliny? - spytał Max. Podał Danielowi kanapkę z szynką i roześmiał się, jakby brat powiedział coś bardzo zabawnego.

- Jest tu bardzo ładnie - dodał Daniel.

- Nie dość - wszedł mu w słowo Max. - Dolina jest wąska i cienista, zbocza zbyt strome, trudno się po nich wędruje, na nartach też niełatwo tu jeździć. Nie, tutaj nie przyjeżdża się po to, żeby coś zobaczyć, raczej po to, by samemu stać się niewidzialnym.

Max otworzył butelkę piwa, przytrzymał kapsel, żeby piana nie wypłynęła.

- Ta dolina pełni funkcję kryjówki.

- Kryjówki?

Max wypił łyk piwa z butelki. Siedział teraz, trzymając ją w ręku. Spojrzał na potok i powiedział:

- To miejsce funkcjonowało jako kryjówka już w średniowieczu. Kiedyś był tu klasztor, gdzie trędowaci znajdowali schronienie. Dokładnie w miejscu, gdzie dzisiaj jest klinika. Klasztoru już dawno nie ma, ale pozostał stary cmentarz na zboczu. Grzebano na nim tylko trędowatych, nikogo innego. Nawet po śmierci ich odtrącano. Jako nieczystych.

Max wziął do ręki szyszkę i gwałtownym ruchem wrzucił do potoku, gdzie natychmiast pochwycił ją prąd i zaczął nią obracać.

– Okropna choroba – przytaknął Daniel. – Domyślam się, że kiedyś pewnie było tu też sanatorium. W Alpach jest pełno takich starych sanatoriów, które w pewnym momencie zamieniono na hotele i prywatne kliniki.

Max prychnął.

– To nie do końca tak. Gruźlicy to inna kategoria chorych. Oni nie przyjeżdżali do Rajskiej Doliny. To zbyt niedostępne rejony. Kolej tu nie dochodziła, a droga jezdną została zbudowana dopiero w połowie XX wieku, gdzieś w latach pięćdziesiątych.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – spytał Daniel, wyraźnie pod wrażeniem.

– Kiedy tu przyjechałem, wręczono mi broszurkę z informacjami o dolinie. W XIX wieku klasztor został zamieniony na zakład, w którym opiekowano się ludźmi ułomnymi, chorymi umysłowo, kalekami. Ludźmi, których społeczeństwo najchętniej by gdzieś ukryło i zapomniało o ich istnieniu. Personel zakładu mieszkał w miasteczku albo w samym zakładzie, to był specyficzny zamknięty świat. W pewnym momencie wszystko spłonęło. W pożarze zginęło wielu pacjentów. Podobno jeden z chorych podłożył ogień.

Zapadło milczenie. Max wypił kolejny łyk piwa. Daniel próbował wyobrazić sobie straszne sceny, których to miejsce kiedyś było świadkiem.

– Potem zdaje się była tu też klinika chirurgii plastycznej – odezwał się po dłuższej chwili. – Kierowca mi o tym opowiadał.

– To prawda. Idealna kryjówka dla osób po zabiegach plastycznych. Co za miejsce. Przez wieki służyło jako azyl dla wszelkiej maści nieszczęśników. Czasem odnoszę wrażenie, że to nadal się wyczuwa, tam w klinice. Jakieś złe wibracje. Dlatego staram się jak najmniej tam przebywać. Jadę do miasteczka albo tu, nad potok.

Z wody wyskoczyła ryba. Lśniła w słońcu, jakby ktoś rzucił nożem. Przeleciała łukiem nad wodą i zniknęła w spienionej toni.

– Co za siła! – wykrzyknął Daniel zachwycony.

Max roześmiał się gorzko.

– Nie uciekną daleko. Nieco niżej jest specjalna krata. Dlatego to takie dobre miejsce do wędkowania.

Wstał i sięgnął po wędkę. Wszedł do potoku, zostawiając brata. Daniel był już w stanie radzić sobie sam. Stali więc jakieś dwadzieścia metrów od siebie i wędkowali w milczeniu. Od czasu do czasu wymieniali krótkie uwagi, gratulując sobie kolejnych okazów. Na ogół jednak byli pogrążeni we własnych myślach. W powietrzu unosił się zapach sosnowego lasu, słychać było szum potoku. Od czasu do czasu Daniel miał wrażenie, że słyszy dźwięk dzwonek. Podobnych do tych, którymi akompaniowała sobie dziewczyna podczas występów w gospodzie.

Bracia byli już z sobą blisko dobę. Wszystko wydawało się dobrze układać. Żadnych kłótni, wybuchów gniewu, złośliwych uwag czy głupich żartów. Max sprawiał wrażenie pogodnego, wręcz radosnego. Chwilami dawało się wyczuć lekkie zdenerwowanie, ale to było u niego normalne.

Daniel uświadomił sobie, że z wiekiem stał się bardziej tolerancyjny wobec brata. Nie raził go jego dość bezpośredni sposób bycia, jego skupienie na sobie i niezważanie na innych. Kiedyś miał mu to za złe, teraz już nie. Max był wyraźnie zadowolony z jego wizyty. Zaprosił go na kolację, a teraz zabrał z sobą na ryby. Daniel doceniał jego starania. Może w końcu uda im się nawiązać nic porozumienia, może będą mogli kontaktować się z sobą jak dorośli, dojrzały ludzie.

Monotonny szum potoku, szept poruszanych wiatrem gałęzi i odgłos dzwonek w oddali sprawiły, że Daniel oddał się medytacjom. Nie zauważył, że Max zszedł z kamienia na brzeg i zaczął czyścić złowione ryby. Ocknął się dopiero, kiedy brat zawołał go i poprosił, żeby przyniósł drewno na ognisko.

Leżało w specjalnym szałasie, przykryte brezentem, mającym chronić je przed deszczem. Na boku sporego stosu ktoś wypisał jaskraworóżową farbą litery T O M.

– Ktoś je oznakował. Może nie powinniśmy go brać? – zawołał Daniel do brata.

– Nie przejmuj się. Znam faceta, który jest jego właścicielem – odpowiedział Max znad potoku.

Daniel doszedł do wniosku, że brat najwyraźniej zdążył pozawierać tu sporo nowych przyjaźni.

Chwilę potem siedzieli już przy niewielkim ognisku, czekając aż ogień na dobre się rozpali.

– Chciałbym cię o coś poprosić – odezwał się nagle Max.

Powiedział to lekkim, spokojnym tonem, jakby chodziło o podanie kawałka drewna, ale jego słowa trafiły Daniela niczym pięść między oczy. Poczul, że uchodzi z niego powietrze. Wziął głęboki wdech.

– Tak? – spytał lekko spięty.

Max poruszył patykiem żar w ognisku, milczał chwilę w skupieniu.

– Mam kłopoty – powiedział w końcu krótko.

– Jakie?

– Jestem tu już od jakiegoś czasu i okazało się, że koszty pobytu przeszły moje wstępne szacunki. Instruktor, lekcje tenisa, terapia, masaże, jedzenie, napoje. Tu nie mówi się o pieniądzach, ale rachunek rośnie. W pewnym momencie ma się wrażenie, że wszystko jest za darmo, ale pod koniec przychodzi słono za wszystko zapłacić.

– Nie stać cię na opłacenie rachunku. To usiłujesz mi powiedzieć?

– Podczas ostatniego wieczornego patrolu jedna z opiekunek wręczyła mi jasnoniebieską kopertę. Dyskretnie, z uśmiechem. Nie otworzyłem jej natychmiast. Zaczekałem aż kobieta wyjdzie. Niewiele brakowało, a byłbym zemdłą.

Daniel był wstrząśnięty. Uznał obowiązujące tu procedury za co najmniej dziwne, a w przypadku Maxa wręcz za niestosowne, ale opanował się.

– Jeśli liczyłeś, że cię stąd wykupię, to niestety nie jest to możliwe – odpowiedział najspokojniej, jak potrafił. – Uczę w szkole, ale nie jest to stała praca. Od jesieni będę prawdopodobnie bezrobotny. Mówiąc wprost, nie mam takich pieniędzy.

Max nadal ruszał patykiem w ognisku.

– Nie zamierzałem prosić cię o pieniądze – przerwał mu. – Pieniądze nie stanowią problemu.

Odpowiedź brata nie uspokoiła Daniela, wręcz przeciwnie.

– Na czym więc polega problem? – spytał.

– Na tym, że nie mam dostępu do moich pieniędzy. Nie mogę opuścić kliniki, nie zapłaciwszy za pobyt. A nie mogę tego zrobić, nie opuszczając kliniki. Codziennie wieczorem personel sprawdza, czy wszyscy są na swoich miejscach. Twierdzą, że robią to z troski o nas, a tak naprawdę chodzi o to, żeby nikt nie zniknął, nie zapłaciwszy rachunku.

– Dlaczego musisz opuścić klinikę? Nie możesz zrobić przelewu? Masz chyba dostęp do Internetu?

Max uśmiechnął się pobłaźliwie. Daniel zawsze był taki naiwny.

– Nie mam pieniędzy na koncie. Są w pewnym miejscu, z którego trzeba je przenieść w inne miejsce. Osobiście. Nie przez Internet. W gotówce. Jeśli chodzi o te sprawy, mafia jest dość konserwatywna.

– Co takiego? – zdziwił się Daniel. – Czy ja dobrze zrozumiałem: robisz interesy z mafią?

Max wzruszył ramionami. Z daleka dobiegł ich dźwięk dzwonek, krowy znów zmieniły pastwisko. Czasem dzwonienie było głośniejsze, czasem słabło.

– Staram się tego unikać. Niestety niekiedy bywam do tego zmuszony. To długa historia, nie chcę cię nią zamęczać. Najgorsze jest to, że muszę osobiście stawić się po pieniądze. Można powiedzieć, że chodzi o pewną inwestycję, która dopiero teraz zaczęła przynosić zysk. Jak zapewne się domyślasz, nie są to sprawy do końca zgodne z prawem.

Daniel właściwie nie był zdziwiony. Max już wcześniej bywał wmieszany w podobne historie. Zdarzało się, że ktoś go o coś oskarżał, miał za sobą kilka procesów. O ile jednak Daniel wiedział, zawsze chodziło o procesy cywilnoprawne. Max chyba nigdy nie był oskarżony o prawdziwe przestępstwo. Ale stuprocentowej

pewności nie miał.

– Wierz mi, że ostatni raz dałem się w coś takiego wciągnąć – powiedział stanowczo Max. – Nie cierpię drani. Są pozbawieni wszelkich zasad moralnych. Problem w tym, że jestem winien pieniądze jednemu z tych bandziorów.

– Mafii?

Daniel czuł się dziwnie, używając takich określeń w rozmowie z własnym bratem.

– Byłem zmuszony pożyczyć pieniądze na pewną inwestycję. Gdyby nie to, że cała sprawa nagle nieco się skomplikowała, byłbym już dawno wszystko oddał. Nie chcę cię wtajemniczać w szczegóły – dodał Max szybko, kiedy się zorientował, że Daniel najwyraźniej szykuje się do zadania mu kolejnego pytania. – Harowałem dzień i noc, żeby wszystko spłacić. Jeśli ma się takich wierzycieli, pilnuje się terminów. Prosiłem, żeby odroczyli spłatę, ale nie chcieli nawet ze mną rozmawiać. Więc uciekłem tutaj. Nie wiem, jak się o tym dowiedzieli, ale wkrótce po moim przyjeździe dostałem list od jednego z nich. Wyznaczył mi nowy termin na zwrot długu. Kolejny termin, kolejna groźba.

– Naprawdę ci grozili? – spytał Daniel przerażony.

Max pokręcił głową.

– Nie mnie. Giuletacie. W kilku słowach dali mi do zrozumienia, że wiedzą, że jest moją narzeczoną. Wiedzą o niej wszystko, nawet o której godzinie chodzi na targ. Napisał mi, że mają nadzieję, że nie przytrafi się jej nic złego.

– Boże drogi.

– A teraz niedawno dowiedziałem się, że moja inwestycja przyniosła spodziewane zyski. Chociaż nieco później niż się tego spodziewałem. Mogę więc bez problemu spłacić dług, tylko muszę osobiście stawić się po odbiór pieniędzy. A tego nie mogę zrobić, bo jestem uwięziony tutaj. Rozumiesz teraz na czym polega mój problem?

Daniel zaczynał się domyślać, o co Max zamierza go poprosić.

– Nie pojedę i nie odbiorę tych pieniędzy za ciebie, Max – zaczął się tłumaczyć. – Chętnie bym ci pomógł, ale nie zamierzam wdawać się w tego typu podejrzane interesy. To jest granica, której nigdy nie przekroczę.

Max spojrzał na niego zdziwiony, w końcu wybuchnął gromkim śmiechem.

– Ależ nie, do głowy mi nie przyszło prosić cię o coś takiego. Nie poradziłbyś sobie. Kontakty z mafią to sztuka sama w sobie.

Ku własnemu zdziwieniu Daniel poczuł się urażony. Gdzieś w głębi duszy zaczynał się już zastanawiać, czy może jednak powinien dać się bratu uprosić i może w ten sposób samemu przeżyć coś nowego.

– Mówiłeś, że chcesz prosić mnie o przysługę. Więc co mam dla ciebie zrobić?

– Właściwie nic wielkiego. To, co robiłeś wczoraj, to, co robisz dzisiaj. Chcę, żebyś wybrał się na piwo do gospody Hannelore. Pojechał na rowerze na ryby. Wybrał się na wędrowną w góry. Zrobił sobie wakacje, tak jak to planowałeś. Tyle że nie będziesz musiał za nic płacić.

– Nie rozumiem.

– Nie? Chcę cię prosić, żebyś został tu, podczas gdy ja pojedę załatwić moje sprawy. Nie będzie mnie trzy, góra cztery dni, a ty mnie tu zastąpisz.

Max spojrział bratu w oczy.

– Wyjadę stąd jako ty – powiedział. – Jako Daniel. A ty zostaniesz tu. Jako Max. Jesteśmy bliźniakami. Zapomniałeś o tym?

Daniel westchnął, przewrócił oczami.

– W dzieciństwie czasem zamienialiśmy się rolami. A kiedyś w Londynie poderwałeś mi dziewczynę, pamiętasz? Ale to było dawno. Nie jesteśmy już tak bardzo do siebie podobni. Nikt nie zwrócił uwagi na nasze podobieństwo, ani w klinice, ani w gospodzie. Nikt się nam szczególnie nie przyglądał, nikt niczego nie komentował. Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek nawet uniósł brwi zdziwiony, mówiąc: „Jesteście bliźniętami? Zabawne”.

Max się roześmiał.

– Jak ludzie mają się tego domyślić, skoro większą część twarzy ukrywasz pod brodą? – powiedział.

Nachylił się w stronę brata i wykonał gest, jakby chciał pociągnąć go za brodę.

Daniel instynktownie odchylił się do tyłu, przyłożył dłoń do policzka w ochronnym geście.

– To dlatego zapuściłeś tę brodę, prawda? Żeby się ode mnie odróżnić. Chciałeś mieć własną twarz. I chyba rzeczywiście ci się udało. Tylko że pod tym futerkiem wyglądasz dokładnie tak samo jak ja. Wystarczy, że ją zgolisz i znów będziemy identyczni.

– Jasne. Ja zgolę brodę i będę wyglądał jak ty, a ty w ciągu jednej nocy zapuścisz brodę i będziesz wyglądał jak ja – ironizował Daniel. – Zapuszczenie takiej brody zajmie ci kilka miesięcy.

– Prawdziwej tak.

Daniel prychnął.

– Zamierzasz przykleić sobie sztuczną? Wtedy rzeczywiście będziesz wyglądał jak krety. Przykleisz sobie brodę, jeśli w ogóle uda ci się taką znaleźć, w co wątpię, i myślisz, że ludzie się nabiorą?

Max złożył starannie folię, w której były ości po rybach, oblizał dokładnie palce

i włożył folię do stojącej obok torby.

– Kto mówi o przyklejanej brodzie? – powiedział spokojnie. – W Rajskiej Dolinie stawia się na jakość. Wszystko, począwszy od papieru toaletowego, a na orientalnych dywanach w recepcji skończywszy, jest najlepszej jakości. Sztuczne brody także – stwierdził. – Skończyłeś? – spytał, patrząc na Daniela, który nadal trzymał w ręku folię z resztkami ryby.

Daniel skinął głową.

– Dlaczego w takiej klinice jak ta miałyby się znaleźć sztuczna broda?

– Mamy tu niewielki teatr – powiedział Max. Wziął od Daniela folię i zaczął ją składać, równie starannie jak swoją. – Mamy prawdziwą scenę, z widownią i niewielkimi łozami. Używa się jej podczas konferencji i odczytów, ale czasem dajemy też przedstawienia. Dla klientów kliniki jest to rodzaj terapii. Sam grałem kiedyś pilota Suna w *Dobrym człowieku z Seczuanu*. Dostałem duże brawa.

– Wyobrażam sobie – rzucił Daniel kwaśno. – Miałeś sztuczną brodę?

– Nie, ale właśnie przy tamtej okazji zorientowałem się, jak zasobna jest teatralna rekwizytornia. To naprawdę imponujące. Rekwizyty są zamawiane w Wielkiej Brytanii, w firmie, która dostarcza rzeczy do najbardziej znanych teatrów na świecie. Peruki i brody robi się z wełny szkockich owiec. Nazywa się to *crepe hair*. Dostarcza się je splecione w warkocze, w różnych odcieniach. Potem przykleja się je specjalnym klejem i przycina według potrzeby. Technika ta wymaga pewnych umiejętności, ale będąc członkiem zespołu teatralnego, mam klucz do magazynu, więc mogłem trochę poćwiczyć. Muszę ci powiedzieć, że nabrałem wprawy.

Max wskazał ręką na brodę Daniela.

– Mamy w magazynie bardzo podobny ciemnobrązowy, niemal czarny kolor. Bez problemu uda mi się odtworzyć twoją brodę.

Daniel chciał zaprotestować, ale Max nie dopuścił go do słowa.

– Wiem, że nie tylko broda nas różni. Także ruchy, ale obserwowałem cię uważnie i mam wrażenie, że będę potrafił cię naśladować. Zawsze cechowała cię pewna sztywność ruchów. To ci zostało, a nawet się wzmocniło. Zamiast odwrócić głowę, odwracasz się cały. Masz problemy ze stawami? Może powinieneś więcej ćwiczyć? Zauważyłem u ciebie też pewne charakterystyczne ruchy nadgarstków. Jakbyś odcinał się od tego, co mówisz. Dystansujesz się od własnych słów. Twoje ciało zamienia się wtedy w sztywny prostokąt.

Max powtórzył gesty brata. Zadowolony z udanej próby wstał i zaczął spacerować po skraju lasu, sztywny, wyprostowany. Gestykulował, udawał, że z kimś rozmawia.

– Tak, tak właśnie jest. Chyba to rozumiesz. Wszystko jest pod kontrolą. Pod

całkowitą kontrolą – mówił.

Nieco przestraszony uniósł ręce i dotknął policzków.

– Nie dotykaj mojej twarzy! Nie bij mnie! – krzyknął.

Daniel wzdrygnął się, jakby przeszedł go prąd. Max nieco przesadzał, ale musiał przyznać, że podobieństwo było uderzające. Poczuł się nieprzyjemnie.

Sam zawsze doskonale naśladował sposób mówienia innych, co było bardzo pomocne przy nauce języków. Teraz uświadomił sobie, że jego brat posiadał podobne zdolności, a może nawet był lepszy od niego. Bo Max naśladował nie tylko sposób mówienia, ale też mimikę, sposób patrzenia, poruszania się, gesty. Było to imponujące, ale też nieco przerażające. Poczuł ulgę, kiedy brat znów stał się sobą.

– I co o tym sądzisz? – spytał Max podniecony, depcząc nerwowo popiół w wygaszonym ognisku. – Coś pominąłem?

– Nie, chyba wszystko uwzględniłeś – powiedział Daniel krótko.

– Świetnie! Pochwała z ust eksperta! A teraz pora wracać do domu. Nauczyłeś się łowić pstrągi, poradzisz sobie przez te kilka dni.

– Nie wygłupiaj się. To się nie uda.

– Zobaczymy – stwierdził Max, mocując torbę na ramie roweru. – Zobaczymy.

Podczas jazdy przez dolinę Max nagle podjechał do Daniela, nachylił się nad nim i zdyszany zaczął go prosić:

– Wyświadcz mi tę przysługę. Zrób to dla mnie. Już nigdy o nic więcej cię nie poproszę. To kwestia życia i śmierci. Naprawdę. Nie żartuję. Proszę tylko, żebyś rano i wieczorem był w moim domku.

– Tylko? A co z leczeniem?

Max zwolnił.

– Gisela Obermann, moja lekarka, usiłuje namówić mnie na terapię, ale ja nie bardzo mam ochotę. Jeśli znów poruszy ten temat, po prostu odmów. Zwykle tak robię. Zresztą mam wrażenie, że już się poddała. Jeśli pacjent nie ma wewnętrznej motywacji, to terapia mija się z celem.

– A co z innymi pacjentami? Na pewno ich znasz. Jak mam się zachowywać w kontaktach z nimi? – powiedział Daniel i nagle uświadomił sobie, że jego pytanie mogło świadczyć o tym, że przyjął propozycję brata.

– Właściwie z nikim nie utrzymuję bliższych kontaktów. Od czasu do czasu zamieniamy parę słów, o pogodzie i takie tam. Poradzisz sobie. Pamiętaj też, że w klinice wszyscy mówią po angielsku. I pacjenci, i personel. Więc nie próbuj brylować swoim niemieckim czy francuskim.

– Ale przecież dla wielu niemiecki czy francuski to ich język ojczysty – przerwał mu Daniel.

– To środowisko międzynarodowe. Obowiązuje angielski. Inaczej ludzie mogą się poczuć urażeni. Będą mieli wrażenie, że się ich obgaduje.

Słońce zaszło już za górami, zostawiając dolinę w cieniu. Nad zboczem na północy, na granicy, gdzie zielone pasmo łąk przechodziło w kamienne gruzowisko, Daniel zauważył światła powoli jadącego samochodu. Najwyraźniej tam też prowadziła jakaś droga.

– Sam nie wiem, co robić, Max – powiedział. – Nie mógłbym pomóc ci w jakiś inny sposób?

Max pokręcił gwałtownie głową.

– To jedyny sposób. Jedyny.

Dotarli do miasteczka, skręcili w stronę kliniki. Kiedy dojechali na miejsce, zostawili rowery na tyłach głównego budynku.

– Jeśli będziesz chciał wynająć rower, wystarczy dać znać w recepcji. Podobnie z wódkami. Pokażę ci jeszcze bibliotekę. Jeśli dobrze pamiętam, sporo czytasz.

Ruszyli z boczem w stronę jednego z dwóch szklanych budynków.

– Możemy też zajrzeć do sali gimnastycznej – rzucił Max, wchodząc do pierwszego z nich.

Sala mieściła się na pierwszym piętrze. W dużym, niemal pustym pomieszczeniu, jakiś mężczyzna ćwiczył rzut piłką do kosza.

– Domyślam się, że nie grywasz w piłkę, ale obok jest siłownia. Może znajdziesz tam coś dla siebie?

Siłownia była jasna i świetnie wyposażona. Skomplikowane technicznie urządzenia i odgłosy spoconych ćwiczących tam mężczyzn przywodziły na myśl sceny z filmów science fiction.

– Tu jest wszystko, czego tylko można sobie zażyczyć – powiedział Max, ale jego słowa zagłuszył ryk mężczyzny. Daniel podskoczył przestraszony.

Mężczyzna tuż obok nich podniósł ciężką sztangę. Jego wytatuowane, umięśnione ręce drżały lekko, na ustach pojawił się grymas bólu.

– Obok jest szatnia, sauna i jacuzzi – ciągnął Max niezrażony. – A teraz pokażę ci bibliotekę.

Biblioteka znajdowała się w budynku obok, w którym były też mniejsze pomieszczenia do nauki i sala konferencyjna połączona z salką teatralną. Kiedy weszli do holu, Max zaproponował, żeby Daniel sam zwiedził bibliotekę, a on w tym czasie załatwi swoje sprawy.

– Nie musisz wyrabiać karty. Wystarczy, że podasz swoje imię i nazwisko. To znaczy moje imię – poprawił się. Poklepał brata po ramieniu i odszedł.

Daniel kręcił się nieco bez celu po obszernym pomieszczeniu. Biblioteka wydawała się znakomicie wyposażona. Dział czasopism robił wrażenie, były tu publikacje z wielu dziedzin i w wielu różnych językach. Zaczął je kartkować, odłożył, podszedł do półek z książkami. Przez duże okna widział park, gdzie włączono już latarnie.

Po kwadransie wrócił Max.

– Robi wrażenie, prawda? Znajdziesz tu nawet książki po szwedzku i szwedzką prasę.

Wyszli na zewnątrz. Przeszli obok basenu i kortów tenisowych, pustych o tej porze dnia.

– Niezły obiekt wypoczynkowy – rzucił Max. – Nie sądzisz, że wytrzymasz tu kilka dni?

– Nie o to chodzi – wymamrotał Daniel.

Wrócili do domku. Max włączył płytę ze współczesnym jazzem, nalał sobie i Danielowi whisky. Usiedli w fotelach, Max zaczął opowiadać o zespole, którego słuchali. Holendrzy, bardzo utalentowani. Płytę pożyczył od jednego z pacjentów.

– Myślałem, że nie utrzymujesz z nikim kontaktów – powiedział Daniel.

– To sporadyczne kontakty. Wymieniamy się książkami, płytami. Czasem zamienimy kilka słów. Zachowujemy dystans, co nie znaczy, że jesteśmy wobec siebie niegrzeczni. W końcu siedzimy w tej samej łodzi. Bliższe kontakty mnie nie interesują. Tak jest najlepiej.

Daniel pokiwał głową ze zrozumieniem. Wziął do ręki szklanekę, przechylił ją. Przyglądał się złocistemu napojowi.

– Skąd masz tę whisky?

– Kupiłem w miasteczku. Nie jakaś bardzo wyszukana, ale całkiem przyzwoicie smakuje, prawda?

Rozległo się pukanie do drzwi i zanim któryś z nich zdążył zareagować, do pokoju weszła jedna z opiekunek.

– Witam panów. Jak minął dzień?

– Bardzo przyjemnie. Zabrałem brata nad potok. Okazuje się, że ma wrodzony talent do wędkowania.

– Łowiliście ryby? Złapaliście coś?

Kobieta zatrzymała się przy drzwiach, nieco dalej stał towarzyszący jej mężczyzna. Nie wszedł do środka, skinął im tylko głową.

– Owszem, udało nam się złapać kilka sztuk, ale zjedliśmy je – powiedział Max. – Dla restauracji nic dzisiaj nie zostało – roześmiał się. – Mój brat okazał się fantastycznym wędkarzem. Chciałem go namówić, żeby został jeszcze kilka dni, wtedy restauracja miałaby zapewnione dostawy, ale on chce już wyjeżdżać.

– Źle się pan u nas czuje?

Kobieta zwróciła swoją twarz lalki w stronę Daniela. Uśmiechnęła się, jakby z lekką wyższością.

– To dość specyficzne miejsce, mam jednak nadzieję, że nie tak straszne, jak pan się spodziewał.

– Bardzo mi się tu podoba – odpowiedział Daniel, zresztą zgodnie z prawdą. – Jest tu... – zaczął, ale nie dokończył, bo kobieta zdążyła się już wycofać.

– Życzę panom dobrej nocy. – Usłyszeli.

Towarzyszący kobiecie mężczyzna też się pożegnał i po chwili oboje zniknęli.

– Jeszcze whisky? – spytał Max.

Nie czekając na odpowiedź, dolał bratu.

– Trochę, dziękuję.

Max nastawił głośniej muzykę.

– Uwielbiam ich – powiedział.

Siedzieli chwilę w milczeniu, wsłuchując się w dźwięki muzyki. Łagodne, kojące, melodyczne przejścia, bardzo oryginalne.

– Mówiłeś, że to Holendrzy? – spytał Daniel.

Max wstał, wziął do ręki pudełko po krążku i dość niepewnie odczytał nazwę zespołu. Potem siedzieli w milczeniu, słuchając muzyki i popijając whisky.

– Miły dzień, prawda? – odezwał się w końcu Max.

Daniel przytaknął.

– Trochę jak nasze urodziny sprzed lat.

– Owszem. Pierwszy akt – dodał Daniel.

Ich starannie zaaranżowane przyjęcia urodzinowe zwykle przebiegały według tego samego wzoru. Najpierw radość powitania, szalona zabawa, która najczęściej kończyła się kłótnią i łzami, a niekiedy też innymi przykrymi zdarzeniami, jak upadek z drzewa czy niecelny rzut piłką, która trafiała jednego z braci w głowę.

Max uśmiechnął się krzywo.

– Pamiętasz, jak zeskakiwaliśmy z huśtawek i sprawdzaliśmy który dalej skoczył?

– Tak, a raz, kiedy sprawdzałem, który był lepszy, huśtawka trafiła mnie w głowę. Straciłem przytomność i doznałem wstrząśnienia mózgu – powiedział Daniel.

– Na ogół jednak bardzo dobrze się bawiliśmy. Nie wiem, dlaczego nasze spotkania były takie rzadkie?

Max wstał, sięgnął do przepastnych kieszeni szortów, wyciągnął coś, co wyglądało jak zwinięty sznurek, i położył na stole.

Daniel nadal siedział zamyślony.

– Mam wrażenie, że wynikało to z jakiejś umowy, którą zawarli nasi rodzice. Mama i tata. Kiedyś, dawno temu.

– Miałeś szczęście, że zostałeś z mamą – powiedział Max.

Cały czas wyciągał z kieszeni jakieś rzeczy. W końcu przyniósł niewielkie lusterko i postawił je na stoliku, do którego przysunął lampę stojącą. Daniel przyglądał mu się zdziwiony, ale się nie odzywał.

– Chyba było ci dobrze z ojcem?

– Tak myślisz?

Max roześmiał się. Krótkie, pozbawione radości parsknięcie. Przesunął lampę, żeby dawała więcej światła.

– Ojciec cały czas pracował. Nie on mnie wychowywał, tylko Anna. A przecież

wiesz, że wszystkie macochy to czarownice – powiedział.

Rzucił szybkie spojrzenie na Daniela i roześmiał się satanicznie.

– To Anna nauczyła cię chodzić, mówić. Właściwie nauczyła cię wszystkiego – stwierdził Daniel.

– Chodzić i mówić dzieci uczą się same – sprostował Max.

– Ale poświęcała ci mnóstwo czasu. Pamiętam długie rozmowy, które prowadziła z matką przez telefon. Opowiadała o tym, jak się rozwijasz, jakie robisz postępy. Naprawdę bardzo się angażowała w twoje wychowanie.

Max usiadł przy stoliku. Przyglądał się swojej twarzy, poprawił lusterko.

– Angażowała się jak naukowiec angażuje się w doświadczalnego chomika. Bo ona przede wszystkim była naukowcem.

– Kiedy wychodziła za ojca, miała niemal gotową pracę doktorską z pedagogiki. Poświęciła swoją karierę, żeby zająć się tobą i domem – wtrącił znów Daniel.

– Z pedagogiki. No, proszę!

Max zaczął powoli rozwijać zwoje sznurka czy raczej rodzaj zrolowanego warkocza. Zaczął go delikatnie rozplatać.

– Wobec mnie stosowała tresurę. Interesowała się mną, dopóki robiłem to, co chciała. Kiedy zrobiłem coś nie tak, wtedy traktowała mnie jak powietrze. Nie odzywała się do mnie. Przygotowywała sobie posiłki i sama je jadła. A ja stałem z boku i patrzyłem. Jeśli w jakiś sposób próbowałem zwrócić na siebie jej uwagę, zamykała mnie w piwnicy. I nigdy nie mówiła, co zrobiłem nie tak. Musiałem sam na to wpaść.

Daniel patrzył na niego zdziwiony.

– Tata o tym wiedział?

Max wzruszył ramionami.

– Nigdy nie było go w domu.

W pokoju zaczął się rozchodzić ostry zapach. Max odkręcił nakrętkę niewielkiej buteleczki, wziął do ręki pędzelek i zaczął smarować brodę przezroczystym roztworem.

– Nigdy mu nie powiedziałaś, jak Anna cię traktuje? – zdziwił się Daniel.

Brat się roześmiał. Śmiech był nieco wymuszony, ponieważ mężczyzna miał wyciągniętą szyję i uniesioną do góry brodę. Po chwili przykleił do niej długie pasemko ciemnych włosów, wypił łyk whisky, odwrócił się i spojrzał na Daniela.

– Nie wiedziałem, że ona źle mnie traktuje. Byłem przekonany, że to ja postępuję nie tak, jak powinienem.

Dopił whisky. Z brody zwisały mu długie, ciemne pasma włosów, przypominające nieco trawę morską.

– Nie przejmuj się – powiedział, widząc krytyczny wzrok Daniela. – To dopiero początek.

Dodał kilka nowych pasemek i mówił dalej:

– Kiedy dorosłem, przestałem się nią przejmować. Miałem swoich kumpli. Radziłem sobie. Właściwie to nie wiem, czemu ci o tym wszystkim mówię. Może po to, żebyś mnie lepiej rozumiał. Musiałem walczyć o wiele rzeczy, które dla ciebie były całkowicie naturalne. Dolać ci whisky?

– Nie, dziękuję. Pójdę się położyć.

W drodze do łazienki posłał bratu rozbawione spojrzenie.

– Zamierzasz udawać trolla? Czy hipisa, który zaczyna tracić włosy?

Max zerwał się z krzesła i zanim Daniel zdążył zamknąć za sobą drzwi, wszedł za nim do łazienki. Wyjął z szafki golarkę i położył na umywalce.

– Proszę – rzekł. Wskazał dłonią na brodę brata i zanim ten zdążył zareagować, wyszedł z łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Daniel umył twarz i tors. Whisky wprowadziła go w stan błęgiego oszołomienia.

Zastanawiał się nad tym, co Max opowiedział mu o Annie Rupke. Czyżby to była prawda? Pamiętał ją jako zdrowo wyglądającą, nieco pulchną kobietę. Silną. Inteligentną. Skuteczną w działaniu.

Za drzwi łazienki dochodziły go dźwięki muzyki.

– Pamiętasz, co mi obiecałeś? – Usłyszał nagle głos brata.

Obiecał coś Maxowi?

Nagle zobaczył brata jako małego chłopca. Stał w drzwiach do kuchni i patrzył, jak Anna Rupke siedzi przy stole i coś je, sama.

Daniel skończył myć zęby i zaczął się przyglądać swojemu odbiciu w lustrze. Wypłukał usta, splunął.

– To się nie może udać – powiedział sam do siebie.

Wziął do ręki maszynkę do golenia, włączył.

– To się nie może udać – powtórzył i przeciągnął maszynką po policzkach.

Kiedy skończył, stał chwilę przed lustrem i przyglądał się swojej nagiej twarzy. Niewielkiemu wgłębieniu nad górną wargą, zarysowi szczęki. Temu, co przez tyle lat było ukryte. Patrzył na swoją bladą skórę.

Wyszedł z łazienki i podszedł do brata, który nadal siedział przy stoliku, pracując nad swoją brodą.

– Jeszcze nie skończyłem – wymamrotał Max. – To musi trochę potrwać. Zajmij się czymś. Przy moim łóżku leży książka. Jest naprawdę dobra.

Daniel podszedł do łóżka brata. Wziął do ręki amerykański kryminał. Usiadł w jednym z drewnianych foteli przy kominku i próbował czytać. Powoli intryga

zaczęła go wciągać, zapomniał o nękających go ponurych myślach i wtedy właśnie poczuł rękę Maxa na swoim ramieniu.

Podniósł głowę.

Na brodzie brata nie było już rzadkich kosmyków. Broda Maxa wyglądała tak samo jak przed chwilą broda Daniela. Była tej samej długości i tego samego koloru, gęsta, ciemnobrązowa, niemal czarna. Zakrywała większą część jego twarzy i wyglądała wręcz szokująco naturalnie. Widać było nawet pojedyncze rude kosmyki, które zwykle były niewidoczne, chyba że patrzyło się na nie pod pewnym kątem. Daniel był przekonany, że tylko on wiedział o ich istnieniu.

– I co? Udało mi się?

– Jestem pod wrażeniem.

– Mówiłem, że mają tu profesjonalne wyposażenie – powiedział Max. – Ale widzę, że i tobie się udało – dodał. – W końcu nie nawykłeś do golenia się. Żadnych poważniejszych urazów? – spytał.

Chwycił brodę Daniela kciukiem i palcem wskazującym i przekręcił najpierw w prawo, potem w lewo.

– Fantastycznie.

Potem przykucnął przed stojącym na stole niewielkim lusterkiem i zaczął się dokładnie przyglądać.

– Mam za krótkie włosy, ale w magazynie z rekwizytami nie ma porządnej peruki. Więc niech już tak zostanie. Włożę czapkę.

Max otworzył szufladę komody, znalazł wełnianą czapkę, włożył ją, naciągając na czoło i na uszy. Spojrzał w lustro. Wydawał się zadowolony.

– Wełniana czapka w środku lata? Nie sądzisz, że ktoś może się zdziwić?

– Nie, jeśli idzie się w góry. A ty mówiłeś, że chcesz wędrować. Na szczytach bywa chłodno, nawet w lipcu zdarzają się śnieżyce. Ja, idąc w góry, na pewno włożyłbym czapkę.

Daniel roześmiał się. Cała historia wydała mu się nagle absurdalna. Poza tym szumiało mu nieco w głowie i był bardzo zmęczony.

– Położę się – oświadczył. – Ale z tego... – Wskazał ręką na swoją twarz i na twarz Maxa. – Z tego nic nie będzie. Chociaż przyznaję, że to miłe uczucie pozbyć się brody. I miałeś rację. Bez niej jestem przystojniejszy.

– My jesteśmy – poprawił go Max. – Poza tym jeszcze nie skończyłeś.

Chwycił brata za czuprynę i zaciągnął z powrotem do łazienki.

– Trochę oszukiwałeś – stwierdził.

Wziął nożyczki i zaczął ciąć nimi w powietrzu.

– To konieczne? – usiłował protestować Daniel.

– Oczywiście.

Max zaczął strzyc Daniela. Najpierw nożyczkami, a potem maszynką, aż jego włosy stały się równie krótkie jak włosy Maxa.

– W porządku. Teraz mogę się już położyć? – spytał Daniel, kierując się w stronę ławy, na której spał. Spojrzał jeszcze raz na Maxa, z brodą i w wełnianej czapce, i wybuchnął śmiechem.

Położył się na ławie, zdjął okulary i odwrócił do ściany, kiedy usłyszał poważny głos Maxa.

– Zanim zaśniesz, chcę ci jeszcze coś pokazać.

Daniel westchnął i odwrócił się do brata.

Max zapalił lampę stojącą na podłodze tuż obok głowy Daniela, przykucnął przy ławie i pokazał mu zdjęcie.

– Przysłali mi to, żeby pokazać, jak działają – wyszeptał. Daniel miał wrażenie, że usta brata niemal muskają jego skroń. – Córka zdrajcy. Siedemnaście lat.

Daniel włożył okulary i zaczął się przyglądać zniekształconej twarzy dziewczyny. Miała podbite oczy. Spuchnięte, fioletowe powieki wyglądały jak przejrzałe śliwki. Dolna warga była pęknięta, policzki i czoło w szramach. Trudno było powiedzieć, jak wyglądała wcześniej, ale długie czarne włosy i wdzięczna sylwetka świadczyły raczej o dużej urodzie.

– Grożą, że tak postąpią z Giuliettą – wyszeptał Max.

– Mafia?

Brat skinął głową, przyłożył palec do warg i zniknął w swojej alkwie. Zdjęcie zabrał z sobą.

Następnego ranka Daniela obudziło pukanie do drzwi, które natychmiast się otworzyły. Usłyszał radosne szczebiotanie opiekunki.

– Dzień dobry. Jak się dzisiaj czujesz, Max?

– Pójdę obudzić brata – wymamrotał Daniel. – Zaraz się tu zjawi.

Nie do końca rozbudzony sięgnął po okulary, ale nie mógł ich znaleźć. Zrzucił z siebie koc, wstał i ruszył w stronę alkwii. Miał na sobie jedynie kalesony i trochę się krępował. Ale opiekunka tylko się uśmiechnęła i powstrzymała go gestem ręki.

– Twój brat już wyjechał. Opuścił klinikę o szóstej rano. Pewnie nie chciał cię budzić. Może miał jakiś plan? Muszę już iść. Mogę ci tylko przekazać, że pogoda jest cudowna. Na razie!

Drzwi zamknęły się, a po chwili rozległo się pukanie do sąsiedniego domku. I radośnie szczebioczący głos opiekunki: „Dzień dobry”.

Daniel podszedł do alkwii, odsunął kotarę i zobaczył starannie zasłane łóżko.

Otworzył drzwi do łazienki: była pusta.

Rozejrzał się za swoim ubraniem, które wieczorem położył na jednym z sosnowym foteli. Nie było go tam. Przeszukał cały pokój, ale niczego nie znalazł. Nie znalazł też butów, a co gorsza: zniknęły też jego okulary.

I walizka. I kosmetyczka z łazienki. Jego portfel, komórka i paszport. I zegarek, który leżał na stoliku obok ławy. Nawet jego szczoteczka do zębów zniknęła.

Na oparciu drugiego fotela wisały szorty Maxa, na poduszce na siedzeniu fotela leżała jego bluza. Obok drzwi stały drogie buty Maxa z cienkiej skóry.

Nagle dotarło do Daniela, że jedyne, co było jego, to kalesony, które miał na sobie. Mimowolnie dotknął je ręką, jakby chciał się upewnić, czy na pewno ma je na sobie.

Drugą dłonią, również mimowolnie, dotknął swojego gładko ogolonego policzka.

W jednej z dwóch szaf znalazł parę czystych spodni i T-shirt. Włożył je na siebie. Jasnobrązowe sportowe buty, stojące obok drzwi, były w rozmiarze czterdziestym drugim. Nosił taki sam. Włożył je.

Najbardziej oburzało go, że Max wziął jego okulary. Były jego częścią, bez nich świat był zamazany, niewyraźny, poza tym nie mógł czytać.

W łazience znalazł duże opakowanie soczewek jednodniowych. Jako dzieci bracia mieli taką samą wadę wzroku i to się najwyraźniej nie zmieniło, bo kiedy po półgodzinie bezowocnych prób w końcu udało mu się włożyć soczewki do oczu, okazało się, że widzi przez nie równie wyraźnie jak w okularach.

Natychmiast poczuł się nieco lepiej. Przez niewielkie okno spojrzął na leżące na zboczu zabudowania kliniki. Skalna ściana po jej drugiej stronie wznosiła się zaskakująco blisko. Pomyślał, że dolina musiała być w tym miejscu wyjątkowo wąska.

Miał tu spędzić trzy, może cztery dni. Pośpiech Maxa irytował go. Doszedł do wniosku, że brat pewnie się bał, że Daniel się rozmyśli. I słusznie. Wcale nie miał ochoty udawać Maxa. Zresztą nie przypominał sobie, żeby naprawdę się na to zgodził. Z drugiej strony jednak też nie powiedział wyraźnie „nie”. Był jednak pewien, że szalony plan Maxa nie ma żadnych szans. Że personel natychmiast coś zauważy i wyśmiejże sztuczną brodę brata i jego wełnianą czapkę.

Może powinien pójść do recepcji kliniki i wyjawić oszustwo Maxa? Wtedy zaczęto by go szukać i Max zostałby oskarżony o oszustwo. Może i Daniel poniósłby jakieś konsekwencje? Postanowił nic nie robić.

W końcu chodziło tylko o kilka dni. Miał własny domek, nie musiał się kontaktować z innymi pacjentami. A jeśli poczuje się samotny, zawsze może zejść do miasteczka na piwo w gospodzie Hannelore. Może nawet trafi na Corinne? Chętnie posłuchałby jej śpiewu, popatrzył, jak przewraca oczami i dzwoni dzwoneczkiem. Może powinien pójść tam, przekonać się, czy prawdziwa kobieta miała cokolwiek wspólnego z tą z jego marzeń? Nagle te kilka dni nie wydały mu się takie ciężkie do zniesienia. Jeśli tylko wieczorami będzie mógł się spotykać z Corinne, pomyślał.

Ale do wieczora było jeszcze daleko. Jak miał wypełnić sobie czas?

Zaczął od zjedzenia śniadania. W lodówce były jajka i kiełbasa. Kawa

rozpuszczalna. I żadnego chleba.

Zjadł śniadanie. Zrobiła się dziesiąta. Otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Było gorąco. Niedaleko domku siedział tęgi mężczyzna w trudnym do określenia wieku. Głowę oparł o ścianę domu, miał zamknięte oczy i na wpółotwarte usta. Obwisłe policzki przechodziły bezpośrednio w szerokie ramiona, jakby w ogóle nie miał szyi. Można było odnieść wrażenie, że mężczyzna śpi, ale w momencie, gdy Daniel zamierzał zamknąć drzwi, nagle się odezwał:

– Dzień dobry – powiedział.

Głos miał tak wysoki, że trudno było uwierzyć, że należy do kogoś tak potężnego. Nadal wyglądał jakby spał. Daniel rozejrzał się dookoła, ale w pobliżu nie było nikogo innego.

– Dzień dobry. Ładna pogoda. Bardzo ciepło – odpowiedział.

Mężczyzna nie zareagował.

Daniel nie wiedział, jakie relacje łączyły Maxa z sąsiadem, ale wyglądało na to, że raczej luźne. Powinien sobie poradzić. Nagle przypomniał sobie, że wczoraj przechodził z Maxem obok basenu. Szybko znalazł jakieś kąpielówki, wrzucił je razem z ręcznikiem do torby foliowej, wziął kryminał, który zaczął czytać poprzedniego wieczoru, i wyszedł. Poczł delikatny powiew powietrza na nagich, pozbawionych brody policzkach.

Zatrzymał się kawałek od basenu. Chciał sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Nie miał ochoty spotkać kogoś, kto znał Maxa, i być zmuszonym do odgrywania jakiejś roli.

Teren wokół basenu był wyłożony kamiennymi płytami. Na białych rozkładanych plastikowych leżakach siedziało kilka osób. Niektórzy przesunęli się w cień rosnącego obok drzewa.

Daniel zastanawiał się, dokąd tak naprawdę trafił. Max twierdził, że to klinika dla ludzi wypalonych zawodowo, oczywiście ludzi zamożnych. Rodzaj domu wypoczynkowego, gdzie finansowa elita mogła zregenerować siły, oddychając świeżym alpejskim powietrzem i delektując się smacznym jedzeniem.

Ale co pacjentom naprawdę dolegało? Rozejrzał się dookoła. Ludzie wokół basenu wyglądali całkowicie normalnie. Nie mieli tików, nie słyszał wybuchów złości czy ataków histerycznego śmiechu.

Dwóch mężczyzn grało w karty. Za stolik służył im podnózek. Pozostali opalali się. Rozległ się cichy plusk, ktoś postanowił zanurzyć się w basenie. Wczasowicze nad hotelowym basenem.

Daniel podszedł lekkim krokiem do basenu, skinął grzecznie głową siedzącym nad nim ludziom, wziął jeden z wolnych leżaków i przeniósł go na trawnik, do

cienia. Rozłożył leżak do odpowiadającej mu pozycji, położył na nim ręcznik, wyjął książkę i już miał usiąść, kiedy zauważył, że jest bacznie obserwowany. Siedzący wokół basenu ludzie – teraz dopiero zauważył, że wszyscy byli mężczyznami – zwrócili się w jego stronę i przyglądali się mu z zaciekawieniem.

Daniel nadal stał. Popełnił jakiś błąd? Zachowywał się inaczej niż Max? A może Max nigdy tu nie przychodził?

Opadł powoli na leżak, poprawił się, przyjął na wznak leżącą pozycję i zaczął czytać. Od czasu do czasu zerkał znad kartki. Siedzący w pobliżu ludzie nadal bacznie mu się przyglądali.

Mężczyźni, którzy jeszcze przed chwilą grali w karty, podnieśli się i – nie przerywając rozmowy – stanęli obok siebie. I nadal mu się przyglądali. Jeden z nich, ten szczupły, ubrany w zabawne, nieco zbyt obcisłe kąpielówki, opuścił grupę i ruszył w jego stronę. Stał obok jego leżaka i zaczął mu się przyglądać. Stał tak blisko, że Daniel widział kształt jego członka pod obcisłymi nylonowymi kąpielówkami i wystające żebra pod suchą, cienką, nieowłosioną skórą.

Odłożył książkę i spojrzał na niego z pytaniem w oczach. Mężczyzna milczał. Nie zauważył, że nie jest Maxem, pomyślał Daniel. Zaczął się zastanawiać, czy dalej ciągnąć grę, czy też pozwolić, żeby mężczyzna odkrył ich mistyfikację. Tak z pewnością byłoby najprościej.

– Wzięłeś niewłaściwy leżak – odezwał się mężczyzna.

Daniel spojrzał na leżaki, te stojące obok basenu i te w cieniu na trawie. Wyglądały dokładnie jak ten, na którym przed chwilą usiadł.

– Przepraszam – powiedział. – Miałem wrażenie, że nie jest zajęty – dodał.

Mężczyzna nie odpowiedział. Zaczął nerwowo pocierać ramię, jakby je masował.

– Mogę go odstawić – zaproponował Daniel uprzejmie.

Mężczyzna nadal milczał. Masowanie zamieniło się w lekkie poklepywanie ramienia i całej ręki. Jakby próbował się uspokoić. Jak uspokaja się przerażonego konia, pomyślał Daniel. Uznał, że mężczyzna to pewno jeden z wypalonych szefów jakiejś korporacji, o których wspominał mu Max.

Odniósł leżak na miejsce.

– Tak jest dobrze? – spytał.

Szczupły mężczyzna poklepywał się coraz bardziej intensywnie, teraz także na karku.

Jakiś inny mężczyzna wskazał ręką na kamienne płyty obok basenu. Jego ciało pokrywały gęste, stalowoszare włosy. Na palcu miał rzucający się w oczy sygnet z ciemnoczerwonym kamieniem.

– Tam! – powiedział.

Daniel spojrział w kierunku, w którym wskazał mężczyzna, ale nie zauważył niczego szczególnego.

Mężczyzna wykonał gest, jakby strząsał z dłoni okruchy, i ponownie wskazał palcem na kamienne płyty obok basenu.

Daniel odstawił leżak we wskazane miejsce. Szczupły mężczyzna przestał się poklepywać, pozostali odetchnęli z widoczną ulgą. Powrócono do przerwanych rozmów i do opalania, nie zwracając uwagi na Daniela.

Zmiana nastroju była tak wyraźna, że dopiero teraz Daniel zdał sobie sprawę z wcześniejszego napięcia. Jakby zagrażający wszystkim drapieżnik nagle się wycofał i życie powróciło do normy.

Daniel bał się sięgnąć po kolejny leżak, rozłożył więc ręcznik na leżącej w pobliżu kłodzie, usiadł i zaczął czytać książkę. Słońce grzało przyjemnie, był zadowolony, że pozbył się brody.

Po dłuższej chwili przy basenie pojawił się zgarbiony starszy mężczyzna w lnianym garniturze. Zaczął spacerować wokół basenu, niczym właściciel majątku, dokonujący przeglądu swoich włości. Pacjenci unosili głowy, pozdrawiali go.

– Dzień dobry, doktorze Fischer – słychać było zewsząd.

– Witam, moi drodzy. Dzień dobry – odpowiadał mężczyzna.

Zatrzymał się obok Daniela, spojrział na niego.

– Dzień dobry, Max.

Daniel osłonił dłonią oczy przed słońcem, ale zanim zdążył odpowiedzieć, doktor poszedł już dalej.

Okolo pierwszej wokół basenu zaczęło się przerzedzać. W rozmowach zaczęło się pojawiać słowo lunch, Daniel poczuł, że też jest głodny. Zaczął się zastanawiać, gdzie jadano posiłki. Bo chyba nie w eleganckiej restauracji, do której zabrał go Max pierwszego wieczoru. Nie bardzo mógł kogoś spytać, nie chciał ryzykować, że ktoś zacznie coś podejrzewać. Postanowił po prostu iść za innymi.

Stołówka okazała się przestronnym pomieszczeniem, nowocześnie urządzonym, z przeszkloną ścianą od strony parku. Do wyboru był orientalny kurczak albo wegetariańska zapiekanka z makaronu. Daniel wybrał kurczaka. Wolnych miejsc było dużo, usiadł sam przy jednym ze stolików.

Ledwie zaczął jeść, zdziwiony, że jedzenie było tak smaczne, kiedy nagle usłyszał obok siebie głos mężczyzny.

– Widziałem cię nad basenem.

Uniósł głowę. Obok stolika stał mężczyzna w jego wieku. Był korpulentnej budowy, ubrany w jeansową kamizelkę, rzadkie włosy miał ściągnięte w koński ogon. W jednym ręku trzymał tacę z jedzeniem, drugą wyciągał krzesło. Usiadł naprzeciwko Daniela i się uśmiechnął.

– Wiesz, że nigdy nie pytam o pozwolenie – powiedział i zaczął jeść, szybko i łapczywie. – Zresztą podobnie jak ty – dodał po chwili, mrugając do niego porozumiewawczo.

Daniel zastanawiał się, co odpowiedzieć. Mężczyzna pewnie to zauważył, bo uniósł rękę, dając mu do zrozumienia, że nie oczekuje odpowiedzi. Wyglądał jak raggare z małego, prowincjonalnego miasteczka.

– Spokojnie, przyjacielu. Słusznie postąpiłeś. Najwyższa pora, by ktoś zajął ten leżak. On na pewno już nie wróci.

– Kto? – spytał Daniel niepewnie.

– Block. Nigdy go już tu nie zobaczymy. Pora to zaakceptować.

Daniel pokiwał głową zamyślony. Właśnie tego się obawiał. Że podejdzie do niego znajomy Maxa i zacznie z nim rozmawiać o sprawach, o których nie miał pojęcia.

– Block został przeniesiony – ciągnął dalej mężczyzna.

Mówił z pełnymi ustami, patrząc gdzieś w dal.

– Tak?

Daniel uznał, że brat był szczery w swoim opisie kliniki i jej pacjentów.

– Tak, i obaj wiemy, dlaczego tak się stało.

– Jasne – wymamrotał Daniel, walcząc z kurczakiem. Postanowił w przyszłości unikać mężczyzny.

– Block nie był tym, za kogo się podawał.

Daniel opuścił sztucce i wstrzymał oddech. Rozmowa stawała się nieprzyjemna.

– A tego tu nie lubimy.

Mężczyzna zaczął się przyglądać nowo przybyłym pacjentom, którzy zajęli miejsce przy stoliku przy szklanej ścianie. Śledził ich wzrokiem skupiony, ale po chwili stracił zainteresowanie i znów odwrócił się do Daniela.

– Jesteśmy do siebie podobni. Ty i ja. Obaj nie lubimy ludzi żeglujących pod fałszywą flagą.

Przez kilka chwil, które Danielowi wydały się wiecznością, mężczyzna przyglądał mu się bacznie, po czym spytał:

– A może to ty sprawiłeś, że go przeniesiono?

– Nie – odparł Daniel przerażony. – Na pewno nie. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Mężczyzna sięgnął po wykałaczkę i zaczął czyścić zęby. Odchylił się na krześle i obserwował Daniela ubawiony.

– W porządku – powiedział. – Potrzebujesz czegoś? – dodał po chwili.

Zatkał palcem jedną dziurkę od nosa, udając, że drugą coś wciąga.

Daniel pokręcił głową, przeprosił mężczyznę i opuścił jadalnię.

Szybkim krokiem ruszył do domku Maxa. Musi starać się unikać tego typu konfrontacji. Postanowił nie jadać w stołówce.

Max mówił, że nie będzie go trzy, góra cztery dni. Był wtorek, to znaczy, że brat powinien wrócić w czwartek wieczorem, w najgorszym razie w piątek.

Daniel odszukał szorty brata, które ten po prostu wrzucił do szafy. Szorty pachniały dymem, były poplamione, nosiły ślady wczorajszego biwaku nad potokiem. Zaczął przeglądać kieszenie. W jednej z nich znalazł portfel Maxa. Uznał, że brat nie powinien mieć mu za złe, że go weźmie, skoro sam zaanektował jego portfel.

Postanowił iść wieczorem do gospody Hannelore i tam zjeść kolację. Podczas pierwszego pobytu zauważył, że podawano tam też proste dania. Pomyślał, że weźmie z sobą książkę, zamówi piwo i zagłębi się w lekturze. Wcześniej przespaceruje się po miasteczku i okolicy. Najpóźniej o dziesiątej wróci do domu. Czas, jaki zostanie mu do wizyty wieczornego patrolu, będzie mógł przeznaczyć na lekturę. A potem będzie już mógł spokojnie pójść spać.

W ten sposób spędzi pierwszy dzień w roli swojego brata. Miał gotowy plan zajęć. Odetchnął z ulgą.

Jadąc na piętro, gdzie były mieszkania lekarzy, Gisela Obermann znalazła się w windzie razem z doktorem Karlem Fischerem. Wszedł do środka w momencie, kiedy wciskała guzik zamykający drzwi. Jego lniany garnitur był wygnieciony, czuć było od niego potem. Winda ruszyła, Gisela obserwowała jego odbicie w lustrze.

– Twój kontrakt niedługo się kończy. Chciałem cię ostrzec, że raczej nie możesz liczyć na jego przedłużenie – odezwał się doktor.

– Jaki błąd popełniłam?

– Żadnego. Ale rozumiesz chyba, że żeby tu pracować, nie wystarczy bezbłędnie wykonywać swoje obowiązki. To placówka naukowa. Prowadzimy badania, a ty do tej pory nie masz żadnych wyników.

– Jeszcze nie. Ale mam wiele ciekawych spostrzeżeń.

– Które pewno przydadzą ci się w przyszłości. Twój kontrakt kończy się w październiku i nie widzę powodu, żeby go przedłużyć. Na twoje miejsce są setki chętnych.

– Doktor Pierce jest tu dłużej ode mnie. Czy przedstawił jakieś wyniki? Coś konkretnego? – odezwała się Gisela nieprzyjemnie wysokim głosem.

Winda zatrzymała się, drzwi się rozsunęły, ale Karl Fischer zagroził jej drogę. Jego twarz było poorana głębokimi zmarszczkami, krótkie siwe włosy sterczały mu na wszystkie strony. W głębi za nim widać było korytarz z drzwiami do mieszkań lekarzy.

– Nie tobie oceniać wyniki innych – powiedział spokojnie. – Poza tym brakuje ci tego, co najważniejsze: wizji.

Fischer nadal blokował drzwi windy.

– Rozmawiałaś z Maxem po wizycie jego brata?

Drzwi windy drgnęły niecierpliwie, zignorował je.

– Nie, jeszcze nie zdążyłam. Ale wkrótce go wezwę. Mam wrażenie, że wizyta brata dobrze mu zrobiła. Jestem ciekawa, co będzie miał mi do powiedzenia. Max w ogóle jest bardzo interesującym pacjentem.

– Tak uważasz? Ja jestem innego zdania.

Karl Fischer odsunął się, żeby przepuścić Giselę.

– Czuję od pani alkohol, doktor Obermann – rzucił, gdy go mijala.

Odwróciła się i zobaczyła, jak drzwi windy się zamykają. Stała przez chwilę

nieruchomo, jak sparaliżowana, wsłuchując się w szum silnika, gdy winda zaczęła zjeżdżać w dół.

Doktor Fischer miał rację. Brakowało jej wizji. Zarówno w odniesieniu do pacjentów jak i do własnej osoby. Inni naukowcy mieli swoje teorie, pomysły, plany i świetlane perspektywy. Tylko ona nie miała niczego. Prawda była taka, że uciekła tu od swojego pogmatwanego życia, mimo że w podaniu podała całkiem inny powód. Skusiło ją świeże alpejskie powietrze, nęciła odizolowana od świata dolina, zamykająca się wokół swoich mieszkańców niczym macica.

Początkowo udzielił jej się nastrój podniecenia i entuzjazm kolegów. Działy stymulująco. Ale bardzo szybko życie w dolinie stało się równie bezsensowne jak życie tam, na zewnątrz. Miała nadzieję, że będą stanowić zgrany zespół, że będą współpracować, ale tak się nie stało.

W wolnym czasie naukowcy prowadzili ożywione życie towarzyskie. Niemal co wieczór odbywały się imprezy. Ale jeśli chodziło o pracę, to każdy zazdrośnie strzegł swoich tajemnic. Zdarzało się, że na zebraniach nie bardzo wiedziała, o czym koledzy mówią. Miała wrażenie, że nie ona jedna. Tylko doktor Fischer zdawał się mieć wgląd we wszystkie projekty.

Doktor Fischer, podobnie jak doktor Kalpak, nigdy nie brał udziału w towarzyskich imprezach personelu. Poza tym nie mieszkali razem z innymi lekarzami. Gisela zakładała, że pewnie mieli mieszkania na najwyższym piętrze budynku administracyjnego. Tam gdzie pielęgniarki i opiekunki miały swoje pokoje.

Gisela nie miała własnego projektu. To właśnie stanowiło problem. Przyjechała tu otwarta na ewentualne pomysły, które, miała nadzieję, jakoś się pojawią. Liczyła, że stymulujące środowisko rozbudzi jej kreatywność. Że to tylko kwestia czasu. Ale to założenie okazało się błędne.

Już dawno przestała słuchać, co jej koledzy mieli do powiedzenia. Na zebraniach siedziała i wyglądała przez okno. Obserwowała alpejskie wzgórza albo doktora Kalpaka, który zawsze siedział w milczeniu i z na wpróżymkniętymi powiekami, jakby spał. W myślach nazywała go Doktor Sen, bo zawsze zdawał się trwać w dziwnym półśnie, gdzieś na granicy jawy, nawet kiedy miał otwarte oczy. Jego pacjenci też zawsze spali. Nie, nie spali, oni byli nieprzytomni.

Ach, gdyby tak ją ktoś uśpił. Nigdy nie doświadczyła narkozy, ale słyszała, jak inni o tym opowiadali. Wszystko zniknęło, ból, myśli, sny. Wszystko. Jakby człowiek umarł, tyle że potem wracał do życia. A podczas tej pozornej śmierci wszystko zmieniało się na lepsze. Usuwano człowiekowi to, co było złe. Czasem wstawiano coś nowego. Człowiek budził się zdrowszy, piękniejszy, weselszy.

Gisela często chciała umrzeć. Ale nie tak na zawsze. Marzyła, żeby ktoś ją uśpił i usunął to, co było w niej złe. Była przekonana, że już samo uśpienie byłoby dla niej dobrodziejstwem.

Jak zareagowałby doktor Kalpak, gdyby poprosiła, żeby ją uśpił? Na kilka godzin, może tygodni?

Nie, nie może tak myśleć. Nie wolno jej teraz zasnąć. Poza tym musi być trzeźwa. Musi skupić się na pracy.

Musi mieć jakiś projekt.

Daniel szedł drogą, którą poprzedniego dnia przemierzał na rowerze razem z Maxem. Szusowali wtedy z ogromną prędkością i wszystko dookoła wydawało mu się nierealne. Prędkość. Intensywnie zielona trawa. Niezwykłe przejrzyste powietrze, które docierało do jego płuc.

Teraz mógł się rozejrzeć w spokoju. Uderzyło go, jak wąska była dolina. Niespełna kilometr szeroka, z obu stron otoczona wysokimi górami. Środkiem płynął potok. Woda była szara jak cyna i pieniała się jak woda w szklance, do której ktoś wrzucił musującą tabletkę. Może i tutaj można było łowić pstrągi? Postanowił wypożyczyć wędkę i spróbować.

Jego wzrok przyciągnęła południowa skała wyrastająca niemal pionowo z ziemi jak potężny, ogromny mur. Teraz, kiedy słońce padało nieco z boku, widać było wyraźnie wszystkie szczegóły jej powierzchni. Wydawała się zbudowana z innego rodzaju kamienia niż skały po północnej stronie. Czyżby był to piaskowiec? Wapień? Powierzchnia była gładka i żółtobiała. Gdzieniegdzie były niewielkie zagłębienia i grotty, których wielkość trudno było ocenić i w których pewnie nigdy żaden człowiek nie postawi swojej stopy. W niektórych miejscach uwiły sobie gniazda jaskółki, krążące przy skalnej ścianie. W innych brały początek niewielkie strumyki, drążyły kanaliki w skalnej ścianie i spływały w dół, zostawiając na jej lekko żółtej powierzchni czarne ślady. Niektóre przybierały wręcz ludzkie kształty, zamieniając skałę w tło słynnego teatru cieni z Bali, tyle że figury miały tu ponad trzydzieści metrów wysokości.

Północna część doliny, w której mieściła się klinika, nie była tak stroma. Tu górskie zbocze wznosiło się łagodnie, łąka przechodziła w las, nad nim były skalne załomy, szare, zimne, miejscami też ślady po kamiennych lawinach.

Na zachodzie góry otwierały się niczym okno na końcu długiego korytarza. W dali widać było mieniący się w słońcu ośnieżony szczyt, majestatyczny, dokładnie taki, jakich można było się spodziewać tu, w Alpach.

Daniel ochrzcił południową część góry Ścianą, północną Żwirowiskiem. Zastanawiał się, czemu to robi. Przecież wkrótce miał stąd wyjechać.

Szedł w oślepiających promieniach słońca, po chwili dotarł do wąskiego korytarza, leżącego w cieniu góry. Dolina zwężała się tu, jakby ktoś ścisnął ją w pasie. Kontrast był tak ostry, że przez chwilę nic nie widział. Kiedy przyzwyczał

się do mroku, zobaczył mężczyznę jadącego na rowerze.

Pojawił się nagle, znikąd.

Do roweru miał przyczepioną przyczepę z drewnianą skrzynką. Jechał powoli, przyczepa trzeszczała. Jakies dziesięć metrów od Daniela zatrzymał się i zaczął szukać czegoś w torbie na ramieniu.

– Dzień dobry – pozdrowił go Daniel po niemiecku. – Wie pan może, czy można tu łowić ryby? – spytał, pokazując ręką na potok.

Mężczyzna uniósł głowę.

– Przypuszczam, że tak – powiedział.

Miał lekko mongoidalną twarz z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi, małym nosem i niskim, szerokim czołem. I małe, intensywnie niebieskie oczy. Jak oczy pewnej rasy kotów, pomyślał Daniel. Nie mógł sobie przypomnieć jej nazwy.

Mężczyzna naciągnął na dłoń dużą, nieco dziwnie wyglądającą rękawicę, którą przed chwilą wyjął z torby.

– Niedawno wędkowałem tu w pobliżu – ciągnął Daniel. – Świetne miejsce. Tutaj pewnie jest nieco gorzej?

– Niekoniecznie.

Przyczepa roweru zakołysała się, ze skrzynki dobył się ostry, lekko chrzęszczący dźwięk, a potem piski. Daniel przyglądał się jej zdziwiony. Najwyraźniej w skrzyni było jakieś zwierzę. Mężczyzna zachował kamienną twarz.

– Co pan tam ma? – spytał Daniel.

Mężczyzna nie odpowiedział. Ostrożnie odsunął zasuwkę i zaczął powoli otwierać skrzynię. Po chwili oczom Daniela ukazało się kłębowisko piór.

Mężczyzna odwrócił się do Daniela, na jego ręku siedział sokół. Łebek miał zakryty skórzanym kapturkiem, ozdobionym kilkoma piórkami, wokół nóżki miał dzwonek. Nad oczami kapturek był lekko wygięty, co powodowało, że ptak wyglądał jak wielki owad.

– Czyż nie jest piękny? – spytał mężczyzna.

Daniel przytaknął.

– Bardzo.

Sokół siedział nieruchomo na ręku mężczyzny, jakby utrata jego niewątpliwie najważniejszego zmysłu spowodowała, że zapadł w drzemkę. Mechanicznie i z przerażającą regularnością kręcił głową w prawo i w lewo, wyglądało to jak przedśmiertne drgawki.

– A ja myślałem, że w tej skrzynce ma pan przybory wędkarskie – roześmiał się Daniel.

– Wolę polować niż wędkować – powiedział mężczyzna. – A to najstarsza forma

polowania. Bez broni. Nie lubię broni palnej.

Mężczyzna przysunął sokoła do warg, jakby chciał go pocałować, ale nie zrobił tego, tylko chwycił ustami piórka na kapturku i szybkim ruchem zerwał go z łebka sokoła.

Ptaka zadrżało, powrócił do życia. Daniel zdziwił się, widząc jego duże oczy, czarne i błyszczące jak mokre kamienie. Nie było w nich żadnej dzikości. Przypominały oczy bajkowego stwora, mieszkającego gdzieś w głębi lasu czy w głębokim leśnym jeziorze.

– Prezentuje się siedem razy lepiej niż niejeden człowiek – odezwał się znów mężczyzna.

Uniósł trzepoczące skrzydłami sokoła, odwracając go pod wiatr. Ptak poleciał w górę. Unosił się coraz wyżej i wyżej, jakby wspinał się po niewidzialnych spiralnych schodach. Z góry dochodził ich delikatny dźwięk dzwoneczka.

Mężczyzna zadarł głowę i śledził lot ptaka, elegancki, cichy.

– Powinniśmy uczyć się od zwierząt – powiedział.

Nagle sokół znieruchomiał, zastygł w powietrzu, by po chwili zanurkować pionowo do ziemi. Po chwili wrócił do swojego pana z czymś szarym w szponach. Złożył łup w prawej dłoni swego pana i usiadł na jego lewym ręku, chronionym przez rękawicę.

Łupem okazał się mały szary ptaszek, był ranny, ale nadal żył. Przerażony mrugał oczkami, poruszył skrzydełkiem, jakby chciał uciec.

Mężczyzna rzucił go na ziemię, dając sokołowi znak, że łup należy do niego.

Sokół rzucił się na ptaszka, Daniel widział, jak jeszcze przez chwilę drgało jego skrzydełko.

– Przyroda jest niesamowita, prawda? – odezwał się znów mężczyzna.

Daniel wzdygnął się.

– Niesamowita – powtórzył.

Z daleka doszedł ich dźwięk kościelnych dzwonów. Głuchy, metaliczny jak fabryczny łoskot. Odbijał się echem od skalnych ścian.

Daniel pomyślał, że wkrótce w miasteczku otworzy się gospoda.

Uniósł rękę w geście pożegnania.

Mężczyzna nie zareagował, ale sokół zwrócił ku niemu swoje onyksowe oczy i przyglądał mu się przenikliwym wzrokiem. Z dziobu zwisały mu krwawe kawałki jelita upolowanego ptaszka.

Uliczki w miasteczku poprowadzone były, jak w większości tego typu starych miasteczek, bez żadnego planu czy zamysłu. Znalezienie domku z piernika zajęło mu dłuższą chwilę. Podczas spaceru odkrył, że choć miasteczko było małe, miało własny rynek, przy którym znajdowała się kawiarnia i kilka sklepów. Ich asortyment pozostawał jednak zagadką.

Kiedy był tu ostatnio, było już ciemno. Pewnie dlatego odniósł wrażenie, że miasteczko było bardzo stare. W świetle dziennym widać było wyraźniej różne szczegóły, rynny, okiennice, parapety, świadczące o tym, że większość domów była jednak nowa, chociaż zbudowana w dawnym, tradycyjnym stylu.

Corinne dzisiaj nie występowała, pracowała jako kelnerka. Podobnie jak wtedy wieczorem miała na sobie strój ludowy. Podeszła do niego, żeby przyjąć zamówienie. Stała i niecierpliwie gniotła w dłoni ściereczkę. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, posłała mu uśmiech, którego nie potrafił zinterpretować.

Poprosił o kartę.

– Nie sil się na żarty – powiedziała, uderzając go lekko ściereczką. – Co ci podać? To co zwykle?

– Poproszę – odpowiedział, mając nadzieję, że jest to coś, co będzie mu smakować.

Dostał placek ziemniaczany z sadzonym jajkiem, marynowaną cebulą i ogórkami z octu i kufel piwa. Zjadł, zamówił jeszcze jedno piwo i zagłębił się w lekturze.

W lokalu panował półmrok. Kiedy Corinne zauważyła, że Daniel wyjął książkę, podeszła do stolika i zapaliła świeczkę. Świecznik był niski, na prętach z czarnego metalu wisiały kryształki z czerwonego, złotego i pomarańczowego szkła. Migotały w ciepłym płomieniu, ale świeczka nie dawała dużo światła. Daniel siedział z otwartą książką, przyglądał się skrzącym się kryształkom, drżącym pod wpływem ciepła świeczki.

Corinne spędzała większość czasu w kuchni, ale od czasu do czasu pojawiała się w lokalu, by przyjąć zamówienia od gości. Mijając jego stolik, wyciągnęła rękę i przesunęła dłonią po jego włosach.

– Ostrzygłeś się? Niemal cię nie poznałam.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zniknęła. Dotknęła go w przelocie, lekko

i dyskretnie, zapewne nikt z gości niczego nie zauważył. On jednak wzdrygnął się, jakby jego ciało przeszedł prąd. Uczucie było zaskakująco przyjemne.

Zaczął się zastanawiać, co łączyło ją z jego bratem. Przyszło mu do głowy, że mógłby wykorzystać sytuację. W pewnym sensie byłaby to spóźniona zemsta za tamtą dziewczynę w Londynie. Max prosił, żeby go zastąpił. Miał zielone światło.

Ale oczywiście nic takiego nie zrobi. Nie wykorzysta niewinnej dziewczyny, nie użyje jej jako pionka w rozgrywkach z bratem. Tak stało się wtedy w Londynie i tego nie potrafił bratu nigdy wybaczyć.

Nagle znów poczuł dłoń na swojej głowie, a potem pociągnięcie za ucho. Corinne była na drugim końcu lokalu. Daniel jęknął z bólu i ze zdziwienia. Próbował się odwrócić, ale ktoś trzymał go w żelaznym uścisku. Usłyszał szept:

– Amatorszczyzna!

Nie potrafił powiedzieć, czy był to niski głos kobiety, czy wysoki – mężczyzny. Po chwili usłyszał śmiech, uchwyt zelżał. Przed nim stał mężczyzna w średnim wieku, szczupły, wysportowany, z opadającą na oczy zabawną chłopcę grzywką w niezwykłym rudym odcieniu. W lewej dłoni trzymał kufel piwa. Palcami prawej ręki zaczął ciąć powietrze.

– Kto? – spytał.

Daniel patrzył na niego zdziwiony.

– Kto próbuje odebrać mi chleb? – powiedział mężczyzna, szturchając Daniela. – Nie musisz się tłumaczyć. Mnie to nie przeszkadza. Gorszej reklamy nie mógł sobie zafundować.

Mężczyzna roześmiał się i usiadł przy stoliku obok. Dopił piwo i wyszedł z gospody.

Do stolika podeszła Corinne, usiadła obok Daniela.

– Powinieneś strzyc się u fryzjera – powiedziała. – Inaczej będzie miał do ciebie pretensję.

U fryzjera? A więc to był fryzjer, pomyślał Daniel.

– Nie mogę się strzyc, u kogo chcę? – spytał.

– Możesz, ale wtedy on będzie miał ci to za złe – powiedziała Corinne. Spojrzała na niego uważnie. – Poza tym ma rację. Nie wyglądasz najlepiej – dodała poważnie.

Przyglądała mu się chwilę, w końcu się roześmiała.

– Twój brat już wyjechał?

– Tak, wróci w czwartek.

– Po co?

– Chciał rozejrzeć się trochę po okolicy. Przed powrotem do Szwecji wpadnie, żeby się ze mną pożegnać.

Kobieta pokiwała głową i znów się uśmiechnęła. Nie był to zwykły uśmiech kelnerki, ale też nie był to uśmiech kochanki.

– To miło, że brat cię odwiedził. Często się spotykaliście, zanim tu przyjechałeś?

– Niezbyt często.

Zapadło milczenie. Daniel zastanawiał się, czy Max powiedział kobiecie, że jest pacjentem kliniki.

Corinne, nieco zmieszana, bawiła się szeroką bransoletką, wysadzaną kamieniami. Po chwili znów się roześmiała i zmieniła temat. Zaczęła mu opowiadać o męczących klientach, o tym, że dokucza jej kręgosłup i że nikt nie docenia jej występów. Cały czas uśmiechała się i żartowała, jakby nie chciała dodatkowo dramatyzować sytuacji.

– Powiedz mi – przerwał jej nagle Daniel – dlaczego ktoś tak utalentowany jak ty ukrywa się w takiej dziurze? Widziałem twój ostatni występ. Powinnaś grać na scenie w Berlinie.

Wiedział, że ryzykuje, bo przecież Max mógł z nią o tym rozmawiać, ale ona tylko się roześmiała.

– Występowałam na scenie w Berlinie. I pewnie nadal bym to robiła, gdyby wszystko nagle się nie skomplikowało. Ależ cóż, takie jest życie, prawda? Cieszę się, że mogę tu występować. Nie przejmuję się publicznością. Robię to dla siebie.

Powiedziała to stanowczym, nieco buńczucznym tonem, ale Daniel słyszał w jej głosie nutkę smutku.

– Nie chcę już do tego wracać – oświadczyła nagle.

– A o czym wolałabyś rozmawiać?

– W tej chwili o niczym. Muszę pracować – powiedziała i ruszyła w stronę stolika, gdzie czekali na nią zniecierpliwieni goście.

Daniel wrócił do domku Maxa i postanowił iść spać. Miał opory przed położeniem się w łóżku brata, ale ława, na której spędził ostatnie dwie noce, był twarda i niewygodna. Zajrzał do szafy w poszukiwaniu czystej pościeli, ale nic nie znalazł, musiał się zadowolić pościelą używaną przez Maxa.

Położył się w alkowie, w której mieściło się tylko łóżko i półka z książkami. Kiedy zapalił lampkę do czytania i zaciągnął kotarę, miał wrażenie, że znalazł się w kryjówce swojego dzieciństwa, bezpiecznej, ukrytej przed światem. Gdy jednak zgasił lampkę, dołączyło uczucie klaustrofobii. Gruba kotara nie przepuszczała światła, powietrze szybko zrobiło się ciężkie, duszne, pościel przeszła zapachem brata. Ale łóżko było wygodne, a on nieco oszołomiony piwem. Po kilku minutach już spał. Przez sen poczuł, jak jego twarz muska światło latarki. Zamrugał i zobaczył pochylającą się nad nim postać. Twarz kobiety, biała niczym księżyc, łagodna, czule

się uśmiechająca. Strach zniknął, został zastąpiony błogim uczuciem spokoju. Miał wrażenie, że to jego matka przyszła go utulić.

Kotara zasunęła się, znów ogarnęły go ciemności, słyszał jakieś szepty, a potem odgłos oddalających się kroków. Po chwili wszedł z powrotem w sen, w którym, prawdę mówiąc, cały czas tkwił.

Środa nie była równie słoneczna i pogodna jak poprzednie dni. Daniel spędził przedpołudnie na czytaniu. Około południa skończył książkę. Na obiad odgrzał fasolę w sosie pomidorowym. Puskę znalazł w szafce nad kuchenką.

Jedząc, wyglądał przez okno. Nad doliną unosiła się mgła, miękka i łagodna. Lubił takie dni, ciepłe, ale bez słońca. Przyglądał się skalnej ścianie po drugiej stronie doliny, zaintrygowany ciemnymi smugami, przypominającymi ludzkie kształty. Dziwne, że przyroda potrafiła stworzyć coś takiego. Jakby dolinę zamieszkiwały wysokie, chude stwory, które weszły w skałę, pozostawiając na niej zarys swoich ciał. Jak w Hiroszynie, gdzie płonące ludzkie ciała pozostawiły ślady na ścianach domów.

Nagle, w trakcie jedzenia, przypomniał sobie nocną wizytę. Światło latarki przy jego łóżku, twarz kobiety, którą – nie do końca rozbudzony – pomylił z twarzą matki. Oczywiście opiekunka z patrolu sprawdzała jego obecność. Zapomniał o tym i położył się spać, nie czekając na nią. Pamiętał wyraźnie, że zamknął drzwi od wewnątrz, ale personel najwyraźniej dysponował własnym kluczem.

Po obiedzie udał się do biblioteki po kolejną książkę tego samego autora. Wszystko poszło gładko. Nie musiał nawet podawać swojego nazwiska. Wystarczyło, że pokazał książkę bibliotekarzowi.

– Tak, oczywiście, Max – powiedział mężczyzna.

– Nie odnotuje pan wypożyczenia? – spytał Daniel niepewnie.

– Nie ma takiej potrzeby. Nigdy nie zapomnę żadnej twarzy i żadnej książki.

Daniel wrócił do domku. Po drodze pozdrowił sąsiada, który drzemał oparty o ścianę swojego domku. Resztę popołudnia spędził na lekturze i na grze na komputerze Maxa.

Ucieszył się, kiedy zauważył, że Max zostawił swój laptop. Próbował połączyć się z Internetem, ale nie udało mu się. Podejrzewał, że klinika miała własną, wewnętrzną sieć. Wchodząc na różne strony, dowiedział się wiele nie tylko o medycznej ofercie kliniki, ale i o miasteczku, które też reklamowało swoje atrakcje. Gospoda Hannelore zamieściła zdjęcie Corinne w bluzce z bufkami i gorsecie, trzymającą w ręku dwa kufle piwa z pianką.

Wejście na niektóre strony wymagało podania hasła.

Link, zatytułowany „Z mojej perspektywy”, okazał się zawierać rozważania

miejscowego księdza, ojca Dennisa. Na stronie było jego zdjęcie w ornacie na tle kościoła. Rozważania w tym tygodniu zatytułowane były: „Pozwala mi leżeć na łąkach zielonych, prowadzi nad wody, gdzie mogę odpocząć”. Daniel czytał dalej: „Uderzyło mnie, że wersy Psalterza mówią właśnie o Rajskiej Dolinie. Bo gdzie są łąki bardziej zielone niż nasze? Gdzie są potoki bardziej orzeźwiający niż te w naszej dolinie?”

Daniel uznał, że ksiądz ma rację. Nigdzie nie widział bardziej zielonych łąk.

„Czasem wyobrażam sobie, że mieszkańcy doliny to wybrana przez Pana gromadka, która trafiła tu w poszukiwaniu spokoju”, pisał dalej ojciec Dennis.

Daniel przeszedł na inną stronę, znalazł program wieczornych filmów, informację o ćwiczeniach na siłowni, poznał bogatą ofertę miejscowego ogrodnika i dowiedział się, że jeden z psychologów z kliniki zaprasza na kurs mający nauczyć kontrolowania działań mimowolnych.

Wyszedł z sieci. Postanowił sprawdzić zawartość komputera. Znalazł kilka gier, które nie wzbudziły jego zainteresowania, wewnętrzną pocztę elektroniczną i niewiele więcej. Komputer był właściwie pusty. Max najwyraźniej usunął wszystkie osobiste pliki.

Daniel otworzył skrzynkę, okazało się, że hasło nie było konieczne. Znalazł jedną wiadomość. Nadawcą była Corinne. W rubryce „temat” przeczytał: „Zobaczymy się?”

Zawahał się chwilę i zamknął pocztę. Wrócił do gry, ale nie mógł się skupić i po pięciu minutach znów otworzył skrzynkę. Wiadomość była krótka.

„Co powiesz na piknik? Wezmę coś do jedzenia. Przepraszam, że byłam wczoraj niegrzeczna. Czułam się bardzo zmęczona. Uściski. Corinne”.

A więc słusznie podejrzewał, że Maxa i Corinne coś jednak łączyło. Prawdopodobnie ich związek był tajemnicą. Kobieta z miasteczka zapewne nie powinna się zadawać z pacjentami kliniki.

Daniel nie miał nic przeciwko piknikowi z Corinne, gdyby to z nim dziewczyna chciała się spotkać. Ale tak przecież nie było. Poza tym jutro wracał Max. Powinien być na miejscu, żeby się z nim spotkać i jak najszybciej samemu wyruszyć w drogę.

Miał dosyć bycia kimś, kim nie był, chciał jak najszybciej odzyskać własną tożsamość. Pobyt w luksusowej klinice nie sprawiał mu przyjemności. Chociaż najwyraźniej wszyscy byli przekonani, że jest Maxem, czuł dręczący niepokój, że sprawa w końcu wyjdzie na jaw. Poza tym nie przepadał za niektórymi pacjentami. Co powiedział ten facet, wtedy w jadalni? „Nie lubimy takich, którzy żeglują pod fałszywą flagą”.

Odetchnie z ulgą, kiedy opuści to dziwne miejsce. Zaczął się zastanawiać, jak to

się odbędzie. Czy będzie musiał wrócić do swojego pierwotnego wyglądu? Dokleić sobie brodę? Przebrać się za siebie samego? Pomysł wydał mu się dziwny. Nie zastanawiał się nad tym wcześniej, przyjął, że Max wszystko dokładnie zaplanował.

Dzień dobry. **Dzisiaj czwartek** - poinformowała go na niebiesko ubrana opiekunka, stawiając na podłodze dużą papierową torbę.

– To dla mnie? – zdziwił się Daniel, całkiem już rozbudzony.

Kobieta roześmiała się. To ona poprzedniej nocy świeciła mu w twarz latarką.

– Jest czwartek, Max. Dzień prania. Masz coś dla nas?

Daniel zajrzał do torby. W środku były starannie złożone czyste ubrania.

– Masz coś, Max? – powtórzyła zniecierpliwiona.

– Worek – dodała druga kobieta, stojąca obok opiekunki.

Widząc zdzwioną minę Daniela, wskazała palcem na szafę, w której najwyraźniej przechowywany był worek.

– Oczywiście, chwileczkę.

Daniel wyjął z szafy worek z brudną bielizną i podał go kobiecie. Ta wzięła go do ręki i uniosła. Na jej porcelanowym czole pojawiły się zmarszczki.

– Prześcieradła. Wrzuciłeś je tu?

– Jasne, prześcieradła.

Poszedł do alkowy, zdjął prześcieradło i pościel i wrzucił wszystko do worka.

– Zapomniałeś, że dzisiaj czwartek? – uśmiechnęła się opiekunka.

Nie, Daniel bynajmniej nie zapomniał, że dzisiaj jest czwartek. Tyle że nie myślał w tym kontekście o praniu.

Kiedy kobiety wyszły, wyjął z torby czyste ubrania Maxa i świeżą bieliznę pościelową. Kiedy wrócił do alkowy, zauważył, że gdy przed chwilą zdejmował prześcieradło, na podłogę upadło jakieś zdjęcie. Podniósł je i zobaczył, że jest to to samo zdjęcie, które Max pokazywał mu wieczorem przed wyjazdem. Dziewczyna o zmasakrowanej twarzy. Córka zdrajcy. Ofiara mafii. Max najwyraźniej trzymał je pod materacem.

Odłożył zdjęcie na miejsce i dokończył zmieniać pościel. Pomyślał, że Max wybrał dobry dzień na powrót, czwartek. Tuż po zmianie pościeli. On spał w pościeli Maxa, brat będzie spał w świeżej, pachnącej.

Większość dnia spędził w domku. Około siódmej ruszył z boczem do głównego budynku kliniki. Niebo nadal było zachmurzone, ale powietrze było ciepłe, wręcz duszne, stojące, jak w rzadko wietrzoną pokój. Spadły pierwsze krople deszczu, od strony kortu dochodziły go dźwięki uderzeń piłki.

Wszedł po robiących wrażenie schodach i podszedł do recepcji w holu.

– Przepraszam – zwrócił się do kobiety, która siedziała przy komputerze.

Odwróciła głowę, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Witaj, Max. W czym mogę ci pomóc?

– Zastanawiam się, czy mój brat już wrócił. Może się minęliśmy?

Podniesione głosy zagłuszyły jego pytanie, musiał je powtórzyć. Przez otwarte drzwi do salonu dostrzegł szczupłego mężczyznę znad basenu w towarzystwie starszej, zażywnej kobiety. Najwyraźniej w coś grali.

– Twój brat? – powtórzyła recepcjonistka. – Ten, który cię tu niedawno odwiedził?

– Tak.

– Miał tu wrócić? Myślałam, że wyjechał do Szwecji.

– Nie, chciał się rozejrzeć trochę po okolicy. Poznać kawałek Szwajcarii.

– Rozumiem. Rajska Dolina jest piękna, ale niewielka – powiedziała kobieta i roześmiała się, zażenowana, jakby pozwoliła sobie na niewybredny żart i nie była pewna jego reakcji.

– Obiecał zajrzeć tu przed wylotem do Szwecji – powiedział Daniel. – Chciałem się upewnić, czy może już wrócił.

Starsza pani w salonie wybuchła nagle śmiechem, odchyliła się w obitym brokacie fotelu, patrząc, jak mężczyzna, zagniewany, uderza pionkiem o planszę.

– Nie widziałam go tu – odpowiedziała poważnie recepcjonistka.

– Chciałem się tylko upewnić – powtórzył Daniel.

Wrócił do domku, deszcz wisiał w powietrzu, ale jeszcze nie padało.

Odczekał pół godziny i ponownie ruszył do recepcji.

– Przykro mi, Max – odezwała się kobieta, zanim zdążył zadać jej pytanie. – Twój brat jeszcze się nie pojawił.

Daniel wyszedł na zewnątrz. Ruszył spacerem wokół głównego budynku, zerkając co jakiś czas na drogę, którą kilka dni temu sam jechał. Zaczął zapadać zmrok. Zaczekał do dziesiątej i wrócił do domku. W czwartek, najpóźniej w piątek, mówił Max. Więc pewnie przyjedzie jutro, pomyślał Daniel. W piątek.

Kiedy zjawił się nocny patrol, siedział w domku i słuchał holenderskich jazzmanów. A kiedy czwartek przechodził w piątek, to Daniel, a nie Max, poszedł spać w czystej, nieco sztywnej pościeli.

Następnego dnia odczekał do pierwszej, zanim znów ruszył do recepcji.

Za ladą siedziała inna kobieta niż wczoraj. Młoda dziewczyna o rudych włosach w okularach w czarnych oprawkach, za dużych w stosunku do jej szczupłej twarzy. Wyglądała, jakby pożyczyła je od ojca.

– Twój brat? Miał tu wrócić?

Daniel zaczął tłumaczyć jej wszystko od początku. O tym, że brat wyruszył na wędrówkę w góry, a potem miał jeszcze wpaść tu, pożegnać się z nim, przed ostatecznym powrotem do Szwecji.

– Nic o tym nie słyszałam.

– Boję się, że mogliśmy się minąć. Wychodziłem w ciągu dnia.

– Zaraz sprawdzę w rejestrze.

Kobieta wyjęła grubą księgę z okładkami oprawnymi w zielone sukno, do której Daniel wpisał się po przyjeździe do Rajskiej Doliny.

– „Daniel Brant. Przybył o 18.20, piątego lipca. Wyjechał o 5.50, siódmego lipca”. To wszystko. Nie mam nowego wpisu. Niestety. Miał dzisiaj przyjechać?

– Tak, najpóźniej dzisiaj.

Zanim kobieta zamknęła księgę, Daniel zobaczył własny podpis, a pod nim drugi, z datą wyjazdu. Tyle że to nie on go tam zostawił. To Max podpisał się za niego. Nie sądził, że mieli aż tak podobne pismo.

Kobieta pokręciła współczująco głową i wróciła do komputera.

– Nie mamy żadnych zapowiedzianych odwiedzin. Strażnik też nie odnotował niezapowiedzianych gości. Może coś źle zrozumiałeś? Jesteś pewien, że miał tu jeszcze wrócić?

– Tak. Z całą pewnością.

– Hm. Może... – zaczęła dziewczyna. – Byłam tu, kiedy wyjeżdżał. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. I bardzo się spieszył. Może się pokłóciliście?

– Nie.

– Hm...

Dziewczyna nie wyglądała na przekonaną. Zmarszczyła czoło.

– Zdarza się, że ludzie źle się tu czują i chcą jak najszybciej stąd wyjechać. Może z twoim bratem było podobnie?

– Powiedział, że tu wróci. W czwartek, najpóźniej w piątek – nie poddawał się Daniel.

– Może nie chciał sprawiać ci przykrości? Nie chciał, żebyś się denerwował. Może miał wyrzuty sumienia, że tak krótko tu był?

– Jeśli się pojawi, proszę mu powiedzieć, że czekam na niego w domku.

– Oczywiście.

Daniel wrócił do domku. Po mniej więcej dwudziestu minutach zadzwonił telefon. Rozległ się delikatny sygnał jak podkład muzyczny do filmu przyrodniczego.

A więc Max zostawił tu komórkę! Daniel próbował zlokalizować dźwięk. Miał

wrażenie, że dochodzi gdzieś od strony drzwi wejściowych. W końcu znalazł aparat w jednej z licznych kieszeni wiszącej na haczyku kamizelki wędkarskiej Maxa. Sięgnął po nią i w tym momencie komórka przestała dzwonić.

Daniel wybrał numer własnej komórki. Zamierzał zadać bratu kilka pytań. Zadzwoiłby do niego wcześniej, gdyby wiedział, że w domku jest komórka.

Tak jak się spodziewał, nikt nie odebrał. Po kilku sygnałach usłyszał kobiecy głos, który informował go, że wybrany przez niego numer nie istnieje. Spróbował jeszcze raz, z takim samym skutkiem. Najwyraźniej Max przebywał w kraju nieosiągalnym przez operatora jego komórki. Spojrzał na ekran, żeby sprawdzić sieć. Kiedy wybierał numer, nie przyglądał się dokładnie napisom na wyświetlaczu. Teraz zobaczył na ekranie ośnieżony alpejski szczyt na tle niebieskiego nieba. W rogu wyświetliła się godzina, poziom naładowania baterii i moc sygnału. W miejscu, gdzie zwykle wyświetlała się nazwa operatora, pokazał się napis „Himmelstal”. Rajska Dolina. Duże litery skrzyły się na tle niebieskiego nieba, niczym alpejskie szczyty. Zdziwiony przyglądał się ekranowi, który zaczął już powoli wygasać.

Niewiele brakowało, a byłby upuścił komórkę, która nagle zaczęła drżeć w jego dłoni i podskakiwać niczym wielki owad. Ekran znów się rozświecił. Litery składające się na „Himmelstal” pulsowały w takt drzeń. Chwilę później rozległ się dzwonek.

Spoconym palcem wcisnął właściwy guzik i przyłożył komórkę do ucha.

– Tak? – udało mu się w końcu wydusić z siebie. – To ty? Gdzie jesteś?

– Cześć, Max! – Usłyszał głos kobiety. – Dzwonię z recepcji.

– Wrócił?

– Nie, ale mam dla ciebie wiadomość od doktor Obermann. Chce się z tobą zobaczyć. Dzisiaj, o 16.30.

Gisela Obermann. Psychiatra Maxa. Daniel przypomniał sobie, że brat wspominał mu o niej.

– O 16.30? – powtórzył z pewnym wahaniem. – Niestety. Nie mogę – powiedział, słysząc, jak niepoważnie to brzmi. Pacjent psychiatryczny z wypełnionym kalendarzem.

– Masz jakąś inną propozycję?

– Nie mam ochoty się z nią spotykać – powiedział najgrzeczniej jak potrafił. – Nie mam motywacji do tych spotkań. Doktor Obermann wie o tym.

W słuchawce zapadła cisza.

Daniel wstrzymał oddech. Przypomniał sobie słowa brata: „Po prostu powiedz: nie”.

Ale czy mógł mu ufać? Może to jednak wcale nie było takie proste? Może jednak

każą mu się stawić, a jeśli będzie się opierał, to użyją siły?

– Mam przekazać to doktor Obermann? – spytała dziewczyna.

– Tak, proszę. Gdyby była pani tak uprzejma.

– Zadzwoń do doktor Obermann, jeśli zmienisz zdanie. Na pewno znajdziecie jakiś bardziej dogodny czas.

– Oczywiście. Jaki jest numer do doktor Obermann?

– Masz go – odpowiedziała recepcjonistka i odłożyła słuchawkę.

Daniel wcisnął „kontakty”, wyświetliło się całe mnóstwo numerów. Przy większości widniały jedynie imiona, przy nielicznych dodano też nazwiska, część z nich poprzedzona była literkami dr. Wśród nich „dr Obermann”.

Pozostałe nic mu nie mówiły.

Z wyjątkiem jednego: „Corinne”.

Była za kwadrans piąta w niedzielne popołudnie, kiedy Daniel usłyszał pukanie do drzwi. Odsunął kotarę i usiadł na łóżku, ale zanim zdążył wstać, zobaczył przed sobą niską ciemnowłosą opiekunkę w towarzystwie jednego z opiekunów.

– Już jesteście? – spytał.

Zdrzemnął się chwilę i nie bardzo wiedział, czy jest ranek, czy noc. Miał jednak wrażenie, że coś jest nie tak.

– Pora na test – oświadczyła ciemnowłosa kobieta.

– Jaki?

– Musimy pobrać krew do analizy – odpowiedział spokojnie towarzyszący kobiecie mężczyzna. – Poczujesz lekkie ukłucie. No i zbadamy też, jak pracuje twój mózg. To bezbolesne badanie.

Daniel był wyraźnie zaskoczony. Max o niczym go nie uprzedził.

Przez otwarte drzwi widział czekających na zewnątrz dobrze zbudowanych mężczyzn w mundurach.

– To nie może poczekać? – spytał. – Wolałbym przełożyć badanie na inny dzień.

– O ile wiem, nie chciałeś się też spotkać z doktor Dobermann – powiedział mężczyzna.

Stał na progu ze skrzyżowanymi na piersi rękami i uśmiechał się, jakby powiedział świetny dowcip.

– Nic takiego – zaprotestował Daniel. – Poprosiłem tylko o inny czas.

– Nie, powiedziałaś, że brakuje ci motywacji.

– Tak?

– Może spróbujemy cię zmotywować?

Mężczyzna znów się uśmiechnął. Daniel miał ochotę spytać, dlaczego nazwał dr Obermann Dobermannem.

– Nie mamy czasu – odezwała się opiekunka. – Załatwmy to sprawnie i szybko. Jutro wróćcie do domu. Ty i Marko – powiedziała, pokazując ręką na sąsiedni domek.

Daniel wyszedł na werandę. Zobaczył sąsiada, który stał przed domkiem ze spuszczoną głową. Obok niego stali strażnicy, było ich czterech. Patrzyli przed siebie pustym wzrokiem, znudzeni, czekając na rozkaz, w każdej chwili gotowi przystąpić

do akcji. Jak konie w zaprzęgu czekające na rozkaz woźnicy.

– Przecież przechodziłeś już przez to. To nic nowego. Zabieramy was na oddział, bo chcemy mieć was pod kontrolą. Wieczorem zrobimy rezonans magnetyczny, a krew do analizy pobierzemy rano. Musicie pościć dwanaście godzin. Ominie was śniadanie – poinformowała opiekunka.

– Ale potem czeka was pyszny obiad w restauracji – dodał towarzyszący jej mężczyzna, mrugając porozumiewawczo do Daniela.

Jego blond włosy lśniły w słońcu.

– Jajecznicza z bekonem. Naleśniki z jagodami i soki z egzotycznych owoców.

– Można palić? – spytał sąsiad.

– Tak, ale oczywiście nie na oddziale. Ktoś z personelu pójdzie z tobą do parku.

Wystarczy poprosić.

– Nigdzie nie idę – oświadczył Daniel.

Opiekun westchnął.

– Naprawdę chcesz wszystko utrudniać? Chcesz, żeby chłopcy się tobą zajęli? – spytał, pokazując dłonią na strażników, którzy natychmiast się wyprostowali i jakby ożywili. – Lydia i ja musimy jechać dalej. Zajmijcie się nimi, chłopcy.

Mężczyzna i opiekunka wrócili do elektrycznego samochodziku i odjechali.

– Ja jestem posłuszny – powiedział sąsiad, podnosząc ręce. – Pójdę sam, z własnej woli. Tylko pozwólcie mi wrócić po papierosy.

– Weź też szczoteczkę do zębów – dodał jeden ze strażników.

Sąsiad wrócił do domku pod baczynym okiem jednego ze strażników. Pozostali trzej podeszli do Daniela.

– Więc jak? Pójdiesz dobrowolnie?

– Chcę rozmawiać z lekarzem.

– Jasne. Tylko najpierw zawieziemy cię na oddział. Idź po swoje rzeczy.

Daniel wrócił do domku po niewielką kosmetyczkę z przyborami do mycia, którą wcześniej kupił w recepcji. Nagle pomyślał, że może analiza krwi pokaże, że nie jest Maxem. Ale czy na pewno? Jeśli dobrze pamiętał, bliźnięta jednojajowe miały taką samą grupę krwi. Nawet takie samo DNA. Ale może jednak coś ich różniło?

Prawdę mówiąc, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby cała ta maskarada została zdemaskowana. Nie chciał zawieść Maxa, ale to trwało już za długo. A w ten sposób sprawa może się wydać, jakby bez jego udziału, pomyślał.

Rezonans magnetyczny to rodzaj rentgena. Jest nieszkodliwy.

– W porządku – powiedział. – Miejmy to już za sobą.

Eskortowani przez strażników Daniel i jego sąsiad zostali zaprowadzeni do

jednego z wysokich budynków ze szklaną fasadą. Wsiadli do windy i po chwili znaleźli się w długim korytarzu. Po obu jego stronach były drzwi, jedne z nich się otworzyły i na korytarz wyszła pielęgniarka. Pchała przed sobą wózek z nierdzewnej stali, pełen wacików i różnych instrumentów. Zanim drzwi za nią się zamknęły, Daniel zdążył zobaczyć ostre światło reflektora. Doszedł go mocny zapach spirytusu lekarskiego i drugi, słodkawy, mydła. Do tej pory klinika przypominała raczej luksusowy hotel, teraz jednak nie miał wątpliwości, że był w szpitalu.

Przeszli dalej, przydzielono im pokoje, każdemu osobny, z łazienką z prysznicem.

– Proszę to wypełnić – powiedziała pielęgniarka, podsuwając mu czterostronicowy formularz i długopis.

Pytania dotyczyły jego stosunku do innych ludzi i zachowań w różnych sytuacjach. Niektóre z proponowanych odpowiedzi wydawały mu się śmieszne, niekiedy wręcz absurdalne.

Zastanawiając się nad odpowiedziami, rozglądał się po pokoju. Zauważył, że na ścianie naprzeciwko łóżka zainstalowana była kamera.

Odpowiedział na pytania, oddał formularz pielęgniarce, która siedziała w niewielkim gabinecie na korytarzu. Strażnicy stali oparci o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Zaraz zrobimy zdjęcia waszym mózgom. Który idzie pierwszy? Ty czy Marko? – spytała pielęgniarka.

Rozejrzała się. Na korytarzu był tylko Daniel, Marko najwyraźniej nadal odpowiadał na pytania.

– Wygląda na to, że ty – zwróciła się do Daniela.

Pielęgniarka obsługująca aparaturę przedstawiła się jako siostra Louise.

– Proszę zdjąć wierzchnie ubranie, buty i pasek – powiedziała. – Nie można mieć na sobie nic metalowego.

Kobieta nosiła fartuch w kolorze lila. Miała szarą cerę i mówiła przez nos, monotonnym głosem, jakby powtarzała to zdanie już bardzo wiele razy. Natomiast jej dłonie zdawały się żyć w zupełnie innym tempie. Szybkie, energiczne ruchy przypominały Danielowi pielęgniarkę szkolną, która szczepiła go, a raz nawet usuwała mu brodawkę na stopie. Wszystko odbywało się tak szybko, że nawet nie zdążył się przestraszyć.

– Proszę położyć się na ławce i odprężyć.

Daniel położył się na ławce, która wystawała z okrągłego otworu, niczym język z otwartych szeroko ust.

– Mam nadzieję, że nie cierpi pan na klaustrofobię? – powiedziała siostra Louise i pewnymi ruchami, jakby ubierała dziecko w wózek przed spacerem, przytwierdziła jego ręce i nogi do ławy i założyła mu słuchawki na uszy. – Proszę się nie ruszać.

Ławka zaczęła powoli wjeżdżać do wąskiego tunelu, w słuchawkach rozbrzmiewała muzyka klasyczna. Po chwili aparatura zaczęła wydawać głośne dźwięki. Muzyka ucichła, w słuchawkach rozległ się głos siostry Louise, cichy, niemal zmysłowy:

– Wszystko jest w porządku. Magnes pracuje. Proszę się odprężyć i słuchać muzyki. I proszę się nie ruszać. To badanie kosztuje ponad tysiąc dolarów. Doktor Fischer nie będzie zadowolony, jeśli się okaże, że trzeba je powtórzyć.

Muzyka znów przybrała na sile. Jakiś znany utwór. *Jezioro łabędzie* Czajkowskiego? Próbował przypomnieć sobie szkolne lekcje muzyki. Koncerty, na których kiedyś był. Pamiętał, że kiedyś z Emmą był w operze. Chyba w Brukseli. Nie potrafił sobie przypomnieć tytułu.

– Jakież przyjemne myśli? – Usłyszał w słuchawkach głos siostry Louise. – Zaraz pokażemy panu kilka obrazków. Proszę się odprężyć.

Na monitorze na suficie tunelu pokazał się nagle krajobraz. Daniel uznał, że była to południowa Anglia. Po chwili krajobraz rozplynął się i został zastąpiony zdjęciem płaczącego dziecka. Potem obraz znów się zmienił. Widział ludzi, zwierzęta, krajobrazy. Następnie na monitorze zaczęły się pokazywać pojedyncze wyrazy, po angielsku, niektóre abstrakcyjne, inne konkretne, bez żadnego kontekstu, jakby zawieszane w próżni.

Dudnienie nie ustawało, można było odnieść wrażenie, że maszeruje oddział hałaśliwych duchów, w słuchawkach nadal rozbrzmiewała muzyka.

Kiedy w końcu wszystko ucichło i ława wyjechała z aparatury, zobaczył stojącą przed sobą siostrę Louise. Trzymała w ręku plastikowe pudełko, w którym były jego buty i pasek.

– No proszę, przeżył pan. Już kolejny raz – powiedziała.

Daniel spędził wieczór, oglądając telewizję razem z Marko w niewielkiej świetlicy, urządzonej w holu szpitalnego oddziału. Próbował nawiązać kontakt ze swoim sąsiadem. Mówił coś o badaniu, które przeszli, i formularzu, który wcześniej musieli wypełnić. Marko jednak najwyraźniej nie był zainteresowany.

– Zamknij się – burknął. – Chcę oglądać film.

Podeszła do nich pielęgniarka.

– Tabletki nasenne – powiedziała.

Podawała Marko mały, różowy kubeczek z lekarstwami. Ponieważ Marko zdawał

się jej nie widzieć, postawiła kubek na stoliku.

– Tam na tacy stoi termos z herbatą – powiedziała. – Ale musicie się obyć bez mleka i cukru. Dobranoc.

Oglądali amerykański film akcji. Sylvester Stallone mówił po niemiecku głosem, który wypowiadał znacznie więcej słów niż świadczyłyby o tym ruchy warg. Marko siedział na kanapie wychylony do przodu, brzuch zwisał mu jak wielki, ciężki worek między udami. Zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran. Oddychał z trudem przez nos i cuchnął starym potem. Daniel łudził się, że może z którejś sali wyjdzie w końcu jakiś pacjent bardziej skory do rozmowy.

Wstał i przyniósł termos i dwa kubki.

– Chcesz?

Marko nie odpowiedział. Nie spuszczał wzroku z ekranu, zaczął szukać czegoś w kieszonce na piersi, po chwili wyciągnął paczkę papierosów. Wyjął jednego, włożył do ust.

– Tu nie wolno palić – upomniał go Daniel. – Poproś kogoś z personelu, żeby wyszedł z tobą na zewnątrz.

– Wszyscy już poszli – wymamrotał Marko z papierosem w ustach.

– To wyjdź sam.

– Drzwi są zamknięte.

Daniel wstał i podszedł do szklanych drzwi. Były zamknięte. Zapukał do drzwi do pokoju pielęgniarek, odczekał chwilę i chwycił za klamkę. Zamknięte.

– Musisz poczekać aż przyjdzie nocna zmiana – powiedział.

Marko wypuścił dym, strzepał popiół do kubka, z którego Daniel pił herbatę. Sylvester Stallone wyrzucił jakiegoś człowieka przez okno, szyba rozpadła się na drobne kawałki, w zwolnionym tempie.

– Chyba pójde się położyć – oświadczył Daniel.

Marko nie zareagował.

Daniel położył się do łóżka, ale jeszcze długo leżał i nie mógł zasnąć. Świeżo wymaglowana pościel pachniała płynem do płukania, ze świetlicy dochodziły go dźwięki telewizora. Brakowało mu przytulnej alkowy w domku brata. Próbował przywołać w pamięci swoje łóżko w Uppsali, ale mieszało mu się z innymi łóżkami, które miał w swoim życiu. Nie mógł sobie przypomnieć ani jak wyglądało, ani czy było wygodne.

Kiedy po kilku godzinach się obudził, nie wiedział, gdzie jest. Wstał, spróbował po omacku odnaleźć nocną lampkę. Miał wrażenie, że serce mu galopuje, poczuł silny, niemal zwierzęcy lęk. Czy coś mu się śniło? Tak, śniły mu się wieżowce na tle nocnego nieba, szybka jazda samochodem, kobiety z fryzurami z lat

osiemdziesiątych. Reminiscencje oglądanego wieczorem filmu, przyjemnego i spokojnego. To nie on był powodem jego lęku.

Zaczerpnął szybko powietrza, płytko, gwałtownie. Dym. Ale nie dym papierosowy. Coś się paliło!

Wyskoczył z łóżka, otworzył drzwi na korytarz. Zapach dymu był tu silniejszy, ale nadal niczego nie widział. Przy podłodze, tuż nad listwą, świeciły małe zielone lampki. Kącik, w którym stał telewizor, był pusty, drzwi do pokoju pielęgniarek były zamknięte. Nigdzie nikogo nie widział.

Marko musiał zapalić papierosa w swoim pokoju, a potem zapomniał go zgasić. Może nawet usnął.

Daniel nie potrafił sobie przypomnieć, które drzwi prowadziły do pokoju Marko. Zresztą to nie miało znaczenia, musiał obudzić wszystkich pacjentów. Dlaczego nie włączył się alarm? Zaczął po kolei otwierać drzwi, niektóre były zamknięte, ale te do pokoi pacjentów były otwarte. Na korytarzu było osiem pojedynczych pokoi, dokładnie takich jak ten, który mu przydzielono. Wszystkie były puste, widział świeżo zasłane łóżka. Kiedy zapalił światło w dziewiątym pokoju, zobaczył Marko. Mężczyzna leżał na łóżku w ubraniu i chrapał. Z dziury w materacu, jak z krateru wulkanu, dobywał się ciemny dym.

Podbiegł do łóżka. Wokół kupki popiołu, który kiedyś był papierosem, ziała wielka żarząca się dziura. Daniel chwycił leżący obok bawełniany koc i próbował gasić nim ogień.

Potężne ciało Marko kołysało się na materacu, chrapanie przybierało na sile, ale najdziwniejsze było to, że Marko nadal spał. Tabletki na sen, które mu podano, musiały być niezwykle silne.

– Obudź się, kretynie! – zawołał Daniel, uderzając kocem o płonący materac.

Marko wymamrotał jakieś przekleństwo. W tym momencie w innym miejscu materaca pojawił się nowy płomień. Daniel – zamiast stłumić ogień – najwyraźniej go rozniecał.

– Wstawaj! – zawołał znów. – Pali się!

Marko jęknął i odwrócił się, próbując niezdarnie podnieść swoje wielkie cielsko z łóżka. Wykonał jakiś ruch i nagle razem z materacem osunął się na podłogę. Ogień eksplodował, Daniel musiał się cofnąć. Materac dymił teraz jak fabryczny komin.

Ze ściany patrzyło na nich oko kamery. Daniel stanął przed nim i zaczął gwałtownie machać rękami. Najwyraźniej jednak nikt go nie widział.

Wybiegł na korytarz i zaczął wzywać pomocy. Wołał kilka razy, ale korytarz pozostał pusty. Szklane drzwi były nadal zamknięte, po ich drugiej stronie świecił

przycisk windy: czerwone oko w ciemności.

Czy to możliwe, że on i Marko byli sami na zamkniętym oddziale?

Zaczął biec korytarzem, rozglądając się za gaśnicą albo przyciskiem alarmu. Gdzieś musiało być wyjście ewakuacyjne.

Tuż obok telewizora zobaczył tabliczkę ze znajomą sylwetką biegnącego mężczyzny. Udało mu się otworzyć ciężkie metalowe drzwi, które – jak się okazało – prowadziły do wąskiej klatki schodowej oświetlonej świetlówkami, powietrze było tu czyste, bez dymu. Zaczął głęboko oddychać, walcząc z pokusą, żeby uciec. W końcu jednak pchnął drzwi i wrócił do pokoju Marko.

W ciągu tych kilku minut, kiedy go nie było, sytuacja zmieniła się dramatycznie. Dym był już niemal wszędzie, jakby ktoś pompował go do środka. Wypełniał całe pomieszczenie z wyjątkiem kawałka przestrzeni jakieś pół metra nad podłogą.

– Jesteś tam jeszcze, Marko? – zawołał Daniel.

Z pokoju doszedł go zachrypnięty kaszel.

Daniel zdjął T-shirt, pobiegł do toalety i zmoczył koszulkę. Następnie naciągnął ją na głowę tak, żeby zakrywała mu twarz, i wszedł na czworakach do środka, wykorzystując kieszeń powietrzną nad podłogą. Marko krzyczał coś w języku, którego nie potrafił zidentyfikować.

– Tutaj jestem! Musisz pełzać! – krzyknął. – Słyszysz mnie, Marko? Znalazłem wyjście ewakuacyjne.

Nie miał pojęcia, gdzie jest. Przez dym i naciągniętą na twarz koszulkę nic nie widział. Spływał potem. Miał wrażenie, że jest bardzo blisko ognia.

Nagle poczuł, że ktoś chwyta go mocno za rękę i wbija w skórę paznokcie, niczym szpony. Słyszał czyjś przyspieszony oddech. Pokonał odruch, żeby się wyswobodzić i próbował powiedzieć coś uspokajającego. Mokra koszulka przywierała mu do twarzy, czuł mdłości. Nadal pełzając, zmienił kierunek, próbując ciągnąć za sobą Marko w stronę drzwi. Boże, czemu on nie współpracował? Zamiast pełzać, Marko leżał nieruchomo na podłodze, trzymając się ręki Daniela. Słyszał jego szybki, urwany oddech. Może dostał zawału?

Chwycił go pod rękę i spróbował wlec po podłodze, ale nie udało mu się ruszyć potężnego cielska. Ile ten olbrzym mógł ważyć? Sto pięćdziesiąt kilogramów? Odpoczął chwilę i ponowił próbę. Czuł, jak jego ręce ześlizgują się ze spoconego ciała mężczyzny, ale nie poddawał się. Ciągnął z całych sił. Sunąc po podłodze wśród dymu, pokonywał kolejne centymetry. Wiedział, że musi dotrzeć do drzwi, zanim ogień się rozprzestrzeni i odetnie mu drogę.

Nagle uświadomił sobie, że wcale nie jest pewien, gdzie są drzwi. Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądał pokój, zanim wypełnił go dym. Zastanawiał się, jak

daleko zdołał się przesunąć. Pokój nie był duży. Wierzył, że sobie poradzi. Gdyby tylko Marko nie był taki ciężki i bezwładny, i taki spocony!

Daniel walczył dalej, oślepiony, zmęczony, podtruty dymem. Wszystko trwało zaledwie kilka minut, które jemu zdawały się godzinami. W pewnym momencie zapomniał już, kim jest, dlaczego tu jest i kogo za sobą ciągnie. Działał jak zwierzę, bezmyślnie, instynktownie.

Nagle gdzieś z daleka doszedł go dźwięk kroków. Krzyknął. Usłyszał hałas, ktoś uruchomił gaśnicę, słyszał, jak ktoś szepcze mu do ucha, żeby leżał spokojnie.

W jaki sposób dostał się do parku, tego nie pamiętał. Po prostu nagle siedział na ławce i oddychał czystym, chłodnym, alpejskim powietrzem.

– Niewiele brakowało – odezwał się jeden ze strażników.

– Co z Marko? – spytał słabym głosem.

– Trochę gorzej niż z tobą. Zabrali go na OIOM, ale dojdzie do siebie.

Daniel rozejrzał się po ciemnym parku. Wszystko wydawało mu się dziwnie spokojne.

– Nie ewakuujecie budynku? Jest pożar! – wykrzyczał zdziwiony.

– Pożar został ugaszony. Nie zdążył się rozprzestrzenić. Ściany między oddziałami są ognioszczelne.

Daniel przyglądał się sporemu budynkowi. Większość okien była ciemna. Nic nie wskazywało, że jeszcze niedawno szalały tu płomienie.

– Marko palił w łóżku – powiedział. – Materac się zajął, a alarm nie zadziałał. Powinien się włączyć, kiedy zapalił pierwszego papierosa.

– Pewnie go wyłączył.

– To możliwe?

Strażnik wzruszył ramionami.

– Dla chcącego nie ma nic trudnego, jak mawia mój ojciec. Dokąd chcesz iść? Przenieść się na inny oddział czy wrócić do domu? Jutrzejsze badania zostały odwołane. Nie jesteś w formie.

– Wolę wrócić do domu. A najchętniej do Szwecji.

Strażnik zagwizdał.

– Spokojnie, wszystko w swoim czasie. Odprowadzę cię.

Kiedy dotarli na miejsce, Daniel odwrócił się, żeby podziękować strażnikom.

Noc była jasna, w dole, w ciemnościach, spała dolina.

Nagle zobaczył, że najwyższy szczyt jest rozjaśniony, jakby był dzień. Mieniające się w dali zbocza lśniły srebrzyście, unosząc się w powietrzu niczym podniebny przybytek bogów. Jak to możliwe?

Po chwili zrozumiał, że to księżyc oświetlał wysoki górski szczyt. Cudowny

widok sprawił, że się rozplakał.

Jeden ze strażników położył mu rękę na ramieniu.

– Jesteś zmęczony. Powinieneś się położyć.

Nie miał dużo pakowania. Max zabrał prawie wszystkie jego rzeczy, ale musiał przecież wziąć coś do przebrania. Wybrał więc kilka rzeczy i włożył do niewielkiego plecaka.

Na dworze padał deszcz, hol tonął w mroku, w kominku palił się ogień. Kobieta w recepcji podniosła głowę znad segregatora.

– A, to ty Max. Niestety twój brat się nie odezwał.

Daniel wziął głęboki oddech i spojrzał jej poważnie w oczy. Uznał, że pora, żeby bomba wybuchła.

– Nie nazywam się Max. Jestem jego bratem bliźniakiem. Zamieniliśmy się miejscami.

Kobieta zmarszczyła brwi. Nie była już młoda, pewnie dobrze po czterdziestce, ale zachowała swoją urodę, chłodną i nadal robiącą wrażenie. Daniel odczekał chwilę i mówił dalej:

– Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Zgoliłem brodę, a on dokleił sobie sztuczną. Wziął ją z rekwizytorni. To był jego pomysł. Potrzebował pieniędzy na zapłacenie rachunku. Miało mu to zająć kilka dni, zaraz potem miał wrócić. Coś musiało mu się przytrafić.

– Ach tak – odezwała się kobieta, uśmiechając się niepewnie.

– Wyjeżdżam – oświadczył Daniel. – Nie mogę dłużej czekać. Chcę, żebyście wiedzieli, że zaszła pomyłka. Wypuściliście niewłaściwą osobę.

– Czyżby?

Daniel skinął głową.

– Chwileczkę – powiedziała kobieta.

Jej głos brzmiał neutralnie, na twarzy widać było zawodową uprzejmość. Podniosła słuchawkę, wybrała numer i czekała.

Podwójne drzwi do salonu były otwarte, ze środka dochodziły śmiechy.

Kobieta powtórzyła komuś słowa Daniela, potem zapadło milczenie. Czekala.

– Rozumiem – odezwała się nagle. – Tak, oczywiście. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę.

– Może powinniście zacząć go szukać? – rzucił Daniel.

– To raczej nie będzie konieczne.

– Może wkrótce wróci, ale ja muszę już jechać. Nie mogę dłużej czekać. Proszę go

ode mnie pożegnać. Jestem pewien, że mnie zrozumie.

Kobieta uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Bardzo wszystkim przepraszam. Zgodziłem się w tym uczestniczyć, żeby pomóc bratu.

– To miło z pana strony.

– Mam nadzieję, że wróci dobrowolnie.

– Tak, miejmy taką nadzieję – odpowiedziała kobieta.

Przyglądała się leżącemu na ladzie kluczowi z obrzydzeniem, jakby to był odrażający, a może i niebezpieczny robak.

– Taksówkę? – spytała cicho, nadal nie dotykając klucza.

– Poproszę. Jak rozumiem, do miasta nie ma stąd żadnego autobusu?

W oczach kobiety pojawił się błysk, roześmiała się z ulgą, jakby ktoś powiedział dobry dowcip, którego sens dopiero teraz do niej dotarł.

Nie dotykając słuchawki, zaczęła coś notować.

Daniel czekał. Ciepło z kominka docierało nawet do recepcji. Z salonu wyszło starsze małżeństwo z nastoletnim chłopcem, ruszyli w stronę wind.

Daniel odchrząknął. Kobieta podniosła głowę.

– Tak?

Wydawała się zdziwiona, że nadal tu stoi.

– Zapomniała pani o taksówce?

Uśmiechnęła się.

– Ach, tak. Taksówka.

Uśmiechnęła się szerzej, nieco sztucznie, nerwowo. Daniel miał wrażenie, że kobieta się boi, ale uznał, że to absurdalne.

Ogień w kominku oświetlał wypchane łby zwierząt na ścianie, sprawiając, że wyglądały niemal jak żywe. Lis uśmiechał się złośliwie, koziół wyglądał jak surowy wujek z brodą i zmarszczonym czołem.

– Więc jak? Wezwie pani taksówkę?

– Tak, za chwilę – zapewniła go kobieta. Uśmiech zniknął z jej ust, rozglądała się nerwowo.

Nagle Daniel zobaczył idącego sprężystym krokiem w jego stronę opiekuna, starszego pana o siwych skroniach. Mężczyzna wymienił szybkie spojrzenie z kobietą w recepcji i spojrzał surowo na Daniela.

– Ach, to ty. Podobno często tu ostatnio przychodzisz. Bardzo proszę, żebyś przestał żartować i nie przeszkadzał personelowi.

– Nie miał złych zamiarów – odezwała się kobieta, próbując załagodzić sytuację. – Taki niewinny żart.

– Na dłuższą metę dość męczący.

– Wszyscy żartują, że wyjada. Więc on też.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Byle nie przekroczył pewnych granic. Daj znać, gdyby stał się uciążliwy.

Opiekun wziął klucz i podał go Danielowi, jakby miał mu za złe, że nie pilnuje swoich rzeczy, i szybko odszedł.

Kobieta uśmiechnęła się do Daniela. Już się nie bała.

– Taksówkę, tak? – powiedziała głośno, wyprostowała się i zasalutowała. – Tak jest, natychmiast.

Roześmiała się z odegranej przez siebie scenki.

Po chwili znów pochyliła się nad segregatorem i wróciła do pracy.

Daniel był zdziwiony reakcją personelu. Początkowo nawet się ucieszył, że recepcjonistka potraktowała sprawę lekko. Poczul ulgę, że nie kazała mu się skontaktować z kierownictwem kliniki, nic nikomu tłumaczyć, wyjaśniać. Okazało się jednak, że jej beztroskie zachowanie i niechęć, by mu pomóc, wynikały po prostu z tego, że mu nie wierzyła.

Sam był sobie winien. Przez tydzień robił wszystko, żeby ją oszukać. I udało mu się.

Teraz w końcu wyznał jej prawdę. I nie zamierzał się przejmować, czy mu uwierzy, czy nie. Postanowił, że nie zostanie tu minuty dłużej. Nie będzie przechodzić kolejnych „testów”. Pod wieloma względami Rajska Dolina zapewne była rajem, ale jeśli chodzi o bezpieczeństwo pacjentów, to miał wiele zastrzeżeń. Fakt, że on i Marko zostali sami w nocy na zamkniętym oddziale, gdzie nie było nikogo z personelu, było pewnie niedopatrzaniem, a to, że akurat wtedy wybuchł pożar, nieszczęśliwym przypadkiem, ale jednak. Poza tym alarm powinien być zainstalowany tak, żeby nie można było go wyłączyć.

Do tej pory nikt z personelu nie raczył go nawet przeprosić. Daniel nie zamierzał jednak zostawać i czekać. Jeśli w klinice nikt nie zechce pomóc mu załatwić transportu, zwróci się do kogoś w miasteczku.

Idąc parkową aleją, spotkał mężczyznę z rakieta tenisową, który uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

- Masz ochotę na partyjkę? – rzucił mężczyzna.
- Chętnie bym zagrał, ale zamierzam wyjechać – odpowiedział Daniel.
- Jak wszyscy – odparł mężczyzna. – Ale zanim to nastąpi, należy korzystać z tego, co mamy.

Daniel skinął głową i zaczął schodzić ze zbocza.

Dotarł do miasteczka i zatrzymał się przy fontannie. Przyglądał się niepewnie brukowanym uliczkom rozchodzącym się gwiazdźście od niewielkiego rynku. Dokąd miał iść? Jedyne miejsce, jakie znał, to gospoda Hannelore. Nie sądził jednak, żeby była otwarta o tej porze dnia. Zobaczył niewielki sklep, postanowił wejść do środka.

Oferowany asortyment był bardzo różnorodny. Na półkach stała żywność, obok kosmetyki i filmy DVD, na wieszaku wisiały ubrania. Gdzieś w rogu stał mężczyzna,

dobrze zbudowany, szeroki w ramionach, najwyraźniej sprzedawca, ale nie okazał żadnego zainteresowania potencjalnym klientem.

– Przepraszam, muszę dostać się do najbliższego miasta – zaczął Daniel. – Jak rozumiem, nie ma tu lokalnego transportu. Sądzi pan, że mógłbym się z kimś zabrać? Oczywiście zapłacę.

Sprzedawca poprawił leżące na półce T-shirty i powoli odwrócił się do Daniela. Stał w rozkroku, ręce miał skrzyżowane na piersi. Żuł gumę i przyglądał się Danielowi.

– Kupuje pan coś?

Nagle mężczyzna wydał się Danielowi znajomy, gdzieś go już widział, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie. Pewnie w gospodzie.

– Czy coś kupuję? Nie, ale...

– To jest sklep. Jeśli nie zamierza pan niczego kupować, to jazda stąd – powiedział mężczyzna i wskazał na drzwi.

Kiedy podniósł rękę, rękaw koszuli poszedł do góry, ukazując tatuaż na przedramieniu. I w tym momencie Daniel przypomniał sobie, gdzie widział mężczyznę. W sali gimnastycznej kliniki, ćwiczył podnoszenie ciężarów. Był pacjentem? Pracującym z doskoku w miejscowym sklepie? A może mieszkańcy po prostu mieli swobodny dostęp do pomieszczeń gimnastycznych kliniki?

Daniel wyszedł ze sklepu.

Deszcz przestał padać, ale niebo nadal było zaciągnięte. Uliczki były puste. Ruszył przed siebie i wkrótce doszedł do drogi. Włożył kaptur, chwycił mocniej rzemyki plecaka.

Welony mgły zalegały nad doliną niczym mokre szmaty. Z daleka dobiegł go szum silnika, podniósł głowę i w oddali zobaczył samochód, który skręcał z szosy na główną drogę. Pomyślał, że to do niej powinien dojść. Może tam uda mu się zatrzymać jakieś auto? Ale droga leżała po drugiej stronie potoku, a nigdzie nie zauważył żadnego mostu. Poza tym, którym jechał, gdy po raz pierwszy przybył do kliniki, i który leżał zdecydowanie bardziej na wschód. Żeby do niego dotrzeć, musiałby wracać dobre kilka kilometrów, a na to nie miał ochoty. Pomyślał, że wkrótce pewnie dotrze do jakiegoś innego.

Deszcz znów zaczął padać, drobny, uporczywy. Po prawej stronie rosły kępy drzew liściastych, nagle spomiędzy nich wyłonił się traktor, ciągnący za sobą przyczepę. Zarówno traktor jak i przyczepa wyglądały jak miniaturki, przypominały maszyny używane w parkach do pielęgnacji terenów zielonych. Przyczepa była wypełniona sporymi kawałkami drewna.

Daniel zatrzymał pojazd.

– Jestem w drodze do najbliższego miasteczka. Podrzuci mnie pan kawałek?

Prowadzący traktor miał rzadką brodę, siwe włosy, sięgające mu do ramion, a na głowie duży kowbojski kapelusz. Daniel zwrócił się do niego po niemiecku, ale mężczyzna odpowiedział mu po angielsku z amerykańskim akcentem.

– Jesteś szalony.

– Nie jestem pacjentem, jeśli to miał pan na myśli – odparł Daniel poirytowany.

Mężczyzna spojrzał na niego podejrzliwie.

– W porządku – powiedział w końcu.

Daniel przyjrzał się dokładniej traktorowi i zrozumiał, dlaczego mężczyzna się zawahał. Maszyna była mała, nie było w niej miejsca dla pasażera.

Mężczyzna ponaglił go niecierpliwym gestem.

Daniel obszedł traktor, wdrapał się na przyczepę, stanął z tyłu przy samej krawędzi i chwycił się mocno żelaznego pręta. Przyczepa szarpnęła i ruszyli do przodu.

Po chwili droga skręciła i zaczęli piąć się pod górę. Daniel miał wrażenie, że poznaje okolicę. To właśnie tutaj kilka dni temu był z Maxem na rybach. Zza drzew dobiegał go szum potoku, który w tym miejscu płynął wartko, pieniąc się. Droga stawała się coraz bardziej stroma i nierówna, przyczepa podskakiwała, Daniel ledwie był w stanie ustać.

Słyszał dźwięk dzwonek, gdy mijali zbocza, gdzie jasnobrązowe krowy stały na deszczu i przeżuwały trawę. Wspinali się coraz wyżej, byli już prawie przy Żwirowisku. Widoczne we mgle świerki wydawały mu się wyższe, szczuplejsze i bardziej eleganckie niż ich szwedzcy kuzyni.

Nagle ciągnik się zatrzymał.

Znaleźli się przed domem, który stylem przypominał te z miasteczka. Miał drewniane okiennice i balkon z rzeźbioną drewnianą poręczą. Tyle tylko, że domek był pomalowany na ostry róż, niektóre jego elementy były w kolorze zielonej limonki, kanarkowej żółci i fioletu. Okiennice zostały pomalowane w czarno-białe pasy. Na balustradzie wisiała tabliczka z odręcznym napisem: „Tom’s place”.

Naprzeciwko domku był niewielki tartak, na podwórzu leżały stosy drewna, jego zapach unosił się w powietrzu. Werandę zdobiły groteskowe figury z drewna.

Mężczyzna wszedł na górę po schodkach. Czyżby szedł po kluczyki do jakiegoś pojazdu? Może chciał po kogoś zadzwonić? Daniel odczekał chwilę, ale kiedy mężczyzna nie wracał, postanowił pójść za nim.

Wszedł do pomieszczenia, które kiedyś zapewne było salonem, a teraz zostało przerobione na warsztat. Między brudnymi meblami tapicerskimi stał stół stolarski, leżący pod nim zniszczony perski dywan był zasypany wiórami.

Także tutaj stały dziwnie powykręcane drewniane kloce, które z czasem pewno zamienią się w kolejne rzeźby. Mgła i otaczające dom świerki sprawiały, że wszędzie panował półmrok, jakby zbliżał się wieczór. W domu było chłodno, pachniało starym dymem papierosowym.

– Chcesz mi coś sprzedać? – spytał mężczyzna w kowbojskim kapeluszu.

Przez podartą tapicerkę fotela, na którym siedział, wychodziło włosie.

Daniel pokręcił głową zdezorientowany.

– Prosiłem tylko o podwiezienie.

Mężczyzna parsknął i zdjął kapelusz. Wokół głowy miał opaskę, splecioną z kawałków różnokolorowej włóczki z doczepionymi pomponikami. Brudną zamszową kurtkę zostawił na sobie, podobnie jak kowbojskie buty. Nachylił się, zapalił stojącą na podłodze lampę i zaczął znaczyć coś kredą na kawałku drewna, nad którym właśnie pracował.

– Robi pan ładne rzeczy – powiedział Daniel.

Odczekał chwilę, a kiedy mężczyzna nie odpowiedział, ciągnął dalej:

– Zna pan kogoś, kto może podrzucić mnie do autobusu albo na stację kolejową?

Oczywiście za zapłatą.

Mężczyzna był najwyraźniej zbyt zajęty pracą, żeby odpowiedzieć. Daniel milczał i czekał. Mężczyzna podniósł głowę i skrzywił się.

– Jesteś szalony. Cholernie szalony – powiedział. – Od początku wiedziałem – dodał tonem, w którym pobrzmiwało zarówno współczucie jak i pogarda.

Daniel przełknął ślinę.

– Myli mnie pan z moim bratem. Co zrozumiałe, bo jesteśmy bliźniętami. Nie spotkał go pan przypadkiem w mieście? Maxa?

Mężczyzna znów parsknął i powrócił do pracy.

– Odwiedziłem go w klinice i teraz wracam do siebie – ciągnął Daniel.

Mężczyzna wstał z fotela i uklęknął obok kawałka drewna, nad którym pracował. Zmrużył oczy i przyglądał się drewnu z różnych stron, odsunął je nieco od siebie, by po chwili znów przysunąć je bliżej. Cały czas poruszał wargami, wydając ciche, niewyraźne dźwięki. Daniel musiał podejść bliżej, żeby usłyszeć, co mówi.

– Cholernie szalony, cholernie...

Daniel nie wiedział, co powiedzieć. Cofnął się i zaczął się przyglądać stojącym obok figurom. Zrobiły na nim wrażenie i w jakiś dziwny sposób go poruszyły. Z uformowanych przez naturę kawałków drewna powstały twarze tak sprawnie wyrzeźbione, że miało się wrażenie, że zawsze tam były.

Niektóre postaci były wyraźnie przerysowane, inne przypominały płody: skulone, z zamkniętymi oczami, płaskimi nosami i dłońmi wyglądającymi jak łapy

psa. Obok drzwi stała figura mężczyzny wzrostu pięciolatka. Postać miała w sobie coś leniwego, wręcz debilnego. Ciężkie powieki, wysunięta do przodu szczęka, służąca za popielniczkę.

Daniel odchrząknął.

– Ty jesteś Tom?

Pytanie było właściwie zbędne, bo imię było widoczne praktycznie wszędzie. Zostało wyryte dużymi literami na każdej figurze, wytrawione na każdym narzędziu wiszącym nad stołem stolarskim. Daniel zauważył, że widniało nawet na drewnianej podstawie lampy. Powtarzało się też na statywie lampy, niczym runy na lasce runicznej. Najbardziej widoczne były jednak zrobione sprayem jaskraworóżowe litery nad oparciem kanapy. „TOM”. Każdy przedmiot w tym pomieszczeniu wydawał się naznaczony. Jakby mężczyzna obawiał się, że ktoś skradnie mu jego imię. Albo jakby sam nie był do końca pewien, jak ma na imię, i musiał bez przerwy sobie o tym przypominać.

– W porządku, Tom. Ja jestem Daniel.

Podał mężczyźnie rękę.

Tom spojrział na nią, jakby była liściem albo chmurą, czymś na co nawet nie warto zareagować.

– Szaleniec, totalny świrus – wymamrotał pod nosem, nie odrywając się od pracy.

– Robisz ładne rzeczy – powtórzył Daniel. Opuścił dłoń i pokiwał głową. – Jesteś artystą?

– Pracuję w drewnie – wycedził Tom przez zęby.

– Widzę.

Daniel zrozumiał, że nie ma co oczekiwać pomocy ze strony tego dziwaka. Popełnił błąd, zabierając się z nim. Powinien jak najszybciej stąd odejść. Do miasta miał co prawda jeszcze kawałek drogi, ale jeśli będzie trzymał się potoku, powinien trafić bez problemu.

Sięgnął po plecak, który zostawił na podłodze, otrzepał go z wiórów i założył.

– Cieszę się, że zobaczyłem twoje dzieła sztuki, ale muszę wracać do doliny. Może znajdę kogoś, kto mnie podrzuci. Wiesz, gdzie jest najbliższa stacja kolejowa?

Tom podniósł wzrok. Przyglądał się Danielowi z zainteresowaniem.

– Nie najlepiej się czujesz, tak?

– Nie najlepiej. Faktem jest, że...

– Czułbyś się znacznie lepiej, gdybyś był z drewna. Mógłbym cię co nieco poprawić. Na przykład poprawiłbym ci brodę.

– Moją brodę? – Daniel był wyraźnie zaskoczony.

– Jest krzywa. Przekrzywiona w prawo. Chociaż nie, powiedziałbym raczej, że za wcześnie się zaczyna. Tak jest, za wcześnie, kurde.

Tom zmrużył oczy, spojrzął na Daniela i skierował w niego ostrze noża. Po chwili zaczął wykonywać nim okrągłe ruchy, jakby rzeźbił w powietrzu.

Daniel przeciągnął ręką po brodzie, zakasłał.

– Dziękuję, że mi to wszystko pokazałeś, Tom. Robisz naprawdę świetne rzeczy. Powodzenia.

Ledwie wyszedł z pokoju, gdy nagle usłyszał wściekły głos Toma.

– To ty ukradłeś moje drewno?

Odwrócił się zdziwiony.

– Co takiego?

– Mam odłożone drewno, nad potokiem. Wzięłeś je?

W nagłym przebłysku pamięci Daniel przypomniał sobie stos drewna nad potokiem, w miejscu gdzie łowił ryby z Maxem. I wymalowane sprayem litery „T O M”. Wtedy uznał, że jest to jakiś skrót. Max twierdził, że może spokojnie wziąć kilka szczap. „Znam faceta”, powiedział.

A więc to był ten facet. Stary hipis, paranoik, który odleciał kilka razy za dużo i wylądował w chacie w szwajcarskiej dolinie.

Stos składał się z kilkuset kawałków drewna, Daniel wziął pięć, może sześć sztuk. Czyżby Tom za każdym razem liczył je wszystkie?

– Nie ruszałem twojego drewna, Tom – powiedział. Starał się brzmieć spokojnie.

– Poderżnę gardło każdemu, kto je tknie – oznajmił Tom rzeczowo, przeciągając nożem po szyi. – Całe drewno w dolinie należy do mnie. Tylko ja mam prawo na wycinkę. Jeśli potrzebujesz drewna, musisz je ode mnie kupić.

– Oczywiście – potwierdził Daniel i skinął głową. – Oczywiście – powtórzył. – Będę pamiętał.

Tom wydawał się zadowolony. Podszedł do stojącego w kącie adapteru i sięgnął po starą winylową płytę. Po chwili z głośników huknęła muzyka, pomieszczenie wypełniły ciężkie jak ołów rozedrgane dźwięki gitary Jimiego Hendrixa.

Tom pokiwał głową zadowolony i powrócił do rzeźbienia. Unosił rytmicznie ramiona, wykrzywiał usta i kiwał głową jak kura. Wycofał się do swojego świata, w którym Daniel nie istniał.

Powrót do miasteczka zajął mu dobrą godzinę.

W dolinie zalegała mgła, jakby ktoś postanowił uszczelnić nią szparę między górskimi szczytami. Co jakiś czas mgła się unosiła i wtedy świat wokół znów stawał się zadziwiająco jasny i klarowny.

Nagle wysoko nad zwirowiskiem zobaczył samochód. Trwało to dosłownie dwie sekundy, potem mgła znów wszystko zakryła. Nie wiedział, że jest tam droga. Po chwili usłyszał dźwięk silnika kolejnego samochodu, który, niewidoczny we mgle, jechał w przeciwnym kierunku po drugiej stronie potoku. A może to był ten sam samochód? Może kierowca miał coś do załatwienia w miasteczku i teraz wracał inną drogą?

Tak czy inaczej, obie drogi były daleko. Robił się wieczór, a Daniel był głodny. Postanowił spędzić jeszcze jedną noc w domu Maxa. Jutro znów spróbuje złapać jakąś okazję. Przejdzie przez most na wschód od kliniki, żeby od początku iść właściwą stroną potoku.

Znów zobaczył zamglone światła samochodu na drodze na zboczu zwirowiska. Miał wrażenie, że to ten sam samochód, który widział już wcześniej, który najpierw jechał na wschód, potem na zachód po drugiej stronie potoku, a teraz najwyraźniej znów zmierzał na wschód. Można by pomyśleć, że zatoczył koło wokół doliny.

Daniel był zmęczony, miał mokre ubranie, marzł. Kiedy w końcu zobaczył przed sobą na zboczu szklaną fasadę kliniki, odetchnął z ulgą. Ze zdziwieniem stwierdził, że poczuł się bezpieczny. Jak w domu. Wrócił do kliniki po stoczonych sporach z niegrzecznymi mieszkańcami miasteczka i zdziwaczalnymi odludkami. Teraz potrzebował odpocząć i coś zjeść.

W domku nie było jedzenia, resztki zjadł przed wyjściem. Pomyślał, że jeśli stołówka będzie otwarta, może zjeść tam. Spokojnie, bez nerwów, nie musząc udawać Maxa.

Park tonął w szarej mżawce. Dookoła było pusto, ale kiedy przechodził obok basenu, zobaczył, że ktoś w nim pływa. Pewnie jakiś pacjent. Zatrzymał się. To była kobieta. Pływała tam i z powrotem, od czasu do czasu zanurzała się, żeby po chwili znów wypłynąć na powierzchnię. Jej krótko obcięte włosy przylegały do głowy, ramiona błyszczały od wilgoci.

Przyglądał się jej zafascynowany. Kiedy skończyła, chwyciła się krawędzi basenu

i podciągnęła do góry. W błyszczącym kostiumie i zaczesanymi do tyłu włosami przypominała lwa morskiego.

– Sądziłam, że jestem tu sama – powiedziała.

– Szedłem do stołówki. Pani już jadła? – zdobył się na odwagę Daniel.

– Wiesz, że nigdy nie jadam w stołówce.

– Nic nie wiem. Nie jestem Maxem, tylko jego bratem bliźniakiem. Max wyjechał i prawdę mówiąc, wątpię, żeby zamierzał wrócić. Oszukał mnie i zostawił tu samego. Niestety okazało się, że łatwo jest tu przyjechać, a znacznie trudniej stąd wyjechać.

Kobieta roześmiała się. Daniel zauważył, że jest bardzo piękna. Obserwował jej twarz, ciało, jej wdzięczne ruchy. Wszystko było doskonałe. Gdyby zauważył to wcześniej, pewnie nie odważyłby się jej zaczepić.

– O wiele trudniej, to prawda – powiedziała, zarzucając na plecy żółte prześcieradło kąpielowe. – Właściwie nie lubię dużo jeść, chyba że po basenie. Wtedy robię się głodna jak wilk.

Znów się uśmiechnęła, pokazując ostre zęby, jak u zwierzęcia.

– Wtedy jem chętnie i dużo. Coś smacznego, a do tego kieliszek dobrego wina. Elegancko podanego. Czyli: idziemy do restauracji.

Jedną ręką wskazała na główny budynek kliniki, drugą chwyciła Daniela za ramię, jakby byli dobrymi znajomymi. Mimo że był to zwykły, przyjacielski gest, Daniel poczuł pożądanie.

– Nie wiem, czy mnie na to stać – wymamrotał pod nosem.

– Ale mnie stać. Jestem bogata jak troll. Pójdę się przebrać i za dwadzieścia minut spotkamy się w holu.

Czterdzieści pięć - nie dwadzieścia - minut później zjawiała się w holu. Stała obok kanapy i grupy foteli przy kominku, gdzie siedział Daniel. Miała na sobie krótką, obcisłą sukienkę z błyszczącego materiału i nagie ramiona. Na nogach miała szpilki, wyjątkowo wysokie, ale w przeciwieństwie do większości kobiet, zdawała się nie mieć najmniejszych problemów z poruszaniem się na tak wysokich obcasach. Weszła do holu, rozejrzała się i podbiegła do niego. Kiedy się nad nim pochylała i musnęła ustami jego policzek, poczuł zapach jej perfum.

– Chodź. Jestem głodna – zaczęła marudzić.

Przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę na swoich wysokich szpilkach, próbując wyciągnąć go z fotela.

Nagle zwróciła się do kobiety w recepcji.

– Co dzisiaj podają?

Kobieta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– A więc czeka nas niespodzianka. Tak czy inaczej zawsze są dwa dania do wyboru. Żeby stworzyć wrażenie swobody – mówiła dalej.

Wzięła Daniela pod rękę i razem ruszyli w stronę windy. Pozwolił, by go prowadziła. Nadal czuł się lekko zamroczony zapachem jej perfum.

– Swoboda wyboru! – powtórzyła. Wcisnęła guzik windy i roześmiała się głośno. – Czy to nie zabawne?

Daniel nie wiedział, czy sprawiła to mgła za oknem, czy fakt, że siedział przy stole z piękną, obcą kobietą zamiast ze swoim bratem, ale nastrój w restauracji wydał mu się inny niż kiedy był tu poprzednio. Światło było przytłumione, sala wydawała się mniejsza. Nie mógł sobie przypomnieć, czy czerwone aksamitne zasłony były tam wcześniej, a już na pewno nie przypominał sobie cichej nastrojowej muzyki.

Kobieta podeszła do niewielkiego stolika w kącie, usiadła i zaczęła studiować leżącą na stole kartę.

– Polędwica z jelenia czy pierś kaczki? Co wybierasz? Ja wezmę pierś kaczki. Pierś kaczki! Czy to nie brzmi dziwnie?

Chwyciła swoją pierś, jakby ważyła ją w dłoni. Pierś była duża i nieco dziwnie obła. Daniel zaczął się zastanawiać, czy nie była z silikonu.

– Tak jak już mówiłem, trochę kiepsko u mnie z gotówką – powiedział.

– Przestań marudzić! Mam pieniądze. Jestem bogata.

Włosy zdążyły jej przeschnąć i były teraz znacznie jaśniejsze, niemal białe. W uszach miała ogromne srebrne kolczyki, poza tym jednak nie nosiła żadnej biżuterii.

– Poprosimy szampana! – zawołała.

Kiedy Daniel chwilę później stuknął swoim wysokim, jasnoróżowym kieliszkiem o jej kieliszek, zaczął się nagle zastanawiać nad wydarzeniami dnia. Rano wyruszył stąd z plecakiem na plecach, a teraz siedział w restauracji kliniki, pijąc szampana z piękną, bogatą pacjentką. Wszystko toczyło się nieco za szybko, miał wrażenie, że nie nadąża, a jednocześnie jakby stał w miejscu.

Podano jedzenie. Kobieta przytupywała obcasami pod krzesłem, niecierpliwiąc się jak dziecko.

– Boże, jaka jestem głodna. Miesiącami mogę nie jeść nic porządnego. Nawet nie myślę o jedzeniu. A potem nagle robię się potwornie głodna, zamieniam się w czarną dziurę, która pochłania wszystko.

Jest w manii, pomyślał Daniel. Ale jest bardzo piękna.

Kobieta jadła szybko, niemal żarłocznie, popijając jedzenie haustami wina. Strużka czerwonego trunku pociekła jej z ust, wylądowała na obrusie.

– Mam fatalne maniery – stwierdziła, ocierając usta wierzchem dłoni.

– Wino jest naprawdę dobre.

– Tak? Nawet nie zdążyłam poczuć.

Wzięła jeszcze kilka kęsów i nagle odłożyła sztućce.

– Boże, ale się najadłam.

– Już?

Odsunęła talerzyk gwałtownym ruchem, wytarła usta lnianą serwetką i odłożyła ją na bok.

– Widziałem, że na deser jest ciasto czekoladowe – powiedział Daniel.

Kobieta pokręciła stanowczo głową.

– Przez kilka tygodni nie będę w stanie wziąć czegokolwiek do ust. Jestem jak pyton. Połykam wołu, a potem przez miesiąc głoduję. Opowiedzieć ci coś? Ale nie ręczę, że historia jest prawdziwa. Pewna dziewczyna miała pytona. Karmiła go szczurami i świnkami morskimi, spał w jej łóżku. Zwijał się w nogach jak pies. Pewnego razu przestał jeść. Przez kilka tygodni nie tknął niczego, nawet jednej świnki morskiej. Dziewczyna się zaniepokoiła i wzięła go do weterynarza. Ten spytał, czy zauważyła jakieś inne zmiany w jego zachowaniu. Odpowiedziała, że tak. Pyton zwykle sypiał skulony w nogach łóżka, ale ostatnio kładł się obok niej, wyciągnięty jak człowiek. Wtedy weterynarz powiedział, że kiedy pyton upatrzy sobie większy łup, potrafi głodzić się nawet kilka miesięcy, a potem kładzie się obok swojego łupu, żeby lepiej poznać jego wymiary. Myślisz, że to prawdziwa historia? Opowiadał mi ją znajomy z Londynu.

– Nie bardzo chce mi się w to wierzyć – powiedział Daniel.

Kobieta wzruszyła ramionami, wyjęła z torebki lusterko i sprawdziła makijaż.

– Zjadłam nawet szminkę. Naprawdę musiałam być głodna! – wykrzyknęła.

Wyjęła szminkę, pomalowała wargi na ciemny róż, odcień był inny niż poprzednio. Wykrzywiła usta, dotknęła palcami swoich krótkich włosów. Schowała lusterko.

– Masz ochotę spędzić romantyczny wieczór? We dwoje, ty i ja.

– A co dokładnie masz na myśli?

– Dobrze wiesz. Napijemy się wina. Będziemy tańczyć i zalecać się do siebie w świetle księżyca.

– Pada deszcz – zauważył Daniel, wskazując głową na okno.

– Tym lepiej. Będziemy musieli skryć się w twoim domku. Zdejmiemy mokre ubrania i będziemy grzać się przy kominku.

Roześmiał się.

– Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

– Bzdura. Wszyscy to wiedzą.

– Ja nie. Nie jestem pacjentem. Przyjechałem odwiedzić brata... – zaczął jej tłumaczyć i nagle urwał. Zaczął się zastanawiać, który to już raz powtarza tę historię.

– Tak?

Kobieta nachyliła się nad stołem wyraźnie zaintrygowana, a on wpatrywał się w jej dekolt.

– Max i ja jesteśmy bliźniakami. Poprosił, żebyśmy zamienili się miejscami na kilka dni. Miał wrócić, ale oszukał mnie. Zostawił mnie tu samego.

– Fajnie.

Kobieta zauważyła, że ma jeszcze trochę wina w kieliszku, wypłała je pośpiesznie.

– Wyjdiesz zapalić?

– Nie palę.

– Nie pytałam, czy palisz, tylko czy wyjdiesz ze mną zapalić.

Kobieta zdążyła już wyjąć z torebki papierosa i zapalniczkę.

– W porządku – odpowiedział.

Zjechali windą, wyszli na zewnątrz i stanęli na schodach pod daszkiem. Gdzieś w ciemnościach padał deszcz. Kobieta zapaliła papierosa, zaciągnęła się. Wciągnęła chciwie dym, po czym go wypuściła.

– Mam wrażenie, że to dobra klinika – powiedział Daniel z lekkim wahaniem.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś był tu tak długo jak ja.

– A jak długo tu jesteś?

Kobieta milczała chwilę zamyślona. Wypuściła dym, kółka tańczyły w ciemnościach.

– Osiem lat.

– Osiem lat? Bez żadnej przerwy?

Skinęła głową.

– Ale chyba czasem wychodzisz na przepustkę?

– Żartujesz?

– Ile masz lat?

– Trzydzieści trzy. Moi rodzice dopilnowali, żebym tu trafiła. Moi rodzice! – powiedziała gorzko. – Chociaż wiedzieli, że nigdy stąd nie wyjdę. A może właśnie dlatego to zrobili?

Daniel zaczął się zastanawiać, jakie to uczucie spędzić swoje najlepsze lata w tego rodzaju klinice.

– Może to nieco bezczelne pytanie, więc jeśli nie chcesz, to nie odpowiadaj, ale jaką postawiono ci diagnozę? – spytał ostrożnie.

– Przypuszczam, że taką samą jak w twoim przypadku.

– W moim?

– Wszyscy cierpimy na to samo.

– Nie zapominaj, że to nie ja jestem chory, tylko mój brat.

– Kretyn – zachnęła się kobieta.

Paliła dalej, nie patrząc na niego.

Daniel opowiedział jej całą historię, o groźbach mafii, o tym, jak zgolił brodę, a Max doczepił sztuczną. Słyszał, jak niewiarygodnie to brzmi. Sam ledwie w to wierzył. Oczekiwał, że kobieta za chwilę wzruszy ramionami i puści kolejne kółko dymu, ale ku jego zdziwieniu ona nagle upuściła papierosa. Patrzyła na niego, a jej oczy robiły się coraz większe.

– To prawda? Czy może mówisz mi to wszystko, żeby zrobić na mnie wrażenie?

– To wszystko prawda – powiedział Daniel zmęczony.

Spojrzała na niego nowym wzrokiem.

– No proszę! Niewiarygodne. Dlaczego ja nie mam siostry bliźniaczki, która zamieniłaby się ze mną miejscami? To niesprawiedliwe!

– Więc mi wierzysz?

– Oczywiście.

– Dlaczego?

Papieros leżał na schodach, żarzył się. Przydeptała go szpilką.

– Bo to niesamowita historia. Nawet najgorszy kretyn nie wymyśliłby czegoś równie głupiego. Ale jest jeszcze coś – powiedziała i zamilkła. Przyglądała mu się chwilę. – Czuję, że jesteś inny. Już prawie zapomniałam, jak zachowują się tacy ludzie jak ty.

– Tacy ludzie jak ja?

– Jesteś taki żywy. Roztaczasz wokół siebie niezwykłą aurę. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nie. Nawet nie wiem, o czym mówisz.

– Posiadam szczególny dar. Widzę aurę różnych ludzi. Niektórzy mają mocną aurę, inni słabą. Twoja jest silna. I bardzo piękna.

– Ma jakiś kolor?

– Jest zielona. Szmaragdowa. Odkąd tu przyjechałam, pierwszy raz taką widzę. Aura Maxa była biała, metaliczna. Jak burza.

Daniel roześmiał się.

– Wrócimy do restauracji? Nie marzniesz? Masz gołe ramiona.

– Możesz mnie objąć, jeśli chcesz.

– Tak – powiedział Daniel, ale nie ruszył się. – Powinniśmy wrócić. Nie

zapłaciliśmy rachunku.

– I co z tego? Wiedzą, gdzie nas szukać, prawda? Przestało padać. Chodź, przejdziemy się. To nasz romantyczny wieczór, pamiętasz?

Wzięła go pod rękę i pociągnęła za sobą do parku. Dookoła panowały cisza i spokój, z drzew kapały krople deszczu. Jej ręka była zimna, idąc ocierała się o niego biodrem. Czuł jej obecność. Ale, pomyślał, kiedy szli alejkami w wilgotnej ciemności, nie spędza się ośmiu lat w klinice psychiatrycznej bez powodu.

– Myślisz, że mam coś nie tak z głową? – spytała, jakby czytała w jego myślach.

– Prawdę mówiąc, uważam, że mieszkańcy doliny mają bardziej nie po kolei w głowie niż pacjenci kliniki – powiedział.

Zaczął jej opowiadać o swoich przygodach. O tym, jak poprosił Toma o podwiezienie i jak to się skończyło. Słuchała go z szeroko otwartymi oczami.

– Byłeś u niego w domu? Jak tam wygląda?

– Ma mnóstwo drewnianych figurek, które najwyraźniej sam rzeźbi.

– Pewnie jakieś okropieństwa. Widziałeś coś jeszcze?

– Nie, ale sprawił na mnie dziwne wrażenie. Wiesz, co to za człowiek?

– Tom? – roześmiała się schrypniętym głosem. – Zamawiam u niego drewno. Przywozi je do mojego domku i układa pod ścianą, bardzo porządnie. Ale nigdy bym do niego nie poszła. Boże, jesteś jak jagnię prowadzone na rzeź!

Nagle naprawdę się zaniepokoiła.

– Powiedziałaś mu, że zamieniłeś się z bratem?

– Tak.

– Jak na to zareagował?

– Stwierdził, że jestem szalony. Bez przerwy to powtarzał.

– Komu jeszcze o tym powiedziałaś?

Daniel zastanowił się chwilę.

– Facetowi w sklepie. Ale nie chciał mnie słuchać.

– A personelowi kliniki?

– Też. Rozmawiałem z jedną z recepcjonistek.

– I nikt ci nie uwierzył?

– Nikt.

Kobieta odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

– Niczego nie zauważyli? Cudowne!

Daniel nie bardzo rozumiał, co w tym było takiego cudownego.

– Rozmawiałeś z którymś z lekarzy?

– Nie. Miałem się zgłosić do Giseli Obermann, ale odmówiłem.

– Ona by cię przejrzała. Jest ekspertem. Od razu zauważy, że nie jesteś Maxem.

– Myślisz, że pomogłaby mi stąd wyjechać?

– Natychmiast wsadzi cię w samochód i odeśle na lotnisko. Będzie chciała jak najszybciej się ciebie pozbyć, żebyś nie zdążył donieść o dziurawym systemie bezpieczeństwa. Boże, ale będzie wściekła. Powiedziałeś o tym któremuś z pacjentów?

– Nie. Właściwie z nikim nie rozmawiam.

– Dobrze. Nie rób tego.

– Dlaczego?

Odwróciła się do niego, uszczypnęła go w brodę i w policzki i przyglądała mu się chwilę z dziwnym uśmiechem na ustach.

– Bo wtedy cię zjedzą, kochanie. A tego nie chcę. Jeśli ktoś miałby cię zjeść, to tylko ja. Jesteś moim małym barankiem, wyłącznie moim.

Usłyszeli kroki, a zaraz potem głosy. Daniel podniósł głowę. W parku pojawili się ludzie, nadchodzili z różnych stron, spieszyli się. Niektórzy kierowali się w stronę głównego budynku, inni zmierzali do domków. Nie miał przy sobie zegarka, ale domyślił się, że pewnie zbliżała się dwunasta. W ciągu ostatnich dni nauczył się rozpoznawać nastrój napięcia tuż przed nocnym patrolem. Teren wokół kliniki, który jeszcze przed chwilą wydawał się pusty, nagle zaroił się od pacjentów, zmierzających do swoich pokoi i domków. Zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby ludzie nie byli na swoich miejscach o tej magicznej godzinie.

– Chyba już pora – powiedział.

Kobieta nadal trzymała jego twarz w swoich dłoniach, czuł, jak jej paznokcie wbijają mu się w skórę.

– Kiedy wszystko się uspokoi, przyjdę do twojego domku. Pocałuję cię na dobranoc. Obiecuję, że nie pożałujesz.

– Nadal nie wiem, jak masz na imię.

Puściła go i podała mu rękę. Szczupłą, ale silną.

– Samantha – powiedziała.

Odwróciła się i zaczęła iść przez trawnik. Jej szpilki zapadały się w mokrej ziemi, zachwiała się. W końcu zniknęła za krzakami.

Daniel ledwie zdążył wrócić do domku, kiedy usłyszał szum silnika elektrycznego samochodziku, a zaraz potem pukanie do drzwi. Dzisiaj wieczorem nocny patrol najwyraźniej zaczynał się od niego.

– Widzę, że nadal jesteś z nami, Max. Ciesz się mnie to – powiedziała opiekunka.

Zauważył, że była to ta sama kobieta, która przed południem była w recepcji. To ona nie chciała wezwać taksówki.

Nie odpowiedział. Wiedział już, że patrol zawsze bardzo się spieszył i nikt raczej

nie oczekiwał jego odpowiedzi. Zadawane pytania czy rzucane uwagi były tak naprawdę stwierdzeniem: wiemy, że tu jesteś. Zawsze ktoś z patrolu wchodził do środka i zamieniał kilka zdań z pacjentem. Druga osoba tylko zaglądała do środka. Daniel zauważył, że patrol miał z sobą niewielki laptop, który najwyraźniej odgrywał rolę listy obecności.

Skinął uprzejmie głową i patrol zniknął. Po chwili usłyszał pukanie do kolejnych drzwi, a potem szum włączanego silnika.

Nalał sobie whisky i zaczął się zastanawiać, czy Samantha złożyła mu propozycję seksualną. Chyba nie można było zrozumieć tego inaczej. Ale czy rzeczywiście? No i czy miał ją przyjąć, czy odrzucić?

Wyjrzał przez okno. Zastanawiał się, gdzie był jej dom? Najwyraźniej nie mieszkała w głównym budynku, bo nie poszła w stronę kliniki. Zaczęło wiać, drzewa w parku kołysały się, zasłaniając od czasu do czasu latarnie, światło falowało.

Daniel wziął prysznic i usiadł w fotelu. Popijał whisky i nasłuchiwał dźwięku szpilek. Po godzinie zrezygnował z dalszego oczekiwania, poczuł ulgę, ale i zawód. Poszedł do łóżka, zostawiając otwarte drzwi.

Kiedy zasnął, śniło mu się, że ktoś leży obok niego w łóżku i głośno oddycha. W słabym, migoczącym świetle wpadającym do domku z zewnątrz zobaczył potężnego węża, który unosi łeb z poduszki i przygląda mu się swoimi czarnymi, błyszczącymi oczami.

Obudził się i zrozumiał, że był to sen. Ale nie do końca, bo obok niego rzeczywiście ktoś leżał. Szczupła istota, ubrana w coś obcisłego i błyszczącego, przyglądała mu się wsparta na łokciu, po chwili podczołgała się do niego bliżej i wczepiła w jego usta.

Gdyby nie znajomy zapach perfum – ciężkich i słodkich jak kadzidło albo przejrzały owoc – pewnie zaczęłby krzyczeć przerażony.

– Czyż mój sposób mówienia dobranoc nie jest lepszy? – wyszeptała Samantha i zaczęła ściągać mu kalesony.

Daniel co prawda nadal trwał we śnie, ale jego członek był w stanie pełnej gotowości. Samantha usiadła na nim okrakiem i zaczęła go ujeżdżać, najpierw powoli, potem coraz szybciej, i znów powoli, miał wrażenie, że zaraz coś w nim pęknie.

Nagle ześlizgnęła się z niego, skuliła w pozycji płodowej i odwrócona do niego plecami zaczęła wyrzekać:

– Niech to szlag!

– Co się stało? – zdziwił się przestraszony.

– Znalazłam śliczne jagnię, które zaraz mnie opuści. Pójdiesz do doktor Obermann, a ona natychmiast każe ci stąd wyjechać. Niech to szlag!

Rozpłakała się, a on zaczął ją nieco niezdarnie gładzić po jej czarnym gorsecie.

Po chwili Samantha wstała i narzuciła na siebie płaszcz.

– Może doktor nie będzie w stanie zorganizować transportu tak szybko – powiedziała z pewną nadzieją w głosie i zaczęła wkładać buty. Nagle znieruchomiała, spojrzała na niego. – Widać, że pochodzisz z północy.

– Jak to?

– Kiedy szczytujesz, twoja aura zamienia się w zorzę polarną. To niesamowite. Szkoda, że tego nie widzisz. Dobranoc.

Ruszyła do drzwi, ale znów się odwróciła.

– Mam nadzieję, że będziesz tu przynajmniej jeszcze jutro wieczorem. Przyjdę do ciebie i będziemy się pieprzyć do upadłego, baranku.

Początkowo widział tylko światło. Mocny, oślepiający blask sprawił, że kiedy wszedł do gabinetu doktor Obermann, musiał się na chwilę zatrzymać i zasłonić oczy. Wielkie panoramiczne okna sięgały do samej podłogi, wpadające słońce odbijało się od błyszczących bukowych desek i białych ścian. Zdziwił się nieco, ponieważ idąc przez park, nie zauważył słońca. Może nie zdołało się przedrzeć przez drzewa, może jego promienie sięgały jedynie najwyższych pięter budynku? Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do światła, zobaczył, że pokój lekarki był duży i bardziej przypominał gabinet dyrektora jakiejś dużej firmy niż gabinet lekarza.

Gisela Obermann i pozostali lekarze przyjmowali na piątym piętrze, najwyższym w nowoczesnym szklanym budynku, położonym tuż za głównym gmachem kliniki. Hol był wysoki jak katedra. Daniel musiał przejść przez dwie pary zamkniętych drzwi, następnie zgłosić się do portiera, który zadzwonił do lekarki, sprawdzając, czy rzeczywiście jest z nią umówiony. Dopiero wtedy pozwolił mu wejść do szklanej windy. Najwyraźniej lekarze byli dobrze chronieni.

Gisela Obermann wstała.

– Witam. Cieszę się, że zmieniłeś zdanie. Twój przypadek ma duże znaczenie dla nauki – powiedziała.

Daniel nie potrafił stwierdzić, czy mówiła poważnie, czy też w jej głosie była ironia.

– W jakim sensie? – spytał, nie ruszając się z miejsca.

– W takim, że tu jesteś, że uczestniczysz w spotkaniach, że szczerze nam wszystko opowiadasz. To jest twój wkład – tłumaczyła mu doktor Obermann spokojnie.

Wyszła z biurka i ruszyła w stronę kanapy i foteli, surowych i nieco topornych w formie.

Usiadła na jednym z nich, poprosiła Daniela o zajęcie miejsca w drugim. Dopiero teraz, kiedy odwrócił się plecami do słońca, mógł się jej lepiej przyjrzeć. Była około czterdziestki, wysoka, szczupła, miała ładne nogi i dość pospolitą twarz. Gęste jasnoblonde włosy były uczesane na bok, zasłaniały jej czoło i policzki.

– Powtórzę jeszcze raz: bardzo sobie cenię twoją obecność, Max. Jak wiesz, możesz na tym tylko zyskać. I dużo stracić, jeśli nie będziesz się stawiał na nasze

spotkania. A chyba nie są one bardzo wyczerpujące? Po prostu rozmawiamy chwilę.

Uśmiechnęła się, Daniel spróbował odwzajemnić jej uśmiech. Naprawdę niczego nie zauważyła? Samantha twierdziła, że doktor Obermann natychmiast wyczuje różnicę.

– A więc zaczynajmy. Nasze spotkanie jest jak zawsze filmowane – powiedziała. Odchyliła się wygodnie w fotelu, skrzyżowała nogi.

Daniel rozejrzał się. Dostrzegł dwie niewielkie kamery na statywie na ścianie, okrągłe soczewki wyglądały jak oczy nakryte powieką. Jedna była skierowana na niego, druga na lekarkę.

– Wszystko w porządku? Mam wrażenie, że nie możesz się skupić.

– Wszystko jest w porządku.

– Dobrze.

Doktor Obermann sięgnęła po papiery, które trzymała na kolanach. Daniel zauważył zdziwiony, że chyba obgryza paznokcie. Jej dłonie wyglądały jak dłonie dziecka, jakby należały do kogoś innego. Zmarszczyła czoło, skupiła się na czytaniu, po chwili podniosła głowę.

– Podobno ostatnio byłeś niespokojny. Coś się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania?

Daniel zwlekał z odpowiedzią.

– Odwiedził cię brat, prawda? – powiedziała, jakby chciała mu pomóc.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Myśmy nigdy nie rozmawiali. Pani i ja, doktor Obermann – powiedział w końcu. – Pani myli mnie z moim bratem. Co zresztą było naszym zamiarem. Przykro mi, ale oszukaliśmy wszystkich.

Teraz to zrozumie, pomyślał. Na pewno.

– W jaki sposób? – spytała lekarka neutralnym tonem.

– Na pewno widzi pani, że nie jestem Maxem, chociaż jesteśmy do siebie bardzo podobni. Nazywam się Daniel Brant, przyjechałem tu w zeszłym tygodniu w odwiedziny do Maxa, mojego brata bliźniaka. Popadł w tarapaty i musiał wyjechać na kilka dni, żeby załatwić różne sprawy. Ponieważ nie mógł dostać przepustki, zgodziłem się z nim zamienić. Prawdę mówiąc, nie jestem do końca pewien, czy tak naprawdę było, ale Max najwyraźniej tak to zrozumiał. Ponieważ jesteśmy bliźniakami jednojajowymi, udało nam się wszystkich oszukać.

– Chwileczkę! – zawołała Gisela Obermann. Wychyliła się do przodu, wyraźnie zainteresowana. – Twierdzisz, że nie jesteś Maxem, tylko jego bratem bliźniakiem?

Daniel skinął głową i uśmiechnął się przepraszająco.

– Jeśli dobrze mi się pani przyjrzy, z pewnością pani to zauważy. Max miał

wrócić najpóźniej w piątek wieczorem, w zeszłym tygodniu. Dzisiaj jest już wtorek, a ja nadal nie mam od niego żadnych wiadomości. Może odezwał się do pani? Albo do kogoś innego w klinice?

Doktor Obermann nie odpowiedziała, zanotowała coś w papierach.

– Możesz powiedzieć coś więcej o tej zamianie?

Daniel zaczął opowiadać, a lekarka słuchała go uważnie.

– Chwileczkę – przerwała mu nagle. – Dlaczego zwracasz się do mnie: doktor Obermann? Zwykle mówisz mi po imieniu.

– Ale przecież my się nie znamy. Jeśli pani woli, mogę mówić pani po imieniu. Możemy też rozmawiać po niemiecku, to zdaje się jest pani język ojczysty. Znam dobrze niemiecki. Byłem kiedyś tłumaczem.

Doktor Obermann westchnęła i przewróciła oczami.

– Tak, wiem, robiłeś wiele różnych rzeczy. Jak jednak wiesz, językiem urzędowym kliniki jest angielski. Tak jest najprościej. Poza tym możesz zwracać się do mnie, jak chcesz. Ale ja nadal będę mówiła do ciebie Max. Rozumiem, że postanowiłeś coś przede mną odegrać. Wiem, że lubisz żarty, ale nie jestem dzisiaj w nastroju.

– To mój brat lubi żarty, nie ja – sprostował Daniel zły. Uderzył dłonią o podłokietnik fotela. – Chcę wyjaśnić sprawę i jak najszybciej stąd wyjechać. Nazywam się Daniel Brant, czego niestety nie mogę udowodnić, ponieważ Max zabrał wszystkie moje dokumenty. Musi mi pani uwierzyć na słowo.

– Niestety nie wierzę ci.

Kobieta przekręciła nieco głowę i uśmiechnęła się do niego niemal czule.

– Dlaczego? – zdziwił się Daniel.

– Bo jesteś mitomanem. Kłamiesz i konfabulujesz.

– Mój brat, nie ja.

Gisela Obermann wstała i podeszła do biurka. Zaczęła stukać w klawiaturę komputera, wpatrując się w milczeniu w ekran.

– Hm – powiedziała w końcu. – Twój brat przybył tu piątego lipca. Wyjechał we wtorek, siódmego lipca.

– Ja przyjechałem tu piątego lipca. Max wyjechał stąd we wtorek, siódmego lipca. Przykleił sobie brodę, wziął ją z rekwizytorni tutejszego teatru, a ja swoją zgoliłem. Proste, prawda? Jak w operetce. Naprawdę nie wierzyłem, że to może się udać. Ale skoro jesteśmy bliźniętami jednojajowymi...

– Nie jesteście bliźniakami – przerwała mu lekarka.

Odwróciła się na krześle tak, że teraz patrzyła prosto na niego.

– Daniel jest dwa lata starszy od Maxa.

– Bzdura. Macie błędne dane.

– Daniel urodził się... – zerknęła na ekran. – Dwudziestego ósmego października 1975 roku – dokończyła. – Tak jest tu napisane.

– To się zgadza.

– A Max urodził się... O, mam: drugiego lutego 1977 roku.

– Nie – zaprotestował Daniel. – To nie tak. Urodziliśmy się oczywiście tego samego dnia.

Gisela Obermann posłała mu długie spojrzenie. Podniosła się, stanęła obok kanapy i zaczęła wyglądać przez panoramiczne okno gabinetu. W ostrym świetle wydała mu się nagle stara i zmęczona.

– Co to za gra, Max? Przecież my wiemy o tobie wszystko. Tam, na zewnątrz, na pewno łatwiej ci oszukiwać ludzi, ale tutaj jest to bez sensu. Co chcesz przez to zyskać?

– Mam nadzieję, że mi uwierzycie i pomożecie się stąd wydostać – powiedział Daniel zniecierpliwiony. – Macie błędne informacje. Najwyraźniej Max was okłamał. Jest w tym dobry. Ale nie zamierzam tracić więcej czasu na tę rozmowę. Wiercie, w co chcecie, ale ja stąd wyjeżdżam. Nie macie prawa mnie tu zatrzymywać.

Wstał i szybkim krokiem ruszył do drzwi.

– Chwileczkę – zawołała za nim doktor Obermann.

Odwrócił się. Dopiero teraz zauważył wspaniały widok na dolinę z pokrytymi śniegiem szczytami w tle. Doktor Obermann zdążyła znów zająć miejsce w fotelu. Siedziała wygodnie odchyłona do tyłu, lekko uśmiechnięta.

– Co dokładnie masz na myśli, mówiąc: stąd?

– Z kliniki, oczywiście. Z tej przeklętej doliny – odpowiedział i coraz bardziej zły chwycił za klamkę.

Drzwi były zamknięte.

Nie zauważył żadnego klucza czy gałki, którą można było przekreślić.

– Z Rajskiej Doliny? – upewniła się doktor Obermann ze swojego fotela.

Daniel odwrócił się do niej.

– Tak. Wiem, że komunikacja jest kiepska, a mieszkańcy miasteczka niezbyt skorzy do współpracy. A może dostali od was specjalne instrukcje? Tak czy inaczej zamierzam opuścić to miejsce, choćby na piechotę.

Lekarka roześmiała się krótko.

– Jesteś bardzo przekonujący. Gdybym nie znała sprawy, mogłabym ci uwierzyć.

Znów chwycił za klamkę, chociaż wiedział, że nie ma to sensu. Nie wyjdzie stąd, dopóki lekarka nie zgodzi się go wypuścić. Na wieszaku obok drzwi wisiał jej jasny

letni płaszcz. Daniel stał z ręką na klamce i przyglądał mu się. Gisela Obermann milczała.

– Nie mogę wyjść, kiedy chcę? – zawołał rozdrażniony. – Zamkniecie mnie tu?

– Nikogo nie zamykamy. Możesz wyjść, kiedy zechcesz. Zamknęłam drzwi, żeby inni nam nie przeszkadzali. Tyle tylko że nie skończyliśmy naszej rozmowy, Max. Prawdę mówiąc, zadziwiłeś mnie dzisiaj.

– Zadziwiłem? – powtórzył Daniel, odwracając się w jej stronę. – Jeden z waszych pacjentów uciekł. Powinno was to zaniepokoić. Coś mogło mu się stać, nie pomyśleliście o tym? Zachowujecie się nieodpowiedzialnie. To wszystko, co mogę powiedzieć. Może mnie pani teraz wypuścić?

– Oczywiście. Mam nadzieję, że będziemy mogli kontynuować tę rozmowę innego dnia. Może w końcu do czegoś dojdziemy.

Gisela Obermann wróciła do biurka.

Daniel nadal przyglądał się wieszakowi. Wydał mu się dziwny. Wyciosany z drewna, nie pasował do minimalistycznego wystroju gabinetu. Kiedy przyjrzał mu się dokładniej, zauważył, że wyrzeźbione w drewnie figury przywierają do siebie plecami. Ich dłonie miały rozcapierzone palce, na jednym z nich wisiał płaszcz doktor Obermann. Nad nim widać było wyrzeźbione w drewnie dwie podłużne twarze, każda zwrócona w swoją stronę. Jedna miała zamknięte oczy i usta, jakby spała, druga była rozbudzona, a jej otwarte usta niemal krzyczały.

Już miał powiedzieć coś na ten temat, kiedy usłyszał kliknięcie zamka. Nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

– Do widzenia, Max – powiedziała Gisela Obermann zza biurka. – Zajrzyj do mnie, kiedy będziesz miał ochotę.

W windzie Daniel odwrócił się plecami do swojego odbicia w lustrze i oparł czoło o chłodną szklaną ścianę windy. Dlaczego Max podał błędną datę urodzenia? Czyżby naprawdę opuścił klinikę na zawsze?

Nagle przypomniał sobie opowieść brata o mężczyźnie przeprowadzającym ludzi łodzią przez rzekę do piekła. Niech ktoś inny przejmie wiosła, pomyślał.

Gospoda Hannelore cieszyła się tego wieczoru dużym powodzeniem. Daniel przysiadł się do dużego stołu, przy którym siedzieli goście.

Corinne zdążyła już zacząć występ. Tym razem była przebrana za marynarza. Miała na sobie szerokie spodnie, marynarkę z granatowymi wyłogami i marynarską czapkę z niewielkim frędzelkiem. Akompaniujący jej na akordeonie mężczyzna, przebrany za kapitana, występował w marynarskiej czapce i białym mundurze. Śpiewali niemieckie piosenki marynarskie, występ był równie teatralny i niesmaczny jak piosenka z dzwoneczkami, ale też niepozbawiony pewnego

wdzięku.

Daniel usiadł przy tym samym stole co podczas poprzedniej wizyty. Z tyłu, w kącie. Właśnie kończył swój drugi kufel piwa. Ludzie tłoczyli się w niewielkim ciemnym lokalu, szklane listki świeczników mieniły się żółcią i czerwienią jak jesienne liście. Musi znaleźć tu kogoś, kto podwiezie go do miasta. Jak najszybciej i bez wiedzy kliniki.

Oczy Corinne ukryte pod brązową grzywką błędziły po lokalu. Zerknęła to w lewo, to w prawo, a po chwili, kołysząc się na boki, jakby rzeczywiście była na statku podczas burzy, podeszła do jego stolika. W pewnym momencie miał wrażenie, że śpiewa tylko dla niego. W przytłumionym świetle świec widział jej makijaż: jasnoniebieskie cienie na jej powiekach sięgały niemal do brwi, ich jaskrawy odcień przypominał kolor skrzydeł egzotycznego motyla.

Wyciągnął dłoń jak zahipnotyzowany i dotknął jej ręki. Corinne mrugnęła do niego i wróciła na swoje miejsce obok akompaniatora.

Jak dobrze znała Maxa? Czy zechce mu pomóc, jeśli wytłumaczy jej swój problem?

Po zakończonym występie pozostał na miejscu. Czekał, aż Corinne do niego podejdzie. Ale ona zniknęła gdzieś w głębi lokalu i nie pokazywała się.

Kiedy kukulka w zegarze obwieściła wpół do dwunastej, zaczęto się zbierać. Daniel opuścił gospodę i w chłodnym deszczu ruszył szybkim krokiem w stronę kliniki jak większość gości.

Kiedy otworzył drzwi do domku, gdzieś z lewej strony doszedł go niski głos.

– Lubisz późno wracać?

Zobaczył żarzący się papieros, czerwone oko w ciemności, za nim majaczył cień sąsiada, ciemniejszy odcień mroku.

– Dobrze cię znów widzieć, Marko. Dobrze się czujesz? – spytał Daniel.

Nie dostał odpowiedzi, więc postanowił mówić dalej.

– Byłem w miasteczku, na piwie.

Marko oddychał ciężko, przez nos. Brzmiał bardziej jak stary pies niż jak człowiek. Daszek nad wejściem chronił go od deszczu, który cały czas mżył.

– Robisz, co chcesz – wycedził przez zęby. – Ja po zmroku nigdzie się nie ruszam. Wolę nie ryzykować.

– Bardzo rozsądnie. Dobranoc.

Ciekawe, czy w ogóle gdziekolwiek się rusza z własnej woli, pomyślał Daniel. Marko wydawał mu się przyspawany do ściany.

Wszedł do domu, włączył komputer i otworzył mejl Corinne sprzed tygodnia. Postanowił jej odpisać.

„Podobał mi się twój dzisiejszy występ. Byłaś świetną dziewczyną marynarza.

Czy twoja propozycja pikniku nadal jest aktualna? Jeśli tak, to chętnie gdzieś się z tobą wybiorę.

Przepraszam, że dopiero teraz odpowiadam, ale sprawy nieco się skomplikowały. Wszystko ci wytłumaczę”.

Zawahał się chwilę, ale w końcu podjął decyzję. Podpisał mejl: Max.

Jak tylko wysłał mejla, w drzwiach stanęła opiekunka.

– Wszystko w porządku, Max?

– Tłumaczyłem już, że jestem bratem Maxa. Nikt pani tego nie powtórzył? – spytał poirytowany.

– Nie przypominam sobie – odpowiedziała kobieta niemal radośnie. – Podać ci coś na sen?

Otworzyła torbę i zaczęła w niej czegoś szukać.

– Nie, dziękuję.

Komputer wydał cichy dźwięk, spojrzał na monitor i zobaczył, że Corinne mu odpowiedziała.

Otworzył mejl.

„Koło fontanny jutro rano o dziewiątej”.

Krótko, zwięzła odpowiedź.

Powietrze było chodne i czyste. Jego zapach niósł wspomnienia z dzieciństwa, ale Daniel nie potrafił sobie przypomnieć czego. Nagle dotarło do niego, co to było i dlaczego czuł się taki zdezorientowany. Powietrze pachniało śniegiem, co w środku lipca było dość niespodziewane. Zbocze było zielone, porośnięte koniczyną i dzwonkami.

Kiedy spojrział na górską grań po drugiej stronie doliny, którą w duchu nazywał Ścianą, zauważył, że rosnące nieco niżej drzewa nie były zielone, tylko białe. A kiedy powędrował wzrokiem wyżej, odkrył, że Żwirowisko nie sprawiało tak ponurego wrażenia jak zwykle. Szczyt mienił się w słońcu i skrzył, jakby ktoś posypał go cukrem.

Wczorajszy deszcz zamienił się w górach w śnieg. Widok był piękny i zaskakujący.

Szli zboczem, wąską ścieżką, którą wybrała Corinne.

Miała na sobie gruby zielony sweter, włosy spięte po bokach dwiema spinkami. Ledwie ją poznał, kiedy zobaczył ją przy fontannie. Na jego widok skinęła głową i ruszyła przed siebie bez słowa. Dołączył do niej i wkrótce wyszli z miasteczka.

– Co to jest? – spytał nagle.

Corinne spojrzała w dół zbocza.

– Zwierzęta, które tu, na wsi, nazywamy krowami.

– Nie, nie chodzi mi o krowy. Tam dalej, w dole – powiedział Daniel, wskazując na coś, co wyglądało jak grecka świątynia.

– To Cmentarz Trędowatych. Nigdy tu nie byłeś? Chodź, pokażę ci.

Podeszli bliżej, zobaczył poczerniałe, pochylone krzyże otoczone żeliwną barierką. Nieco wyżej wznosiła się niewielka kamienna świątynia, którą widział już wcześniej z daleka. Była nieco mniejsza niż jego alpejski domek. Prowadziły do niej szerokie schody, znikające gdzieś na zboczu, frontowa fasada była gładka, dach wspierał się na kolumnach.

– Monumentalny grobowiec. Prawdziwe mauzoleum. Kto tu jest pochowany?

– Nie mam pojęcia. Pewnie ktoś ważny i bogaty. Tacy też pewnie umierali na trąd – powiedziała Corinne. – Cmentarz należał do klasztoru. Mieszkańcy mieli własny, przy kościele. Nie chcieli, by ich bliscy leżeli obok trędowatych.

Corinne zdjęła sweter, położyła go na wilgotnych schodach i usiadła. Wyjęła

z plecaka chleb, ser i butelkę cydru. Daniel usiadł obok niej na kurtce.

– Świetne miejsce na piknik – powiedziała, nalewając mu do kubka cydr. – Kiedy tu przyjechałam, często tu przychodziłam. Siadałam na schodach i rozmyślałam. Teraz nie lubię przychodzić tu sama. Z tobą to co innego.

Oparła się o kamienną kolumnę, zamknęła oczy i zaczerpnęła powietrza.

Daniel przyglądał się jej. Było oczywiste, że znała Maxa, ale jak dobrze? Pewnie nie za bardzo. Nikt nie znał Maxa dobrze. Spali ze sobą? Pewnie tak. Zastanawiał się, jak zareaguje, jeśli położy rękę na jej udzie.

Przypomniała mu się dziewczyna w Londynie. Przed wyjazdem widział ją jeszcze raz. Wpadł na nią przy ladzie dużego sklepu z nabiałem. Kiedy go zobaczyła, zrobiła się blada, odstawiła koszyk i szybko wyszła ze sklepu.

Słońce zaczęło przygrzewać, ale zapach śniegu nadal unosił się w powietrzu. Na zboczach pasły się krowy, w tle widać było zaśnieżone szczyty. Obrazek jak z pudełka szwajcarskich czekoladek, pomyślał Daniel. Zamknął oczy i zaczął nasłuchiwać dźwięku dzwonków. Rozbrzmiewały to tu, to tam.

– Brzmia bardzo przyjemnie – powiedział.

– Z daleka tak. Z bliska to straszny hałas – weszła mu w słowo Corinne. – Dlatego podczas występu muszę bardzo uważać. Zawsze wtedy myślę o tych biednych krowach, które muszą się tak męczyć.

– To znęcanie się nad zwierzętami – zgodził się z nią Daniel.

Corinne ukroiła plasterek sera.

– Przypuszczam, że po jakimś czasie wszystkie są już głuche jak pień – powiedziała.

– Albo piekielnie szumi im w uszach.

Corinne podała Danielowi kawałek sera na czubku noża.

– Spróbuj. Został zrobiony z mleka tych krów. Rajska Dolina ma własną mleczarnię. Sporo sobie życzą, ale co robić? To jedyna mleczarnia w dolinie. Nie mają konkurencji.

Daniel wziął ser do ust, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Corinne mówiła już dalej.

– Mam dosyć tej doliny.

– Więc czemu tu tkwisz?

Rzuciła mu pospieszne spojrzenie.

– Ja nie pytam ciebie, dlaczego ty tu tkwisz.

– Spytaj, jeśli chcesz.

– Nie chcę.

Jedna z krów podeszła do ogrodzenia cmentarza, stała i stukała rogami o żeliwny

płatok, dzwonek hałasował. Daniel musiał podnieść głos:

- Gdybyś nie mieszkała w Rajskiej Dolinie, to gdzie chciałabyś mieszkać?
- Czysto hipotetycznie?
- Tak.

Corinne spojrzała w niebo, zaczerpnęła powietrza i powiedziała:

– W jakimś dużym europejskim mieście. Gdzie mogłabym występować w teatrze i robić to, co lubię. Wystawiać własne sztuki. Reżyserować. Jestem aktorką z wykształcenia.

Daniel pokiwał głową.

– Domyśliłem się.

Chciał dodać: Pojadę z tobą. Będę cię utrzymywał, aż znajdziesz swój teatr. Jestem tłumaczem. Mogę pracować wszędzie.

Przez moment nawet to sobie wyobraził, całą sytuację w najmniejszych szczegółach. Corinne i on w mieszkaniu w starej kamienicy przy parku. Corinne w jeansach i T-shircie, i w okularach słonecznych. Siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami w promieniach słońca, prześwitujących przez gałęzie drzew na zewnątrz. W piegowatych dłoniach trzymała scenariusz.

– Wczoraj jadłeś kolację z Samanthą – odezwała się nagle Corinne.

Daniel wzdrygnął się. Samantha. Kobieta, która od ośmiu lat przebywała w klinice. Nie widział jej od tamtego wieczoru i niemal uwierzył, że ich spotkanie było tylko snem, a przynajmniej jego druga część.

– Skąd wiesz? – spytał zdziwiony.

Corinne wzruszyła ramionami, ukroiła plasterek sera. Krowa przestała trzeć rogami o ogrodzenie i teraz przyglądała się im uważnie przez sztachetki ozdobione rzędem niewielkich krzyży. Dzwonek milczał.

– Mieszkańcy miasteczka wydają się być w stałym kontakcie z kliniką – powiedział. – Większość gości w gospodzie to pacjenci, prawda? Mam wrażenie, że wielu z nich wczoraj rozpoznałem.

– Naprawdę? – spytała ironicznie.

– Bogaci klienci, którzy nie mają innych rozrywek.

– Pewnie masz rację. Do czego zmierzasz?

– Domyślam się, że wiele osób w miasteczku żyje z pacjentów kliniki. To duże przedsięwzięcie. Pacjentów jest pewnie więcej niż mieszkańców miasteczka. Część z nich pewno pracuje w klinice. W kuchni, sprząta.

– Oczywiście.

– Kierownictwo kliniki jest przyjaźnie nastawione do mieszkańców. Pozwala im korzystać z sali gimnastycznej, z biblioteki, z basenu. A wy pewnie w zamian

donosicie komu trzeba, jeśli któryś z pacjentów na przykład planuje ucieczkę. Mam rację?

Corinne roześmiała się, pokręciła głową i zaczęła zawijać ser w woskowany papier.

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

– Jesteś pierwszą miłą osobą, którą tu spotkałem – ciągnął Daniel. – Wszyscy inni byli niesympatyczni. Nikt nie chciał mi pomóc.

Corinne siedziała nieruchomo z serem w ręku i przyglądała się Danielowi wyraźnie skonsternowana. Krowa znudziła się nimi i pasła się teraz dalej na zboczu.

– Pomóc ci? W czym? – spytała Corinne.

– Pewnie myślisz, że rozmawiasz z Maxem? Znasz go? Pamiętasz tego brodatego, długowłosego faceta, który w zeszłym tygodniu był z nim w gospodzie? Jego brata?

Corinne skinęła głową. Wyglądała na przestraszoną.

– Zaraz wszystko ci wytłumaczę – powiedział Daniel.

I tak zrobił.

Corinne siedziała, bawiła się bransoletką i zerknęła na niego spod oka.

– Bliźniaki? – spytała.

Daniel skinął głową.

– Wierzysz mi?

– Sama nie wiem. To może tłumaczyć fakt, że tak dziwnie mówisz. I inaczej się zachowujesz. Różnicie się.

– Musisz pomóc mi się stąd wydostać, Corinne. Nikt inny mi nie wierzy. Jak daleko jest stąd do najbliższego miasta?

Corinne roześmiała się.

– Daleko.

– Masz samochód?

– Nie mam nawet prawa jazdy.

– Ale pewnie znasz kogoś, kto ma samochód?

Spojrzała na niego smutno.

– Nic z tego. Chętnie bym ci pomogła. Wierz mi. Ale tylko lekarze mogą to zrobić. To oni o wszystkim decydują.

– O tobie też?

Zagryzła wargi i milczała.

Daniel pochylił się nad nią i powtórzył pytanie:

– O tobie też?

Corinne spuściła głowę i powiedziała cicho:

– O mnie też. O wszystkich.

Daniel chciał zaprotestować, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, powietrze przeciął przeraźliwy dźwięk, jakby wrzask. Dochodził z pobliskiej kępy świerków, dziki ryk, raczej zwierzęcia niż człowieka.

Co to? – wyszeptała Corinne.

Pierwszą myślą było, że ryczy jakaś krowa, ale jasnobrązowe krowy na zboczu wydawały się zadowolone, poza tym żadnej nie brakowało, pasły się dalej niewzruszone, co mogło potwierdzać teorię Corinne, że były głuche jak pień.

W tym momencie rozległ się kolejny ryk, jeszcze bardziej przeraźliwy niż poprzedni.

– To krzyczy człowiek – stwierdził Daniel i wstał. – Zdarzył się wypadek.

Spojrzał w stronę kępy drzew i nagle poczuł dłoń Corinne na swojej ręce.

– Nie idź tam – zakazała mu stanowczo. – Wezwę pomoc, ale nie idź tam.

Zacząła nerwowo szukać czegoś w plecaku, wyjęła komórkę.

– Nie idź tam – powtórzyła.

Wybrała numer, przyłożyła komórkę do ucha, przytrzymując dłonią rękę Daniela.

Mężczyzna – Daniel nie miał już żadnych wątpliwości, że był to głos mężczyzny – krzyczał dalej, gdzieś w głębi lasu.

Daniel wyswobodził się z jej uchwytu i zaczął biec w stronę zbocza.

Minęło kilka sekund, zanim jego oczy przestawiły się ze słońca na mrok lasu. Najpierw zobaczył jednego mężczyznę, stał w rozkroku z kowbojskim kapeluszem wciśniętym na czoło. Natychmiast go rozpoznał. To był Tom, szalony stolarz – rzeźbiarz.

Dopiero po kilku sekundach zobaczył drugiego mężczyznę. Stał przywiązany do pnia sosny. Był nagi. Jego chude, owłosione ciało niemal nie odróżniało się od kory pnia. Gdyby nie krew. Ciemnoczerwona i gęsta, która tryskała z ran i spływała strużkami po tułowiu i udach.

Scena wydawała się wzięta żywcem z czasów, gdy składano ludzi bogom w ofierze. Przerazająca i nierzeczywista.

– A to za osiemnastą szczapkę drewna – powiedział Tom uroczyście.

Zaczął powoli zbliżać nóż do brzucha unieruchomionego mężczyzny. Połaskotał go lekko czubkiem ostrza, przyglądając się uważnie jego zwróconej do góry twarzy. Mężczyzna zaczął krzyczeć, Tom cofnął nóż.

– Czego wrzeszczysz? Jeszcze cię nie tknąłem.

Związany mężczyzna spojrzał na swój brzuch, a wtedy Tom roześmiał się

i przeciągnął nożem tuż pod jego pępkiem. Mężczyzna zastygł, po chwili zaczął wyc jak zwierzę.

Daniel stał oniemiały. Żaden z mężczyzn chyba go nie zauważył.

Gdzieś w pobliżu pasły się krowy. Nie widział ich, ale słyszał ostry metaliczny dźwięk dzwonków, który mieszał się z wyciem mężczyzny. Miał wrażenie, że znalazł się w koszmarnej śnie.

– Wzięłeś czternaście sztuk drewna? – krzyczał Tom. – Czternaście, tak? A może więcej?

Facet kompletnie oszalał, pomyślał Daniel.

Do kogo zadzwoniła Corinne? Czy w miasteczku był jakiś komisariat? Pewnie nie. A na mało skłonnych do pomocy mieszkańców raczej nie można było liczyć. Może Corinne zawiadomiła klinikę? Mężczyzna zaraz się wykrwawi. Poza tym Tom w każdej chwili mógł zadać mu ostateczny cios.

Dźwięk dzwonków i krzyki mężczyzny tłumiki kroki Daniela, kiedy skradał się łukiem za drzewami, żeby w końcu zatrzymać się za świerkiem tuż za Tomem. Dotknął niechcący iglastych gałęzi, które się zakołysały. Tom wzdrygnął się, podskoczył i przykucnął jak żaba. Przyglądał się uważnie kołyszącej się gałęzi. Daniel zamarł.

W szczelinie między drzewami widział, jak Tom podchodzi bliżej i chwyta ręką za gałąź. Za chwilę jego kryjówka zostanie odkryta. Bał się, że zemdleje.

Ale myśli Toma wędrowały własnymi drogami. Wydawał się bardziej zainteresowany rozkołysaną gałęzią niż tym dlaczego się zakołysała.

– Świerk – powiedział zamyślony. Pociągnął lekko za gałąź. – Bardzo dobrze – dodał zadowolony. – Wypruję ci flaki i nafaszeruję igliwiem.

W pierwszej chwili Daniel pomyślał, że Tom jednak go zauważył i mówi do niego. Podniósł dłoń, żeby ochronić się przed ciosem, ale właśnie w tej chwili Tom puścił gałąź i ponownie zwrócił się do przywiązanej do drzewa mężczyzny.

– Tak właśnie zrobię! – zawołał zadowolony, że wpadł na tak świetny pomysł. – Nafaszeruję cię igliwiem, tak jest! – ciągnął niezrażony.

Daniel przyglądał mu się zza gałęzi, słuchając potoku słów, płynącego z jego ust. Zauważył, że im bardziej Tom się podniecał, tym luźniej trzymał nóż. W pewnym momencie wypadł mu po prostu z ręki.

Daniel starał się ocenić odległość między Tomem a leżącym na ziemi nożem. Tom poruszał się lekko, zwinnie, szybko jak młody człowiek, ale miał pod sześćdziesiątkę, był siwy, miał bruzdy na twarzy i nie wyglądał na szczególnie silnego. Ile czasu minie, zanim się zorientuje, że zgubił nóż i znów po niego sięgnie? Kilka sekund? Potem będzie już za późno. Na wszystko, pomyślał Daniel. Nie zdoła

uratować ani przywiązanego do drzewa mężczyzny, ani siebie.

Wyszedł zza drzewa i kilkoma szybkimi szusami znalazł się za plecami Toma. Ten jednak niczego nie zauważył, stał, mówił coś, gestykulując. Daniel chwycił go lewą ręką za szyję i rzucił na ziemię. Kapelusz poleciał w powietrze, uderzył Daniela w twarz, zadziwiająco lekko i miękko jak kwiat wełnianki.

Daniel usiadł okrakiem na wąskiej piersi mężczyzny, próbując unieruchomić jego ręce i nogi. Tom wił się pod nim, pluł, parskął. Daniel miał wrażenie, jakby walczył ze zwierzęciem. Dzikim, niebezpiecznym i podstępny.

Tom sięgnął po leżący na ziemi nóż, zbroczony krwią jego ofiary.

Daniel podskoczył i z całej siły nadepnął na dłoń Toma. Rozległ się trzask, jakby ktoś złamał gałąź. Nóż poleciał na bok, Daniel kopnął go tak, że wylądował wśród drzew. Następnie znów rzucił się na Toma, przycisnął jego żylaste ciało do ziemi. Tom plunął mu w twarz, przywiązany do drzewa mężczyzna wrzeszczał, z daleka dochodził dźwięk dzwonek.

– Spokojnie, wszystko jest w porządku – rozległ się nagle czyjś władczy głos.

Daniel rozejrzał się, nie puszczać ręki Toma. Nagle spośród drzew zaczęli wychodzić umundurowani mężczyźni z bronią w ręku.

– Nie ruszać się. Wszyscy zostają na swoich miejscach.

Przywiązany do drzewa mężczyzna roześmiał się histerycznie i zaczął szlochać. Trudno było powiedzieć, czy z poczucia ulgi, czy z powodu niezamierzonej ironii, ale kiedy chwilę potem mężczyźni uwolnili go i położyli na noszach, nadal się śmiał.

Tom siedział na ziemi i przyglądał się swojej prawej dłoni, leżącej bezwładnie na jego kolanach. Dotknął ją ostrożnie lewą dłonią i spojrzał z wyrzutem na Daniela.

– Jest złamana. To ręka, którą pracuję.

Dwóch umundurowanych mężczyzn chwyciło Toma i postawiło go na nogi. Kiedy zaczęli zakładać mu kajdanki, zawył jak pies.

– Moja ręka! – wył. – Uważajcie na moją rękę! Jest zraniona!

Daniel stał nieruchomo i milczał, gdy mężczyźni i jemu zaczęli zakładać kajdanki. Zaniemówił ze zdziwienia i szoku. Zrozumiał już, że w świecie, w którym się znajdował, wszystko było możliwe.

Mężczyźni wyprowadzili go z lasu. Na skraju łąki stała Corinne i rozmawiała przez komórkę. Była blada i skupiona. Kiedy Daniel minął ją eskortowany przez umundurowanych funkcjonariuszy, odsunęła na chwilę komórkę od ucha i zawołała do niego:

– Wszystko widziałam. Będę świadkiem. O nic się nie martw.

Spokojna przed chwilą łąka zarośla się od strażników, na drodze stały samochody, furgonetki i samochody osobowe.

Nosze z rannym mężczyzną zostały umieszczone w jednej z furgonetek, która odjechała w pośpiechu. Toma umieszczono w drugiej furgonetcie, a Daniela w trzeciej. Wskazano mu miejsce wewnątrz pojazdu bez okien. Mimo że miał ręce skute kajdankami, został jeszcze dodatkowo przypięty do fotela specjalnym rzemieniem z kłódką, zamykaną niewielkim kluczykiem. Naprzeciwko niego usiadło dwóch policjantów. To znaczy, zakładał, że to byli policjanci. Bo któż inny miałby taką władzę?

Spojrzał na rzemyk.

– Dlaczego mnie zatrzymaliście? To przecież nie ja...

Jeden z policjantów nakazał mu ręką milczenie.

– Wszystko wyjaśnimy później. Teraz najważniejszy jest spokój w dolinie.

Tylne drzwi zostały zamknięte od zewnątrz, w środku zapaliło się światło. Początkowo słabe, ale kiedy kierowca włączył silnik, przybrało na sile.

Daniel próbował nie poddać się panice. Może jego zatrzymanie mimo wszystko okaże się szczęśliwe? Może zostanie odesłany z doliny? Nie spodziewał się co prawda, że nastąpi to w kajdankach, ale cóż. Najważniejsze, że trafi na komisariat w jakimś pobliskim mieście. Corinne i poszkodowany mężczyzna na pewno będą zeznawać na jego korzyść, a Tom najwyraźniej był znanym w okolicy szaleńcem.

Podróż w furgonetcie bez okien nie należała do przyjemności. Poczuł, że robi mu się niedobrze. Poza tym miał wrażenie, że samochód cały czas skręca w lewo, co chyba musiało być złudzeniem.

W końcu furgonetka zatrzymała się i drzwi się otworzyły. Znajdowali się przed bramą dużego budynku, który jednak nie przypominał komisariatu. Daniel odwrócił się i spojrzał na park, ciągnący się w dół doliny i kończący przy pionowej, białozółtej skale z czarnymi smugami.

Nagle dotarło do niego, że twarze funkcjonariuszy są mu znane. Może nie wszystkich, ale dwóch na pewno. To byli ci sami dwaj mężczyźni, którzy niedawno zabrali jego i Marko do szpitala.

A więc był wciąż w dolinie, na terenie kliniki. W budynku, przed którym zatrzymała się furgonetka, przyjmowała doktor Obermann. Kiedy u niej był...? Wczoraj! Boże drogi, pomyślał. Czas w Rajskiej Dolinie płynął swoim rytmem.

– Już tu jest – powiedział jeden z mężczyzn. Rozmawiał z kimś przez komórkę.

Szklane drzwi do budynku rozsunęły się.

Wokół dużego stołu konferencyjnego siedzieli mężczyźni i kobiety pogrążeni w lekturze różnych dokumentów. Kiedy Daniel, eskortowany przez dwóch funkcjonariuszy, wszedł do pokoju, spojrzenia zebranych skierowały się na niego. Było w nich zainteresowanie i oczekiwanie. Miał wrażenie, że byli mu przyjaźni, ale tego nie był do końca pewien.

Jedna z kobiet wstała i podeszła do niego. Była to Gisela Obermann, ubrana nieco bardziej surowo niż ostatnim razem. Poza tym zmieniła też uczesanie, ale Daniel nie potrafił dokładnie powiedzieć, na czym ta zmiana polegała. Lekarka dała znać funkcjonariuszom, żeby opuścili salę. Dotknęła lekko rękę Daniela, poprosiła, żeby usiadł na krześle obok niej, po czym zwróciła się do swoich kolegów.

– Większość z was miała już wcześniej okazję poznać Maxa. Powodem, dla którego was tu dzisiaj zaprosiłam, jest nie tylko ostatni incydent sprzed kilku godzin, ale proces, który trwa już od jakiegoś czasu i który, jak sądzę, może się okazać bardzo interesujący – powiedziała.

Następnie zwróciła się już bezpośrednio do Daniela.

– Cieszę się, że zgodziłeś się tu dzisiaj przyjść i w ten sposób pomóc nam w naszych badaniach.

Daniel posłał jej chłodne spojrzenie. Powiedziała to tak, jakby spotkanie było jego pomysłem. A przecież został tu doprowadzony w kajdankach.

Ostatnią godzinę spędził w poczekalni. Siedział i przeglądał niemieckie i amerykańskie tygodniki, od czasu do czasu zaglądała do niego pielęgniarka, podano mu kanapki i sok. Po pewnym czasie zjawili się dwóch opiekunów w jasnoniebieskich mundurach, którzy poprosili go grzecznie, żeby udał się z nimi na górę.

– Może na początek się nam przedstawisz – zaproponowała Gisela Obermann.

– O co chodzi? – przerwał jej starszy mężczyzna.

Daniel rozpoznał go. Był to doktor Fischer. Ordynator, stojący na czele całej kliniki. Jego siwe włosy wyglądały jak szczecina.

– Proszę posłuchać. To może się okazać ważniejsze niż pan sądzi, doktorze Fischer – powiedziała Gisela Obermann, po czym znów zwróciła się do Daniela. – Jak się nazywasz? – spytała.

Mówiła głośno i wyraźnie, jakby zwracała się do osoby mającej problemy ze

słuchem.

– Daniel Brant – odpowiedział Daniel głośnym i stanowczym głosem. – Jestem bratem bliźniakiem Maxa.

– Właśnie.

Gisela spojrzała triumfująco na kolegów siedzących wokół stołu. Siedzący obok doktora Fischera mężczyzna roześmiał się niepewnie. Był jedynym z uczestników spotkania, który nie miał na sobie białego fartucha. I jedynym o ciemnej karnacji. Pewnie Hindus, pomyślał Daniel. Ktoś wziął do ręki pióro, ktoś otworzył usta, zamierzając coś powiedzieć, ale Gisela Obermann ubiegła wszystkich i ponownie zwróciła się do Daniela.

– Ostatnio byłeś bardzo niespokojny. Prosiłeś o zamówienie taksówki, chciałeś opuścić dolinę. To prawda?

– Mój pobyt tu się skończył. Oczywiście, że chcę opuścić dolinę – odpowiedział Daniel poirytowany.

– Rozumiem – przytaknęła Gisela Obermann. – Opowiedziałeś mi, jak tu trafiłeś. Zechcesz powtórzyć tę historię moim kolegom?

Daniel wziął głęboki oddech, skupił się.

– Wysłuchamy cię uważnie, bez uprzedzeń – dodała lekarka.

Daniel przedstawił wszystko najzwięźlejszym jak potrafił, ale lekarka nalegała na szczegóły.

– Dlaczego Max chciał stąd wyjechać?

Daniel opowiedział o interesach brata z mafią i groźbach, jakie mafia kierowała pod adresem jego narzeczonej.

– A skąd Max... wiedział o tych groźbach? – dopytywał się jeden z mężczyzn z krótką, rudą brodą.

– Dostał list.

– List? Przesłano go tutaj?

– Przynajmniej tak mi powiedział. W jakiś sposób dowiedzieli się, gdzie jest.

– Gdzie jest ten list teraz? – dociekał dalej mężczyzna z rudą brodą.

Ludzie przestali przeglądać leżące przed nimi dokumenty, nikt nie zachwycał się widokiem na zewnątrz, spojrzenia wszystkich były teraz skupione na Danielu.

– Gdzie? Nie mam pojęcia. Zakładam, że pewnie go wyrzucił. Ale jest zdjęcie.

– Zdjęcie? – spytało dwóch lekarzy jednocześnie.

– Przesłano mu zdjęcie pobitej dziewczyny. Żeby zrozumiał, że nie żartują. Jeśli chcecie je zobaczyć, to jest w domku.

Gisela pokiwała poważnie głową.

– A więc Max wyjechał i zostawił tu ciebie?

– Tak.

– To niezbyt miło z jego strony.

– To prawda, ale on już taki jest. Z drugiej strony niewykluczone, że coś mu się przytrafiło.

Kilka osób podniosło do góry ręce, ale lekarka nie zwracała na to uwagi.

– Domyślam się, że macie wiele pytań, ale proponuję, żebyśmy najpierw wysłuchali opowieści Maxa o dzisiejszym zdarzeniu.

Zamilkła na chwilę, po czym zwróciła się już bezpośrednio do niego.

– Wybrałeś się na wycieczkę z dziewczyną z osady, tak? Możesz nam opowiedzieć, co się wydarzyło?

Daniel opowiedział o koszmarze, który stał się jego udziałem, o Tomie i przywiązany do drzewa mężczyźnie poranionym nożem.

– Zakradłeś się do niego i go rozbroiłeś – podsumowała Gisela. – Dlaczego?

Daniel spojrzał na nią zdziwiony.

– Żeby go powstrzymać, oczywiście. Ranił nożem mężczyznę. Torturował go. W życiu nie widziałem niczego straszniejszego.

Jakaś starsza kobieta chciała zabrać głos. Wyglądała jak babcia. Miała na nosie staroświeckie okulary, włosy ściągnięte w węzeł, na ramiona zarzuciła szal.

– Wiedziałeś, że Tom jest niebezpieczny? – spytała cicho.

– Widziałem, co zrobił temu mężczyźnie. Ten człowiek to szaleniec!

– Nie bałeś się, że i tobie może coś zrobić? – pytała dalej starsza pani.

– Byłem przerażony.

Kobieta pokiwała głową i coś zanotowała.

– Znałeś Toma z wcześniejszych spotkań? – spytał ktoś z zebranych. Daniel nie zdążył zobaczyć, kto to był.

– Prawdę mówiąc, spotkałem go kilka dni temu. Poprosiłem go wówczas o podwiezienie do najbliższego miasta. Już wtedy zorientowałem się, że to wariat, ale nie przypuszczałem, że jest do tego stopnia szalony.

– Łączyły was jakieś interesy? Ciebie i Toma?

To pytanie zadał mu mężczyzna z rudą brodą. Spojrzał na niego znad notatek, wyraźnie zaintrygowany, wręcz podniecony.

– Interesy? – zdziwił się Daniel. – Jakiego typu?

– Może chodziło o drewno? Albo o coś innego.

– Nie – roześmiał się Daniel. – Z kimś takim nie robiłbym interesów.

– A z André Bonnardem? – ciągnął mężczyzna z rudą brodą.

– Z kim?

– Z mężczyzną, którego Tom torturował – wyjaśniła Gisela Obermann.

– Nie. Nie mam pojęcia, kto to jest.

Mężczyzna z rudą brodą odwrócił kartkę w notesie i szybko coś zapisał.

Daniel przyglądał się osobom zebranym wokół stołu. Wcześniej bardzo chciał się spotkać z gronem cieszących się poważaniem lekarzy. Teraz miał ich przed sobą. Banda idiotów, pomyślał.

– Uratowałem życie temu Bonnardowi czy jak on się nazywa. A potraktowano mnie jak wariata, zakuto w kajdanki i przydzielono strażników. Kilka dni temu zostałem zamknięty na oddziale i niewiele brakowało, a byłbym spalony, bo wasze środki bezpieczeństwa są do niczego. Prawdę mówiąc, zamierzam was oskarżyć...

– Chwileczkę – przerwała mu Gisela Obermann. – Nie otrzymałam raportu o pożarze – powiedziała, rozglądając się.

– Doszło do drobnego incydentu – potwierdził doktor Fischer. – Materac się zapalił. Od papierosa. Personel natychmiast ugasił ogień.

– Incydent? Mogliśmy zginąć! – odezwał się Daniel oburzony. – Marko stracił przytomność. Musiałem wynieść go z sali. Wszędzie było pełno dymu.

– Twój pacjent przesadza – zwrócił się doktor Fischer do Giseli Obermann.

– Tak czy inaczej powinnam otrzymać raport.

– Nie było co raportować. Max próbuje odgrywać bohatera.

– To dla mnie bardzo ciekawe – przerwała mu Gisela. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

– Skończyliśmy? – spytał nagle Daniel. – Jeśli tak, to chciałbym już iść.

– Oczywiście – powiedziała lekarka. – Doświadczyłeś czegoś bardzo nieprzyjemnego i powinieneś odpocząć. A Toma nie musisz się już obawiać. Obiecuję ci, że możesz być spokojny.

Daniel zachnął się.

– Nie obawiam się go. Na litość boską, naprawdę nie dociera do was, że macie do czynienia z inną osobą niż sądzicie? Wypuściliście chorego człowieka, a zamknęliście tu zdrowego. To powinno was martwić.

– Będziemy mieć dużo czasu, żeby o tym porozmawiać – zapewniła go Gisela Obermann.

– Może wy macie na to czas, ale ja nie. Wychodzę – oświadczył Daniel.

– Oczywiście. Możesz wrócić do siebie, kiedy tylko zechcesz.

– Zamierzam opuścić klinikę.

Daniel wstał i odsunął krzesło.

Mężczyzna z rudą brodą skończył robić notatki, ale nie odłożył pióra. Jakby czekał na kolejną kwestię. Siedzący obok hinduski lekarz wydał cichy jęk, najwyraźniej zdrzemnął się na moment. Doktor Fischer odchrząknął głośno

i Hindus otworzył oczy jak lalka.

– Żegnam – powiedział Daniel i opuścił salę.

Noc była piękna i spokojna.

Daniel znajdował się na wschodnim skraju doliny. Minął most. Po prawej stronie potok płynął leniwie jak rzeka, po lewej rzucał się z potężną siłą ze stromych skalnych progów, wił się między niemal pionowymi ścianami w wąskiej, niedostępnej szczelinie w bladym świetle księżycowej poświaty, niemal jak na obrazie w stylu narodowo-romantycznym.

Daniel szedł wzdłuż ściany po drugiej stronie potoku, po lewej stronie wznosiło się pionowe zbocze. W głębi doliny widać było miasteczko z kościelną wieżą, a nieco wyżej na zboczu budynki kliniki. Nad nim było niebo, wyglądało jak wielki granatowy, na wpół przezroczysty namiot, rozpostarty między skalnymi ścianami. Wokół pachniało ziemią, trawą i wodą.

Wiedział już, że droga okalała dolinę niczym elipsa. Jak pętla. Albo sidła.

Ale pętla nie była domknięta, łączyła się z inną drogą. Zakładał, że musiała, bo jak inaczej można było dostać się do doliny?

Postanowił unikać drogi po północnej stronie rzeki, gdzie leżało miasteczko i klinika. Powinien trzymać się strony południowej, iść drogą wzdłuż pionowej skały, nazwanej przez niego Ścianą. Pamiętał, że właśnie tędy jechał taksówką. Niestety ostatni kawałek drogi przespał, więc nie potrafił powiedzieć, jak wjechali do doliny ani w którym miejscu droga łączyła się z pętlą. Prawdopodobnie było to tuż przed lub tuż po tym, jak zatrzymał ich strażnik z wykrywaczem metalu. W miejscu, w którym ściana porośnięta była paprociami. A może paprocie istniały tylko w jego śnie? No cóż, wcześniej czy później dotrze do drogi prowadzącej z doliny.

Tym razem był lepiej przygotowany. Spakował plecak na dłuższą wędrówkę. Postanowił iść nocą. Jeśli na drodze pojawi się pojazd, ukryje się. Jeśli się zmęczy, prześpi się w jakiejś stodole przy drodze albo położy pod świerkiem i odpocznie parę godzin. A potem ruszy dalej. Nie będzie nikogo prosił o pomoc ani pytał o drogę. Ze strony mieszkańców miasteczka nie mógł się spodziewać niczego dobrego, wszyscy zostali przekupieni przez klinikę, w ten czy inny sposób wszyscy dla niej pracowali, nawet sympatyczna Corinne. Poważanie, jakim darzyła lekarzy, wydawało mu się śmieszne. Przyszła mu na myśl hierarchia obowiązująca w dawnych szwedzkich wiejskich społecznościach. Tu najwyraźniej panowały

podobne stosunki.

Dolina rozszerzała się, między szosą a górskim zboczem ciągnęły się zagajniki i wyгородzone pastwiska. Nie widział jednak żadnych zwierząt. Może w nocy chroniły się w lesie? A może w ogóle nie było tu żadnych zwierząt? Bo jakie zwierzę dałoby się powstrzymać śmiesznie cienką nylonową linką, rozciągniętą wzdłuż pobocza niespełna metr nad ziemią?

Na lince co pewien czas wisiały tabliczki. Kołysały się lekko na wietrze. Kiedy wyszedł księżyc, chwycił jedną z nich i zaczął czytać. „Strefa 1”. Spojrzał na drugą tabliczkę: „Ostrzeżenie”, powtórzone w trzech językach. I tak na przemian: tabliczka z napisem „Strefa 1” i zaraz potem druga z napisem: „Ostrzeżenie”.

Zaczął się przyglądać łące po drugiej stronie wyгородzenia. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla człowieka. Nie był to plac budowy, nie była to też strzelnica, w ogóle nie było tu śladów żadnej ludzkiej działalności. Widać było jedynie trawę, drzewa i skały.

Z daleka doszedł go odgłos silnika. Od strony kliniki nadjeżdżał samochód. Szybko schylił się i przeszedł pod linką. Ruszył przez pastwisko w stronę kępy drzew. Pomyślał o tabliczce z ostrzeżeniem, ale zbliżający się samochód stanowił bardziej realne zagrożenie niż tabliczka, ostrzegająca go przed czymś mało konkretnym, być może już w ogóle nieaktualnym. Stał nieruchomo w ciemnościach między krzakami leszczyny, czekając aż samochód go minie. Ale samochód, zamiast jechać dalej, nagle gwałtownie zahamował i się zatrzymał. Wskoczyło z niego dwóch strażników.

Zobaczył nadjeżdżający od drugiej strony z dużą prędkością kolejny samochód. Wyhamował i zatrzymał się tuż obok pierwszego, po chwili wyszło z niego, podobnie jak z poprzedniego, dwóch strażników. Po krótkiej wymianie zdań wszyscy czterej przeszli pod linką i rozproszyli się na łące. Dwóch ruszyło szybkim krokiem w stronę górskiego zbocza, dwóch w stronę niewielkiego zagajnika, gdzie ukrył się Daniel.

Zrobił kilka kroków w tył, w głąb zagajnika, zdając sobie sprawę, że nie cofnie się więcej niż jakieś pięćdziesiąt metrów, bo potem góra zagrozi mu drogę. Wtedy będzie musiał iść wzdłuż zbocza, kierując się na zachód. Miał nadzieję, że zagajnik nadal będzie dawać mu schronienie.

Znów spojrzał na wyгородzenie: zawieszane na lince tabliczki wyglądały z daleka jak wielkie ćmy.

Umundurowani strażnicy byli tuż za nim. Światła ich mocnych latarek oświetlały pnie drzew, kołyszące się na lince tabliczki i fragmenty skały, szybko zmieniające się, wyrwane z kontekstu obrazki.

– Widzisz go? – krzyknął jeden z mężczyzn.

– Nie, ale musi tu być.

Daniel schylił się i szybko przeszedł pod nylonową linką.

Po chwili z trawy coś wyskoczyło i rzuciło się na niego. Poczł przeraźliwy, przeszywający ból.

Część II

Członkowie zespołu badawczego wchodzili jeden po drugim do sali konferencyjnej. Mrużyli oczy w porannym słońcu, wpadającym do sali przez panoramiczne okna, i zajmowali miejsca, które z czasem zdążyły się już stać „ich miejscami” przy stole. Otwierali teczki, wyjmowali notesy.

Gisela Obermann stała przy krótszym boku stołu i uśmiechała się lekko zdenerwowana do schodzących się kolegów. Kiedy wszyscy już weszli i zajęli swoje miejsca, zamknęła drzwi.

– Mam nadzieję, że masz ważny powód do zwołania tego zebrania – odezwał się Karl Fischer. Poirytowany otworzył butelkę wody mineralnej i nalał sobie trochę do szklanki. – Max – przeczytał nagłówek pisma, które Gisela rozłożyła na stole. – Znów to samo – westchnął. – O co chodzi tym razem?

– Przepraszam, że wezwałam was tu w tak pilnym trybie – zaczęła Gisela. – Na szczęście jesteśmy wszyscy na miejscu i kiedy coś się dzieje, możemy szybko się spotkać, by przedyskutować pewne kwestie.

– Co się stało? – zdziwiła się Hedda Heine.

Nachyliła się nad stołem i zaniepokojona poprawiła okulary.

– Znów dokonał jakiegoś bohaterskiego wyczynu? – spytał sarkastycznie Karl Fischer.

– Zaraz o wszystkim opowiem. Najpierw jednak chciałabym, żebyśmy na chwilę wrócili do wczorajszego spotkania. Pamiętacie opowieść Maxa? Przy czym cały czas się upierał?

– Że nazywa się jakoś inaczej – powiedziała Hedda Heine.

– Daniel Brant – odczytał Brian Jenkins, wskazując na coś w swoich notatkach. – Brat bliźniak Maxa. Zamienili się miejscami.

– Chryste panie! – westchnął Fischer.

Sięgnął po szklankę i wypił łyk wody mineralnej.

– Przypominacie sobie powód wczorajszego spotkania? – ciągnęła Gisela niezrażona pogardliwym tonem Fischera. – Ryzykował życie, żeby ratować innego człowieka. Czy, znając Maxa, powiedzielibyście, że to zachowanie do niego pasuje?

– Nie – dało się słyszeć z kilku stron.

– Pewnie chciał zwrócić na siebie uwagę – stwierdził Karl Fischer. – Co mu się zresztą udało – dodał. – A tak naprawdę to wcale nie mamy pewności, jak to

wszystko przebiegało.

– Dokładnie tak, jak nam opowiedział. Strażnicy to potwierdzili. Ja w każdym razie byłam bardzo zdziwiona jego zachowaniem. Zaczęłam się zastanawiać nad tym, co mi wcześniej opowiadał. O tym, że jest bratem bliźniakiem Maxa. Fizycznie jest do niego bardzo podobny, ale jest całkowicie innym człowiekiem.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego robisz z tego taką aferę – wszedł jej w słowo Karl Fischer. – Ludzie z tego typu zaburzeniami często kłamią. A Max, o ile zdążyłem się zorientować, kłamie częściej niż mówi prawdę. To żadna nowina.

Gisela pokiwała głową.

– Też tak myślałam. Ale to, co usłyszeliśmy, było szalenie konsekwentne, bardzo logiczne, przemyślane. Wszyscy, którzy znają Maxa, wiedzą, że to do niego nie pasuje. Max mówi jedno, a zaraz potem zmienia zdanie. Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby konsekwentnie wracał do jakiejś wersji wydarzeń. Tym razem jest inaczej. Od czterech dni opowiada różnym ludziom tę samą historię.

– Może zabrakło mu inwencji? – zamruczał Fischer pod nosem. – Nawet najlepsi w pewnym momencie zaczynają się powtarzać.

– W takich sytuacjach zawsze należy zadać sobie pytanie, co dana osoba może na tym zyskać – powiedziała Hedda Heine. – Ci ludzie nigdy nie robią nic, co by im się nie opłacało.

– Ale przecież powiedział nam to bardzo wyraźnie – przerwał jej Fischer poirytowany. – Chce, żebyśmy go stąd wypuścili. Co oczywiście nie wchodzi w grę, ale nadzieja umiera ostatnia. Jesteś zbyt doświadczoną lekarką, żeby pozwolić, by tak tobą manipulował, Giselo. Po co w ogóle tracimy na to czas?

Gisela zaczerpnęła powietrza, skupiła się i wróciła do przerwanej wątku.

– Max leży na oddziale intensywnej opieki. Ma poparzoną prawą część ciała. W nocy wszedł do drugiej strefy.

Przy stole zapanowała cisza. Doktor Fischer rysował figury geometryczne w swoim notesie.

– Został tak poważnie ranny? – spytała Hedda Heine.

– Było ciemno. Minęło trochę czasu, zanim strażnicy go znaleźli. Za długo tam leżał, ale wyjdzie z tego.

Brian Jenkins przerzucał notatki.

– Czy nie było to... Tak, mam – powiedział, stukając palcem w jakieś zdanie na kartce. – To było w sierpniu ubiegłego roku. Raport straży.

Gisela patrzyła na niego błyszczącymi oczami.

– Właśnie. Niemal rok temu Max wszedł do drugiej strefy. Rozumiecie, co to znaczy?

Zebrani spojrzeli na nią niepewnie.

– To niezwykle. Przyjeliśmy, że kto raz tam wejdzie, nigdy tego nie powtórzy – zauważył doktor Pierce.

– Właśnie!

Gisela miała czerwone policzki. Lekarze przy stole zdawali się wyraźnie zafrasowani.

– Coś tu się nie zgadza – ciągnęła Gisela. – We wtorek odbyłam z nim dłuższą rozmowę i już wtedy miałam takie wrażenie. W nocy jeszcze raz obejrzałam nagrania z naszych rozmów.

Przerwała na chwilę, spojrzała niepewnie na Fischera, który szeptał coś do doktora Kalpaka. Pozostali czekali. Hedda Heine skinęła jej głową zachęcająco. Gisela mówiła więc dalej.

– Porównałam nagranie z naszej ostatniej rozmowy z poprzednimi, co tylko potwierdziło moje wątpliwości. Zaszła jakaś zmiana. W jego gestach, w mowie ciała, w sposobie mówienia, poruszania się. Wszystko to jest bardzo charakterystyczne dla każdego z nas i tak oczywiste, że zwykle się nad tym nie zastanawiamy. To nie jest Max, pomyślałam. Ciało jest jego, Maxa, ale w środku jest ktoś inny.

Balkon należący do mieszkania Giseli Obermann zdawał się w cudowny sposób unosić w powietrzu. Z dołu dochodził zapach igliwia, soczystej trawy i śniegu z topniejącego lodowca. Niebo było zasnuwane, chmury wisiały nisko nad doliną.

Gisela Obermann okryła go szczelniej kocem i usiadła w fotelu.

– Co tak naprawdę wiesz o Rajskiej Dolinie, Danielu? – spytała.

– Luksusowa klinika w niebezpiecznym otoczeniu. Personel wydaje się bardziej szalony niż pacjenci, ale najbardziej szaleni są mieszkańcy miasteczka. Komunikacja niemal nie istnieje. Za każdym razem, kiedy próbuję się stąd wydostać, ktoś w pewnym momencie pociąga za niewidoczną gumkę. To chyba wszystko, co wiem.

Daniel ukrył brodę w kocu, którym okryła go lekarka. Poczł delikatną woń jej perfum.

Właściwie nie było zimno, ale jego wewnętrzny termostat nadal nieco szwankował. Od czasu do czasu poparzone części jego ciała przeszywał nagły chłód i zaczynały wstrząsać nim dreszcze. Po chwili zimno zamieniało się w uczucie ciepła. Lekarze powiedzieli mu, że powinien się cieszyć, bo to znaczy, że nerwy nie zostały uszkodzone.

– A więc właściwie nic nie wiesz. Rozumiem, że to miejsce musi wydawać ci się dziwne.

Daniel roześmiał się gorzko.

– Łagodnie mówiąc.

– Należy uznać, że jesteś tu nowicjuszem. Będę musiała przekazać ci kilka podstawowych informacji – stwierdziła Gisela Obermann i poprawiła się w fotelu. – Zacznę od początku. To trochę potrwa.

Daniel wzruszył ramionami pod kocem.

– Jestem tu już dwa tygodnie. Mogę jeszcze trochę zostać.

– W porządku. Wiesz, na czym polega psychopatia?

– Chyba tak. Psychopata to człowiek pozbawiony sumienia. Ktoś zły.

– Takiego określenia my, specjaliści, oczywiście nie używamy. Ale tak, zło można zdefiniować jako coś, co sprawia, że człowiek przysparza niewinnym ludziom cierpienia, nie czując z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Chociaż jeśli

mielibyśmy nazwać kogoś złym, to mielibyśmy stworzyć mu możliwość dokonania wyboru. Osoba ta musiałaby wiedzieć, na czym ten wybór polega, prawda? A psychopata nie rozróżnia między dobrem a złem.

Daniel zaprotestował.

– Jestem przekonany, że rozróżnia.

– Na poziomie intelektualnym tak. Wie, że kłamstwo, kradzież czy przemoc to coś złego, w taki sam sposób jak daltonista wie, że pomidory czy krew są czerwone. Wie, bo mu o tym mówiono. Ale podobnie jak daltonista nigdy w pełni nie zrozumie, co mamy na myśli, mówiąc, że coś jest czerwone, tak psychopata nigdy nie pojmie, co naprawdę oznacza „zło”. Takie pojęcia jak zło, dobro, miłość czy wyrzuty sumienia, to dla niego jedynie puste słowa. To oczywiście pewien brak, ale psychopata nie cierpi z tego powodu. Za to cierpią inni. Wiele najokrutniejszych zbrodni popełniają właśnie psychopaci...

– Bardzo przepraszam – przerwał jej Daniel. – Ale do czego zmierzasz? Masz na myśli kogoś konkretnego?

Gisela Obermann spojrzała na niego zdziwiona. Daniel odniósł wrażenie, że powstrzymuje śmiech. Szybko jednak wzięła się w garść i kiedy podniosła głowę i znów na niego spojrzała, była już poważna.

– Zaraz wszystko zrozumiesz, Danielu. Trochę cierpliwości. A więc sprawcami najokrutniejszych zbrodni są na ogół psychopaci. Dostają oczywiście najsrozsze kary. Ale... – Gisela urwała, podniosła do góry palec i uniosła brwi. – Ale jeśli osoba, która popełnia taką zbrodnię, odstaje od nas w sensie medycznym, jeśli jej mózg różni się od mózgu innych ludzi? Jeśli nie jest zdolny do empatii? Czy wtedy możemy wymagać, żeby okazywała jakieś uczucia i karać ją za to, że tego nie robi? Czy nie jest to tak, jakbyśmy oczekiwali, że pacjent sparaliżowany po wylewie nagle zacznie chodzić? Albo że ktoś umysłowo upośledzony będzie potrafił rozwiązać skomplikowany problem logistyczny? Ci ludzie tego nie potrafią. Ich mózgi nie są do tego zdolne.

– Zostało to dowiedzione naukowo czy są to jedynie spekulacje? – spytał Daniel.

– Przeprowadzono wiele badań, które dowodzą, że mózgi psychopatów różnią się od mózgów innych ludzi, chociaż nie do tego stopnia, żeby to wszystko wyjaśniało. Możliwe, że za rok, dwa, może za dziesięć, uda nam się rozwiązać tę zagadkę. A może nigdy. Na pewno jednak mózg psychopaty różni się od mózgu zdrowego człowieka. Wykryto zmiany w przednich płatach mózgowych, a także w jądrze migdałowatym. Badano fale mózgowe i wydzielanie dopaminy i tu także odnotowano różnice. Oznacza to, że różnice są natury fizycznej i wyraźnie uchwytnie. Jeśli więc ludzie ci zachowują się tak, jak się zachowują z powodu

upośledzenia natury fizycznej, to czy należy ich za to karać? Zamykać w więzieniach czy pozbawiać życia, jak to się dzieje w niektórych krajach?

– Jestem przeciwny karze śmierci – powiedział Daniel, drapiąc się po brodzie.

Nie golił się od kilku dni i miał już wyraźny zarost. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie dotykać brody. Jakby właśnie ona dawała mu poczucie bezpieczeństwa w całym tym zamieszaniu. Jakby była jego maskotką.

– Społeczeństwo musi się oczywiście chronić przed niebezpiecznymi przestępcami – dodał. – Ale społeczeństwa nie może obchodzić fakt, że mieli nieszczęśliwe dzieciństwo czy że ich fale mózgowe są nieprawidłowe.

Gisela Obermann wydawała się zadowolona z odpowiedzi.

– Wszelkie próby dostosowania ich do zasad obowiązujących w społeczeństwie kończyły się jak dotąd porażką. Procent remisji jest zatrważająco wysoki. Psychopatia nadal pozostaje nieuleczalna. Dlatego kara nadal zastępuje leczenie.

Włożyła rękę do kieszeni, wyjęła metalowe pudełko z długimi, wąskimi cygaretkami.

– Ale jest też trzecia droga – powiedziała, zapalając cygaretkę.

– Nie jestem zainteresowany dyskusją moralno-filozoficzną – przerwał jej Daniel. – Natomiast chętnie dowiedziałbym się, co się stało tam, na tej łące. Nigdy jeszcze nie widziałem elektrycznego pastucha, który powodowałby tak dotkliwe poparzenia. Jakie zwierzęta tam się pasą? Słonie?

– Jest też trzecia możliwość – powtórzyła Gisela, jakby nie słyszała jego słów.

Może i ona jest trochę szalona, pomyślał Daniel. Psychiatrom to też się chyba zdarza.

– Jaka trzecia droga? – spytał głośno.

Gisela paliła chwilę w milczeniu.

– Najpierw trochę historii. Czternaście lat temu w Turynie, na europejskiej konferencji poświęconej zaburzeniom psychospołecznym, popularnie nazywanej konferencją psychopatów, spotkało się grono neurologów, psychiatrów, polityków i filozofów. Wymieniano się wynikami badań, dyskutowano, kłócono się. Szukano odpowiedzi na pytanie, czy możemy, jako społeczeństwo, w etyczny sposób chronić się przed tymi niebezpiecznymi osobnikami? Z zacieklej debaty zrodziła się pewna wizja. Uznano, że konieczna jest jakaś forma długotrwałej, niejednokrotnie dożywotniej opieki w miejscach odosobnienia, ale nie w więzieniach czy zakładach psychiatrycznych. W miejscach, gdzie można będzie tym ludziom stworzyć znośne warunki do życia i zapewnić swobodę, oczywiście w pewnych granicach. Teren musiałby być duży. Mieszkańcy mieliby własne mieszkania, mogliby pracować. Prowadzić sklepy, firmy, uczyć się, uprawiać sport. Społeczeństwo w miniaturze.

– Brzmi przyjemnie – wtrącił Daniel.

– Zależy jak na to spojrzeć. Oczywiście konieczne było całkowite odizolowanie terenu od świata zewnętrznego. Ale nie tak jak robiono to wcześniej w historii, na przykład zakładając kolonie trędowatych. Nie chodziło o to, żeby zebrać ludzi w jakimś miejscu i o nich zapomnieć. Przeciwnie, to miejsce miało z czasem stać się ważnym ośrodkiem badawczym, dającym unikalną możliwość prowadzenia studiów nad zachowaniem psychopatów we względnie normalnym środowisku. Nie chodziło o to, żeby karać czy leczyć. Chodziło o możliwość prowadzenia badań, obserwacji, analiz. By z czasem rozwiązać zagadkę psychopatii. Dociec jej przyczyn i znaleźć skuteczne sposoby leczenia. Taki był cel, chociaż zapewne odległy.

– Kolonia psychopatów – stwierdził Daniel. Zagwizdał z uznaniem.

Gisela wychyliła się przez balkon, strzepnęła popiół.

– Dokładnie tak. Co do tego uczestnicy konferencji byli zgodni. Problemem okazał się wybór miejsca. Wielu uważało, że najlepszym miejscem dla tego typu eksperymentu będzie wyspa. Powołano grupę roboczą, której zadaniem było znaleźć takie miejsce. Okazało się jednak, że liczba wysp, spełniających postawione warunki, jest ograniczona. Większość była zamieszkana. Pozostałe z reguły nie nadawały się do zabudowy. Brakowało wody, nie było warunków do zbudowania portu albo teren był zbyt skalisty. Tak więc oficjalnie projekt nigdy nie został zrealizowany.

Gisela urwała, spojrzała na Daniela podejrzliwie.

– To wszystko naprawdę jest dla ciebie nowością?

– Tak. I dalej nie wiem, do czego zmierzasz. Co stało się z tym projektem?

– Sporządzono raport. Utonął gdzieś w archiwum wśród innych raportów.

Znów wyciągnęła rękę i strzepnęła popiół z cygaretki.

– Oficjalnie, oczywiście. Okazało się bowiem, że jednemu z uczestników konferencji, pewnemu neuropsychiatrze, myśl ta nie dawała spokoju. A kiedy jego znajomy, całkiem przypadkowo, opowiedział mu o podróży przez Alpy Szwajcarskie, podczas której trafił do wyludnionej, wąskiej doliny, z porzuconym budynkiem dawnego sanatorium, postanowił natychmiast tam się udać. Ten neuropsychiatra to Karl Fischer, mój obecny szef. Uznał, że dolina idealnie pasuje do wspomnianego projektu. Udało mu się zapewnić środki do sfinansowania przedsięwzięcia i w ciągu kilku lat Rajska Dolina zamieniła się w odcięty od świata zakątek, doskonale przystosowany do „przechowywania” psychopatów w warunkach umożliwiających prowadzenie badań. Oficjalnie nikt nic o tym nie wie, ale odpowiednie władze w większości krajów europejskich są nie tylko świadome naszego istnienia, ale nawet przysyłają nam pacjentów.

– Więc wyłądownałem w klinice dla psychopatów? – roześmiał się Daniel gorzko. – To pewnie tłumaczy, dlaczego mieszkańcy miasteczka trzymają się nieco na dystans. Ale chyba nie wszyscy pacjenci to psychopaci? Jeśli dobrze zrozumiałem, to część ma problemy związane ze stresem, z wypaleniem, część cierpi na depresje i tym podobne...

Gisela spojrzała na niego i zaczęła się śmiać.

– Wiesz, Danielu... Wrócimy do tego później. Najpierw muszę ci wytłumaczyć kilka innych rzeczy. Na przykład kwestię stref. Wiesz, o czym mówię?

– Doświadczyłem ich istnienia na własnej skórze. Szczególnie nieprzyjemna okazała się strefa II – powiedział Daniel kwaśno, wskazując głową na poparzone części ciała. – Ale mów dalej, proszę, chętnie posłucham. Jestem ciekaw, dlaczego narażacie niewinnych gości na takie tortury.

– To nie było zamierzone i bardzo cię za to przepraszam. Nie wiedziałeś o ich istnieniu, inaczej pewnie byś tam nie poszedł. Ktoś powinien cię poinformować o zagrożeniach. To znaczy, ja powinnam to zrobić – poprawiła się. – Powinnam była dokładniej cię słuchać, być bardziej uważna. Nie mogę sobie wybaczyć, że cię nie ostrzegłam.

– Przed czym?

– Jak już ci mówiłam, teren kliniki musi być dokładnie odizolowany od świata zewnętrznego. Istnieje oczywiście naturalna bariera w postaci otaczających dolinę stromych gór, ale to nie wystarcza. Wytyczając strefę II, stworzyliśmy niewidoczne, ale bardzo skuteczne wygrozdzenie. Strefa prowadzi wokół całej doliny, teren jest wygrozdzony kablami pod napięciem. Napięcie nie jest wysokie, dawka prądu nie jest śmiertelna, ale wystarczająca, by uniemożliwić dalszą wędrówkę.

– Dla mnie okazała się wystarczająca.

– Przewróciłeś się i upadłeś na kabel pod napięciem. Strażnicy zjawili się nieco za późno i nie zdążyli w porę wyłączyć prądu. Tak silne poparzenia nie powinny się zdarzać.

– A jakie są dopuszczalne?

– Na tyle silne, żeby przestraszyć. Żeby ludzie nie próbowali iść dalej. Jeśli mimo wszystko będą próbować, stracą przytomność. Napięcie rośnie w miarę wchodzenia w głąb strefy.

– A strefa I?

– To strefa ostrzegawcza. Ma powstrzymać przed dalszym marszem, przed wejściem do następnej strefy. Biegnie między terenem bezpiecznym a strefą II. Strefa I jest wyposażona w kamery i detektory ruchu i non stop monitorowana. Jeśli ktoś, mimo znaków ostrzegawczych, tam wejdzie, natychmiast włącza się alarm i po

chwili na miejscu pojawia się wóz patrolowy. Powinien dotrzeć zanim delikwent trafi do strefy II, ale czasem, jeśli patrol jest daleko, może dotrzeć za późno. Tak było w twoim przypadku. No i oczywiście jest też strefa III.

– Oczywiście – przytaknął Daniel i uśmiechnął się ironicznie. – I strefa IV i V.

– Nie. Są tylko trzy strefy. Trzy skorupki, jak je nazywamy. Rajska Dolina jest jak jajko w trzech skorupkach.

Gisela narysowała palcem w powietrzu elipsę.

– Strefa III to dodatkowa strefa, dodatkowe ostrzeżenie. Dla świata zewnętrznego. Żeby jakiś nieszczęsny wędrowiec nie trafił do strefy II. To stosunkowo duży teren, składający się głównie z niedostępnych obszarów górskich. Mało prawdopodobne, żeby ktoś tam się dostał, ale mimo to i tam rozwiesiliśmy tabliczki ostrzegawcze informujące, że to teren wojskowy, a wejście na niego może zagrażać życiu.

– Teren wojskowy? Dlaczego kłamiecie?

– Rajska Dolina jest... To znaczy nie jest to tajny projekt, ale też nie jest w pełni jawny. Mamy nadzieję, że kiedy będziemy mogli przedstawić więcej wyników, zaczniemy o nim mówić szerzej. Gdybyśmy zrobili to dzisiaj, musielibyśmy zbyt wiele rzeczy tłumaczyć i wyjaśniać. Na to nas nie stać. Chociaż mamy wsparcie wszystkich władz unijnych, a w naszych działaniach nie ma niczego podejrzanego, jednak wolimy na razie pracować w ukryciu.

Daniel przyglądał się mówiącej kobiecie. Siedziała wyprostowana, oczy jej błyszczały jak w gorączce. Można powiedzieć, że wyglądała na szczęśliwą. Jakby właśnie została zbawiona. Żaden z pacjentów, których miał okazję tu widzieć, nie promieniował takim szaleństwem jak ona. Czy w tym, co mówiła, było choć ziarenko prawdy? Czy też wszystko było wymysłem jej chorej wyobraźni? A może ona też była pacjentką, która w jakiś sposób zyskała prawo dysponowania gabinetem lekarskim?

Daniel powiódł wzrokiem po dolinie. Welony chmur snuły się niczym dym na tle ogromnych skalnych rzeźb na południu. To właśnie tam, tuż obok zielonych łąk i zagajnika, dotarł podczas swojej nocnej ucieczki. To właśnie tam, na łące, strażnicy swoimi krzykami i światłem latarek, tnących ostro ciemność, zagnali go w stronę gór. Teraz to wiedział. I wiedział też, że tam, w tej zieleni, kryło się coś strasznego. Coś, co sprawiło, że stracił przytomność i został poparzony.

– Jeśli chodzi o te strefy... – zaczął i otulił się szczelniej kocem.

– Tak?

– Można tu przecież bez większych problemów dotrzeć samochodem.

– To prawda, ale tylko, jeśli otrzymamy takie zgłoszenie. Droga przecina

wszystkie trzy strefy i jest bardzo dobrze strzeżona. Jeśli niespodziewany gość nie zawróci przy tabliczce ostrzegawczej przy zewnętrznej strefie, natychmiast podjeżdża do niego wóz patrolowy i go ostrzega. Niekiedy zdarza się, że zabłądzi tu jakiś turysta.

– A co się dzieje z gośćmi? Tymi zapowiedzianymi.

– Wszyscy, którzy mają tu coś do załatwienia, a więc personel kliniki, dostawcy towarów, odwiedzający nas naukowcy czy rodziny pacjentów, muszą uprzedzić nas o swoim przybyciu. Ich przyjazd zostaje odnotowany przez kamery przy drodze, a poza tym każdy samochód zostaje poddany kontroli na granicy ze strefą II.

Daniel przypomniał sobie swój przyjazd do doliny. Granatowa furgonetka. Mężczyźni w mundurach, którzy dokładnie go sprawdzili, jego i jego walizkę.

– Jeśli wszystko jest w porządku, prąd zostaje odłączony i samochód przejeżdża – ciągnęła Gisela. – Kiedy przejedzie, prąd zostaje ponownie podłączony.

– Brama pod napięciem, która otwiera się i zamyka – powiedział Daniel cicho.

Gisela przytaknęła i zgasła cygaretkę o poręcz balkonu.

– Tak jest. System działa niewidocznie, ale skutecznie.

Wyjęła metalową papierośnicę i położyła niedopałek wśród cygaretek.

– Mieszkańcy doliny nie widzą na co dzień ogrodzenia, ale wiedzą, że istnieje granica i szanują to. Wielu, czy to z ciekawości, czy z chęci przeżycia przygody, próbowało wejść na teren strefy I. I zostało tam zatrzymanych. Niektórym udało się pójść dalej i dotrzeć do strefy II. Ale nikt, kto raz tam wszedł, nie próbował zrobić tego ponownie! To właśnie jest zadziwiające. Należy pamiętać, że chodzi tu o ludzi gwałtownych, impulsywnych, gotowych podjąć niemal każde ryzyko. Bo tacy właśnie są psychopaci. Szybko zapominają wszelkie nieprzyjemne zdarzenia, nie uczą się na błędach. A mimo to żaden z nich nie wszedł do strefy II po raz drugi!

Gisela zrobiła przerwę, czekała na reakcję Daniela. Kiedy spojrzał na nią zdziwiony, nachyliła się do niego i mówiła dalej:

– Porażenie prądem zapisuje się w pamięci ciała.

Przygwoździła Daniela wzrokiem, jakby chcąc mieć pewność, że ma jego niepodzielną uwagę. Była tak blisko, że słyszał jej przyspieszony oddech.

– To najbardziej skuteczny sposób warunkowania. Wie to każdy, kto prowadzi doświadczenia na zwierzętach. Możesz być największym oszustem świata, opowiadać niestworzone rzeczy, wyprzeć wszystko, co ci nie pasuje, ale porażenia prądem nie wymażesz z pamięci. Zostaje do końca życia. Dlatego okazało się skuteczną metodą oddziaływania na psychopatów. Daje znak ciału, omijając skłonność do manipulacji świadomości. Takiego doświadczenia psychopata nie zapomina. To prymitywna wiedza, która zapada w świadomość.

– Kto raz się sparzył, już zawsze będzie unikał ognia – wymamrotał Daniel. – Każdy pedagog o tym wie. Chociaż przyznaję, że mógłbym się obyć bez takiego doświadczenia. Z drugiej strony nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Od tamtego momentu traktujesz mnie zupełnie inaczej. Tłumaczysz mi różne rzeczy, zwracasz się do mnie, używając mojego prawdziwego imienia. Mam wrażenie, że w końcu zrozumiałaś, kim naprawdę jestem.

Kobieta położyła dłoń na kocu w miejscu, gdzie uznała, że pewnie jest jego dłoń.

– Przykro mi, że nie rozumiałam tego wcześniej – powiedziała. W jej głosie był szczerzy żal. – Podejrzewałam to, ale nie byłam pewna.

– A co cię przekonało?

Gisela roześmiała się.

– Przed chwilą ci mówiłam. Nikt nie wchodzi do strefy II więcej niż raz. Max wszedł tam raz. A teraz ty zrobiłeś to samo. To pokazuje, że mamy do czynienia z dwiema różnymi osobowościami.

Daniel poczuł się zdezorientowany.

– Max wszedł do strefy II?

– Przepraszam. Nie mogłeś tego wiedzieć. To było zeszłego lata. Próbował uciec przez przepust przy potoku. Wykorzystał moment, kiedy było mało wody, przeciął kratę i próbował przejść przez rurę. Zapewne uznał, że strefy obowiązują jedynie nad powierzchnią. Nie wiedział, że dalej jest kolejna kratka. Zresztą dotarł tylko do pierwszej, tej, która była pod napięciem. Na szczęście patrol był w pobliżu, natychmiast go wyciągnęli.

Gisela urwała, przyglądała się Danielowi zaniepokojona.

– Co czujesz, kiedy ci o tym opowiadam?

– Zdziwienie.

Daniel przełknął ślinę, czuł, jak rośnie mu gula w gardle.

– To wydarzyło się ubiegłego lata? Nie wiedziałem, że Max jest tu tak długo. Myślałem, że...

– Że co?

– To nie ma znaczenia. Najważniejsze, że w końcu zrozumiałaś, że nie jestem Maxem. Czuję się okropnie, kiedy wszyscy brali mnie za niego. I oskarżali o kłamstwa i manipulacje. W pewnym momencie miałem wrażenie, że zaraz zwariuję.

Ku własnemu zdziwieniu roześmiał się krótkim, urwanym, lekko chrypiącym śmiechem. Nagle poczuł, że po jednym policzku spływa mu łza. Wyjął rękę spod koca i szybko ją otarł.

Gisela uśmiechnęła się do niego współczująco.

– Jesteś znacznie przyjemniejszy niż Max – powiedziała.

– Ale to Max jest waszym pacjentem. Skoro udało mu się uciec, to macie problem.

– Tym nie musisz się martwić. Zostaw to nam. Jak się czujesz? Jesteś zmęczony? Oparzenie, nawet powierzchowne, jest bardzo obciążające dla organizmu. Poza tym moja opowieść też pewno dała ci sporo do myślenia. Chcesz wrócić do swojego pokoju?

Pokręcił stanowczo głową. Nie miał najmniejszej ochoty wracać do niewielkiej salki szpitalnej, w której spędził ostatnie dni. Wolał pozostać w swoim śnie. Wziął głęboki wdech. Powietrze było tak świeże, że każdy oddech był jak łyk chłodnej wody. A więc chyba jednak nie śnił. Poparzona skóra na nogach i na ramieniu nadal go piekła. Dawno nie czuł się tak rozbudzony.

Gisela Obermann spojrzała na zegarek.

– Najwyższa pora na lunch. Zamówić coś dla nas?

Wspierając się na kulach, Daniel zszedł z balkonu. Skacząc na zdrowej nodze, pokonał próg, przeszedł przez rozsuwane drzwi i wszedł do przestronnego gabinetu Giseli Obermann. Na stoliku czekał już lunch: dwa talerze z jagnięciną, purée z warzyw i butelka czerwonego wina. Tuż obok stał błyszczący metalowy wózek z tacą. Daniel domyślił się, że lunch nie pochodził ze stołówki dla pacjentów, tylko został zamówiony z restauracji.

Gisela wysunęła krzesło i pomogła mu na nim usiąść.

– To powszechne, że lekarze zapraszają pacjentów na lunch do swojego gabinetu? – spytał.

Odkroił kawałek pachnącego tymiankiem różowego mięsa. Nóż wszedł w nie jak w masło.

– Nie tak bardzo powszechne.

– Ty i Max często jadaliście razem obiad?

Gisela roześmiała się, odstawiła kieliszek, który przed chwilą podniosła do ust.

– Ja i Max? Nie. On w ogóle nie chciał tu przychodzić. Nie lubił ze mną rozmawiać. Ty jesteś inny, Danielu. Po naszej pierwszej rozmowie siedziałam do późna i oglądałam nagrania z moich rozmów z Maxem. Porównywałam je z nagraniem rozmowy z tobą. Natychmiast zauważyłam różnicę. Ciało macie takie samo, ale poza tym jesteście inni.

– Nigdy nie słyszałaś o bliźniętach, Giselo?

– Według naszych danych ty i Max nie jesteście bliźniętami. Ale ostatnie wydarzenia dały mi dużo do myślenia. Najpierw pożar, a potem ta historia z Tomem. Ryzykowałeś życie, żeby ratować innych. Max nigdy by tak nie postąpił. To wzmocniło moje przekonanie. Koledzy mi nie wierzą. Uznali, że mną manipulujesz. Ale po tym jak wszedłeś na teren drugiej strefy, nie mogą już dłużej zaprzeczać. To był dowód.

Roześmiała się triumfująco.

– Dowód czego? – zdziwił się Daniel.

– Tego, że twoja nowa osobowość jest prawdziwa. Obejmuje ciebie całego. Gdyby została w tobie choć resztką Maxa, nie byłbyś w stanie tam wejść. Udało ci się go całkowicie wyprzeć. Nie wiem, jak to się stało, ale pewnie ma to coś wspólnego z tym, kiedy pierwszy raz zostałeś porażony prądem.

– Ja?

– Tak, zeszłego lata.

– Ale to Max został porażony prądem – zaprotestował Daniel.

Gisela szybko przytaknęła.

– Zgadza się. Stało się to w czasie, kiedy byłeś Maxem. Wtedy też na krótko straciłeś przytomność. Szybko doszedłeś do siebie, ale zmieniłeś się. Stałeś się bardziej milczący, bardziej wycofany. Kiedy zjawił się tu twój brat, przejąłeś jego osobowość. Jego język ciała i sposób bycia. A kiedy wyjechał, uznałeś, że stałeś się nim. Zamieniłeś się w Daniela. Miłego, empatycznego, pozbawionego egoizmu mężczyznę. Być może jest to jedynie chwilowa zmiana, ale bardzo sympatyczna.

Uśmiechnęła się, jej oczy błyszczały.

– Po raz pierwszy obserwujemy tego typu przemianę u kogoś z naszych mieszkańców. Pozytywną przemianę. To bardzo obiecujące, jeśli chodzi o dalsze badania.

Daniel poczuł, że kręci mu się w głowie. Odłożył sztućce.

– Naprawdę w to wierzysz? Że cierpię na zaburzenia dysocjacyjne?

– Nie powiedziałabym, że cierpisz. W twojej sytuacji jest to wyłącznie pozytywne. Nawet jeśli Max wróci, to wiemy, że masz w sobie także Daniela. Może to jest to, na co tyle lat czekaliśmy.

– Czyli nie wierzysz w to, co ci mówiłem? Nie wierzysz, że Max uciekł, a ja jestem jego bratem bliźniakiem?

Daniel był tak wzburzony, że próbował się podnieść, ale ból nogi sprawił, że znów opadł na krzesło.

Gisela dotknęła ostrożnie ust lnianą serwetką.

– Wierzę, że dla ciebie ta historia jest prawdziwa, Danielu – powiedziała dyplomatycznie. – Nie pamiętasz swojego życia jako Max. Zaniki pamięci to częsty objaw zaburzeń dysocjacyjnych.

Daniel był bezradny, bał się, że zaraz się rozplacze.

– Ale pozwolisz mi stąd wyjechać? – spytał.

– Wyjechać?

Gisela patrzyła na niego zszokowana.

– Nie, mój drogi. Oczywiście, że nie. Jesteś naszym złotym jajem. Naszym pierwszym sukcesem. Będziemy pilnować cię dzień i noc. Zadbamy, żebyś czuł się tu jak księżę. Chcesz może kawy?

Sięgnęła po dzbanek i stojące na wózku dwie filiżanki.

Daniel pokręcił głową. Gisela zaczęła nalewać sobie kawy.

– Jutro spotkam się z kolegami i przedstawię im moją teorię. Tym razem na

pewno mi uwierzą.

Uśmiechnęła się, zerkając w filizankę. Na policzkach miała rumieńce, głos jej się łamał.

– Mam nadzieję, że nie muszę uczestniczyć w tym spotkaniu? – spytał Daniel.

– Uczestniczyć? Będziesz jego główną osobą.

Sięgnęła po półmisek z czekoladowymi biskwitami. Daniel nie patrzył na nią.

– Kiedy będę mógł stąd wyjechać?

– Kiedy rozwiążemy twoją zagadkę – powiedziała Gisela. Włożyła biskwit do ust i odstawiła półmisek na wózek. – Być może będziesz naszym pierwszym całkowicie wyleczonym pacjentem. Pierwszym wyleczonym psychopata. Kiedy nie będziesz już nam potrzebny... – Urwała i wzruszyła ramionami. – Tak, bardzo możliwe, że będziesz pierwszym pacjentem wypisanym z kliniki.

Zamilkła na chwilę, jakby smakując wypowiedziane słowa, tak dziwne, że niemal nie była w stanie w nie uwierzyć. Nagle się rozpromieniła.

– Zostaniesz wypisany! Oczywiście, dlaczego nie?

– Kiedy?

– Ach... – Jej uśmiech zgasł. – Nie w ciągu paru najbliższych lat, oczywiście. Badania wymagają czasu. Ale będziemy cię bardzo dobrze traktować, tego możesz być pewien.

Sięgnęła ręką przez stół i pogładziła Daniela delikatnie po policzku. Odwrócił głowę.

Jest szalona, pomyślał. Jej słowa nie mają żadnego znaczenia.

Już podczas pierwszego spotkania zauważył w jej spojrzeniu coś ponurego, niedobrego. Jak twarz, która przygląda nam się przez szybę, i cofa się, kiedy napotyka nasz wzrok.

Nagle coś sobie przypomniał.

– Cały czas mówisz o psychopatach. Czy to znaczy, że Max jest psychopata?

– A jak myślisz, dlaczego tu trafił?

– Na jakiej podstawie postawiono taką diagnozę? Jest wypalony. Cierpi na depresję dwubiegunową, bywa nieco zwariowany, ale to nie znaczy, że jest szalony.

Gisela wybuchła śmiechem.

– Depresja dwubiegunowa i odrobina wariactwa? Być może. Ale nie dlatego się tu znalazłeś, mój drogi Maxie-Danielu. Zaraz coś ci pokażę.

Gisela wstała i podeszła do stojącej za biurkiem komody. Wsunęła szufladę i wróciła, trzymając w ręku plik fotografii. Położyła je na stole przed Danielem.

– Te zdjęcia nic ci nie mówią?

Daniel spojrzał na leżące na wierzchu zdjęcie. Niemal nagi mężczyzna leżał

w kałuży krwi na podłodze w łazience. Spojrzał na kolejne: zbliżenie twarzy zmarłego, w połowie zmiażdżonej. Jedno oko patrzyło na niego w otoczce zastygłej krwi. Wzdrygnął się z obrzydzenia. Przerażony spojrzał na Giselę, która przyglądała mu się w skupieniu.

Kolejne zdjęcie przedstawiało kobietę z obnażonymi piersiami. Była mocno pobita, ale żyła. Siedziała zwrócona bokiem, pokazując poranione i posiniaczone plecy i ramiona. Czyjaś ręka uniosła do góry jej długie ciemne włosy. Było też zdjęcie całej postaci i zbliżenie posiniaczonej twarzy. Zdjęcia z obdukcji.

Daniel wziął je i zaczął się im dokładnie przyglądać.

– To ktoś, kogoś znasz? – wyszeptała Gisela.

– Nie. Kto to jest?

– Ktoś, kto wszedł Maxowi w drogę. Oboje, i on, i ona.

– Kim jest ta kobieta?

– Młoda Włoszka, z którą Max miał romans. Odeszła od niego i związała się z innym mężczyzną. Z nim.

Gisela wskazała na zdjęcie zmasakrowanej twarzy mężczyzny. Daniel przyglądał się mu chwilę, potem odwrócił wzrok.

Gisela rozłożyła zdjęcia na blacie biurka.

– Co czujesz? – spytała.

– Zabierz je. Są okrutne.

– Spytałeś o kobietę, ale nie zainteresowałeś się mężczyzną. Dlaczego?

Daniel pokręcił gwałtownie głową, starał się nie patrzeć na zdjęcia.

– To nie pierwszy taki jego wyczyn, prawda? – ciągnęła dalej Gisela.

Drżącymi rękami Daniel odsunął od siebie zdjęcia.

– Max tego nie zrobił – stwierdził stanowczo. – Nigdy nie był gwałtowny.

– Nie? Jak dobrze go znasz? – spytała Gisela, chowając zdjęcia do szuflady.

Daniel milczał chwilę, potem znów zdecydowanie pokręcił głową.

– Niemożliwe, żeby Max to zrobił.

Gisela przyglądała mu się zaintrygowana. Czekala aż powie coś więcej, ale on milczał.

– A więc to jest klinika dla psychopatów – odezwał się w końcu, siląc się na obojętność.

– Tak.

– Otoczona niewidzialnym wygradzeniem?

Gisela przytaknęła.

– Ale strefy ciągną się wokół całej doliny, nie tylko wokół kliniki. Co na to mieszkańcy miasteczka?

Gisela spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

Daniel przełknął ślinę.

– Chcesz powiedzieć, że mieszkańcy miasteczka też są pacjentami?

– Nie pacjentami. Nazywamy ich mieszkańcami. Wszyscy tu są mieszkańcami doliny. Niektórzy mieszkają w budynku kliniki lub, jak na przykład ty, w domkach położonych na terenie kliniki. Część mieszka w miasteczku albo we własnych domach w dolinie. Zależy to od indywidualnych upodobań i od tego, jakie rozwiązanie kierownictwo kliniki uzna za najbardziej optymalne.

Daniel zastanawiał się chwilę.

– Starsza kobieta w gospodzie. Hannelore. Ona też jest mieszkanką?

Gisela skinęła głową.

– Co zrobiła? Dlaczego się tu znalazła?

Gisela zastanawiała się chwilę.

– W zasadzie nie przekazujemy pacjentom informacji o innych pacjentach. Ale ty jesteś wyjątkowym przypadkiem. Poza tym jeśli chodzi o Hannelore i jej męża, to wszyscy znają ich historię. I nie tylko tu, w dolinie. Jakies dziesięć lat temu rozesłano za nimi listy gończe po całej Europie. Hannelore i Horst Fullhaus. Nigdy o nich nie słyszałeś?

Daniel pokręcił głową.

– Mieli ośmioro przybranych dzieci. Zamordowali sześcioro z nich. Ich własny syn też w tym uczestniczył, ale nie został skazany, ponieważ był wówczas niepełnoletni.

– Zamordowała szóstkę dzieci? – Daniel aż jęknął. – Jak? Nie, nie chcę tego wiedzieć.

Próbował zrozumieć, co przed chwilą usłyszał od Giseli. Czy to mogła być prawda? Kiedy chwilę się zastanowił, przypomniał sobie, że rzeczywiście słyszał kiedyś o austriackiej parze morderców. Jedno dziecko zostało przywiązane łańcuchem do psiej budy. Było też coś o pralce.

– A Corinne? – spytał nagle. – Dziewczyna z gospody. Też jest mieszkanką?

– Już mówiłam: wszyscy, z wyjątkiem personelu kliniki i pracujących tu naukowców, są mieszkańcami doliny. To nie jest szpital w normalnym znaczeniu tego słowa. To społeczność, gdzie każdy ma do wypełnienia jakieś zadanie. Corinne obsługuje gości i zapewnia im rozrywkę. To bardzo zdolna dziewczyna. Lubisz ją?

– Co zrobiła?

Gisela zawahała się.

– Nie sędzę, żeby Max to wiedział, więc i tobie nie mogę nic powiedzieć.

Daniel poczuł, że robi mu się niedobrze, miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Czuł, jak przyspiesza mu tętno, niemal go dławilo.

Gisela objęła go.

– Trochę za dużo tego wszystkiego, prawda? Musisz odpocząć. Zadzwońię po kogoś, kto odprowadzi cię do pokoju.

Podeszła do telefonu i gdzieś zadzwoniła. Pomogła mu wstać i podała kule.

– Chciałeś powiedzieć coś o kobiecie – powiedziała, kiedy podskakując, ruszył do drzwi.

– O jakiej kobiecie?

Odwrócił się i w tym momencie jego wzrok padł na wieszak, który Gisela najwyraźniej dostała bądź – co bardziej prawdopodobne – kupiła od Toma. Wyrzeźbiona w drewnie twarz przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami, usta otwarte były w niemym krzyku.

– Tej ze zdjęć. Rozpoznałeś ją, prawda?

– Nie – zaprzeczył stanowczo. – Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

Kłamał. Rozpoznał ją ze zdjęcia, które Max trzymał pod materacem. To była ta sama kobieta, pobita i zmasakrowana. Zdjęcie zostało prawdopodobnie zrobione przy okazji obdukcji.

I co wy na to?

Zdjęcie zniknęło z białego ekranu. Sala konferencyjna pogrążyła się na chwilę w mroku. Gisela Obermann wcisnęła przycisk i kotara rozsunała się z lekkim szelestem. Do sali wpadło słońce, ludzie zmrużyli oczy, jakby na panoramicznym oknie rozpoczął się nowy film, spokojniejszy, ale potężniejszy.

– Pierwsze nagranie to rozmowa w moim gabinecie, która odbyła się trzeciego maja tego roku. Druga została nagrana czternastego lipca – powiedziała Gisela, odwracając się plecami do okna. Niebo nad górami było niebieskie, jakby przejrzyste, co zawsze sprawiało, że zaczynała czuć pragnienie.

– Zdziwiająca – wykrzyknęła Hedda Heine. – Rozumiem, co pani ma na myśli, doktor Obermann. To ten sam mężczyzna. Ma nawet na sobie tę samą koszulkę. A mimo to jest zupełnie inny!

– Język ciała jest odmienny – wymamrotał doktor Pierce, przeglądając jakieś zszyte kartki.

Philip Pierce spędził większą część życia w środowisku naukowców i miał niewielkie doświadczenie kliniczne. Był cichy, dokładny i wręcz przesadnie ostrożny. Gisela nie bardzo rozumiała, skąd brała się jego sława. Nikt nigdy nie kwestionował jego badań, chociaż były niezwykle kosztowne, a wyniki mierne. Jedynym wytłumaczeniem mógł być fakt, że nie miał naturalnych wrogów. Był jakby bez wyrazu. Nie było sensu się z nim kłócić. Ktoś taki jak on mógł się zestarzeć w spokoju.

– Jak słyszeliście, mężczyzna na drugim filmie twierdzi, że jest Danielem, bratem bliźniakiem Maxa – podkreśliła Gisela. – Ważne, że naprawdę ma brata, chociaż nie brata bliźniaka. Brat odwiedził go jakieś trzy tygodnie temu.

Ubrana i uczesana po męsku kobieta w średnim wieku podniosła rękę.

– Doktor Linz, proszę.

– Od jak dawna twierdzi, że jest Danielem?

– Brat Maxa był tu trzy tygodnie temu. Podobno wówczas mieli się „zamienić miejscami”, jak to określił.

– Spotkała pani jego brata, doktor Obermann?

– Nie, zwykle nie spotykamy się z gośćmi pacjentów. Ale część opiekunów miała z nim kontakt. Podobno miał gęstą brodę, rozczochrane włosy i okulary. Trochę

artystyczny typ. Kiedy stąd wyjeżdżał, miał na sobie czapkę. Oczywiście trudno określić rysy twarzy kogoś, kto ma brodę i dużo gęstych włosów. Nikt, z kim rozmawiała, nie wspomniał nic o jakimkolwiek podobieństwie.

– Poza tym Max nie ma brata bliźniaka – zauważył Karl Fischer, wskazując głową na pusty ekran. – Tak więc tę historię możemy sobie darować. Po prostu kłamie. Gra. Przyznaję, że robi to dobrze. Ale nasi mieszkańcy mają w tym bogate doświadczenie. Bez przerwy kłamią i manipulują innymi. Kłamstwo jest częścią ich życia.

– Mówi pan o kłamstwie – weszła mu w słowo Gisela Obermann. – Ja jednak mam wrażenie, że mamy tu do czynienia z czymś innym. Zaczynam wierzyć, że on rzeczywiście postrzega siebie jako kogoś innego.

– Zaburzenia dysocjacyjne, osobowość mnoga? O tym mówimy? – spytała Hedda Heine.

Zmrużyła oczy i przyglądała się Giseli.

Gisela przytaknęła.

– W tym przypadku nie mamy do czynienia z przechodzeniem z jednej osobowości w drugą – rzuciła szybko, widząc pogardliwy uśmiech Karla Fischera. – Mam na myśli przypadki, gdy osoba znajduje się w sytuacji, której nie daje się rozwiązać, i nie widzi z niej żadnego wyjścia. Dochodzi wtedy do momentu, w którym nie może już z sobą wytrzymać. Pozostawia więc za sobą długi, rodzinne konflikty, złą sławę i pojawia się w jakimś innym miejscu jako całkowicie inna osoba, bez żadnych wspomnień z poprzedniego życia. Wszyscy wiemy, że Max nie czuł się tu dobrze. Nigdy nie zaakceptował swojej sytuacji, nie zajął się czymś, jak robi to większość mieszkańców. Bez przerwy próbował nas przekupić, żebyśmy tylko pozwolili mu stąd odejść. Podejmował desperackie próby ucieczki. W końcu jakaś część jego osoby, ta rozsądna, zrozumiała, że ucieczka jest niemożliwa. Stracił swoją wolność, ponieważ jest, jaki jest. Ale inna część jego osoby nadal szukała jakiegoś rozwiązania. Pewnego dnia Max postanowił uciec od siebie. Zamienił się w osobę, która nigdy nie trafiłaby do tego miejsca. W kogoś, kto jest miły, praworządny, altruistyczny. Przez kilka dni miał możliwość obserwowania takiej osoby z bliska. Kogoś, kogo znał jeszcze z dzieciństwa. Swojego brata. Gdy Daniel wyjechał, Max odtworzył go w sobie i zawłaszczył.

Twarze wokół stołu wyrażały sceptycyzm, dezorientację, zainteresowanie, pogardę. Przewidziała to. Tylko doktor Kalpak zdawał się nieporuszony, siedział przy stole ze spuszczonego wzrokiem. Najbardziej pozytywnie na jej wywód zareagował młody naukowiec, który przyjechał do kliniki z gościnnym wykładem. Gisela nie знаła go, ale postanowiła się na nim skupić, utkwiała w nim wzrok.

– To podświadomy proces – powiedziała. – Max zaczyna postrzegać dwa lata starszego brata jako swojego bliźniaka.

– Fascynująca teoria – powiedział Fischer. Jego zwykle chropowaty głos zabrzmiał tym razem jak jedwab. – Dlaczego sądzi pani, że to podświadomy proces?

– Bo zmiana jest dogłębna i kompleksowa. Obejmuje całą osobę. Sami widzieliście.

– Hm – zamyślił się Fischer.

Odczekał chwilę, aż skupił na sobie uwagę pozostałych, po czym odezwał się spokojnym, wyważonym głosem jak nauczycielka w pierwszej klasie.

– To, o czym wspominasz, to środki wyrazu używane przez aktorów. Max jest zadziwiająco zdolnym aktorem. Ma talent i wieloletnie doświadczenie. Widziałaś go zimą w naszym przedstawieniu? Muszę przyznać, że byłem pod wrażeniem. Oglądaliśmy wówczas kogoś zupełnie innego. Gesty, ruchy, głos, wszystko było zmienione. Podobnie jest teraz. On robi to całkowicie świadomie. Przyjrzyjcie mu się, gdy jest przekonany, że nikt go nie widzi. Jestem pewien, że wtedy znów jest sobą. Dawnym Maxem.

– Ta sztuka, w której występował – wtrącił doktor Pierce ostrożnie. – O ile dobrze sobie przypominam, była to opowieść o człowieku, który udaje dwie różne osoby, dobrą i złą. Wcielając się w nie, udało mu się wywieść wszystkich w pole. Może stąd pomysł na to małe oszustwo?

– Krótko mówiąc: oszukuje cię, Giselo – stwierdził Karl Fischer.

Gisela udała, że nie zauważyła, że doktor Fischer zwrócił się do niej po imieniu, a nie formalnie, jak to było w zwyczaju podczas takich spotkań.

– Doktorze Fischer – powiedziała z wyszukaną grzecznością. – Każdy może zostać oszukany. Jeśli uznamy, że jesteśmy zbyt mądrzy, żeby to się stało, wtedy pojawia się niebezpieczeństwo. Zawsze powinniśmy mieć się na baczności, ale jestem wdzięczna za pana uwagę. Oczywiście nie wolno nam zapominać o wyjątkowych zdolnościach aktorskich Maxa, jednak to, co mnie przekonało, to nie jego cechy fizyczne, tylko brak egoizmu.

– Co dokładnie masz na myśli, Giselo? – spytała Hedda Heine, patrząc na nią przyjaźnie znad okularów.

– Po prostu mu wierzę. On nie oszukuje mnie. To siebie oszukał. Wielu z naszych pacjentów wmówiło sobie i uwierzyło, że są normalnymi, miłymi ludźmi. Max poszedł krok dalej. Jego chęć ucieczki stąd jest tak silna, że stworzył sobie całkowicie nową osobowość, używając do tego swojego talentu aktorskiego.

– Zaburzenia dysocjacyjne są dość rzadkie wśród naszych pacjentów – zauważył doktor Pierce. – Właściwie nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek mieli do

czynienia z czymś takim. Poza tym w przypadku Maxa nic na to nie wskazuje. Osobowościowo zawsze był stabilny.

Hedda Heine przytaknęła.

– Przypadki osobowości mnogiej są w ogóle niezwykle rzadkie. W mojej praktyce nigdy nie miałam do czynienia z takim pacjentem. Znam takie historie jedynie z literatury.

Kobieta miała zarzucony na ramiona szal w róże, spięty broszką. Kiedy wspomniała o osobowości mnogiej, Gisela pomyślała, że przypomina jej rosyjską matrioszkę. Gdyby można było ją otworzyć, okazałoby się, że w środku jest kolejna drewniana babcia w szalu na ramionach, a w niej kolejna i tak dalej. W końcu zostałyby jedna maciupeńka Hedda.

– Jednak zjawisko jest znane. Wiele się na ten temat mówi – odezwał się doktor Linz. – Niektórzy twierdzą, że obca osobowość nie jest czymś, co tworzy się w sposób naturalny, tylko jest wywoływana przez terapeutę podczas hipnozy. Że jest to niepożądany skutek leczenia.

Oczy Giseli błyszczały.

– Właśnie to mnie uderzyło! Że jest to skutek leczenia. Ale pożądanym skutkiem!

Pozostali przyglądali się jej zdziwieni.

– Mam na myśli projekt „Pinokio” – powiedziała Gisela cichym głosem. – A co pan o tym sądzi, doktorze Pierce? – zwróciła się do kolegi.

Karl Fischer jęknął, poruszył się, jakby coś go zabolalo. Pierce rzucił mu zaniepokojone spojrzenie i zwrócił się do Giseli:

– Niestety, doktor Obermann. Metoda, na którą pani się powołuje, nie działa w ten sposób. Wpływ na zachowanie może być jedynie przypadkowy. Nie dochodzi do żadnych głębszych zmian osobowości. Naprawdę chciałbym... – Urwał, ale po chwili powrócił do wyводу. – Niestety, nigdzie nie znalazłem dowodów na to, co pani sugeruje.

– Do tej pory, to prawda. Ale być może mamy do czynienia z czymś nowym? Może wpadliśmy na trop czegoś ważnego – powiedziała Gisela pełna optymizmu.

Doktor Pierce uśmiechnął się jakby przepraszająco.

Gisela rozejrzała się, szukając wsparcia i zainteresowania u innych uczestników spotkania. Wszyscy jednak wydawali się nieco znużeni dyskusją. Nawet przebywający tu gościnnie młody naukowiec, Brian Jenkins, pstrykał zniecierpliwiony długopisem, przyglądając się alpejskim szczytom za oknem.

Gisela westchnęła bezradnie.

– Cóż, po prostu przyszło mi to do głowy. Że nastąpiła pewna zmiana. A każda zmiana daje nadzieję.

– Niestety, nie ma żadnej zmiany, Giselo – powiedział doktor Fischer. W jego głosie słychać było zmęczenie. – I Niestety nie ma też żadnej nadziei.

– W takim razie jaki jest sens naszych badań? – zawołała Gisela wzburzona. – Skoro nie wierzymy w zmiany? Czyż nie to winno być naszym celem? Powinniśmy mieć oczy i uszy otwarte, wypatrywać wszelkich oznak zmian, by w ten sposób znaleźć coś, co być może pozwoli nam rozwiązać zagadkę. W innym przypadku możemy równie dobrze się stąd zabrać, zostawiając tu tylko strażników.

– Cóż, może rzeczywiście powinniśmy to zrobić – powiedział doktor Fischer, spoglądając na zegarek. – Po dziewięciu latach pracy w klinice zaczynam coraz bardziej przychyłać się do takiego rozwiązania.

– Doktorze Fischer, powinien się pan wstydzić – obruszyła się Gisela.

Odwróciła się do pozostałych kolegów.

– Proponuję zrobić przerwę. Spotkajmy się tu za pół godziny. Razem z Danielem.

Wstała i wyjrzała przez panoramiczne okno. Dwa duże ptaki szybowały blisko skalnej ściany. Krążyły wokół czarnych smug, jakby chciały coś z nich wyczytać. Wyglądały jak drapieżniki.

Kiedy lekarze zaczęli wracać na salę, Daniel siedział już przy stole obok Giseli. Przyprowadziło go tu dwóch opiekunów, czuł się więc nieco jak więzień, sprowadzony z celi na salę sądową. Jak przez mgłę widział siedzących przy stole mężczyzn i kobiety. Opakowanie soczewek kontaktowych zostało w domku, i chociaż wielokrotnie o to prosił, nikt mu ich dotąd nie przyniósł.

Gisela przywitała go i natychmiast zaczęła zadawać mu pytania, niczym adwokat.

– Max i ty jesteście bliźniakami, tak? Dobrze cię zrozumiałam?

– Powtarzałem to wielokrotnie.

Wszyscy przyglądali mu się z największą uwagą, z wyjątkiem doktora Fischera, który demonstracyjnie patrzył w sufit.

– Możesz opowiedzieć nam coś o sobie?

Daniel zaczął mówić. Doktor Fischer stłumił ziewnięcie i zwrócił się do Giseli:

– Moja droga, czemu zajmujesz nam czas takimi bzdurami?

– Wysłuchajmy go. Jestem przekonana, że mamy tu do czynienia z przypadkiem całkiem nowej osobowości. Pacjent nie ma żadnych wspomnień z czasu, kiedy był Maxem.

Hedda Heine przerwała jej.

– Jeśli doktor Obermann ma rację, stajemy przed ważnym problemem moralnym. Czy nie powinniśmy pomyśleć o jego bezpieczeństwie? Teraz jest bowiem „jagnięciem”, jak to określają niektórzy nasi mieszkańcy. Nie potrzebuje ochrony?

– Zdecydowanie nie – warknął Fischer, uderzając dłonią w stół. – Jest tu z tego samego powodu co wszyscy i nie potrzebuje dodatkowej ochrony. To bardzo przebiegły człowiek, intrygant, który naczytał się fachowej literatury na temat dewiacji psychicznych i teraz gra przed nami, próbując nas skłócić.

– Doktorze! – zawołała Gisela. – Proszę uważniej dobierać słowa! I nie zapominać, że mieszkaniec jest obecny na sali.

– Więc każ go wyprowadzić. Nie sądzę, żeby jego obecność była nam potrzebna. Na okrągło powtarza to samo. Prawdę mówiąc, jest to dość nużące.

Gisela wstała gwałtownie i skinęła głową Danielowi.

– Odprowadzę cię do twojego pokoju – wyszeptała do niego.

- **To by było tyle** – powiedział Karl Fischer, kiedy Gisela Obermann i Daniel wyszli z sali. – Musimy być wyrozumiali dla doktor Obermann. Jest bardzo ambitna i dużo pracuje. Obawiam się, że ostatnio może nawet zbyt dużo. Czy ktoś chciałby jeszcze coś dodać, czy możemy już zakończyć to spotkanie?

– Jeszcze jedna sprawa – odezwał się Brian Jenkins, wymachując kartką papieru. – Mam przed sobą listę naukowców zaproszonych na najbliższą konferencję. Figuruje na niej pewne nazwisko. Greg Jones. Kto to jest, do licha? W życiu o nim nie słyszałem.

Karl Fischer przeciągnął dłońią po swojej siwej szczecinie. Zastanawiał się chwilę, w końcu odchrząknął i zaczął mówić.

– Jak wam wiadomo, mamy bogatego, anonimowego darczyńcę. Przekazuje nam naprawdę duże sumy. Jest nim Greg Jones. Nie chce tego rozgłaszać, dlatego proszę, żebyście zachowali to dla siebie. Zbił majątek na produkcji kosmetyków. Firmę założył jeszcze jego ojciec. Jego siostra została porwana przez szaleńca, kiedy miała jedenaście lat. Rodzina była skłonna zapłacić duży okup, ale zaszło nieporozumienie i pieniądze nie dotarły do porywacza na czas. Dziewczynkę znaleziono w kontenerze na śmieci z poderżniętym gardłem. Greg Jones chce, byśmy rozwiązali tajemnicę psychopatii. Dzięki jego wsparciu być może nam się to pewnego dnia uda. Jones wyraził życzenie obejrzenia naszej kliniki, a ja się na to zgodziłem. Ponieważ nie chce budzić zainteresowania, postanowił wziąć udział w wizycie grupowej. Obiecałem, że zachowamy daleko idącą dyskrecję. Będzie traktowany tak jak pozostali goście.

Brian Jenkins zagwizdał.

– Skromny miliarder. Niezwykłe. Rozumiem też, że naprawdę nie nazywa się Greg Jones, prawda? Ale w porządku. Dopóki inwestuje swoje dolary w Rajską Dolinę, może się nazywać jak chce.

Gisela położyła rękę na plecach Daniela, objęła go niemal matczynym gestem i zaczęła iść z nim w stronę windy.

– Nie jest mi łatwo przekonać ich do mojej teorii. Większość sądzi, że mną manipulujesz. A doktor Fischer bywa niekiedy dość obcesowy. Mam nadzieję, że nie poczułeś się dotknięty. Nie idę za szybko?

Daniel nie miał już kul, ale nadal lekko utykał. Brakowało mu soczewek. Nagle uświadomił sobie, jakie to uczucie być starym. Człowiek porusza się z trudem. Kiepsko widzi.

Gisela zwolniła.

– W porównaniu z tym, czego tu doświadczyłem, kilka oschłych słów jest niczym – powiedział Daniel. – Ale mam jedno pytanie: co znaczy „jagnię”?

– To tutejszy żargon. Tak nazywają nas mieszkańcy doliny. Nas, to znaczy ludzi empatycznych, mających sumienie. Jesteśmy „jagniętami”. W ich oczach po prostu kretynami, chociaż mam wrażenie, że w pewien sposób jesteśmy dla nich jednak atrakcyjni. Tacy czyści, niewinni. Mamy w sobie jakąś piękność. Chociaż my, lekarze, nie jesteśmy tak do końca „jagniętami”. Opiekunowie też nie. Jesteśmy zbyt czujni, za dużo wiemy, nie możemy być prawdziwymi „jagniętami”.

Danielowi przypomniała się nagle Samantha.

– W dolinie są i mężczyźni, i kobiety – powiedział.

– Głównie jednak mężczyźni. Stanowią osiemdziesiąt procent mieszkańców. Co wcale nie musi oznaczać, że psychopatia jest bardziej powszechna u mężczyzn, ale jedynie, że u nich częściej wyraża się gwałtownymi czynami. Dlatego częściej są sądzeni. A potem trafiają do nas, niekiedy prosto z sali rozpraw.

– Ale kobiety też tu są – upierał się Daniel. – Mieszkają tu ludzie obu płci, obcuja z sobą, a dotąd nie widziałem tu jeszcze żadnego dziecka. Ani w miasteczku, ani w dolinie. Ani jednego!

– Chcemy, żeby życie w Rajskiej Dolinie toczyło się jak najbardziej normalnie. Nie zabraniamy stosunków seksualnych, ale oczywiście nie chcemy dzieci. Dlatego wszyscy mieszkańcy, i mężczyźni, i kobiety, są wysterylizowani. Odbywa się to natychmiast po przybyciu do doliny.

Gisela powiedziała to spokojnym, oczywistym tonem, jakby mówiła o szczepionce przeciwko grypie.

– Więc Max też...

Skinęła głową.

– Wszyscy. A ponieważ ty i Max macie to samo ciało, więc ciebie też to dotyczy.

Mówi o Maxie, nie o mnie, pomyślał Daniel. Mnie to nie dotyczy, przekonywał sam siebie.

– Początkowo obawialiśmy się, że kobiety będą wykorzystywane, ale tutejsze mieszkanki potrafią dać odpór. Tolerujemy związki. Bardzo dobrze, że powstają. To naturalne. Niektórzy są parą już w momencie przybycia, jak Hannelore i jej mąż. Ale jest też dużo przypadkowych związków. Także homoseksualnych. Na pewno zdarzają się też przypadki prostytutki.

Dotarli do oddziału, na którym leżał Daniel. Gisela wcisnęła kod i drzwi się otworzyły.

– Jednak szczerze mówiąc, niewiele o tym wiemy, to intymna sfera mieszkańców. Wszyscy są badani pod kątem chorób wenerycznych. Jeśli trzeba, wdrażamy leczenie. Nie ma więc się czego obawiać. Ani chorób wenerycznych. Ani ciąży. Pełna swoboda seksualna, istny raj.

Dotarli do pokoju Daniela, zatrzymali się.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczyła Gisela i otworzyła drzwi.

Daniel nie ruszył się.

– Zaczekaj chwilę. Wiem, że bliźnięta jednojajowe mają identyczne DNA, ale jeśli

Max został wysterylizowany, a ja nie jestem wysterylizowany, to to chyba czegoś dowodzi. A to można sprawdzić, prawda?

Gisela roześmiała się.

– Zapewne, ale ja tym się nie zajmuję. Nie sędzę też, żeby udało mi się przekonać doktora Fischera do wyrażenia zgody na tak niepotrzebne badanie. Wszyscy wiemy, kim jesteś. Jedynie ty tego nie wiesz.

Pokazała ręką w stronę pokoju.

– Połóż się i odpocznij chwilę. Mam nadzieję, że wkrótce będziesz mógł wrócić do swojego domku.

Podala mu broszurę z alpejskim szczytem na okładce.

– Trochę informacji o Rajskiej Dolinie. Wręczamy ją wszystkim nowo przybyłym, a ciebie najwyraźniej też muszę tak traktować. Poza tym doktor Heine ma rację: potrzebujesz ochrony, Danielu. Zobaczę, co da się zrobić. Tymczasem radzę ci nie mówić innym mieszkańcom, że jesteś Danielem. Dla nich jesteś Maxem, dobrze? Struktura społeczna w Rajskiej Dolinie jest hierarchiczna, a Max cieszył się tu szacunkiem – powiedziała Gisela i zamrugła do niego porozumiewawczo. – Udawaj, że nim jesteś.

Daniel leżał na łóżku w swoim szpitalnym pokoju i po raz dziesiąty czytał broszurkę, którą dostał od Giseli Obermann. W końcu przyniesiono mu też soczewki z domku.

Rozległo się pukanie do drzwi i – nie czekając na odpowiedź – do pokoju wszedł Karl Fischer. Usiadł na krawędzi łóżka.

– Jak czuje się nasz pacjent? Słyszałem, że wszystko dobrze się goi. Cieszę się, Danielu. Bo rozumiem, że nadal jesteś Danielem? Czy może pojawiła się jakaś nowa ciekawa osobowość, o której nic mi nie wiadomo? – powiedział drwiąco. Poklepał Daniela lekko po poparzonej nodze, Daniel jęknął z bólu.

Karl Fischer nigdy wcześniej nie odwiedzał go na oddziale. Właściwie dotąd miał kontakt jedynie z pielęgniarkami, z Giselą i z bladym, szczupłym lekarzem, specjalistą od poparzeń.

– Gdzie jest doktor Obermann? – spytał.

Fischer milczał. Rozglądał się po niewielkim pokoju, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Jego jasnoniebieskie oczy poruszały się szybko niczym zwinne małe rybki w sieci zmarszczek. W jakiś dziwny sposób jego oczy sprawiały wrażenie znacznie młodszych od niego. Nagle zauważył broszurę, która leżała otwarta na piersi Daniela. Sięgnął po nią, uderzył nią o dłoń i uśmiechnął się.

– Doktor Obermann nie jest już za ciebie odpowiedzialna. Zespół podjął taką decyzję jednomyślnie na poprzednim zebraniu.

– Dlaczego? – zdziwił się Daniel. – Miałem dobry kontakt z doktor Obermann.

Karl Fischer roześmiał się i ponownie położył broszurę na jego piersi. Daniel pomyślał, że go nie lubi.

– Wierzę ci. Udało ci się owinąć ją wokół małego palca, prawda? Ale zapewniam cię, że nikt z nas nie wierzy w te bzdury o nowej osobowości.

Daniel usiadł na łóżku, nieco zbyt gwałtownie. Poczł silne pieczenie, zamknął oczy i zaczerpnął powietrza.

– Nigdy nie mówiłem o nowej osobowości – wymruczał. – Mówiłem, że nie jestem Maxem, tylko jego bratem bliźniakiem.

Doktor Fischer złożył dłonie niczym rozmodlony święty, po chwili przyłożył palce do swoich wąskich ust i spojrzał nieco szelmowsko na Daniela.

– Nie ma żadnego brata bliźniaka, przyjacielu.

– Nie? A kto przyjechał tu z wizytą i wpisał się do książki w recepcji?

Karl Fischer zamrugał tajemniczo jednym okiem.

– Twój dwa lata od ciebie starszy brat.

Daniel jęknął zrozpaczony.

– Max podał błędną datę urodzenia. Nie wiem dlaczego, ale tak zrobił. Personel musiał zauważyć nasze podobieństwo. Jesteśmy bliźniakami!

Karl Fischer wzruszył ramionami, znudzony przyglądał się swoim paznokciom.

– Mnie o to nie pytaj. Nigdy nie widziałem twojego brata. Słyszałem, że obaj macie ciemne włosy. Ale moim pacjentem jesteś ty, twój brat mnie nie interesuje. Wyjechał, a w przyszłości będę bardzo dokładnie kontrolował listę twoich gości. Z tych odwiedzin nie wynika nic dobrego. Trafiłeś do Rajskiej Doliny z konkretnego powodu i spędzisz tu resztę życia. Im szybciej się z tym pogodzisz, tym lepiej dla ciebie.

Daniel ponownie jęknął i chwycił się za wezglowie łóżka, jakby doktor Fischer próbował zepchnąć go w przepaść.

– Chcę mieć prawdziwy telefon – powiedział, starając się, żeby jego głos brzmiał stanowczo. – Muszę zadzwonić do Szwecji – dodał.

Nie bardzo wiedział, do kogo mógłby zadzwonić. Właściwie nie miał przyjaciół. Kto mógł zaświadczyć, że jest tym, kim jest? Ktoś z liceum, w którym pracował? Ale był środek lata, w szkole nikogo nie było. Ktoś w Rejestrze Ludności?

Doktor Fischer wskazał palcem rozdział w broszurce.

– Mieszkańcy nie mają dostępu do połączeń zewnętrznych – powiedział sucho.

– Chcę rozmawiać z doktor Obermann.

Daniel robił wszystko, żeby przestać się trząść. Nie chciał się załamać na oczach doktora Fischera. Doktor Obermann by mu nie przeszkadzała, ale z doktorem Fischerem sprawa wyglądała inaczej.

Lekarz uśmiechnął się cierpliwie.

– Od tej chwili ja za ciebie odpowiadam. Nie będziesz się już spotykał z doktor Obermann. Zostaniesz na oddziale jeszcze tydzień. Jeśli rana będzie dobrze się goić i nie przyjdzie ci do głowy jakiś nowy szalony pomysł, będziesz mógł wrócić do domku. Tylko nie chcę już słuchać tych bzdur o bliźniakach – dodał surowym tonem. – Żadnych takich pomysłów.

Nachylił się nad poparzonym bokiem Daniela i zaczął mówić do niego szeptem. Jego oddech pachniał ozonem, jak powietrze przed burzą.

– Jeśli jeszcze raz spróbujesz wtargnąć do drugiej strefy, wylądujesz piętro niżej. Rozumiemy się?

Daniel nie miał pojęcia, o czym Fischer mówi. Uznał jednak, że najlepiej będzie,

jeśli po prostu skinie głową.

Część III

Jagnię wśród wilków, pomyślał Daniel, kiedy stojąc przed głównym budynkiem kliniki, spojrzął na park.

Był przełom lipca i sierpnia, trawa na zboczach była nadal nieprawdopodobnie zielona, jednak coś w powietrzu kazało już myśleć o jesieni.

Kiedy leżał w niewielkim pokoju szpitalnym, tęsknił za światem na zewnątrz, teraz jednak najchętniej wróciłby tam z powrotem. Krótki spacer do domków na zboczu wydał mu się nagle długą i niebezpieczną wędrówką.

Odwrócił się i spojrzął na budynek za sobą. W jego szklanej fasadzie odbijało się niebieskie niebo i pędzące po nim chmury.

Wziął głęboki oddech, chwycił mocniej rzemyki plecaka – jakby to plecak miał go nieść – i ruszył szybkim krokiem pod górę, nie oglądając się za siebie. Koło basenu byli jak zwykle ludzie, ludzie byli też na kortach i przy stołówce. Tyle że nie przypominali już turystów czy mieszkańców luksusowego hotelu. Miał pełną świadomość, że wszyscy, poza pracownikami w jasnoniebieskich uniformach, to bestie w ludzkiej skórze. Drapieżniki czekające tylko, by móc wbić zęby w niewinne jagnię.

Starał się iść spokojnie, ale nie wytrzymał i ostatnie dwadzieścia metrów do domku pokonał biegiem. Marko, jego sąsiada, nie było nigdzie widać, co przyjął z wdzięcznością.

Drżącą dłonią otworzył drzwi. Wszedł do środka i ruszył prosto do alkowy. Odsunął kotarę, nikogo za nią nie było. W toalecie też było pusto. Domek wyglądał tak jak wtedy, kiedy go opuszczał. Zamknął drzwi, przekręcając klucz od środka, opadł na jeden z sosnowych foteli i dłuższą chwilę dyszał ciężko jak po wyczerpującym marszu. Był bezpieczny. Na razie.

Następne dni spędził zamknięty w domku niczym więzień. Żywił się zapasami, białą fasolą w sosie pomidorowym z puszek, pił wodę z kranu. Drzwi zamykał na klucz. Kiedy rano i wieczorem zjawiał się patrol, otwierał drzwi własnym kluczem. Uśmiechnięci opiekunowie, których według broszurki należało traktować jako „personel pomocniczy”, ale którzy ze „względów bezpieczeństwa” byli wyposażeni w elektryczne paralizatory, zawsze chodzili parami. Rzeczywiście, Daniel nigdy nie widział pojedynczego opiekuna czy opiekunki, ani na terenie kliniki, ani w dolinie. Z drugiej strony nigdy też nie widział w ich rękach

paralizatorów. Zakładał, że opiekunowie ukrywali je pod jasnoniebieskimi kurtkami.

Firanki były zasłonięte, domek tonął w półmroku. Kiedy od czasu do czasu wieczorem ostrożnie je odchyłał, widział, jak Marko siedzi przyklejony do ściany swojego domku. Zastanawiał się, z jakiego powodu się tu znalazł.

Przed południem i w ciągu dnia sąsiad najczęściej pozostawał w domu. Zwykle dopiero gdzieś około siódmej rozlegały się ciche kroki na werandzie, a potem głuchy huk, kiedy Marko opadał na stojącą pod ścianą ławkę. Zostawał na niej przez cały wieczór. Kiedy Daniel czasem wstawał w nocy, żeby pójść do toalety, wyglądał przez szparę między firankami. Marko siedział na werandzie, wpatrując się w ciemność, niczym duże, nieruchome nocne zwierzę. W ciągu dnia, kiedy opuszczał ławkę, na ścianie w miejscu, w którym się o nią opierał, widać było ciemniejszą plamę.

Co Marko widział, czuwając w nocy? Bo chociaż było ciemno i większość mieszkańców zapewne spała, to jednak nie wszyscy. Zgodnie z regulaminem każdy mieszkaniec powinien być u siebie o północy i o siódmej rano, kiedy patrole odbywały swoje rundy. Co robisz poza tym, to już twoja sprawa, powiedział mu Max.

I rzeczywiście chyba tak było. Około wpół do dwunastej na terenie zawsze panował ruch, ludzie szli parkiem albo zboczem do swoich domków, spieszyli się. Kiedy wszyscy byli już na miejscu, zapadała cisza, przerywana jedynie szumem elektrycznego silnika wozu patrolowego, pukaniem do drzwi i nawoływaniem.

Po mniej więcej półgodzinnej ciszy teren wokół kliniki znów budził się do życia, chociaż było to życie nieco inne niż za dnia, cichsze, bardziej przytłumione. Słysząc było ostrożnie otwierane drzwi, szepty w ciemnościach, widać było przemykające przez trawnik cienie. Gdzieniegdzie słysząc też było dyskretne pukanie do drzwi, raz nawet – ku jego przerażeniu – ktoś zapukał także do jego drzwi! „Psst!”, usłyszał pewnej nocy, jak syczenie owada. Ktoś kilka razy nacisnął ostrożnie klamkę. Daniel leżał cicho za kotarą, bojąc się oddychać. Po dłuższej chwili usłyszał poirytowane prychnięcie, potem znów zapadła cisza.

Wcześniej Daniel w ogóle nie zwrócił uwagi na toczące się tu nocne życie. A to dlatego, że głęboko spał. Teraz często zasypiał dopiero nad ranem, leżał i rozmyślał godzinami. I bał się. A kiedy w końcu udało mu się zasnąć, jego sen był kruchy jak szkło, budził go najmniejszy szelest.

Pewnej nocy wstał i uniósł materac. Szukał zdjęcia, które Max pokazał mu wieczorem przed swoim wyjazdem. Był pewien, że przedstawiało tę samą dziewczynę, która była na zdjęciach pokazywanych mu przez Gisele.

Ale niczego nie znalazł. Zdjął materac. Zdjęcie znikło. Pewnie znalazł je któryś z opiekunów i zabrał z sobą.

Kiedy wrócił ze szpitala i włączył komputer, miał w poczcie cztery mejle. Jeden od ojca Dennisa i trzy od Corinne. Nie otworzył ich. Komórka Maxa dzwoniła kilka razy, pozwalał jej dzwonić. Pewnego deszczowego przedpołudnia komórka znów zadzwoniła. Dzwoniła tak wytrwale, że w końcu podniósł ją i spojrzął na wyświetlacz. Jeśli dzwonił lekarz czy ktoś z personelu, powinien odebrać. Jednak zanim zdążył to zrobić, komórka przestała dzwonić. Rozpoznał numer Corinne. Zobaczył też, że ma jedenaście nieodebranych połączeń. W momencie, kiedy zamierzał wyłączyć komórkę, znów zadzwoniła. Wcisnął „odbierz”.

– Nie chcę z tobą rozmawiać – rzucił.

– Nie rozłączaj się – poprosiła Corinne. – Nie musisz się mnie bać. Słyszysz, co mówię? Nie musisz się mnie bać.

Mówiła spokojnie, krótkimi zdaniami, jakby rozmawiała z dzieckiem. Miał ją przed oczami. Figlarne brązowe oczy, ostro zarysowane kości szczęki. W ostatnich tygodniach tyle się wydarzyło, że prawie zapomniał, jak wygląda, ale gdy usłyszał jej głos, wszystko wróciło. Poczł przyplływ ciepła.

– Rozłączam się – powiedział.

– Nie, zaczekaj. Musisz mnie wysłuchać. To ważne. Rozmawiałam z Gieselą Obermann. Wiem, co ci się przytrafiło. Dobrze, że jesteś nieufny. I czujny. Słusznie postępujesz. Ale jeśli odizolujesz się całkowicie, wtedy zwariujesz. Musisz czasem przynajmniej pójść po zakupy.

Daniel milczał. Corinne miała rację. Jego domek zamienił się w oblężoną twierdzę, zapasy jedzenia kończyły się.

– Staraj się unikać innych – mówiła dalej Corinne. – Ale nie chowaj się. Rozumiesz? Nie okazuj strachu, bo domyślą się, że się boisz. Nawet jeśli zamkniesz się w czterech ścianach domku. Jesteś tam?

– Tak – powiedział cicho.

– Musimy się spotkać.

– Nie chcę się z nikim spotykać.

– Słusznie. Ale w sytuacji, w jakiej się znalazłeś, nie poradzisz sobie sam. Posłuchaj mnie, Danielu: jesteś tu nowy. Jesteś jagnięciem. Jesteś otoczony wrogami. Potrzebujesz mentora.

Daniel przełknął ślinę.

– Jesteś mieszkanką doliny. Jak mogę ci zaufać?

– Nie masz wyboru. Bez pomocy zginiesz. Wierz mi, że nikogo lepszego ode mnie nie znajdziesz. Twoja sytuacja może się tylko pogorszyć. I to znacznie.

– Wolałbym nie opuszczać domku.

– Nie musisz. Wystarczy, że otworzysz drzwi. Jestem na zewnątrz.

Podszedł do okna, wyjrzał przez firanki.

Zobaczył, jak stoi, w pomarańczowym płaszczu przeciwdeszczowym, w kapturze, z komórką przyciśniętą do ucha. Wyglądała żałośnie, drobna, w siąpiącym deszczu. Patrzyła na niego, widział, jak jej usta się poruszają, słyszał jej cichy głos w słuchawce, na wpół proszący, na wpół rozkazujący:

– Otwórz drzwi.

Otworzył. Zdjęła pelerynę, powiesiła ją na krześle i usiadła na fotelu. Zaczęła kręcić głową, żeby osuszyć nieco grzywkę. Daniel usiadł naprzeciwko niej.

– A więc rozmawiałaś z Gisela Obermann. Jest twoim psychiatrą?

– Nie czepiaj się szczegółów. Nie pora na takie rzeczy. Twoja sytuacja jest poważna.

– Pani doktor powiedziała ci, że cierpię na zaburzenia dysocjacyjne, wykazuję objawy osobowości mnogiej?

Corinne skinęła głową.

– Wierzysz w to?

– Nie. Ale to może być dla ciebie korzystne. Gisela jest do ciebie bardzo pozytywnie nastawiona. Ma wrażenie, że dokonała ważnego odkrycia. Wszyscy naukowcy w dolinie marzą o czymś takim. Giseli odebrano twój przypadek, przejął cię Karl Fischer. To niedobrze. Będziesz musiał uważać – powiedziała Corinne i wzdrygnęła się, jakby nagle zrobiło się jej zimno. – Chętnie napiłabym się herbaty – rzuciła.

– Przykro mi. Nie mam herbaty. Mam tylko fasolę w sosie pomidorowym i wodę.

Corinne wstała. Przysunęła krzesło do zlewu, weszła na nie i z wiszącej nad nim szafki zdjęła duże opakowanie torebek herbaty, którego Daniel wcześniej nie zauważył.

– Max nie lubił herbaty. Kupiłam tę paczkę, żeby mógł mnie poczęstować, kiedy tu przychodziłam – powiedziała, nalewając wody do dzbanka. – Też się napijesz? – spytała.

– Poproszę. A więc bywałaś tu już wcześniej?

– Wiele razy. Chociaż częściej spotykaliśmy się u mnie.

Daniel wyjął z szafki dwa kubki, do każdego włożył torebkę z herbatą. Oczekiwał, że powie coś więcej o swoim stosunku do Maxa, ale ona milczała.

– Czuję się jak gość we własnym domu – odezwał się, kiedy postawiła przed nim kubek.

– Bo też jesteś tu gościem, prawda? – Uśmiechnęła się do niego.

– Gościem, który nie może wrócić do siebie – powiedział gorzko.

Corinne wypła łyk gorącej herbaty, odchyliła się w fotelu.

– A więc Gisela powiedziała ci, co to za miejsce. Czy teraz rozumiesz, dlaczego nie reagowałam na twoje prośby o pomoc? Nie jestem w stanie pomóc ci opuścić dolinę. Sama też nie mogę stąd wyjechać.

– Jeśli Max wróci...

Machnęła ręką.

– Nie wróci. Znam go. Ty byłeś jego szansą i wykorzystał to. O wszystkim decydują lekarze, to ich musiałbyś przekonać. Oni też mają swoje słabe punkty, jak wszyscy. Są próżni, ambitni, konkurują z sobą i są zafascynowani psychopatami do tego stopnia, że niekiedy jest to wręcz śmieszne. Obserwują nas, jak obserwuje się egzotyczne zwierzęta. Rajska Dolina to takie ich Serengeti. Każdy, kto prowadzi badania nad psychopatami, marzy, żeby dostać stypendium i tu przyjechać. Tu, gdzie dzikie bestie są na wyciągnięcie ręki.

– Nie jestem psychopatą – zachnął się Daniel.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Ostatnio coraz trudniej było mu wytrzymać dłużej w jednym miejscu.

– Ja też nie – powiedziała Corinne.

Zatrzymał się i spojrzał na nią uważnie.

– Więc dlaczego tu jesteś?

– To długa historia, którą opowiem ci innym razem. Powiedzmy, że ktoś popełnił błąd, ale teraz skupmy się na tobie.

– Ty trafiłaś tu przez pomyłkę, ja trafiłem tu przez pomyłkę – wysyczał Daniel. – Ciekawe, jak wielu jeszcze też trafiło tu przez pomyłkę?

– Niezbyt wielu. Na pewno niektóre diagnozy nie są do końca dokładne, ale nawet jeśli nie wszyscy są w stu procentach psychopatami, to jednak powinieneś zakładać, że tak jest. Tak będzie najbezpieczniej.

– Muszę stąd wyjechać! – krzyknął Daniel.

Uderzył pięścią w drewnianą belkę. Poczul ból, ale uderzył drugi raz i kolejny, po policzkach poleciały mu łzy. Nagły wybuch złości zaskoczył go. Corinne wydawała się jednak nieporuszona. Piła herbatę, a kiedy się uspokoił i wrócił na krzesło, zaczęła mówić.

– Oczywiście, że powinieneś stąd wyjechać. Ale to może trochę potrwać. Teraz najważniejsze, żebyś przeżył. Obiecałam cię wspierać, ale jedyna pomoc, jakiej mogę ci udzielić, to dać ci kilka dobrych rad. Nie marszcz nosa. Dobra rada może czasem decydować o życiu czy śmierci.

- Nic nie powiedziałem.
- Widziałam twoją minę.
- Słucham – odpowiedział z pokorą.
- Dobrze.

Corinne odstawiła kubek z herbatą, wyprostowała się i uniosła lewy kciuk.

– Po pierwsze trzymaj się z daleka od innych. Nie wchodź w żadne układy, interesy, z nikim się nie zaprzyjaźniaj, nie nawiązuj żadnych bliższych relacji. Ale nie ukrywaj się. Pokazuj się codziennie w stołówce. Siadaj sam, ale bądź tam. Chodź do miasteczka na zakupy. Wpadnij czasem na piwo. Chodź wyprostowany. Nie spuszczaaj wzroku. Odpowiadaj grzecznie, ale krótko. Sam nie zaczynaj żadnych rozmów. W przypadku jakiegokolwiek kłótni czy awantury trzymaj się z daleka. Wykazałeś się dużą odwagą, obezwładniając Toma i ratując życie Bonnardowi, chociaż jeśli mam być szczerą, to nie wiem, czy jest tego wart.

– Czyż każde ludzkie życie nie jest cenne?

Corinne spojrzała w sufit zrezygnowana.

– Na litość boską. André Bonnard gwałcił i mordował małe dziewczynki, najmłodsza z jego ofiar miała trzy latka. Można się zastanawiać, czy jego życie jest cenne, czy nie, ale to dyskusja na inną okazję. Tak czy inaczej musisz być ostrożny. Nie wdawaj się w awantury. To może być niebezpieczne. Nie podejmuj żadnych działań. Najlepiej, żebyś niczego nie widział, niczego nie słyszał. Bądź egoistą. Rozumiesz mnie?

Daniel pokiwał głową w milczeniu.

– Po drugie – ciągnęła Corinne, unosząc do góry lewy palec wskazujący. – Po drugie – powtórzyła – musisz o siebie dbać. Dobrze się odżywiaj, trenuj. Dużo. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz musiał użyć swojego ciała. Ale uważaj, żeby nie pokazywać innym, że jesteś w formie. Dlatego unikaj siłowni. Jak zapewne wiesz, ja nigdy tam nie bywam. Kobiety są tu w mniejszości, a więc są obiektem pożądania. Kierownictwo kliniki to rozumie, dlatego pozwolono mi urządzić w domu własną, niewielką siłownię. Jest bardzo skromnie wyposażona, ale mnie wystarcza. Jeśli chcesz, możesz tam ćwiczyć.

– Dziękuję.

Jego gniew zniknął, słuchał jej w skupieniu.

– Tyle jeśli chodzi o ciało, teraz kilka słów o duszy.

Corinne uniosła palec środkowy lewej ręki.

– Dusza jest ważna. Jak rozumiem, dużo czytasz.

– Skąd wiesz?

Dziewczyna roześmiała się.

– Nawet idąc na piwo, bierzesz z sobą książkę. Nie przypominam sobie, żeby którykolwiek z naszych gości czytał przy piwie. Teraz też coś czytałeś, prawda? – powiedziała, wskazując głową na leżącą na stoliku otwartą książkę. – Wypożyczyłeś ją z naszej biblioteki, najwyraźniej wiesz o jej istnieniu. To dobrze. Chodź tam nadal. Ja osobiście znalazłam azyl gdzie indziej.

– Czyli?

– W kościele.

– Jesteś wierząca?

Corinne rozłożyła ręce.

– Nazwij to, jak chcesz. Każdego wieczoru o szóstej jest msza. Jeśli nie występuję, zawsze na niej jestem. Jest nas niewielka grupka. Siadamy daleko od siebie w ławkach, słuchamy księdza, śpiewamy psalmy i zapalamy świece.

– Księdza? – powtórzył Daniel. – Ojca Dennisa, który umieszcza swoje rozważania w Intranecie?

Corinne skinęła głową.

– Być może nie jest genialnym teologiem, ale też nie mamy specjalnego wyboru. Nie chodzę do kościoła ze względu na niego. Jeśli chcesz, możesz kiedyś się tam ze mną wybrać.

– Nie, dziękuję. To nie dla mnie.

– Może zmienisz zdanie. Co jeszcze mogę ci doradzić? Oczywiście musisz być bardzo ostrożny. Ale o tym nie muszę ci przypominać. Zawsze zamykaj drzwi. Nie otwieraj niezapowiedzianym gościom. Nie chodź nigdzie w nocy, unikaj odludnych miejsc. I nikomu nie mów, kim naprawdę jesteś, ale to już wiesz. Będziemy się starać przekonać lekarzy, kim naprawdę jesteś, ale dla mieszkańców doliny powinieneś pozostać Maxem.

Corinne wstała, sięgnęła po pelerynę, która była na nią co najmniej o trzy numery za duża.

– Jeszcze jedno – powiedziała, wkładając kalosze. – Samantha zdążyła cię już odwiedzić?

– Tu? W domku? Nie – odpowiedział Daniel.

Corinne spojrzała na niego i westchnęła.

– Jeśli chcesz przeżyć, musisz nauczyć się lepiej kłamać. Jesteś czerwony jak burak.

– To było dawno temu. Poza tym prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy mi się to nie przyśniło – wymamrotał zażenowany.

– Nie chcę cię w niczym ograniczać, tylko pamiętaj, że musisz bardzo uważać.

Corinne przekręciła klucz w zamku, włożyła kaptur i z ręką na kłamce jeszcze

raz się do niego odwróciła.

– Na razie – rzuciła i wyszła w deszcz.

Następny dzień był pogodny, ośnieżone szczyty na zachodzie mieniły się w promieniach słońca. Daniel postanowił posłuchać Corinne i zjeść obiad w stołówce. Szedł przez park wyprostowany, patrząc prosto przed siebie. Po wczorajszym deszczu powietrze było przyjemnie świeże.

Jak zwykle o tej porze przed głównym budynkiem kliniki panował ożywiony ruch. Ludzie podążali parkowymi alejkami, samotnie albo w grupach. Dwie opiekunki zmierzały w stronę miasteczka, jedna z nich zajęta była rozmową przez komórkę. Nigdzie jednak nie zauważył żadnego z lekarzy uczestniczących w zebraniu w sali konferencyjnej. Po tym jak został wypisany ze szpitala, żaden z nich już się z nim nie kontaktował. Ani doktor Fischer, ani lekarka Maxa, doktor Obermann czy w ogóle ktokolwiek.

Spojrzał na wysoki budynek, próbując zlokalizować salę konferencyjną, w której odbywało się spotkanie. Musiała znajdować się na którymś z wyższych pięter. Gabinet Giseli Obermann leżał na najwyższym piętrze, oddział szpitalny, na którym przebywał on i Marko, był położony na jednym z niższych, a oddział, gdzie był leczony z poparzeń, był pewnie gdzieś pośrodku.

Szklana fasada błyszcziała, w słońcu wydawała się zupełnie gładka, nie był w stanie rozróżnić ani okien, ani poszczególnych pięter. Dolina, niebo, skały i drzewa odbijały się w niej jak w lustrze.

Dotarł do stołówki, postanowił usiąść na zewnątrz, na kamiennym tarasie. Wybrał stolik, a potem wziął tacę i stanął w kolejce po jedzenie. Na zewnątrz było niewielu pacjentów, a stolik stał w pewnej odległości od pozostałych.

Zaczął jeść, kiedy nagle ktoś się do niego dosiadł. Rozpoznał fryzjera z miasteczka. Miał rozpiętą koszulę, lekko podkręcona grzywka opadała mu na czoło, ale nie zakrywała widocznych zmarszczek. Mężczyzna spróbował lasagne i wydał jęk rozkoszy.

– Tak powinna smakować prawdziwa lasagne. Z mnóstwem sera. Po co chodzić do restauracji, skoro równie dobrze karmią w stołówce, nie uważasz? – zwrócił się do Daniela.

– Jak najbardziej. Masz rację.

Daniel postanowił zgadzać się ze wszystkimi, a już na pewno nie protestować.

Fryzjer wypił łyk wina. Kieliszek czerwonego wina podawano do obiadu

wszystkim chętnym. Zamlaskał jak wiewiórka. Daniel poczuł zapach wody po goleniu, kiedy mężczyzna nachylił się do niego przez stół i zamrugał porozumiewawczo.

– Nie jest najgorzej, prawda? Tam na zewnątrz... – zaczął, wskazując ręką na jakiś bliżej nieokreślony cel gdzieś w oddali. – Tam są same problemy! Wcale mnie tam nie ciągnie – stwierdził.

Przysunął krzesło bliżej Daniela, przyłożył serwetkę do ust, wytarł kawałki sera.

– Ludzie myślą, że jeśli się kogoś zabije, to trafia się do piekła. A tak naprawdę łąduje się tutaj, w Rajskiej Dolinie. Jeśli ludzie by się o tym dowiedzieli, każdy chciałby zostać psychopatą.

– Być może.

– Kiedy popełniłem pierwsze morderstwo, trafiłem do więzienia. Straszne miejsce. Straszni ludzie, straszne jedzenie. Pracowaliśmy w pralni, praliśmy bieliznę ze szpitala, krew, odchody. Obrzydliwe! Kiedy popełniłem drugie morderstwo, sąd uznał, że jestem chory i trafiłem do zakładu. Dla wariatów. Tam też nie było przyjemnie, ale lepiej niż w więzieniu. Szyliśmy obrusy, słuchając Mozarta. A kiedy popełniłem kolejne, trzecie morderstwo, stwierdzili, że jestem psychopatą i trafiłem tu, do Rajskiej Doliny. Teraz mam przyjemne dwupokojowe mieszkanie w miasteczku. Z widokiem na potok i łąki. Mam własny salon fryzjerski. Pracuję tylko przed południem. Potem wyleguję się nad basenem albo gram w tenisa. Zimą przypinam narty i idę na stok. Nie narzekam. Co to, to nie.

– Rozumiem.

– Ciekawe, dokąd trafię, kiedy popełnię kolejne morderstwo? Na Bahamy? – Roześmiał się głośno.

Daniel postanowił wstać.

– Dziękuję za towarzystwo – powiedział, siłąc się na grzeczność. Uśmiechnął się nieco sztucznie.

– Daj spokój, siedź – powiedział fryzjer, ciągnąc go za rękaw. – Nie skończyłeś, a takich pyszności się nie zostawia.

Niemal siłą posadził Daniela z powrotem na krzesło, przysunął się bliżej i zaczął szeptać mu do ucha:

– Wiem, co o mnie myślisz.

– Nic o tobie nie myślę.

– Daj spokój. Pewnie masz mnie za szpiega? Za wtykę, tak?

– Skądże. Za jakiego szpiega?

– Wszyscy wiedzą, że w dolinie są szpiegzy. Wyciągają od ludzi informacje.

– Ja nic o tym nie wiem. Dla kogo szpiegują?

– Dla lekarzy, oczywiście. Udają twardzieli. Przechwalają się, ile to morderstw popełnili. Ale łatwo udawać twardziela, jeśli w każdej chwili można wezwać posiłki. Słyszałeś, że Block zniknął? Mordował, pobierał haracze, podobno ma niejedno na sumieniu. Zadawał się z Kowalskim i Sørensenem. Ale jak tylko robiło się gorąco, zawsze natychmiast pojawiał się patrol. Wierzysz w takie przypadki? Ja nie.

– Nie sądzisz, że mogło się tak zdarzyć?

– On je wzywał. Oczywiście nie przez komórkę. Miał swoje sposoby.

Fryzjer dopił szybko wino, obejrzał się przez ramię. Potem znów nachylił się do Daniela.

– Miał taki gadżet – wyszeptał.

– Co takiego?

– To wyglądało jak mp3, coś w tym stylu. Zawsze kiedy coś przy nim majstrował, po chwili pojawiał się patrol. W ciągu sekundy. Jakby tylko na to czekali.

– A teraz zniknął? – spytał Daniel ostrożnie.

Fryzjer skinął głową.

– Tak. Dziwne jest to, że strażnicy bardzo długo i bardzo dokładnie go szukali. Przecież zdarza się, że od czasu do czasu ktoś znika, ale nie pamiętam, żeby ktoś robił z tego powodu taką aferę. Stało się, trudno. Tak bywa. Ale kiedy zniknął Block, lekarze wpadli w popłoch. Kazali przeszukać wszystkie mieszkania i domy. Bo Block nie był jednym z nas. Tylko jednym z nich.

– Pewnie masz rację.

Daniel ponownie spróbował wstać, ale fryzjer położył rękę na jego ramieniu i wyszeptał:

– Od początku to czułem. Coś z nim było nie tak. Raz z nim rozmawiałem. O zabijaniu i takich tam rzeczach. Udawał, że mnie rozumie, ale tak naprawdę nie miał pojęcia, o czym mówię. Seryjny morderca? – prychnął z pogardą Danielowi do ucha. Przyciągnął go bliżej. – Nawet chomika by nie zabił. Takie rzeczy się czuje, prawda?

Odchylił się na krześle i przyglądał się Danielowi uważnie.

– Jeśli chcesz zachować tę fryzurę, to pora się ostrzyc. Zakładam, że tym razem udasz się do fachowca. A to co takiego? Przestałeś się golić?

Fryzjer przesunął dłonią po jego policzku. Daniel musiał się opanować, żeby nie odtrącić jego ręki.

– Mnie to odpowiada – wymruczał pod nosem.

– Wiesz chyba, że zadbana broda wymaga ręki profesjonalisty. Tak jak fryzura.

Roześmiał się dobrotliwie. Zaczął się bawić włosami Daniela i nagle znieruchomiał.

– A to co takiego? – zdziwił się. Wstał i pochylił się nad Danielem. – Miałeś taki charakterystyczny wicherek.

– Co? – spytał Daniel zdezorientowany.

– Miałeś wicherek, o tu, w tym miejscu – powiedział. – Ale może źle pamiętam – dodał po chwili. – Tak to bywa, kiedy zaniedbuje się swojego fryzjera.

Jakieś towarzystwo usiadło przy sąsiednim stoliku. Fryzjer puścił rękę Daniela i odwrócił się do nich.

– Widzę, że wybraliście lasagne. I słusznie. Nie ma sensu jadać w restauracji, skoro mamy tej klasy stołówkę, prawda?

Daniel wykorzystał sytuację i wstał. Idąc do stojaka na tace, musiał się opanować, żeby nie zacząć biec.

Daniel zaciągnął zastony i czekał na wieczorny patrol. Czuł się zmęczony. Żeby nie zasnąć, zaczął czytać książkę. Właściwie nie musiał czekać, mógł pójść się położyć. Opiekunowie mieli własny klucz. Ktoś z patrolu sprawdziłby dyskretnie, czy jest obecny, a potem szybko by się wycofał. Ale Daniel nie lubił, kiedy światło latarki trafiało go w twarz, a potem pełzało po ścianach alkowy. Wolał zaczekać i osobiście otworzyć drzwi.

Musiał być bardzo senny, bo nie usłyszał szumu elektrycznego silnika, zareagował dopiero na silne, rytmiczne pukanie do drzwi. Usłyszał wysoki kobiecy głos jak z reklam z lat sześćdziesiątych, śpiewny i nieco naiwny:

– Halo, jest ktoś w domu?

Domyślał się, że była to ta niska, ciemna opiekunka. Zawsze pukała w ten sposób i zawsze tak samo pytała. Uśmiechnął się i poszedł otworzyć.

Na zewnątrz stała Samantha. Miała na sobie pirackie spodnie i bluzkę zawiązaną tuż pod biustem. Zamknął drzwi sekundę po tym, jak je otworzył. O sekundę za późno. Samantha zdążyła zablokować je stopą. Po chwili wślizgnęła się do środka jak kot.

– Oszukałam cię – roześmiała się.

Usiadła w jednym z foteli, przerzuciła nogi przez podłokietniki i wyjęła z torebki papierosa.

– Musisz iść – powiedział Daniel. – Lada chwila zjawi się tu patrol.

Samantha zaczęła gwałtownie kręcić głową, próbując jednocześnie zapalić papierosa.

– Dzisiaj zaczynają od miasteczka. Będą tu dopiero za dwadzieścia minut. Mamy czas na szybki numer – powiedziała z papierosem między wargami. – Niech to szlag – wysyczała. – Masz zapalki?

– Idź stąd, proszę.

Samantha sama znalazła pudełko zapalek przy kominku, zapaliła papierosa i ruszyła w jego stronę. Szła powoli, kręcąc biodrami i uśmiechając się. Kiedy podeszła bliżej, zauważył po jej oczach, że była pod wpływem jakichś środków.

– Hej, Lambkin, mój baranku – powiedziała łagodnie i pogładziła go po policzku. – Dawno cię nie widziałam. Słyszałam, że dałeś Tomowi niezłą nauczkę. Twardziel z ciebie.

– Musiałem zareagować – wymamrotał Daniel, robiąc krok do tyłu.

– Zmiażdżyłeś mu dłoń, skarbie. Ludzie opowiadają sobie o tym. Ale nie sądzę, że powinieneś bać się zemsty. Tom nie jest szczególnie lubiany. Wszyscy wiedzą, że to kretyn. Ma pusto tu – powiedziała, pukając się w głowę. Wykrzywiła usta w grymasie. – Chociaż wyobrażam sobie, że Tom nie był zachwycony – dodała. – Nie licz, że sprzeda ci jakieś drewno na zimę. Będziesz marzył.

Na zimę? Wzdrygnął się na samą myśl, że miałby tu spędzić zimę.

Samantha się roześmiała i poklepała go po dłoni.

– Spokojnie. Do tej pory zapewne ktoś inny zajmie się przydziałem drewna.

– Gdzie on teraz jest?

– Pewnie w katakumbach.

– W katakumbach? Co to takiego?

– Dokładnie nie wiem. Ale to okropne miejsce. Pod ziemią. Taki rodzaj piekła. Chociaż piekło przecież nie istnieje. Może katakumby też nie istnieją? Problem z takimi miejscami polega na tym, że wszyscy o nich opowiadają, ale ci, którzy tam trafiają, zostają tam na zawsze, więc nadal nic nie wiemy.

Daniel przypomniał sobie, że Karl Fischer wspomniał w pewnym momencie coś o jakiejś „piwnicy”. Czy miał na myśli katakumby?

Wyrzwał przez szparę w zaciągniętych firankach. Samantha zastukała w blat stołu. Stuk, stuk, stuk, stuk. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że się śmieje.

– To jeszcze trochę potrwa, zdążymy.

Stanąła blisko niego, położyła dłoń na jego rozporoku i ścisnęła, wydmuchując dym przez usta. Miał wrażenie, że z jej oczu wylewa się gęsty czarny płyn. Poczul obrzydzenie i odepchnął ją lekko. Zachwiała się, jakby balansowała na linie.

– O co ci chodzi? A może czekasz na kogoś innego? Na dziewczynę przebraną za marynarza? Na pastereczkę? To cię kręci?

Dziwne. Kobiety były w dolinie w zdecydowanej mniejszości, a te, które mu się podobały, najwyraźniej z sobą konkurowały. Nie musiał nawet opuszczać domu, same do niego przychodziły. I wiedziały o sobie wszystko.

– Wiesz, kim ona jest? Wiesz, co zrobiła?

– Kto?

– Dziewczyna w marynarskim ubraniu. Pastereczka. Dzyń, dzyń, dzyń, dzwoneczki.

Samantha wykonała gest, jakby potrząsała niewidzialnym dzwonkiem.

– Wiesz, za co tu trafiła? Powiedziała ci, Lambkin?

– Nie nazywaj mnie tak. Mam na imię Max.

Samantha pokręciła wolno głową i długim, polakierowanym na czerwono

paznokciem pokazała na jego brodę.

– Wszystko mi opowiedziałeś. Zapomniałeś? Udajesz swojego brata, wiem. Ale nie bój się, Lambkin. Twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna.

Roześmiała się i jej spojrzenie zamieniło się w wielką czarną kałużę.

– Chcę, żebyś już sobie poszła.

– Nie chcesz wiedzieć, co zrobiła? Ta twoja pastereczka?

W końcu rozległo się pukanie do drzwi, dokładnie takie jak przed chwilą i to samo radosne pytanie. Usłyszał dźwięk przekręcanego klucza w zamku i po chwili niska, ciemna opiekunka stanęła w progu.

– Jak się czujesz, Max? – zaczęła. – Miałeś dobry dzień? Samantho, pośpiesz się. Za kilka minut będziemy u ciebie.

Samantha odrzuciła głowę do tyłu, wydmuchała kolejne kółko dymu, odsunęła opiekunkę i wyszła w noc.

Jeszcze długo po jej wyjściu pod belkami na suficie zalegał dym, ciężki, duszący jak mgła snująca się nad mokradłem. Daniel miał ochotę otworzyć okno i trochę przewietrzyć, ale nie odważył się.

Wyrzucił sobie, że tak łatwo dał się podejść i otworzył drzwi. Kiedy zobaczył, kto za nimi stoi, powinien był natychmiast zareagować. Odepchnąć ją i zatrzasnąć drzwi. Musi działać szybciej, bardziej zdecydowanie, odważniej.

Sięgnął po komórkę i zadzwonił do Corinne.

Było wczesne przedpołudnie i niewielki rynecek leżał w cieniu góry.

Dzwonek przy drzwiach piekarni odzywał się za każdym razem, kiedy ktoś wychodził ze świeżo zakupionym pieczywem, na balkonie nad piekarnią stał mężczyzna i podlewał kwiaty. Nic nie wskazywało na to, żeby miasteczko w jakikolwiek sposób różniło się od innych tego typu miasteczek: domki były zadbane, mieszkańcy zajęci pracą.

Corinne siedziała na brzegu fontanny, ubrana w kurtkę z kapturem. Jak tylko pochwyciła jego spojrzenie, wykonała ledwie widoczny ruch głową i ruszyła przed siebie. Daniel podążył za nią. Szli wąskimi uliczkami, aż dotarli do domu ze schodami na zewnątrz. Corinne otworzyła drzwi i weszli do wąskiej, ciasnej sieni, prowadzącej do kolejnych drzwi, zamykanych na kodowany zamek.

– Dbasz o bezpieczeństwo bardziej niż ja – stwierdził Daniel.

– Bo jestem kobietą.

Wpuściła go do dużego, mrocznego pomieszczenia na strychu; sufit i ściany wykonano z nieheblowanego drewna, gdzieniegdzie były niewielkie okienka.

– Tak mieszkam – powiedziała Corinne.

Zaczęła krążyć po strychu, zapalając niewielkie lampki. Mieszkanie było bardzo szczególne. Na ścianach wisiały fantazyjne maski, marionetki i plakaty teatralne. Łóżko było nakryte narzutą w indiański wzór, na środku, niczym wyspa na morzu, stało kilka foteli obitych czerwonym pluszem. Jedna trzecia pomieszczenia została zamieniona na salę gimnastyczną, duża ściana była cała pokryta lustrami.

Daniel stał i przyglądał się maskom na ścianie.

– Moje dawne życie – powiedziała Corinne. – A to moje obecne życie – dodała, wskazując ręką na salę ćwiczeń. – Rozumiem – ciągnęła dalej, nie dopuszczając Daniela do głosu – że zrozumiałeś, że musisz ćwiczyć. Proponuję zacząć od rozgrzewki.

Zdjęła kurtkę. Została w cienkiej czerwonej koszulce. Podeszła do kąta z przyrządami, wzięła skakankę i zaczęła skakać.

– Możesz wziąć rower – rzuciła.

Daniel obszedł ją łukiem i zajął miejsce na stacjonarnym rowerze. Musiał się przyłożyć, żeby wprawić pedały w ruch. Kilka lat temu sporo trenował, biegał, chodził na siłownię, ale depresja zmieniła jego życie i potem już nigdy nie wrócił do

ćwiczeń.

– Co robiłeś od naszego ostatniego spotkania? – spytała Corinne.

– Napisałem kilka listów – odpowiedział, dysząc z wysiłku. – Można stąd wysłać listy?

– Oczywiście. Zostawiasz je w recepcji w otwartej kopercie. Zanim zostaną wysłane, czyta je ktoś z kierownictwa i ocenia, czy są odpowiednie.

– Jak to: odpowiednie?

– Nie mogą zawierać gróźb, nie wolno też rozpisywać się zbyt o dolinie. Oficjalnie jest to „specjalistyczna klinika psychiatryczna” i tak ma być przedstawiana na zewnątrz. Żadnych dokładniejszych informacji.

Corinne wykonała dwa wysokie podskoki, zamachała skakanką w powietrzu i zmieniła tempo na wolniejsze.

– Nie możesz pisać do kogo chcesz. Adresat musi zostać sprawdzony i zaakceptowany. Do kogo napisałeś?

– Do Rejestru Ludności i Urzędu Paszportowego w Szwecji – powiedział Daniel, dysząc. – I do szwedzkiej ambasady w Bernie. Chcę, żeby potwierdzono moją tożsamość. Nie mam dokładnych adresów, ale mam nadzieję, że ktoś pomoże mi je znaleźć.

Corinne przestała skakać i zaczęła się głośno śmiać.

– Te listy nigdy nie opuszczą doliny.

– A co z pocztą przychodzącą? – spytał Daniel. – Też jest cenzurowana?

– Tak. Wszystko jest czytane. Nadawca zostaje dokładnie sprawdzony.

– Dziwne.

Daniel przestał pedałować, siedział teraz nieruchomo na rowerze.

– Co jest takie dziwne?

– Niedługo przed moim przyjazdem Max dostał list. Bardzo niepokojący.

Opowiedział Corinne, co było w liście od mafii.

– Widziałeś go?

– Nie, ale widziałem zdjęcie, które do niego dołączono. Zmasakrowanej kobiety.

– Na pewno nie otrzymał go drogą oficjalną. Tego jestem pewna.

– Więc jak?

– Nie wiem, ale wiem, że trafia tu wiele rzeczy, które nie powinny się tu znaleźć – powiedziała Corinne. Powiesiła skakankę na ścianie.

– Narkotyki? – spytał Daniel.

– Ktoś próbował ci coś sprzedać?

– Facet w stołówce. Poza tym widziałem osoby, które na pewno były naćpane.

– Samantha?

Panie bardzo się sobą interesują, pomyślał Daniel. Kto widział ją u niego? Tylko opiekunki. Pewnie powiedziały Giseli Obermann, która poinformowała o tym Corinne podczas terapii.

– Myślałem, że to patrol – zaczął się tłumaczyć. – Była naćpana jak stodoła. Wywaliłem ją.

Corinne wydawała się zadowolona.

– W dolinie są narkotyki – przyznała. Zaczęła owijać rękę czarną taśmą. – Nie są to duże ilości, ale wystarczające, żeby stymulować popyt, i dostatecznie małe, by utrzymać wysokie ceny. Podejrzewam, że wszystko zostało dokładnie skalkulowane tak, by kilku dilerów mogło wieść dość luksusowe życie.

– Dilerzy? Czyli kto? Facet w skórzanej kamizelce?

– To płotka. Ale jeśli pojedziesz na zachód doliny, zobaczysz kilka niezłych domków. Ich mieszkańcy pracują jak wszyscy, więc skoro ich na nie stać, muszą mieć dodatkowe źródła dochodu.

– Kto tam mieszka?

– W willi na szczycie zbrocza mieszka Kowalski. Nieco niżej Sørensen. Kowalski i Sørensen. Mężczyźni, którzy grywali w karty przy basenie.

– Jak zdobywają prochy?

– Dobrze pytanie. Wszyscy przybywający do doliny są drobiazgowo sprawdzani, więc teoretycznie jakikolwiek przemyt powinien być niemożliwy.

– Kierownictwo kliniki wie, że tu są narkotyki?

– Oczywiście.

– Więc czemu nic nie robią?

Corinne spojrzała na niego zdziwiona.

– A co mieliby robić? Zadzwoić na policję? Dopilnować, żeby winni zostali zatrzymani i ukarani? Ci ludzie zostali już skazani i ukarani. Przez to wszystko już przeszli. Nie ma żadnej wyższej instancji. Rajska Dolina to stacja końcowa. Można jedynie dokładnie przyglądać się temu, co tu się dzieje i analizować poszczególne przypadki.

– Chcesz powiedzieć, że lekarze wszystko obserwują, ale niczemu nie próbują zapobiegać? – spytał Daniel wzburzony.

Corinne owinęła ostatni kawałek materiału wokół ręki.

– Oczywiście, że nikt nie jest z tego zadowolony. Ale skoro takie rzeczy mimo wszystko mają miejsce, należy to uwzględnić w prowadzonych badaniach. Odnotować, kto zostaje dilerem, kto jest poddostawcą, kto kupuje towar. Kto bogaci się na tym procederze, a kto biednieje. Jakie środki płatnicze są stosowane: pieniądze, towary, usługi, prostytutka. Zajmuje się tym Brian Jenkins, ten z rudą

brodą. Jest socjologiem.

– Jakich metod używa? Stoi obok i notuje? – spytał Daniel, wracając do ćwiczeń.

– Wzywa mieszkańców do siebie i przeprowadza z nimi wywiady. Rozmawia z personelem. Zbiera informacje. Dowiaduje się różnych rzeczy. Niektórzy mieszkańcy okazują się bardzo rozmowni, jeśli sądzą, że mogą na tym zarobić.

– Donoszą?

– To tak zwani informatorzy.

– Ile można w ten sposób sobie dorobić?

Corinne zaczęła zakładać rękawice bokserskie.

– Dostaje się złotą gwiazdkę w dzienniku. Dobre układy z lekarzami są cenne.

– Ale u Kowalskiego i Sørensen a raczej nie dostaje się plusa?

– Nie wszystkim można dogodzić. Ale nie stójmy tak, bo zmarzniemy. Poćwicz na ławeczce.

Corinne zaczęła uderzać lekko w worek treningowy. Daniel przyglądał się jej zafascynowany. Przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, po chwili zaczęła przyspieszać. Uderzenia były rytmiczne, kolorowe kamyczki bransoletki odbijały się od krawędzi rękawicy.

– Co z tobą? Nigdy nie widziałeś kobiety ćwiczącej boks?

– Nie w bransoletce.

Corinne ćwiczyła dalej udając, że go nie słyszy. Daniel skupił się na rowerze.

– Chcesz spróbować? – spytała po chwili.

Daniel zszedł z roweru. Corinne zaczęła owijać jego dłonie taśmą, naciągnęła mu rękawice. Były wilgotne od jej potu. Przypomniało mu się, jak jego matka wkładała mu rękawiczki, kiedy był mały i zimą szedł się bawić na śniegu.

Corinne pokazała mu kilka podstawowych ciosów: prosty, sierpowy i cios z dołu. Lewą i prawą ręką.

– Kto nauczył cię boksować? – spytał.

– Trenowałam, jeszcze zanim tu przyjechałam. Ale właściwie jestem samoukiem. Bez problemu znalazłabym tu kilka osób, które chętnie dałyby mi parę lekcji, ale nie chcę się od nikogo uzależniać. To moja mała tajemnica. I niech tak pozostanie.

Daniel uderzył w worek i uskokzył, wrócił i uderzył ponownie.

– Spokojnie. Nie rozwal worka. Miałam dość problemów, żeby go zdobyć. Nie sądzę, żeby klinika była skora podarować mi kolejny. Nie uderzaj tak mocno. O, teraz lepiej. Pracuj ciałem. Dobrze.

Daniel znalazł w końcu właściwy rytm, ale wszystko okazało się trudniejsze niż sądził. Po chwili się poddał.

– Masz talent – stwierdziła Corinne. – Poproś, żeby klinika załatwiła ci rękawice, będziemy mogli trenować razem.

– Sąsiedzi się nie skarżą? Na hałas – powiedział, ściągając rękawice.

– Nie mam sąsiadów. Na parterze jest magazyn sklepowy. A piętro jest puste. Dobrze mi tu samej. Ale wiem, że jeśli coś mi się stanie, nikt mnie nie usłyszy – powiedziała, śmiejąc się. – Bierzesz sztangę, czy ja mam ją wziąć?

Daniel machnął ręką.

– Na dzisiaj chyba starczy.

– Pysznic jest przy drzwiach – powiedziała Corinne, kładąc się na ławce.

Kiedy Daniel wyszedł z łazienki z ręcznikiem kąpielowym Corinne owiniętym wokół bioder, na stole stał dzbanek z sokiem rabarbarowym z kostkami lodu. Corinne zdążyła przebrać się w płaszcz kąpielowy, po chwili poszła wziąć prysznic.

Daniel usiadł na kanapie i nalał sobie soku. Rozglądał się po dużym dziwnym pomieszczeniu. Na krześle leżał jej przeпоcony strój gimnastyczny. Nagle, pod wpływem impulsu, sięgnął ręką do prawej kieszeni jej spodni. Rzucił szybkie spojrzenie na drzwi do łazienki, wyjął komórkę Corinne i sprawdził odebrane połączenia. Pusto. Sprawdził wychodzące połączenia. Pusto. Najwyraźniej wszystko natychmiast usuwała.

Sprawdził wiadomości. Tym razem miał więcej szczęścia. Jedna wiadomość była zachowana, adresatem był M. Otworzył wiadomość i przeczytał. „Jestem szczęśliwy zawsze, kiedy cię widzę. Uważaj na siebie”. Wiadomość została wysłana dwudziestego pierwszego maja. Daniel rozejrzał się za kawałkiem kartki i czymś do pisania, chciał zanotować numer telefonu nadawcy, ale w tym momencie szum wody ucichł. Szybko włożył komórkę z powrotem do kieszeni.

Corinne wyszła z łazienki. Jedną ręką trzymała ręcznik, drugą zebrała mokre włosy.

– Jestem jedyną osobą w dolinie, która widziała, jak ćwiczysz? – spytał.

– Tak – powiedziała, siadając w fotelu. – Oprócz Maxa, oczywiście – dodała po chwili.

Nalała sobie soku i zaczęła chciwie pić.

– Trenowaliście razem?

Roześmiała się.

– Tak mało znasz swojego brata? Nie znosił się pocić. Jedyne sport, jaki od czasu do czasu uprawiał, to wędkarstwo.

Daniel zawahał się.

– Właściwie to nie moja sprawa, ale jakie były wasze relacje?

– Co mnie łączyło z Maxem? Cóż, nie można powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi. Tu, w dolinie, nikt nie ma przyjaciół. Ale spotykaliśmy się. Dobrze nam się rozmawiało. Wszystko zaczęło się od spotkań grupy teatralnej. Jestem reżyserem w naszym teatrze. Wystawialiśmy *Dobrego człowieka z Seczuanu*. Jeszcze przed przyjazdem tutaj opracowałam skróconą wersję tej sztuki, w której zresztą sama występowałam. Max grał pilota. Był bardzo zdolny. W lot chwycił moje pomysły. Gdyby chciał, mógłby zostać znakomitym aktorem. Przedstawienie było bardzo udane, a potem zaczął coraz częściej zaglądać do gospody. Zwykle byłam zajęta, ale czasem z sobą rozmawialiśmy. Niekiedy odprowadzał mnie potem do domu.

– Nie bałaś się? Sama mnie ostrzegałaś, żebym nikomu nie otwierałam. Naprawdę mu ufałaś?

Corinne zamyśliła się.

– Oczywiście ryzykowałam, fizycznie. Ale w Rajskiej Dolinie równie niebezpieczna bywa też samotność. Kiedy Max tu przybył, byłam bliska obłędu. Z podejrzliwości, samotności i poczucia całkowitej anonimowości. Miałam dosyć siedzenia samej wieczorami i roztrząsania wspomnień mojego dawnego życia.

Spojrzała na plakaty teatralne i maski na ścianach.

– Chciałam komuś o sobie opowiedzieć, podzielić się myślami z drugą osobą. Nie chodziło o jakąś poważną, głęboką dyskusję. Chciałam tylko, żeby ktoś wiedział, kim jestem. Kiedy mieliśmy próby do *Dobrego człowieka z Seczuanu*, często rozmawiałam z Maxem, o sztuce, ale nie tylko. I chciałam, żeby to trwało. Dlatego nadal się z nim spotykałam, dlatego pozwoliłam mu tu przychodzić. W gospodzie zawsze byli goście, tu mogliśmy rozmawiać swobodnie. A Max był miły, sympatyczny. Prowokował mnie do śmiechu.

Daniel poczuł ukłucie zazdrości.

– Wiedziałaś, że bił kobiety?

Corinne skinęła głową.

– Gisela mnie ostrzegła. Ale było mi wszystko jedno. Byłam gotowa umrzeć. Nie mogłam żyć dalej w takiej izolacji.

– Mam wrażenie, że ty i Gisela dobrze się znacie.

Corinne milczała chwilę.

– Lubię ją – powiedziała w końcu. – I mam wrażenie, że ona mnie też. Ale Gisela jest lekarzem. A z lekarzem nie można rozmawiać otwarcie. To nie jest partnerska relacja. Jedno nierozważne słowo i może wysłać mnie do katakumb.

Znów to słowo, pomyślał Daniel.

– Do katakumb?

– Tak powiedziałam? To takie miejscowe określenie. Tak naprawdę oznacza to zaostrzony rygor.

– Czyli?

– Cofnięcie przywilejów. Zwiększenie dawki leków. Oddział zamknięty. Takie rzeczy.

– Jest tu oddział zamknięty?

– Tak. Jeśli któryś z mieszkańców staje się zbyt gwałtowny i niebezpieczny, trzeba go odizolować od pozostałych. Zamknąć, otumanić lekami. Inaczej mieszkańcy pozabijaliby się nawzajem i zabrakłoby materiałów do badań.

Corinne wstała, przyniosła z lodówki dzbanek z sokiem rabarbarowym i nalała do szklanek.

– Dlaczego nazywacie to katakumbami?

– Kiedyś, dawno temu, był tu klasztor. Dzisiaj z tamtego okresu pozostał jedynie Cmentarz Trędowatych. Ale nie chowano tam sióstr zakonnych, zresztą ani tam, ani w miasteczku. Podobno pod klasztorem był podziemny grobowiec. To znaczy pod budynkiem obecnej kliniki. Ludzie żartują, że to właśnie tam, w katakumbach, umieszcza się kłopotliwych mieszkańców. Taki humor z Rajskiej Doliny. Nie powinnam była użyć tego określenia.

– Grozi ci, że tam trafisz?

– Nie. Chodzi po prostu o to, że lekarze mają nad nami całkowitą władzę. To taki sposób mówienia, nie traktuj tego dosłownie. A wracając do Giseli, to jest moją terapeutką i lekarką, ale nie przyjaciółką. Nie spodziewaj się, że znajdziesz tu przyjaźń, nawet jeśli czasem uda ci się z kimś nawiązać przelotny kontakt.

– Jak teraz?

Corinne uśmiechnęła się rozbawiona.

– Mam wrażenie, po raz pierwszy podczas mojego pobytu tu, w Rajskiej Dolinie, że może to być coś więcej niż przelotna znajomość. Nadal jednak nie do końca ci ufam. Ty mi też nie. I słusznie. Na to jeszcze za wcześnie. Musimy się lepiej poznać. Wtedy być może będziemy mogli sobie zaufać. I się zaprzyjaźnić. Chciałbyś się ze mną zaprzyjaźnić?

Corinne powiedziała to lekko drżącym głosem, jakby się bała, że jej prośba zostanie odrzucona.

– Bardzo dokładnie wybieram swoich przyjaciół, ale spośród ludzi, których spotkałem tu w dolinie, na pewno jesteś pierwszą kandydatką.

Corinne rozpromieniła się.

– Właśnie tak należy myśleć. Teraz muszę jeszcze załatwić kilka spraw. Spotkamy się potem w gospodzie? Albo w kościele?

– Wolę w gospodzie. I dziękuję, że pozwoliłaś mi tu ćwiczyć.

– Przychodź, kiedy tylko masz ochotę.

Odprowadziła go do drzwi i lekko uściskała na pożegnanie. Poczul przy twarzy jej mokre włosy i zapach mydła. Czubkami palców dotknął lekko jej nadgarstka, wzdrygnęła się i cofnęła rękę.

– Nigdy nie zdejmujesz tej bransoletki? – spytał.

– Nigdy.

– Ma dla ciebie jakieś szczególne znaczenie?

– Przypomina mi, kim naprawdę jestem – powiedziała. – Na razie.

W drodze powrotnej Daniel zastanawiał się, czy iść na skróty przez świerkowy zagajnik, czy szosą. Świerki budziły w nim nieprzyjemne wspomnienia, ale i tak wybrał skrót. Jak chyba większość mieszkańców, bo ścieżka była zdeptana, wszędzie leżały niedopałki papierosów i śmieci. Daniel nie chciał w żaden sposób ściągać na siebie uwagi i chociaż najchętniej pokonałby drogę biegnąc, zmusił się do spokojnego marszu. Szedł więc gwizdząc.

Nagle coś przykuło jego wzrok. Wśród drzew, jakieś dziesięć metrów od ścieżki, ktoś siedział. Uspokoił się nieco, kiedy zobaczył, że to kobieta. Była sama. Siedziała na pokrytym mchem kamieniu i paliła papierosa. Patrzyła gdzieś przed siebie i najwyraźniej go nie zauważyła. Na ziemi obok kamienia leżały jej szpilki, zrzuciła je niedbale.

– Doktor Obermann – powiedział Daniel zdziwiony.

Posłała mu zmęczone spojrzenie i odwróciła wzrok. Zapach jej cygaretki mieszał się z zapachem świerkowego lasu i żywicy.

– Chciałbym porozmawiać – rzucił Daniel, podchodząc do niej bliżej.

– Nie jesteś już moim pacjentem – ucięła krótko.

– Wiem. Jestem pacjentem doktora Fischera. A wolałbym wrócić do ciebie.

Roześmiała się krótko.

– Myślisz, że możesz wybierać? – spytała nie patrząc na niego.

Promień słońca przebił się przez gałęzie i oświetlił jej twarz. Daniel zauważył ze zdziwieniem, że wygląda na bardzo zmęczoną. Wąska sukienka podjechała do góry, obnażając jej udo, zobaczył duże oczko na pończosze.

– Nie, ale łatwiej mi rozmawiać z tobą niż z doktorem Fischerem.

– Odejdź – powiedziała zimno. – Słyszysz? Nie jesteś moim pacjentem i nie wolno mi z tobą rozmawiać. Nie możemy utrzymywać z sobą jakichkolwiek kontaktów.

– Musisz mi pomóc. Skontaktuj się z władzami szwedzkimi, na pewno przekażą ci informacje na temat mojej osoby. I porozmawiaj z innymi lekarzami, z twoimi kolegami. Proszę.

Daniel mówił szybko, był wyraźnie podniecony. Przykucnął obok niej.

Gisela Obermann rzuciła na wpół wypaloną cygaretkę i gwałtownie wstała. Zrobiła kilka kroków do tyłu, trzymając przed sobą komórkę jak krzyż mający chronić ją przed wampirem.

– Jeśli natychmiast stąd nie odejdiesz, wezwę strażników – wysyczała. – Wcisnę guzik „napad”. Rozumiesz?

Daniel spojrzał na nią przestraszony, wstał i szybko wrócił na ścieżkę.

Są dni, kiedy dochodzę do wniosku, że życie w Rajskiej Dolinie mimo wszystko nie jest takie złe – powiedziała Corinne. – Wtedy myślę sobie, że jednak da się tu żyć.

Siedzieli obok siebie na trawie na kurtce Corinne. Po drugiej stronie potoku krążyły jaskółki nad swoimi gniazdami na skałach, ośnieżony szczyt na zachodzie zdawał się unosić w chmurach w czystym, przejrzystym powietrzu. Mały, odrębny świat, kierujący się własnymi prawami.

– Widoki są cudowne, występuję, mogę śpiewać. A teraz mam też ciebie. Nic lepszego nie mogło mi się przytrafić.

Corinne wzięła jego dłoń i ścisnęła ją. Daniel odwzajemnił uścisk, ale pomyślał, że jednak nie do końca podziela jej punkt widzenia.

– Zawsze tłumaczyłam sobie, że życie tutaj może być całkiem znośne, gdybym tylko znalazła kogoś, komu mogłabym zaufać i przy kim czułabym się bezpieczna.

– Wiesz, że nie zamierzam tu zostać – przerwał jej Daniel.

Spojrzała gdzieś obok niego, w stronę ośnieżonego szczytu i roześmiała się cicho, jakby nie słyszała jego słów.

– Nadal jednak czegoś bardzo mi brakuje. Początkowo nawet o tym nie myślałam, ale teraz dokucza mi to coraz bardziej. Wiesz, o czym mówię?

Daniel pokręcił głową. Pomyślał, że może chodzić o wiele rzeczy.

– Dzieci – powiedziała niemal szeptem Corinne. – Całe lata słyszę wokół siebie tylko głosy dorosłych, głównie zresztą mężczyzn. Brakuje mi głosów dzieci, ich krzyku, dziecięcego szczebiotania, śmiechu. Dałabym wszystko, żeby usłyszeć śmiech dziecka! Taki perlisty, radosny śmiech, niezmacony żadnym smutkiem, pełnym wiary w to, że życie niesie z sobą same dobre rzeczy.

Głos jej się załamał, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła bezgłośnie płakać. Daniel widział, jak trzęsą się jej ramiona i czuł, że kraje mu się serce.

Objął ją i przytulił. Wypłakiwała się w jego pierś, a on nagle uświadomił sobie, że płacze pewnie nie tylko z tęsknoty za dziećmi.

– Masz dzieci? Tam, na zewnątrz... – spytał ostrożnie.

– Nie – wymamrotała. Jej wargi niemal dotknęły jego brodawki przez materiał koszuli. – Ale lubię dzieci – dodała.

I znów zaczęła płakać. Nad dziećmi, których nie miała i których nigdy nie będzie

mieć.

Rozległ się dźwięk dzwonu. Na niebie na zachodzie widać było szybującego wysoko dużego ptaka. Wznosił się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zniknął gdzieś nad granią Ściany.

Na drodze pojawił się niewielki autobus. Zwolnił, po chwili się zatrzymał, ale nikt z niego nie wysiadł.

– Co to za autobus? – spytał Daniel.

Corinne podniosła głowę, otarła łzy, żeby lepiej widzieć.

– Ach ten. To autokar wycieczkowy. Neuropsychiatrzy przyjechali sobie nas pooglądać. Pewnie w tej chwili jesteśmy pod obstrzałem czterdziestu kamer.

Spojrzała w stronę autokaru.

– Niech was szlag! – powiedziała i pokazała środkowy palec.

Autokar ruszył, kontynuując turę przez dolinę.

– Naukowcy z całego świata zjeżdżają tu, żeby nas studiować. Na ogół siedzą w bezpiecznej sali konferencyjnej albo zamykają się w gościnnych apartamentach. Czasem jednak udają się też na zwiedzanie. Autokarem z kuloodpornymi szybami. Których nie wolno im otwierać.

Corinne spojrzała na zegarek i otarła ostatnie łzy.

– Za pół godziny zaczyna się msza – powiedziała.

Jej oczy nagle rozbłysły, nie pełną mocą, ale wyraźnie. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Chodź ze mną do kościoła. Bardzo bym chciała. Wystarczy, że usiądziesz w ławce. Zrób to dla mnie.

Wpadające do kościoła promienie światła były stłumione i w kolorze okiennych witraży. Na pierwszy rzut oka witraże sprawiały wrażenie starych, ale naprawdę powstały w drugiej połowie XX wieku. Kolory były krzykliwe, styl nieco nadmiernie naturalistyczny.

Przyglądając się im, Daniel przypomniał sobie plotki krążące na temat ojca Dennisa. Podobno był pedofilem, który w imię Boże molestował uczniów szkoły niedzielnej. Podobno nawet dopuścił się morderstwa.

Daniel zaczął uważniej przyglądać się motywom witraży. Na jednym z nich Jezus siedział otoczony małymi dziećmi, ubranymi jedynie w togi, które sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały z nich spaść. Złotowłosa dziewczynka stała oparta o biodro Jezusa, a mały chłopiec usiłował zejść z jego kolan, jakby się czegoś przestraszył. Spod togi chłopca wystawał jego maleńki członek. Daniel pomyślał, że witraże zostały pewnie specjalnie zamówione przez ojca Dennisa.

Drugi witraż przedstawiał baranka, który klękał, trzymając między nogami

drewniany krzyż. Wokół kopytek była czerwona plama, prawdopodobnie krew. Baranek patrzył przed siebie pustym, niezbyt mądrym wzrokiem. Daniel miał wrażenie, że słyszy schrypnięty głos Samantha, szepczący: Lambkin.

Trzeci witraż przedstawiał gromadkę pulchnych cherubinków, przypominających nieco marcepanowe świnki. Miały pulchne brzoskwiniowe ciała, wydęte policzki, okrągłe pupcie. Czyżby ojciec Dennis właśnie tak wyobrażał sobie Raj?

Usiedli w ostatniej ławce. Z głośników słychać było nagraną na taśmę muzykę organową. Oprócz nich w kościele było jeszcze osiem osób. Wszyscy siedzieli osobno, z daleka od siebie.

Wkrótce pojawił się ojciec Dennis w sutannie. Jego wygląd zwracał uwagę. Na czole miał wyraźne wgłębienie, skóra na jednym policzku była różowa i napięta. Były to ślady po dwóch napadach. Pedofile nigdzie nie mogli liczyć na zrozumienie. Rajską Dolina nie była wyjątkiem.

Ojciec Dennis uznał to jednak za rodzaj wyróżnienia. Cierpiał niczym święci męczennicy. Niekiedy porównywał się nawet z Jezusem. Twierdził, że pogarda, z jaką spotykał się ze strony ludzi, sprawia, iż lepiej rozumie cierpienie, przez które przechodził Zbawiciel. Każde złe słowo, każde uderzenie odbierał jako dar łaski, pozwalający mu lepiej zrozumieć tego Najbardziej Pogardzanego i Najbardziej Cierpiącego.

Ze zrozumiałych powodów ksiądz prowadził dość wycofane życie. Mieszkał w budynku szpitala, skąd komunikował się ze światem przez swoją stronę w Internecie i liczne mejle. Jeden z wozów patrolowych dowoził go codziennie do kościoła, a po mszy odwoził do domu. Jego działalność religijna została uznana za ważną, dlatego kierownictwo wyraziło na nią zgodę i przydzieliło mu specjalną ochronę. Skutek był taki, że pozostali mieszkańcy, nie mogący liczyć na podobne przywileje, znienawidzili go jeszcze bardziej.

Przed ołtarzem stała długa, wąska skrzynka, wypełniona drobnoziarnistym piaskiem. Przypominała nieco skrzynkę na kwiaty na balkonie. W piasku widać było tu i ówdzie ogarki wypalonych świeczek i resztki zastygłej stearyny. Ojciec Dennis wetknął w piasek nowe świece i zaczął je po kolei zapalać. Za każdym razem odmawiał krótką modlitwę i robił znak krzyża.

– To za dusze zmarłych – szepnęła Danielowi Corinne.

Oboje klęczeli, dłonie mieli złożone. Daniel spojrzął na nią.

– Za dusze jakich zmarłych? – spytał.

– Za zmarłych mieszkańców Rajskiej Doliny.

Ksiądz zrobił krok do tyłu i w nabożnym skupieniu przyglądał się zapalonym

świeczkom, podczas gdy z głośników leciała fuga Bacha. Daniel zaczął liczyć świece.

– Dwadzieścia cztery. Ilu z nich zmarło śmiercią naturalną? – spytał.

– To zależy, co nazywasz śmiercią naturalną. W Rajskej Dolinie morderstwo czy samobójstwo traktuje się jako przyczyny naturalne – wyszeptała Corinne ze wzrokiem wbitym w swoje złożone dłonie. Ktoś, kto obserwował ją z boku, uznałby zapewne, że się modli.

– Prawdopodobnie liczba jest większa, tyle że wielu ciał nigdy nie znaleziono.

Muzyka wybrzmiała. Ojciec Dennis wszedł na ambonę.

W mejlach księdza pojawiały się dwa tematy, do których cały czas wracał. Jednym był baranek, symbol ofiary, biały i bezbronny. Pasterz opiekujący się swoim stadkiem. Dobry pasterz.

I drugi temat: rany, krwawe rany Chrystusa. Rany męczenników. Cudowne, bolące rany ojca Dennisa.

Daniel zaczął się zastanawiać, co będzie tematem dzisiejszego kazania.

Ojciec Dennis odchrząknął i zaczął mówić.

– Spróbujmy przez chwilę wyobrazić sobie, że jesteśmy aniołami.

– Tobie może być trudno – wyszeptała Corinne.

– Wyobraźmy sobie, że jesteśmy aniołami, czystymi, ze śnieżnobiałymi skrzydłami, unoszącymi się wysoko w górze. Szybujemy nad Alpami, widzimy je w dole. Są piękne, prawda? Szybujemy nad Rajską Doliną. I co widzimy? Zaraz wam opowiem. Górzysty krajobraz, nie jakieś niebotyczne szczyty, raczej wzgórze, lekko pofałdowany teren i nagle szczelina! Wąska. Głęboka. Bolesnie głęboka. To jest właśnie Rajska Dolina. Głęboka bolesna rana, wycięta przez lodowiec. Jak nożem. Tak jest, przyjaciele, mieszkamy na dnie rany! Jesteśmy jak te robaczki, żerujące na ranie, dbające o to, by się nie zabił, by ropa zawsze miała ujście. Taki jest nasz los. Życie na dnie rany.

Głos księdza był donośny, silny.

Daniel poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Przepraszam, ale dłużej nie wytrzymam – wyszeptał. – Poza tym chcę zdążyć do biblioteki przed zamknięciem – dodał.

Ścisnął dłoń Corinne i wyszedł.

W drodze powrotnej do kliniki minął furgonetkę strażników, zaparkowaną obok szosy. Strażnicy szli powoli wzdłuż potoku z długimi kijami zanurzonymi w rwącej wodzie.

Przyglądając się im, poczuł nagle, jak ziemia pod jego nogami zaczyna drżeć. Lekkie, niemal niewyczuwalne drgania, sprawiające, że dzwonki na łące zakołysały

się lekko w bezwietrznym wieczornym powietrzu. Jakby nagle dolinę przeszedł dreszcz.

Biblioteka była pusta. Poza bibliotekarzem nie było nikogo. Daniel podszedł do lady.

– Chciałbym poczytać coś o sokołach.

Niski łysy mężczyzna poprawił okulary i podszedł z nim do jednej z półek.

– Tutaj coś mamy. *Świat ptaków drapieżnych* – powiedział i podał mu książkę z orłem królewskim na okładce. – To wszystko?

– Tak, dziękuję. Właśnie czegoś takiego szukałem. Dziękuję za pomoc – powiedział Daniel i ruszył do wyjścia.

– A może coś o II wojnie światowej? Mamy kilka ciekawych pozycji.

Daniel zatrzymał się. Druga wojna światowa była konikiem bibliotekarza. W swoim mieszkaniu w miasteczku miał mapy, na których szpilkami zaznaczał pozycje aliantów. Dokładnie śledził wszystko, co ukazywało się na ten temat i dbał, żeby w tym względzie biblioteka w Rajskiej Dolinie była równie dobrze wyposażona jak duża biblioteka uniwersytecka.

Daniel wiedział jednak, że mężczyzna miał jeszcze jedną pasję: duszenie niewinnych ludzi nylonową żyłką. Podobno doprowadził tę trudną sztukę do perfekcji, a narzędzie zbrodni, nylonowa żyłka, było łatwo osiągalne, nawet tu, w dolinie. Wystarczyło odwiedzić miejscowy sklep ze sprzętem wędkarskim.

– Druga wojna światowa to zawsze interesujący temat – stwierdził Daniel ugodowo. – Co by mi pan polecił?

– Jest sporo rzeczy. Zaraz coś panu pokażę, proszę ze mną – powiedział rozradowany bibliotekarz. Uniósł ramiona i zmrużył nieco filuternie oczy, okulary w metalowych oprawkach podjechały do góry.

Daniel – z pewnym wahaniem – podążył za nim. Weszli między regały, byli sami w bibliotece. Daniel zerknął niespokojnie przez ramię.

Bibliotekarz zaczął się rozwodzić na swój ulubiony temat, ale nagle jego słowa zagłuszył hałas, rozległo się wycie syreny, a potem huk tak silny, że półki z książkami zaczęły drżeć. Ziemia znów się zatrzęsała, tylko znacznie silniej niż poprzednim razem.

– Co to było? – spytał.

– Wysadzają – odrzekł bibliotekarz spokojnie.

Wodził palcem po grzbietach książek, szukając jakiegoś tytułu.

– Pod budowę – dodał.

– Ma tu powstać coś nowego?

Bibliotekarz skinął głową.

– Blok mieszkalny. Na samym szczycie wzgórza. Sześć pięter. Mieszkania jedno- i dwupokojowe. Balkony z widokiem na dolinę. Zastanawiam się, czy nie złożyć podania. Nie czuję się dobrze w mieście. Pan mieszka w miasteczku?

– Nie – powiedział Daniel i, nie chcąc wchodzić w szczegóły, powrócił do tematu planowanej budowy. – Kiedy dom ma być gotowy?

– Za rok. Latem. Być może zostanie przeznaczony dla nowych mieszkańców. Podobno w przyszłym roku ma tu przybyć dwieście osób.

Bibliotekarz wszedł na taboret i mrużąc oczy, zaczął czytać tytuły książek na najwyższej półce.

– Dwieście osób?

– Tak. Rajska Dolina się rozrasta. Czytał pan o angielskim wywiadzie?

Bibliotekarz wziął do ręki książkę i zszedł z taboretu. Daniel zamierzał wziąć ją i wyjść, ale mężczyzna zaczął mu o niej opowiadać. Robił to z takim entuzjazmem, jakby miał mu ją sprzedać, a nie wypożyczyć. Jego łysina pokryła się kroplami potu. Daniel żałował, że sam go do tego sprowokował. Bał się, że jeśli mężczyzna jeszcze bardziej się podnieci, być może obudzą się w nim inne pasje.

Bibliotekarz uspokoił się dopiero na widok Pabla, który wszedł do biblioteki swobodnym krokiem i od razu sięgnął po numer magazynu motoryzacyjnego. Pablo był znaną postacią w podziemnym światku Madrytu, zbierał haracze i słynął z brutalności. Ale w razie czego mógł być świadkiem, a bibliotekarz bał się go tak samo jak Daniel. Jego przyście było jak kubel zimnej wody. Bibliotekarz natychmiast się opamiętał, zaczął mówić szeptem, rozglądał się wokół niepewnym wzrokiem.

Daniel odetchnął z ulgą. *Świat ptaków drapieżnych*, pomyślał. Wróbel cieszy się, gdy orzeł przegoni jastrzębia.

– Dziękuję – powiedział pośpiesznie. – Wracam do domu i biorę się do lektury. Ale mam jeszcze jedno pytanie – dodał, jakby nagle sobie coś przypomniał. – Pan wydaje się dobrze poinformowany. Idąc tu, widziałem nad potokiem strażników. Odniosłem wrażenie, że kogoś szukają.

– Owszem – potwierdził bibliotekarz i skinął poważnie głową.

– Czy zaginął jakiś mieszkaniec?

– Nie, nie – roześmiał się cicho mężczyzna. – W takich przypadkach strażnicy nie podejmują poszukiwań.

Spojrzał na Hiszpana i zniżył głos, niemal szeptał.

– Chodzi o jedną z opiekunek.

– Tę niską, ciemną?

Daniel nie widział jej już od jakiegoś czasu i nawet zaczął się zastanawiać, co mogło się z nią stać.

Bibliotekarz skinął nieznacznie głową. Najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać.

– Jeszcze raz dziękuję za pomoc – powiedział Daniel. – Oddam książki, jak tylko skończę czytać.

– Proszę je trzymać tak długo, jak długo będzie pan potrzebował. Jeśli ktoś o nie zapyta, wtedy zajrzę do pana. Mieszka pan w jednym z domków na zboczach, prawda?

Daniel mruknął coś pod nosem, co mogło znaczyć i tak, i nie.

– Muszę wiedzieć, gdzie są moi najlepsi przyjaciele – roześmiał się bibliotekarz. – To znaczy ci tutaj – dodał, wskazując na książki, które Daniel trzymał w ręku.

Ten nocny Daniel śnił o białych aniołach ojca Dennisa, unoszących się wysoko nad Rajską Doliną. Szybował razem z nimi, równie swobodny i wolny jak one. Pod nim rozpościerała się dolina, zielona, świeża, z wijącym się potokiem i miasteczkiem. W kościele bił dzwon, dźwięki docierały do nieba, w rzadkim powietrzu brzmiały delikatniej, jakby bardziej krucho.

Nagle zobaczył, że anioły nie są już białe, tylko czarne. Zamieniły się w wielkie drapieżne ptaki, które krążyły w kółko w poszukiwaniu łupu. W potoku nie płynęła woda tylko gęsta, żółta ropa, a ptaki nie wyglądały myszy czy drobnych ptaków, tylko polowały na pełzające po trawie ogromne tłuste robaki.

Oczywiście, pomyślał Daniel we śnie. Czuł się dziwnie spokojny, jakby te straszne rzeczy, które widział w dole, w ogóle go nie obchodziły, ale wręcz przeciwnie, potwierdzały jego podejrzenia.

A dźwięk dzwonu wcale nie był dźwiękiem dzwonu na kościelnej wieży, tylko dzwonek, które były przytwierdzone do nóg ptaków.

I nagle zrozumiał coś jeszcze, coś, co tak nim poruszyło, że aż się obudził.

Usiadł, zapalił lampkę w alkuwie, sięgnął po leżącą na półce komórkę i wysłał Corinne SMS.

Chyba wiem, jak to się odbywa – powiedział Daniel cicho, nachylając się nad stołem.

Siedzieli w restauracji na drugim piętrze głównego budynku. Przed chwilą skończyli jeść obiad, gdzie głównym daniem była polędwica z sarny z grzybami.

Do stolika podeszła kelnerka z tacą. Podała im kawę i talerz z czekoladowymi biskwitami, dokładnie takimi samymi, jakimi częstowała go Gisela Obermann w swoim gabinecie.

Kiedy kelnerka odwróciła się od nich, Daniel przypomniał sobie zdarzenie sprzed miesiąca, kiedy Max poklepał kelnerkę po pośladkach. Naprawdę było to zaledwie miesiąc temu? Wówczas Daniel wierzył jeszcze, że Rajska Dolina jest luksusową kliniką, a kelnerka po prostu mieszkanką zwykłego alpejskiego miasteczka. Teraz wiedział już, że jest Holenderką, że zwabiła swojego męża do schronu w ich willi, zamknęła go tam i zagłodziła na śmierć. Sama przez cały ten czas oglądała na piętrze telewizję.

– Jak to? Kto przemyca narkotyki? – spytała Corinne, kiedy kelnerka zniknęła w kuchni.

– Ktoś, kto nie przejmuje się elektrycznym pasterzem, strażnikami czy psami.

– Czyli?

– Sokoły.

Corinne spojrzała na niego podejrzliwie, przycisnęła serwetkę do warg.

– W pierwszych dniach mojego pobytu w dolinie spotkałem mężczyznę z oswojonym sokołem – opowiadał Daniel.

– Adrian Keller – weszła mu w słowo Corinne. Dołała sobie mleka do kawy.

– Wiesz, kto to taki?

Corinne skinęła głową.

– Mieszka samotnie w domku w głębi doliny. Kiedyś pracował dla kolumbijskiej mafii narkotykowej. Jest bezwzględny. Podobno mieszkał kilka lat razem z indyjskim plemieniem w dżungli. Trzyma się z daleka od wszystkich, nigdy nie bywa ani w miasteczku, ani w klinice. Nikomu też nie radziłabym zbliżać się do jego domu. To niebezpieczne. Wszędzie wokół są wnyki. Pozwala podjeżdżać tylko samochodowi dostawczemu i patrolowi. Ale strażnicy boją się wychodzić z samochodu. Hoduje sokoły, to prawda. Poluje z nimi. Lekarze pozwalają mu na to,

bo to jego pasja. Bardzo wiele dla niego znaczy. Gisela twierdzi, że czasem trzeba się godzić na takie rzeczy. Kanalizować zło w bezpiecznej pasji.

– Całkiem zresztą opłacalnej. Niedawno czytałem, że alianci podczas II wojny światowej używali sokołów do unieszkodliwiania niemieckich gołębi pocztowych. Pomysł nie wypalił, bo sokoły nie rozróżniały między gołębiami niemieckimi a gołębiami aliantów i zabijały wszystkie. Ale to nasunęło mi pomysł, że być może sokoły mogą funkcjonować jako gołębie pocztowe. Są wytresowane, zawsze wracają do swojego pana. Załóżmy, że Keller ma kontakty po drugiej stronie, sokoły lecą przez góry do tego kogoś, kto przywiązuje im do nóg niewielką paczuszkę, z którą one następnie wracają do swojego pana.

Daniel wydawał się podniecony pomysłem, ale Corinne pokręciła głową.

– Kierownictwo kliniki też się nad tym zastanawiało. Rozmawiano z sokolnikami i ornitologami. Okazuje się, że sokoły nie nadają się do przenoszenia czegokolwiek, ani wiadomości, ani żadnych paczuszek. Wyróżniają się wśród innych ptaków znakomitym wzrokiem i prędkością, ale brakuje im zmysłu orientacji, który z kolei mają gołębie.

– No cóż – powiedział Daniel zawiedziony. – Tak mi po prostu przyszło do głowy. Masz jakiś lepszy pomysł?

Corinne otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się.

– Mamy wyjątkowych gości – rzuciła szybko, wskazując głową w głąb lokalu.

Do środka wchodziło właśnie towarzystwo składające się z czterech osób, kelnerka wskazała im zarezerwowany stolik przy oknie. Daniel rozpoznał doktora Fischera, doktora Pierce'a i lekarza z Indii, który podczas spotkania w sali konferencyjnej cały czas milczał. Czwarty mężczyzna miał na głowie czapkę baseballową. Daniel nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek go widział.

– Pewnie jacyś naukowcy – powiedziała Corinne. – Jest tu ich cała grupa.

– To oni przyglądali się nam z autokaru?

Skinęła głową.

– Tak, ale jeden najwyraźniej ciągle czuje niedosyt. Chce zobaczyć, jak bestie są karmione. To zawsze budzi zainteresowanie – powiedziała drwiąco. – Szkoda, że zdążyliśmy już zjeść. Gdyby przyszedł dziesięć minut wcześniej, zobaczyłby, jak połykamy sarnę.

Daniel spojrzał na mężczyznę w czapce baseballowej, który z zainteresowaniem studiował kartę.

– Podejrzewam, że przede wszystkim chce sam coś zjeść – odparł. – Zaczęłaś coś mówić, kiedy tu weszli – ciągnął, zniżając głos. – Chodziło o narkotyki?

– Jesteśmy na terenie szpitala, prawda? W szpitalu zawsze jest dużo różnych

leków. W szpitalu dla psychicznie chorych są leki działające na psychikę. Podejrzewam, że gdzieś tu może być odpowiedź.

– Myślisz, że źródłem jest szpital? Pośredniczy w tym personel? Czy może mieszkańcy sami wykradają?

Corinne wzruszyła ramionami.

– To może być personel, ale mogą to być też mieszkańcy. Być może współpracują z sobą.

– Słyszałem, że można tu kupić kokainę. To raczej nie jest lek używany w psychiatrii.

– W szpitalu są najróżniejsze leki, jeśli od czasu do czasu trafi się coś, co nie jest legalne, nikt tego nie zauważy.

– W takim razie musi być zamieszany w to ktoś z personelu. Podejrzewasz kogoś?

– Nie, musiałabym znać motyw. Zwykle w takich przypadkach chodzi o pieniądze, ale mogą być też inne powody.

– Jak na przykład?

– Ambicje naukowe. Brian Jenkins, rudy socjolog, mógłby spakować swoje rzeczy i wyjechać stąd, gdyby z doliny wyeliminowano narkotyki. Jego analiza dotycząca wpływu narkotyków na struktury społeczne straciłaby swoją wartość.

– Może mógłby zmienić nieco temat pracy? Rajska Dolina przed i po – zaproponował Daniel. – Myślisz, że mogą być jeszcze jakieś inne motywy?

– Miłość – powiedziała Corinne. – Psychopaci potrafią być bardzo czarujący. Z łatwością mogę wyobrazić sobie romans mieszkańca z jedną z opiekunek. Czy z pielęgniarką.

Towarzystwu przy stoliku przy oknie podano drinki. Wzniesiono toast, a mężczyzna w czapce baseballowej, który najwyraźniej był Amerykaninem, opowiedział jakiś dowcip, wzbudzając ogólny śmiech.

– Opiekunki zawsze chodzą parami. Pewnie właśnie dlatego, żeby coś takiego nie było możliwe – zauważył Daniel. – Pielęgniarki też nigdy nie zostają same z pacjentami.

– Teoretycznie tak. Ale w praktyce bywa różnie. Kiedy przebywałeś na oddziale po poparzeniu, na pewno zdarzało się, że zostawałeś w gabinecie sam z pielęgniarką. Poza tym kto wie, co działo się między tobą a Giselą w jej gabinecie?

Daniel uśmiechnął się.

– Masz rację. Taka możliwość istnieje.

Nadal jednak miał przed oczami sokoły, latające ponad górami, swobodnie i bez żadnej kontroli.

Jak tylko wyszli na zewnątrz, Daniel natychmiast poczuł, że coś musiało się wydarzyć.

W parku panował szczególny nastrój, który nauczył się już rozpoznawać: napięcie wisiało w powietrzu. Ludzie stali w ciemności w niewielkich grupkach i rozmawiali. Na ścieżce zatrzymał się elektryczny samochodzik, ojciec Dennis wyjrzał przez okno, wystawił głowę jak spłoszone, ale zaciekawione zwierzę.

Od szosy dobiegł ich warkot silnika. Światła reflektorów oślepiły zebranych ludzi, pod bramę budynku podjechała z dużą prędkością furgonetka. Z budynku zaczęli wybiegać lekarze w białych kitlach.

– Proszę odejść. Tu nie ma nic do oglądania – wołali strażnicy do zebranych wokół samochodu mieszkańców.

Nosze z furgonetki przeniesiono szybko do budynku szpitala. Daniel zdążył zobaczyć leżącego na nich młodego nieprzytomnego mężczyznę. Miał zmiażdżony środek czoła. Koc, który okrywał jego ciało, był poplamiony ciemną krwią.

– Został zgwałcony. Znalaziono go w lesie – wyszeptał ktoś.

– Co za kretyn! – obruszył się jeden z mężczyzn.

– Żyje?

– Chyba tak.

Od strony elektrycznego samochodu zbliżał się ojciec Dennis w ornacie. Zatrzymał się w pewnej odległości od gapiów, przeżegnał się i mamrocząc, zmówił krótką modlitwę. Z sutanną płaczącą mu się między nogami wrócił pospiesznie do samochodu, wsiadł i odjechał w kierunku miasteczka.

Nosze zostały przeniesione do budynku, furgonetka odjechała. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Przedstawienie się skończyło.

– Boże, to młody chłopak. Nastolatek – powiedział Daniel poruszony.

Corinne wzruszyła ramionami.

– W Rajskiej Dolinie to codzienność. Najgorsze, że człowiek się do tego przyzwyczaja. Na początku bardzo to przeżywałam, teraz się cieszę, że to nie byłam ja. Oczywiście niekiedy też się zastanawiam, jakie taki czyn może mieć konsekwencje. Czy ktoś będzie się chciał zemścić? Takie zdarzenie może wywołać reakcję łańcuchową. W tym przypadku było przestępstwo na tle seksualnym, więc zapewne na tym się skończy.

Daniel zacisnął pięść.

– Muszę się stąd wydostać – powiedział schrypniętym głosem. – To gorsze niż dom wariatów. Gorsze niż więzienie. Jutro porozmawiam z Fischerem.

– Możesz spróbować. A poza tym dziękuję za obiad. Dawno nie jadłam w restauracji. Samotne kolacje to żadna przyjemność. Dotąd nie miałam z kim tam

chodzić.

– Odprowadzę cię do domu – zaproponował Daniel.

– Nie musisz.

– Nie chcę, żebyś wracała sama do miasteczka.

– Jeśli mnie odprowadzisz, to potem ty będziesz musiał wracać sam. Lepiej pójdę teraz, kiedy dużo ludzi idzie w tamtym kierunku. Nie będę szła sama. Dobranoc i dziękuję za dzisiejszy wieczór.

Uścisnęła go i ruszyła przed siebie, po chwili dogoniła większe towarzystwo w drodze na dół do miasteczka. Jednak nie podeszła do nich, tylko cały czas trzymała się kilka metrów za nimi. Daniel patrzył za nią, podziwiając jej odwagę.

– Jedliście w restauracji? Bardzo sprytne posunięcie.

Odwrócił się i zobaczył Samanthę. Stała obok kępy krzaków i paliła. Pewnie stała tam już od jakiegoś czasu, ale jeszcze przed chwilą było tu dużo ludzi, więc jej nie zauważył. Teraz została już tylko ona. Była bez makijażu, w luźnych jeansach i kurtce z rękawami ozdobionymi lampasami. Ze swoimi krótkimi czarnymi włosami wyglądała jak chłopak wystający na rogu ulicy, czekający aż zbierze się jego gang.

– Co powiedziałaś?

– Że to bardzo sprytne posunięcie. Unikasz ostatnio gospody. Osobiście w życiu nie wypiłabym piwa, które ona by mi podała.

– Kto?

Samantha zaciągnęła się papierosem, wydmuchała dym i mrużąc oczy, patrzyła na Daniela. Przekrzywiła głowę, uniosła rękę nieco teatralnie i zwiesiła luźno dłoń.

– Dzyń, dzyń, dzyń – powiedziała powoli.

Corinne nadal wykonywała swój numer pastereczki, ale minęło już nieco czasu, kiedy widział ją w nim ostatni raz. Przypomnił sobie jej zgięte w pół wytrenowane, zwinne ciało i błyskawiczne reakcje, kiedy ćwiczyła z workiem treningowym. Jej tajna broń, o której parodiująca ją Samantha nie miała pojęcia.

Odwrócił się plecami do Samanthy, zamierzając wrócić do domu, ale nagle zmienił zdanie. Ciekawość zwyciężyła.

– Dlaczego nie wypiłabyś piwa, gdy to ona ci je podała? – spytał.

– Myślę o tym, co zrobiła.

– A co zrobiła?

– Nie wiesz?

Samantha oparła się o latarnię, spojrzała w ciemność, jakby nad czymś się zastanawiała.

– Hm. Nie wiem, czy powinnam ci to mówić. Być może zniszczę twoje idylliczne

wyobrażenie o słodkiej pastereczce.

Daniel dobrze wiedział, że tak naprawdę aż pali się, żeby mu o tym powiedzieć. Czekał cierpliwie.

– No dobrze – odezwała się w końcu Samantha. – Truła niemowlęta.

– Kłamiesz.

– Opiekowała się dziećmi. Dosypywała im czegoś do mleka.

– Nie była opiekunką do dzieci. Była aktorką.

– Początkowo tak. Ale zaszła w ciążę, poroniła i potem już nie mogła mieć dzieci.

Niemowlęta stały się jej obsesją. Zatrudniła się na oddziale położniczym. Harowała. Robiła na drutach kocyki i ubranka dla dzieci. Była cały czas na oddziale. Nie wychodziła nawet na przerwy. Kiedy dzieci zaczęły padać jak muchy, wszczęto dochodzenie. Zanim ją zatrzymano, zdążyła otruć dziewięcioro noworodków.

Daniel przełknął ślinę. Przypomniały mu się słowa Corinne o tym, że najbardziej brakuje jej tu dzieci.

– Ale co tam – powiedziała Samantha, wzruszając ramionami. – Co ojciec Dennis zawsze pisze na swojej stronie? „Nie nam ich sądzić”. To prawda. Ani tobie, ani mnie. Ale nie wypiłabym piwa, które by mi podała. Co nie znaczy, że ją osądzam. Po prostu mam instynkt samozachowawczy.

Ostatni raz zaciągnęła się chciwie papierosem, rzuciła go w krzaki i zaczęła iść przez trawnik.

Wiatr był zadziwiająco łagodny. Gdzieś od strony głównego budynku dochodził cichy odgłos metalu uderzającego o metal, z szosy słyhać było szum silnika wozu, patrolującego bez przerwy teren. Poza tym było cicho.

Marko nie okazał żadnego zdziwienia, kiedy Daniel wyszedł z domku po wizycie patrolu. Oparty o ścianę podniósł niedbale dłoń w geście niemego pozdrowienia, Daniel skinął mu głową i ruszył szybkim krokiem w dół zbocza.

Przeszedł przez niewielki las oddzielający teren kliniki od miasteczka. To, co robił, było bardzo niebezpieczne, całkowicie niepotrzebne i w ogóle do niego niepodobne. Mógł poczekać do jutra. Nie musiał rozmawiać z Corinne właśnie w tym momencie.

Ale jego pragnienie zyskania pewności było silniejsze od strachu. Coś podobnego przeżywał wcześniej tylko raz. Kiedy już wiedział, że Emma, jego ówczesna żona, nie jest mu wierna, został kiedyś w domu i całe popołudnie poświęcił na przeszukanie jej kieszeni i szuflad biurka, by potem śledzić ją, gdy udała się na spotkanie z kochankiem. Pamiętał tamto poczucie wstydu i zakłopotania, i podniecenie przypominające gorączkę, a przede wszystkim pośpiech.

Teraz też niemal biegł wąskimi, skąpo oświetlonymi uliczkami miasteczka, aż w końcu dotarł do schodów, prowadzących do mieszkania Corinne.

– To ja, Daniel! – zawołał, żeby nie przestraszyć ją pukaniem do drzwi.

Kiedy po jakimś czasie otworzyła, miała twarz mokrą jakby od łez. Domyślił się jednak, że to nie łzy ale pot, a zmarszczka na jej czole wyrażała niezadowolenie z faktu, że przerwał jej ćwiczenia. Miała na sobie szorty i koszulkę, z głośników płynęły rytmy salsy, w ręku trzymała boksyerskie rękawice.

– Coś się stało? – spytała.

– Nie. Chciałem tylko porozmawiać.

– Teraz?

– Teraz.

Wpuściła go do środka.

– Zaczekasz dziesięć minut?

Skinął głową i usiadł na obitej aksamitem kanapie. Corinne wypila łyk wody z kranu, włożyła rękawice i wróciła do treningu. Na ścianie na wieszaku wisiała suknia, w której występowała w numerze z pastereczką. Była czysta i świeżo

wyprasowana.

Daniel przyglądał się Corinne, kiedy uderzała w worek treningowy. Wściekła mruzczała coś pod nosem, jakby zwracała się do nieistniejącego przeciwnika. Daniel nie potrafił powiedzieć, czy po jej policzkach leciał pot czy łzy, a może jedno i drugie. Jeden z reflektorków na suficie rzucał na nią światło. Pozostała część obszernego pomieszczenia pozostawała w mroku, tylko gdzieś leżały świetlne łańcuchy z małymi czerwonymi, zielonymi i niebieskimi żaróweczkami.

Daniel miał wrażenie, że jest w lokalu, w którym właśnie skończyło się przyjęcie i trwają przygotowania do kolejnej imprezy, dla garstki wybranych gości.

Serce nadal biło mu mocno po szybkim marszu, nadal czuł też dziwny pulsujący niepokój. Znow zaczął myśleć o Emmie, o ostatnim, pełnym rozpaczony okresie ich małżeństwa. W końcu wydusił z niej prawdę. Miał jednak świadomość, że nie była to cała prawda, że jakąś jej resztkę zachowała dla siebie. Przypomniawszy sobie, jak za nią chodził, jeździł, a w końcu przyłapał na gorącym uczynku. Jak zyskał bolesną świadomość tego, co się wydarzyło, mając jednocześnie świadomość, że całej prawdy nigdy się nie dowie.

Na blacie w kuchni stała do połowy opróżniona butelka wina. Wyjął korek i nie pytając o pozwolenie, nalał sobie kieliszek. Usiadł na kanapie, wypił łyk i poczuł, jak jego serce się uspokaja. Czuł smak wina, słyszał dźwięki salsy i odgłosy uderzeń o worek treningowy. Wyciszył się, ukoił niespokojne myśli. Śledził walkę Corinne z czarnym, nieco niezdarnym potworem, który niewzruszony przyjmował każde uderzenie, lekko się kołysząc. Corinne była drobna, a mimo to silna, wytrzymała i wściekła.

W końcu wykończona cofnęła się do tyłu, padła na kolana i zaczęła zdejmować rękawice.

– O czym chcesz rozmawiać? – spytała zdyszana.

– Powiem ci za chwilę. Kiedy weźmiesz prysznic.

Słuchając szumu wody, zastanawiał się, jak ma sformułować pytanie. Jeszcze przed chwilą jego myśli były jasne i klarowne, teraz nagle naszyły go wątpliwości. Kiedy Corinne wróciła z łazienki otulona szczelnie szlafrokiem, kiedy zobaczył jej nagą dziewczęcą twarz, jej ociekające wodą włosy, niemal zapomniał, po co przyszedł.

– I co? – spytała. – Masz jakiś pomysł w sprawie dostaw narkotyków?

– Nie.

– Więc co jest tak pilne, że nie mogło zaczekać do jutra?

Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z nogami w lekkim rozkroku i przyglądała się mu spod mokrej, prostej grzywki. Mała dziewczynka w za dużym

szlafroku.

A on nagle już nigdzie się nie spieszył. Sprawa z niemowlakami przestała cokolwiek znaczyć. Dziwne, ale tak właśnie było. Kłamstwo czy prawda, nagle przestało to mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Bo jeśli to była prawda, to musiał to być moment szaleństwa, jakieś chwilowe zaburzenie umysłu, który poza tym był czysty i zdrowy. Nie chciał nic wiedzieć. Były ważniejsze sprawy niż prawda. Na przykład to, że ona jedna w całej dolinie okazała mu zainteresowanie i trochę ciepła. Tylko z nią mógł swobodnie rozmawiać.

Jej zatroskana twarz rozpromieniła się. W jej oczach rozbłysły tysiące mikroskopijnych migoczących srebrzyście lampek, jakby nagle ktoś wcisnął włącznik.

Jak to możliwe, zastanawiał się zdziwiony. Skąd to światło?

– No powiedz w końcu, co cię tu przygnało? – nalegała.

– To – powiedział. Wstał z kanapy i ujął lekko rękami jej twarz. Odsunął włosy do tyłu i pocałował ją.

Szarpnęła się lekko i cofnęła, położyła dłoń na ustach, jakby chcąc je chronić.

– To niemożliwe. Nie wolno nam – powiedziała.

– Dlaczego?

Znów skrzyżowała ręce na piersiach, jakby marzła, i uciekła wzrokiem w bok.

Milczała.

– Nie ufasz mi, Corinne? Ja ci ufam. Słyszysz? Ufam ci. Jesteś jedyną osobą, której ufam. A ja jestem jedyną osobą, której ty możesz ufać.

Spojrzała na ścianę, zacisnęła usta i pokręciła głową jak uparte małe dziecko.

Daniel przełknął ślinę i ciągnął dalej:

– Nie wiem przez co przeszłaś, nie wiem, co zrobiłaś ani jaka kiedyś byłaś. Ale teraz jesteśmy tutaj, ja i ty. To, co było kiedyś, to przeszłość. Nie obchodzi mnie. Kocham cię taką, jaka jesteś.

– Boże – westchnęła i zaczęła szlochać. – Niech to szlag.

Poirytowana przeciągnęła dłonią po oczach.

– Ja też cię kocham. Od momentu naszej wyprawy na Cmentarz Trędowatych.

– Podejrzewam, że to jedyna miłość, jaka istnieje w tej dolinie – powiedział. – Zastanawiałaś się nad tym? – dodał już poważnie.

Corinne zamyśliła się.

– Pewnie masz rację.

Przyciągnął jej twarz do swojej, tak blisko, że niemal dotknęli się nosami, i znów ją pocałował. Tym razem nie cofnęła się. Smakowali się wzajemnie, początkowo ostrożnie, niepewnie, ale już po chwili coraz bardziej zachłannie. Daniel zrobił krok

do tyłu, rozwiązał pasek jej szlafroka. Cały czas przyglądał się uważnie jej twarzy, gotów powstrzymać się, jeśli tylko da mu znak. Ale ona odwzajemniła jego spojrzenie, uśmiechnęła się, ufna, spokojna. Rozsunął jej szlafrok i przesunął powoli palcami po jej dziewczęcych piersiach. A ona zamknęła oczy i stała nieruchoma. Jej brodawki zrobiły się twarde. Kiedy znów otworzyła oczy, było w nich światło. Niebezpieczne, migoczące, jakby poszarpane.

– To niemożliwe. To nie powinno się zdarzyć – wyszeptała.

W następnych tygodniach kochali się, kiedy tylko nadarzała się ku temu okazja. Po treningu w mieszkaniu Corinne. W domku Daniela. Raz na zewnątrz, pod sosną, kilka razy w opuszczonej chacie pasterskiej. Świadomość tego, że są otoczeni przez wrogów, tylko dodatkowo ich podniecała. Panujący wokół nich chłód emocjonalny kontrastował z ich rozbudzonymi zmysłami. Kawałki lodu na rozgrzanej skórze. Daniel nie czuł się tak jurny od czasu, kiedy był nastolatkiem.

Jednocześnie czuł ulgę mogąc po dniach pełnych napięcia i stresu utonąć w objęciach drugiej osoby, oddać się jej całkowicie i na chwilę uciec w rozkosz i zapomnienie.

Opowiedział Corinne o dzieciństwie spędzonym z matką u jej rodziny w Uppsali, o zawsze problematycznych urodzinach jego i Maxa i ich skomplikowanych wzajemnych relacjach. Corinne opowiedziała mu o swoim dzieciństwie w Zurychu, o podziwieniu, jaki żywiła wobec swojego ojca, alpinisty, który zginął podczas wspinaczki, kiedy ona miała trzynaście lat, o trupie teatralnej, do której należała, i o jej nieszczęśliwym związku z pewnym żonatym reżyserem. Nie wspomniała nic o żadnych noworodkach, a on nie pytał.

Prawie cały czas spędzali razem. Każdego wieczoru po odwiedzinach patrolu wymykał się z domu i szedł do mieszkania Corinne w miasteczku. Miłość uczyniła go odważnym, nie bał się już poruszać po zapadnięciu zmroku. Szepczące w ciemnościach głosy utraciły swoją anonimowość. Dzięki Corinne wiedział, do kogo należą. Większość ludzi w ogóle się nim nie interesowała. Ci, którzy stanowili rzeczywiste zagrożenie, nie mieszkali na terenie kliniki ani w miasteczku. Im dalej od kliniki i miasteczka, tym większe niebezpieczeństwo, taka była zasada.

Oczywiście nadal musiał być czujny. Kiedy pewnego dnia oddawał książki do biblioteki, bibliotekarz rzucił mu dwuznaczne spojrzenie, zastukał w okładkę książki o ptakach i powiedział:

– Zakładam, że czytał pan, że okres godowy jest dla ptaków najniebezpieczniejszy. Czas reakcji na przykład bocianów spowalnia się wówczas o jedną trzecią.

– Podobno – rzucił Daniel obojętnie.

Był wdzięczny bibliotekarzowi za ostrzeżenie. A więc w dolinie byli ludzie, którzy wiedzieli, co łączy jego i Corinne.

Każdego ranka i każdego wieczoru kochankowie musieli się rozdzielać i wracać do siebie. Daniel uznał, że to śmieszne. Ale patrol kontrolował wszystkich. O wyznaczonych porach każdy musiał znajdować się tam, gdzie mieszkał. To była jedna z podstawowych zasad obowiązujących w Rajskiej Dolinie.

Zaproponował Corinne, żeby przeprowadziła się do niego i zameldowała się w jego domku. Sama opowiadała mu, że Samantha była kiedyś oficjalną kochanką Kowalskiego i przez jakiś czas była zameldowana w jego willi.

Ale Corinne nie chciała w ten sposób legalizować ich związku. Bardzo uważała, żeby lekarze i terapeuci o niczym się nie dowiedzieli. Daniel musiał obiecać, że nikomu nie zdradzi ich tajemnicy. Tak więc na jakiś czas przed wyznaczonymi porami, czyli przed ósmą rano i przed północą, opuszczał mieszkanie Corinne i udawał się do swojego domku.

Pewnego ranka obudził się wyjątkowo wcześnie. Wiszące na ścianie maski wpatrywały się w niego pustymi oczami w półmroku. Wstał, ubrał się, pocałował ostrożnie śpiącą jeszcze Corinne i opuścił jej mieszkanie.

W miasteczku panowała dziwna cisza. Pierwsze godziny po wizycie nocnego patrolu bywały często bardzo ożywione, ale teraz, tuż przed świtem, zwykle panował spokój.

Do wizyty porannego patrolu zostało jeszcze sporo czasu, postanowił więc iść nieco dłuższą, ale bezpieczniejszą drogą. Idąc szosą miał bowiem szansę dostrzec w porę ewentualnych wrogów.

W dolinie panował jeszcze półmrok, ale na wschodzie niebo było już jasne, niemal kobaltowoniebieskie.

Nagle w ciszy rozległ się jakiś dźwięk. W pierwszej chwili uznał, że to głos ptaka, jakieś chrobotanie, zawodzenie, które to cichło, to przybierało na sile. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nieco dalej obok kępy drzew droga nagle skręcała, to właśnie stamtąd dochodził dźwięk. Nagle Daniel przypomniał sobie, że już kiedyś go słyszał. Tak skrzypiał rower Adriana Kellera.

Nie miał ochoty spotkać się z nim teraz sam na sam. Zszedł więc z drogi i szybkim krokiem ruszył przez pokrytą szronem łąkę w stronę starej szopy, w której zapadł się dach. Dotarł do niej, stanął nieruchomo pod ścianą i spojrzał w stronę drogi. Nagle zauważył, że zostawił ślady na pokrytej szronem trawie. Miał nadzieję, że w słabym świetle poranka Keller ich nie zauważy.

Ostre dźwięki cięły ciszę i po chwili zza zakrętu rzeczywiście wyjechał Adrian. Daniel wstrzymał oddech. Na przyczepie stała ta sama drewniana skrzynka, którą widział poprzednim razem. Mężczyzna przejechał jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów i nagle się zatrzymał. Zszedł z roweru, zapalił papierosa i usiadł na brzegu

przyczepy.

Ośnieżony szczyt w oddali wydawał się jasnoróżowy, na ciemnym kawałku nieba świeciła gwiazda.

Keller palił powoli papierosa, dopiero po dłuższej chwili odsunął drzwiczki skrzynki. Rozległ się trzepot skrzydeł, mężczyzna cofnął się kilka kroków.

Daniel wyjrzał zza węgła szopy. Adrian Keller stał na pokrytej szronem trawie i trzymał na ręku sokoła. Za nimi, niczym dym, unosiła się poranna mgła.

Na wschodzie na niebie pojawiła się nagle ciemna chmura. Kiedy przyjrzał się jej bliżej, zobaczył, że to nie chmura, tylko stado gołębi. Adrian szybko zdjął sokołowi kapturek i puścił go. W tym momencie stado się rozproszyło i wysoko w górze, w przejrzystym, czystym powietrzu zaczęło się polowanie. Daniel przyłożył rękę do oczu, chroniąc je przed ostrym wschodzącym słońcem, i śledził sokoła, wykonującego kolejne kółka i zwroty.

Gdzieś od strony doliny nadleciał kolejny sokół i dołączył do pierwszego. Po chwili jeden z nich wrócił do swojego pana, który szybkim ruchem wyjął gołębia z jego szponów i od razu kazał mu lecieć dalej, nie pozwalając zbliżyć się do łupu.

Daniel widział, jak Adrian Keller pochyla się nad gołębiem, odwiązuje coś z jego nóżek, wkłada to coś do torby, a gołębia wrzuca do worka. Nadleciał drugi sokół, mężczyzna przejął także jego łup. Zajął się gołębiem, a sokół odleciał. Gołębie zniknęły już z pola widzenia, ale sokoły wzniosły się do góry i poleciały ponad szczytami, wkrótce jeden z nich powrócił z jeszcze jednym gołębiem w szponach.

Kiedy po kolejnej wyprawie sokoły powróciły z niczym, Keller opróżnił worek, rzucił gołębie sokołom na pożarcie, a sam zapalił papierosa.

Po jakimś czasie ponownie założył ptakom kapturki, umieścił je w skrzynce, wsiadł na rower i odjechał tą samą drogą, którą tu przybył.

Daniel odczekał chwilę, aż skrzypienie roweru umilkło. Odszedł od szopy i podszedł do miejsca, gdzie niedawno stał sokolnik. Na ziemi wśród zakrwawionych piór leżały resztki gołębi.

Uklęknął i zaczął się przyglądać krwawym strzępom. Dostrzegł oderwaną nogę gołębia, dół miała owinięty czymś czarnym, co wyglądało jak kawałek taśmy izolacyjnej. Wziął patyk i zaczął nim badać to, co zostało z gołębi. Na wszystkich nóżkach były resztki taśmy klejącej.

Nagle zrozumiał, na czym polegał proceder: gołębie były wysyłane przez kogoś spoza doliny rano, o świcie, kiedy Adrian Keller wypuszczał sokoły na żer. Gołębie padały ich łupem i w ten sposób trafiały do Kellera. Ten zdejmował przytwierdzone do ich nóżek paczuszki. Gołębie, które nie wpadły w szpony sokołów, wracały do gołębników poza doliną, jak to zwykły robić gołębie pocztowe. Nadawca odzyskiwał

swój cenny towar, nic się nie marnowało. Wystarczyło policzyć, ile gołębi brakuje, i wystawić rachunek.

Daniel ruszył w stronę kliniki. Przy głównym budynku minął członków patrolu, którzy właśnie wsiadali do samochodów. Kobiety miały na sobie jasnoniebieskie kostiumy, na które narzuciły płaszcze z jasnoniebieskiej wełny.

Otworzył drzwi do domku, wszedł do środka. Czekając na patrol, zaczął się zastanawiać, co zrobić ze swoim ostatnim odkryciem. Czy powinien poinformować o tym doktora Fischera? A może kogoś innego? Czy w ogóle powinien o tym mówić? Może powinien poradzić się Corinne?

Nagle poczuł się bardzo senny. Postanowił, że jak tylko patrol wyjdzie, położy się i prześpi chwilę, zanim znów do niej pójdzie.

Miał wrażenie, że patrol zaczął dzisiaj od miasteczka, bo ciągle go nie słyszał. Ziewnął, mając nadzieję, że nie zaśnie przed jego nadejściem. Zawsze starał się być na nogach, gdy zjawiał się patrol, ale nie zawsze mu się to udawało. Kiedyś niewiele brakowało, a uderzyłby opiekunkę, która nachyliła się nad nim, a on odruchowo uniósł rękę. Odpowiedziała zaskakująco szybkim i mocnym chwytem karate i roześmiała się. Jakby takie sytuacje często się zdarzały.

Minęło dwadzieścia minut, zanim usłyszał znany szum elektrycznego silnika. Po chwili rozległo się pukanie, ktoś nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry, Max. Dobrze dzisiaj spałeś? Widzę, że zdążyłeś już posłać łóżko – powiedziała opiekunka, rzucając szybkie spojrzenie na jego nietknięte łóżko, dobrze widoczne zza odsuniętej kotary.

Oczywiście domyślała się, że spędził noc poza domem, ale wyraźnie ją to bawiło. Daniel nie odpowiedział.

Opiekunka ruszyła do drzwi, gdzie czekał na nią kolega, kiedy nagle się odwróciła i z rękami w kieszeniach płaszcza rzuciła jakby od niechcienia:

– A tak przy okazji, to wrócił twój brat. Wiesz o tym, prawda?

Daniel zastanawiał się, czy dobrze usłyszał.

– Jest tutaj?

– Tak – potwierdziła opiekunka. – Pytał wczoraj o ciebie w recepcji. Nie spotkaliście się?

Serce waliło mu w piersi, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Nauczył się trzymać je na wodzy.

– Musieliśmy się minąć – powiedział. – Wczoraj nie było mnie cały dzień, miałem wyłączoną komórkę. Kiedy się tu pojawił?

– Przed południem. Ale nie miałam wtedy dyżuru. W recepcji na pewno dowiesz się czegoś więcej.

Kobieta odeszła, zaczęła rozmawiać z kolegą.

Daniel podszedł szybko do drzwi, otworzył je, wysunął głowę i spytał:

– Gdzie on teraz jest?

– Pewnie przenocował w którymś z pokoi gościnnych. Na pewno się odnajdziecie.

Jak tylko patrol odjechał, Daniel udał się do domku Marko. Zapukał do drzwi.

– To ja. Twój sąsiad – zawołał.

Ze środka dobiegło go chrząknięcie.

– Nie wiesz, czy wczoraj ktoś mnie szukał? – spytał Daniel przez zamknięte drzwi.

– Nie – rozległo się niewyraźnie z wnętrza domku.

– Nikt nie pukał do moich drzwi?

– Nie – padła odpowiedź, wyraźniejsza, ale poirytowana.

No cóż, nic dziwnego. Marko był nocnym zwierzęciem i całe ranki przesypiał.

Daniel wrócił do siebie, włączył komórkę. Miał kilka nieodebranych połączeń i trzy wiadomości głosowe z nieznanego mu numeru. Spoconymi palcami wcisnął klawisz, żeby odsłuchać wiadomość, przyłożył komórkę do ucha i czekał w napięciu.

– Cześć, braciszku.

Głos należał do Maxa. Daniel nie miał żadnych wątpliwości.

– Gdzie się podziewasz? Siedzę na twoich schodach już dwie godziny i zaczynam mieć tego dosyć. Przykro mi, że tak długo mnie nie było, ale miałem straszne

problemy. Dobrze, że w ogóle przeżyłem. Opowiem ci o wszystkim potem. Obiecałem sobie, że już nigdy nie zadam się z mafią. Mam nadzieję, że nie było ci tu tak najgorzej. Pewnie doszedłeś już do tego, co to za miejsce. Trochę ci to wszystko upiększyłem, ale podejrzewam, że inaczej byś się nie zgodził. Poza tym nie sądziłem, że tak długo mi to zajmie. Co miałem ci powiedzieć? Aha, zostanę tu jeszcze chwilę, a potem uciekam.

W aparacie coś kliknęło, wiadomość się skończyła. Daniel nie zdążył dojsć do siebie, kiedy wyświetliła mu się kolejna wiadomość, nagrana pół godziny po pierwszej. Znowu usłyszał znajomy głos.

– Wiesz, czego najbardziej nienawidzę? A raczej kogo? Ludzi, którzy wyłączają komórki. To cholernie aroganckie. Jestem teraz u niejakiego Adriana Kellera. Wiesz, kto to jest? Prawdę mówiąc, to jedyna osoba, z którą utrzymuję kontakt. Facet uwielbia przyrodę. Hoduje sokoły. Trochę wycofany. Nie znosi miejskiej gawiedzi, ja też. Najłatwiej dotrzeć do niego, idąc drogą przez dolinę. Tak jak wtedy, kiedy jechaliśmy na rowerach. Tylko trochę dalej. Zadzwoń, jak już będziesz w drodze. Facet wszędzie pozakładał wnyki, więc musisz uważać. Trzymaj się drogi.

Trzecia wiadomość została wysłana kwadrans po drugiej w nocy. Max był wyraźnie poirytowany.

– Gdzie do diabła jesteś? Zaczynam się niepokoić. Przyjdź tu i rozmówmy się wreszcie.

Daniel sprawdził numer aparatu, z którego wiadomość została nadana. Wybrał go i zadzwonił. Nikt nie odbierał.

Nie miał najmniejszej ochoty odwiedzać Adriana Kellera w jego stojącym na odludziu domu. Ale jeśli Max rzeczywiście tam był? Jego brat miewał zmienne humory. Szybko zmieniał zdanie, mógł nagle wyjechać. Jeśli rzeczywiście był gotów znów się z nim zamienić, to Daniel powinien się pośpieszyć.

Daniel niemal leżał na kierownicy wypożyczonego z kliniki roweru górskiego. Jechał przez dolinę, pedałując z całej siły, pot lał się z niego strumieniami. Z dużą prędkością minął Cmentarz Trędownatych z jego pochyłymi krzyżami, potem drogę prowadzącą do chaty Toma i most, przerzucony przez potok w miejscu, gdzie wchodził w dolinę.

Jechał teraz zachodnią częścią doliny, tą bardziej dziką, zamieszkaną przez dziwaków i odludków. Jeśli ktoś się tu zapuszczał, to na własne ryzyko. Nawet patrole tu nie docierały. Obecność sprawdzali uzbrojeni strażnicy, podróżujący furgonetkami.

Daniel wiedział mniej więcej, gdzie jest dom Adriana Kellera. Podczas jednej z ich bardziej ryzykownych wędrówek Corinne pokazała mu ścieżkę prowadzącą do jego domu, przestrzegając go, żeby nigdy się tam nie zapuszczał. Pokazała mu wówczas też dwie wielkie wille górujące na zboczu. Ta leżąca najwyżej i zarazem największa należała do Kowalskiego, ta mniejsza do Sørensen. Obok obu były garaże, bo zarówno Kowalski, jak i Sørensen mieli samochody. Nie były to najnowsze modele, ale jednak. Nikt z pozostałych mieszkańców doliny nie miał własnego samochodu. Rowery, motorowery tak, ale nie samochody. Zresztą rowery też były rzadkością, mieszkańcy najczęściej pożyczali je z kliniki. Samochody miał tylko personel kliniki.

Kiedy Daniel dotarł do ścieżki odchodzącej do domu Kellera, zatrzymał się i wybrał podany mu numer. Nikt nie odbierał. Może spali? Było kilka minut po dziewiątej. Max wydzwaniał do niego w nocy, a Keller o świcie zajmował się swoimi sokołami. Na pewno byli zmęczeni.

Jeśli Max opuściłby już dom Kellera i udał się do kliniki, Daniel zapewne spotkałby go po drodze. Chyba że Max poszedł skrótem, ścieżką prowadzącą wysoko nad lasem. Ale dlaczego miałby to robić? Przecież prosił, żeby Daniel przyszedł do chaty Kellera. Jeśli coś by się zmieniło, zadzwoniłby do niego. Z drugiej strony z Maxem nigdy nie można było mieć pewności.

Daniel schował komórkę, przerzucił nogę przez ramę i skręcił w krętą ścieżkę, prowadzącą do domu Adriana Kellera.

Dzień, który rozpoczął się tak pogodnie, zrobił się teraz szary. Welony mgły i mżawki unosiły się nad doliną, czuł, że cały przemókł.

Zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów od domu i zeskoczył z roweru. Na podwórzu stał czarny mercedes Kowalskiego. Sława odludka, którą cieszył się mężczyzna, zdawała się nieco przesadzona.

W specjalnej pokrytej siatką wolieryze na konarach martwych drzew siedziały sokoły i zawodziły żałośnie we mgle. Być może ich krzyki zapowiedziały jego przybycie, bo kiedy stanął przed domem, zastanawiając się, czy podejść bliżej, czy może po prostu zawrócić, drzwi natychmiast się otworzyły, a zza nich wyjrzał Adrian Keller.

Daniel podszedł z rowerem nieco bliżej. Cały czas uważał jednak, żeby trzymać się środka drogi.

– Mój brat tu jest? Zadzwoił i powiedział, że jest u ciebie – zawołał.

Keller nie odpowiedział, ale dał mu do zrozumienia, żeby wszedł do środka.

Daniel zawahał się. W końcu jednak podszedł bliżej, oparł rower o poręcz przy schodach i ruszył na górę.

W środku było ciemno, okiennice były zamknięte. Minęła dobra chwila, zanim jego oczy przyzwyczyły się do mroku. Dom, w przeciwieństwie do większości domów w dolinie, nie był nowy, tylko autentycznie stary, pewnie jeszcze z czasu zanim powstała Rajska Dolina.

Przy stole pod lampą siedzieli Kowalski i Sørensen. Przed nimi leżały foliowe torebki z białym proszkiem, obok stała waga. Sørensen podniósł głowę i spojrzał na niego.

– Tak cię przypiliło, że musiałeś tu przyjść?

– Dostałem wiadomość od brata. Mówił, że tu jest – powiedział Daniel niepewnie.

Sørensen spojrzał na Kowalskiego i Kellera.

– O co mu chodzi?

Keller wzruszył ramionami.

Daniel spojrzał w prawo i zobaczył duże, horyzontalnie powieszone lustro, w którym widać było cały pokój, niczym na obrazie. Widział wszystkich, zamkniętych w złotej ramie: Kowalskiego i Sørenseną siedzących w niewielkim kręgu lampy, Kellera nieco zamazanego gdzieś w tle, i w środku obrazu – samego siebie: czerwonego i spoconego po jeździe na rowerze. Scena jak z siedemnastowiecznego obrazu ze szkoły holenderskiej, na której ludzie zostali uwiecznieni w ważnej chwili ich życia i gdzie każdy szczegół ma znaczenie.

Kowalski zsunął okulary, które miał na czole, i zaczął wysypywać proszek z jednej z torebek. Zmrużył oczy i patrzył skupiony przez okulary, przyglądał się wadze, dosypując powoli proszku. Na palcu miał sygnet z kamieniem, w którym odbijało się światło, małe migoczące czerwone iskierki.

– Nie wiem, o czym mówisz, ale musisz chwilę poczekać – powiedział spokojnie. – Nie jesteśmy jeszcze gotowi.

Otworzył niewielką torebkę, ostrożnie wsypał do niej odmierzony proszek i zamknął ją. Daniel domyślił się, że właśnie dzielono poranną dostawę. Wiedział, że nie powinien tego w ogóle oglądać, ale było już za późno.

– Ile chcesz? – spytał Sørensen.

– Nic. Jeśli nie ma tu mojego brata, to zaraz stąd pójdę.

Błędna odpowiedź.

Kowalski uniósł brwi, nachylił się nad stołem i spytał, autentycznie zaintrygowany:

– Czego ty tak naprawdę tu szukasz?

Pytanie o Maxa było błędem, Daniel zrozumiał, że musi zmienić taktykę.

– Ile za to chcecie? – spytał, wyciągając portfel.

– Za co? – zdziwił się Kowalski. W jego głosie nie było wrogości.

– Za to – odparł Daniel, wskazując na proszek w torebkach.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Tu niczego nie ma.

Kowalski położył torebkę na stole, odsunął okulary na czoło. Sørensen uśmiechnął się i zaczął masować ramię.

– A może ty coś tu widzisz? – ciągnął Kowalski.

Znów źle. Daniel pokręcił głową i schował portfel do kieszeni.

– Kokainę, tak? To miałeś na myśli?

Daniel odwrócił głowę na bok, żeby nie patrzeć na torebki z białym proszkiem. Jego wzrok padł znów na lustro i znów zobaczył ten sam obraz: mężczyźni z wagą, Keller gdzieś z boku i on sam w samym środku.

Coś jednak się zmieniło, zauważył, że Keller trzymał w ręku nóż myśliwski. Zwiślał mu luźno w dłoni, nie było w tym nic groźnego. Być może miał go w ręku przez cały czas, tylko on nie zwrócił na to uwagi.

Kowalski ponownie zsunął okulary na nos, położył kawałek złożonego papieru na szalę wagi i skupiony zaczął sypać proszek. W wolierze na zewnątrz krzyczały sokoły, krótkie, urwane schrypnięte krzyki, pełne bólu i niepewności.

– Może się zdarzyć, że ktoś kiedyś ci coś takiego zaproponuje – odezwał się Kowalski zamyślony, otwierając kolejną torebkę. – Ale nie mam pojęcia, ile to może kosztować.

– Jasne – wymamrotał Daniel.

– Poza tym to na pewno nie będzie pochodziło stąd.

Mężczyzna spojrział naniego znad okularów, surowo, poważnie, jak nauczyciel w szkole.

– Jasne – powtórzył Daniel.

Miał wrażenie, że gdzieś w głębi ktoś się roześmiał. A może to był płacz? Pewnie raczej krzyk sokołów, pomyślał. Ale dźwięk nie dochodził od strony woliery, tylko zdecydowanie gdzieś z głębi domu, z jego prawej strony. Prawdę mówiąc, miał wrażenie, że dochodzi go z lustra, ale to przecież było niemożliwe.

Powiódł wzrokiem po pokoju. Na jednej ze ścian dostrzegł kilka nieregularnych plamek, jakby ktoś oblał tapetę płynem.

– Muszę już iść – wyszeptał. – Przepraszam.

Ruszył w stronę drzwi. Siedzący przy stole mężczyźni przyglądali się mu w milczeniu. Powoli, ostrożnie, minął Adriana Kellera, który zamarł w bezruchu z nożem w dłoni. Daniel spojrzał na krótkie, szerokie ostrze. Miał wrażenie, jakby znalazł się w nierzeczywistym świecie.

Nagle zamarł. Gdzieś na zewnątrz rozległ się krzyk, którego w życiu nie słyszał. Przeszywający, pełen strachu, wysoki, jakby krzyczał ktoś bardzo drobnej postury.

– Dziecko! – powiedział. Odwrócił się w stronę mężczyzn w pokoju. – To był krzyk dziecka – powtórzył.

Mężczyźni spojrzeli na niego obojętnie. Niemożliwe, żeby niczego nie słyszeli, pomyślał. Oczy Adriana Kellera, osadzone tuż nad wysokimi kośćmi policzkowymi, błyszczały jak szaroniebieskie lampki.

Ruszył oszołomiony do drzwi, wybiegł na zewnątrz. Krzyk przeszedł w żalosne zawodzenie. Gdzie było dziecko?

Jakaś gałąź zakołysała się i na ziemię spadł deszcz pożółkłych liści.

Daniel patrzył przerażony na zwisające z gałęzi drobne ciało. Zając. Złapany w rozstawione wokół domu sidła.

Zobaczył, że z domu wyszedł Adrian Keller. W ręku nadal trzymał nóż, po chwili uniósł go powolnym, spokojnym ruchem, jakby od dawna czekał na tę chwilę, i odciął wiszącego na gałęzi zająca.

Podszedł do woliery sokołów, otworzył furtkę i zostawił ją szeroko otwartą. Ptaki nadal siedziały na okorowanych drzewach. Potrząsały łebkami. Zamaszystym ruchem rzucił im zająca. Sokoły natychmiast podleciały, rzuciły się na łup i zaczęły rozrywać go na kawałki. Ale nie wszystkie ptaki okazały się zainteresowane zającem, niektóre pozostały pod dachem, obserwując wszystko z wysoka. Pewnie były to te, które zdążyły już nasycić swój głód gołębiami.

Keller stał nieruchomo i obserwował ucztę.

– To tylko zając – powiedział Daniel sam do siebie i podniósł rower.

Czuł, że nadal drży, nogi miał jak z waty. Keller nie zwracał na niego żadnej uwagi.

Jak tylko Daniel wyjechał na drogę, wyjął z kieszeni komórkę i ponownie spróbował zadzwonić do Maxa.

Nikt nie odbierał, ale gdzieś w pobliżu rozległa się znajoma melodia. Dochodziła chyba z domu. A może się mylił? Sygnały ustały równo z melodią. Daniel zadzwonił ponownie, przycisnął komórkę do ciała, żeby stłumić dźwięk i zaczął nasłuchiwać. Sytuacja się powtórzyła. Jak tylko wybrał numer, rozległa się melodia, cicha, ale wystarczająco głośna, żeby mógł ją zidentyfikować. Kwintet Schuberta. *Pstrąg*.

Komórka Maxa musiała być gdzieś w pobliżu. Ale z jakiegoś powodu brat jej nie odbierał.

Daniel wysłał mu wiadomość: „Nie widziałem cię u Kellera. Wracam rowerem do domu”.

Sygnał oznajmiający nowy SMS zabrzmiał znacznie głośniejsze niż wcześniejsza melodia. I nie dochodził z domu, tylko od strony zagajnika. Teraz już słyszał to wyraźnie.

Zamiast zawrócić, zostawił rower w rowie i ruszył drogą w stronę lasu.

– Max! – zawołał cicho.

Szedł wśród drzew, poruszał się powoli, ostrożnie, patrząc pod nogi. Wiedział, że wszędzie były sidła i wnyki.

Nad lasem majaczyły sokoły, niczym ciemne cienie nad wierzchołkami drzew. Jeden z nich zanurkował między gałęzie, zniknął w szeleszczącym listowiu, po czym znów uniósł się do góry.

Daniel zatrzymał się, rozejrzał i ponownie zawołał.

Jedyne, co słyszał, to lekki szum wiatru i krótkie, dziwne krzyki sokołów, które nadal krążyły nad drzewami. Były niemal dokładnie nad nim. Odchylił głowę i spojrzał w górę, próbując zlokalizować miejsce, które najwyraźniej przyciągało ptaki.

Nagle zrozumiał, dlaczego tak się działo. Wysoko w górze, schowane za kurtyną liści, wisiało ciało mężczyzny, w jeansach i koszuli w kratkę.

Najwyraźniej mężczyzna musiał popełnić ten sam błąd co zając.

Daniel podszedł bliżej. Czuł, jak mocno bije mu serce. Szedł, dokładnie sprawdzając, gdzie stawia stopy. Dotarł do drzewa, podniósł głowę, starając się zobaczyć twarz wiszącego na drzewie mężczyzny. Ale w miejscu twarzy były tylko czerwone resztki mięsa. Trudno było powiedzieć, jak mężczyzna wyglądał za życia.

Daniel wyjął komórkę i drżącymi palcami wybrał numer, z którego dzwonił Max. Zawahał się chwilę, rzucił jeszcze jedno spojrzenie na zwisające z drzewa ciało. Zobaczył nurkującego w jego stronę sokoła, wzdrygnął się i wcisnął guzik. Czekał, nie przykładając komórki do ucha.

Po chwili wśród drzew rozbrzmiały wesołe dźwięki kwintetu Schuberta.

Nie dochodziły jednak, czego Daniel najbardziej się obawiał, od wiszącego na drzewie mężczyzny.

Daniel odwrócił się.

I nagle wśród zwiędłych liści zobaczył Karla Fischera, który stał i, marszcząc brwi, patrzył na wyświetlacz trzymanej w ręku komórki. Był ubrany jak na wędrowkę. Miał na sobie krótką kurtkę, solidne buty, a na głowie kapelusz z zielonej wełny.

– No proszę, jesteś. We własnej osobie – powiedział, podnosząc głowę. – Co za spotkanie. Rozumiem, że to nie będzie nam już potrzebne. – Wyciszył komórkę i schował ją do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Daniel przyglądał mu się zdziwiony. Nie słyszał, żeby drogą jechał jakiś samochód. Jak Karl Fischer się tu dostał? Sądząc po tym, jak był ubrany, pewno na piechotę. Daniel zauważył, że lekarz miał w ręku laskę.

– Wybierałem numer pana komórki? – spytał zdezorientowany.

– Tak. A o co chodzi? Wiem, że minęło trochę czasu od naszej ostatniej rozmowy, ale byłem bardzo zajęty. Mieliśmy gości. Może więc dobrze, że w końcu się spotykamy.

Doktor podszedł do niego różnym krokiem, wymachując laską.

– Nie spodziewałem się spotkać ciebie w tej części doliny. Wpadłeś w odwiedziny do Adriana? Prawdę mówiąc, też zamierzałem do niego zajrzeć. Co cię gnębi, przyjacielu? Mów.

– Tam... tam na górze coś wisi. To znaczy: ktoś wisi – powiedział Daniel zduszonym głosem, wskazując ręką na wierzchołki drzew.

– Naprawdę?

Doktor Fischer przyłożył dłoń do oczu i spojrzał w niebo.

– No proszę! Czyż to nie Mattias Block? – powiedział tonem, jakby spotkał na ulicy dawno niewidzianego przyjaciela.

Kiedy Daniel w towarzystwie doktora Fischera dotarł do domu Kellera, Kowalski i Sørensen stali już przy samochodzie gotowi do odjazdu. Keller był w wolerze, zajęty sokołami.

Daniel poczuł lekki zawrót głowy. Widok martwego mężczyzny zaszokował go, ale jednocześnie czuł też ulgę, że nie był to jego brat.

– Witam, panowie – powiedział Karl Fischer. – Nasz przyjaciel zwrócił mi uwagę, że w pobliżu jest jeden z naszych mieszkańców. Miał pecha wejść w twoje sidła, Adrianie. Odniosłem wrażenie, że stało się to już jakiś czas temu. Nie zauważyłeś niczego?

Adrian Keller najwyraźniej nie zamierzał odrywać się od swoich zajęć. Milczał.

– Musimy oczywiście zdjąć biedaka. Przyślę tu strażników. No cóż. To chyba wszystko.

Po chwili zwrócił się do Kowalskiego i Sørensen.

– Może któryś z panów będzie tak uprzejmy i podrzuci mnie i Maxa z powrotem do miasteczka?

Czarny mercedes toczył się powoli po krętej drodze. Przy kierownicy siedział Sørensen, obok niego Karl Fischer. Daniel i Kowalski siedzieli na tylnym siedzeniu. Od Kowalskiego bił mocny zapach wody po goleniu, nieco ziołowy, z lekką nutą kwiatową, niemal kobiecy. Daniel zerknął na niego. Mężczyzna patrzył przed siebie z kamienną twarzą, z rękami na płaskiej teoczce, która – jak Daniel przypuszczał – zawierała torebeczki z kokainą.

– Czy to nie dziwne? – powiedział Karl Fischer podniecony.

Nie był przypięty pasem, co chwila odwracał się w stronę tylnego siedzenia.

– Jesteśmy tacy przewidywalni w naszych działaniach. Tyle czasu go szukaliśmy. Wszędzie! A pewnie nikt ani razu nie spojrział do góry!

Dziewczyna w recepcji uśmiechnęła się do Daniela.

– W czym mogę panu pomóc?

Była to ta sama dziewczyna w okularach w czarnych oprawkach, która była w recepcji w dniu zniknięcia Maxa.

– Poranny patrol poinformował mnie, że mój brat wczoraj wrócił. Podobno pytał o mnie w recepcji. Pani z nim rozmawiała?

– Nie. To była zmiana Sofie, ale na pewno zostało to odnotowane.

Daniel czekał w napięciu, kiedy kobieta zaczęła szukać czegoś za ladą recepcji.

– O właśnie. Jest.

Na jednej z tablic z ogłoszeniami była przypięta niewielka kartka. Dziewczyna poprawiła okulary i zaczęła głośno czytać.

– „Przyszedł brat Maxa. Nie może się z nim skontaktować. Prosi o kontakt przez recepcję”. Wiadomość nie jest podpisana, ale wygląda na to, że napisała ją Sofia. Zaczyna pracę o drugiej. Proszę wtedy przyjść.

Kiedy Daniel wyszedł z głównego budynku, zobaczył podjeżdżający pod drzwi szpitala elektryczny samochód. Zanim strażnicy zdążyli otworzyć drzwi, już zebrała się gromadka gapiów. Jeszcze chwilę temu park zdawał się wymarły, teraz wokół wozu stało już piętnaście osób, wpatrujących się w drzwi, które zaraz się otworzyły. Za nimi ukazały się nosze.

Daniel widywał już podobne sytuacje. Kiedy do szpitala przywożono kogoś rannego czy martwego, zaraz zbierali się gapie, ciągnący tu jak muchy, zwabione zapachem. I zawsze był ktoś, kto wiedział, co się stało, kim był ranny czy martwy, nawet jeśli – jak w tym przypadku – ciało było nakryte kocem.

Kiedy ich mijał, usłyszał, jak ludzie szepczą: „Mattias Block”. Obserwował zebranych mieszkańców, zastanawiając się, co czują, ale widział jedynie ich nieporuszone twarze. Po prostu stwierdzali fakt.

Daniel poszedł do stołówki, zjadł obiad i za pięć druga był już z powrotem w recepcji.

Sofie, drobna istota o wielkich oczach sarny, stała za ladą recepcji i coś przekładała. Kostium, który miała na sobie, był dla niej za duży, wyglądała w nim jak w szkolnym mundurku.

– Ty widziałaś się wczoraj z moim bratem, prawda? – spytał.

Dziewczyna spojrzała na niego i pokręciła głową przecząco.

– Na mojej zmianie nie było żadnych gości.

– Więc nie ty napisałaś tę kartkę? – powiedział Daniel, wskazując ręką na wiszącą za nią tablicę.

Dziewczyna zdjęła kartkę, zaczęła ją czytać.

– Nie – powiedziała poważnie. – Na mojej zmianie jej tu nie było. Ktoś musiał zostawić ją tu później.

– A kto miał zmianę po tobie?

– Mathilde.

– Mathilde? To właśnie z nią przed chwilą rozmawiałem. Ona jej nie napisała. Powiedziała, że pewnie ty to zrobiłaś – powiedział Daniel zdziwiony.

– Wczoraj tylko my dwie tu byłyśmy. Dziwne. Sprawdzę jeszcze w rejestrze.

Otworzyła książkę w zielonej oprawie, do której Daniel wpisał się, kiedy przybył do doliny. Miał wrażenie, że od tamtego czasu minęła wieczność.

– Przez ostatnie dwa tygodnie nie mieliśmy żadnych gości.

Dziewczyna zamknęła książkę, wzruszyła ramionami.

– Ktoś zrobił ci żart – rzuciła lekko.

Już miała zmiąć kartkę i wyrzucić, kiedy Daniel ją powstrzymał.

– Mogę ją wziąć?

Był przekonany, że przez komórkę słyszał głos Maxa. Lokalna sieć obejmowała swoim zasięgiem jedynie Rajską Dolinę. Z zewnątrz nie można było się tu dodzwonić. Max musiał więc być gdzieś blisko. I z jakiegoś niezrozumiałego dla niego powodu korzystał z komórki doktora Fischera.

Daniel przypomniał sobie jedyną noc świętojańską, którą bracia obchodzili wspólnie. Ojciec i Anna wynajęli na lato stary dom kapitana w okolicach Bohus i zaprosili tam matkę z Danielem. Pewnego dnia bawili się w chowanego w dzikim, zarośniętym ogrodzie. Max schował się tak, że nikt nie mógł go znaleźć. Szukano go wszędzie: w krzakach, w wychodku, w drewnutni i w ziemnej piwniczce, a potem na nabrzeżu, w szopach na łodzie i przy skałach na brzegu. Kiedy na sąsiedniej działce znaleziono zapadniętą studnię, wszyscy zaczęli się na serio niepokoić. Ktoś pobiegł do domu po drabinę i latarkę i znalazł tam Maxa. Siedział w swoim pokoju na piętrze i zjadał resztki tortu. W pewnym momencie po prostu znudził się zabawą i spokojnie wrócił do domu. Przez okno obserwował, jak wszyscy go szukają i bardzo go to bawiło.

Może i teraz siedział gdzieś w pobliżu i się śmiał?

Kiedy zapukał do drzwi Corinne, nikt mu nie otworzył. Nie odbierała też komórki. Na pewno nie było jej w gospodzie, bo o tej porze była jeszcze zamknięta.

Zaczął się niepokoić.

Chwilę potem znalazł ją w kościele. Do mszy było jeszcze daleko, była więc sama. Daniel zatrzymał się pod sklepieniem przy wejściu do kościoła i przyglądał się jej niezauważony.

Corinne stała przy skrzynce ze świeczkami niedaleko ołtarza. Promień słońca przedarł się przez namalowane na szkle cherubinki i zabarwił jej twarz na różowo. Włożyła świeczkę w piasek, zapaliła ją i przeżegnała się, jak zwykle robił to ojciec Dennis.

Stała chwilę i przyglądała się świeczce, po czym podeszła do niewielkiego obrazka, przedstawiającego Madonnę z Dzieciątkiem. Włożyła jeszcze jedną świeczkę w skrzynkę z piaskiem i zapaliła.

Daniel zaczął ostrożnie iść nawą kościoła. Natychmiast odwróciła się, ręka zastygła jej w znaku krzyża. Płomień świecy zakołysał się, zamigotał.

– Boże, ale mnie przestraszyłeś – powiedziała cicho, opuszczając rękę. – Dlaczego się skradasz?

– Przepraszam, nie chciałem ci przeszkadzać – odparł i zatrzymał się. – Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Mam iść? Może chcesz być sama?

– Nie, nie. Po prostu postanowiłam zajrzeć tu na chwilę przed pracą. Chodź.

Wyciągnęła do niego ręce, a on podszedł i ją pocałował. Jej policzki były wilgotne i czerwone, jakby płakała.

– A ty gdzie byłeś? Niepokoiłam się o ciebie – powiedziała. Wzięła jego twarz w dłonie i przyglądała mu się poważnie.

– Słyszałeś, że znaleziono Mattiasa Blocka?

– To ja go znalazłem.

– Ty? – zawołała zaskoczona.

Opowiedział jej o niezwykłych wydarzeniach poranka.

– Mogę zobaczyć tę kartkę? – poprosiła Corinne.

Wyjął ją z kieszeni, wygładził i podał jej.

– Rozpoznajesz pismo?

Podeszła bliżej do świeczki, płonącej przy obrazie Madonny.

– To nie jest czyjeś pismo – powiedziała zamyślona. – To są starannie wypisane słowa. Jak na laurce z życzeniami. Ktoś zadał sobie trochę trudu.

Spojrzała na zegarek.

– Muszę wracać i się przygotować – powiedziała, chowając kartkę do kieszeni. – Dzisiaj do gospody przychodzi Karl Fischer ze swoimi gośćmi. To ich ostatni dzień w Rajskiej Dolinie.

Nastroje dopisywały, kiedy Daniel wszedł do gospody i zajął miejsce przy swoim ulubionym stoliku w kącie.

Corinne śpiewała cieszącą się dużą popularnością piosenkę o krowach, potrząsając od czasu do czasu dzwoneczkiem. A potem drugą na dwa głosy, z akompaniującym jej mężczyzną w tyrolskim kapelusiku. Daniel nigdy wcześniej jej nie słyszał.

Goście, rozluźnieni i na lekkim rauszu, siedzieli przy dwóch zsuniętych z sobą stolikach niedaleko sceny. Wtórowali przy refrenie, wystukując rytm. Mieli za sobą intensywny tydzień. Od rana do wieczora dyskutowali o pojęciu zła i o ludzkim cierpieniu, poddając je naukowej analizie. Teraz, w towarzystwie Karla Fischera i pod bacznym okiem dyskretnych strażników, czuli się bezpieczni.

Muzyka ucichła, artyści zeszli ze sceny. Goście zaczęli się domagać bisu, Corinne uśmiechnęła się, ale pokręciła głową przecząco. Tyrolczyk zniknął gdzieś w kuchni, Corinne podeszła do stolika Daniela. Na czole miała kropelki potu. Z ulgą przyjęła kufel piwa, który podał jej mąż Hannelore.

– Niedobrze mi się robi, kiedy na nich patrzę – powiedziała, pokazując głową na siedzących przy stolikach naukowców. – Sprawdziłam tę kartkę – dodała po chwili. – Porównałam z innymi.

– Z jakimi? – spytał Daniel.

– Z najróżniejszymi. Notatkami personelu kliniki, różnymi innymi i nie znalazłam niczego, co byłoby podobne. Tak jak ci mówiłam, podejrzewam, że jej autor specjalnie podrobił pismo. Ale przy okazji znalazłam coś ciekawego.

Włożyła rękę do kieszeni fartucha i położyła dyskretnie złożoną kartkę A-4 na stole. Daniel rozwinął ją na kolanach. Tekst był napisany ręcznie.

– „Pastereczka” – zaczął czytać. – „Gdy słońce wstaje...”

– Druga strona – powiedziała Corinne.

Odwrócił kartkę.

– Co to takiego?

– Dziennik Maxa – powiedziała cicho. – Kopia pierwszej strony.

W przyćmionym świetle trudno było coś odczytać. Chwilami miał wrażenie, że ma przed sobą fragment karty choroby pacjenta.

– Skąd to masz? – spytał zdziwiony.

– Nie mam czasu teraz ci tłumaczyć. To notatki sporządzono, gdy przyjmowano tu Maxa. Dane osobowe, historia jego życia. Jedno jest bardzo ciekawe. Spójrz na datę urodzenia. I niżej: Sytuacja rodzinna. Max i jego brat Daniel mają tę samą datę urodzenia. Przyszli na świat tego samego dnia, tego samego miesiąca i roku. Bliźniaki.

Daniel podniósł głowę.

– Wszystko się zgadza, tylko dlaczego Gisela Obermann i Karl Fischer twierdzą, że Max nie ma brata bliźniaka? Nie potrafią czytać?

– Też mnie to zastanowiło – powiedziała Corinne. Pochyliła się nad stolikiem i dodała szeptem: – Sprawdziłam więc w komputerze dane Maxa, tak jak obecnie wyglądają.

Daniel patrzył na nią. Na czole nadal miała kropelki potu, obok niej stał nieruszony kufel z pieniącym się piwem.

– Masz dostęp do karty choroby innego mieszkańca?

Corinne dała mu znak, że ma mówić ciszej. Zerknęła przez ramię. Jeden z naukowców wstał i wygłaszał zaimprovizowaną mowę, skierowaną do Karla Fischera.

– Nie zajmuj się tym teraz – powiedziała Corinne. – Tak jak mówiłam, sprawdziłam, jak dzisiaj wygląda karta choroby Maxa. I porównałam z tą, którą sporządzono, kiedy tu przybył. Ta dzisiejsza jest oczywiście znacznie pełniejsza, ale dane osobowe są takie same. Z wyjątkiem jednego: daty urodzenia Maxa. Została zmieniona z 28 października 1975 roku na 2 lutego 1977 roku. Max został odmłodzony o dwa lata.

– Dlaczego ktoś miałby to robić?

– Też się nad tym zastanawiam.

– Dużo osób ma dostęp do tego rodzaju danych?

– Tylko personel. Lekarze, psychologowie i pozostali naukowcy. I niektóre pielęgniarki.

– I ty – dodał Daniel kwaśno.

Corinne udawała, że tego nie słyszy. Znów nachyliła się nad stołem, chwyciła jego dłoń i wyszeptała:

– Musisz stąd wyjechać. Rajska Dolina to niebezpieczne miejsce. Obawiam się, że dzieją się tu rzeczy, które nie powinny mieć miejsca. A personelowi wcale nie można ufać bardziej niż mieszkańcom.

– Muszą chcieć mnie wypuścić. Niezależnie od tego, w jaki sposób weszłaś w posiadanie tej starej karty, pokazuje ona wyraźnie, że cały czas mówię prawdę. Max i ja jesteśmy bliźniakami, ta karta uwiarygadnia moją historię.

Corinne rzuciła spojrzenie na gości, którzy właśnie zamawiali kolejną kolejkę piwa. Potem odwróciła się do Daniela, ścisnęła jego dłoń i powiedziała cicho:

– Mamy jeszcze silniejszy dowód. Dzisiaj w kościele zapaliłam dwie świece. Jedną za duszę Mattiasa Blocka, mojego przyjaciela, który tu w dolinie spotkał śmierć. I drugą za nowe życie. Bo po raz pierwszy w Rajskiej Dolinie powstało nowe życie.

– O czym ty mówisz? – spytał Daniel zdumiony.

– Jestem w ciąży – wyszeptała.

Daniel poczuł, że kręci mu się w głowie.

– To niemożliwe. Przecież ty jesteś...

Nie potrafił zmusić się, by wypowiedzieć słowo „wysterylizowana”. Brzmiało tak okrutnie i ostatecznie.

Corinne pokręciła powoli głową, pod stołem ścisnęła mocno jego dłoń.

– Jestem równie płodna jak ty. Będziemy mieli dziecko, Danielu.

W tym momencie rozległy się dźwięki akordeonu. Mężczyzna w tyrolskim kapeluszu stał już na scenie. Corinne wyjęła szminkę, szybko przeciągnęła nią usta, poprawiła gorset. Goście bili brawo, a ona podeszła do sceny, machając lekko rękami, i zaczęła śpiewać:

– *Im grünen Wald dort wo die Drossel singt...*

Goście byli zachwyceni. Mężczyzna w czapce baseballowej uniósł swój ogromny kufel, a Karl Fischer wystukiwał takt, uderzając o blat stolika.

Daniel zapłacił i wyszedł z gospody. Małe okienka w ołowianych szprosach były szeroko otwarte, piosenka i muzyka towarzyszyły mu do furtki, a nawet dalej.

Przypomniawszy sobie, co Samantha opowiadała mu o Corinne. Naprawdę była w ciąży czy to sobie tylko wyobraziła? Czy może był to przejaw jej szaleństwa?

Jeśli jednak była to prawda, to Corinne nie była mieszkanką doliny. A w takim razie kim?

Część IV

Z zewnątrz widać było jedynie wysoki, gęsty iglasty żywopłot. Kiedy rozsunęło się nieco gałęzie, można było zobaczyć, że ukrywa metalowe ogrodzenie. W żywopłocie były dwa wejścia: brama od strony kliniki, duża i szeroka na tyle, żeby przejechał przez nią samochód, i mniejsza furтка. Któregoś ranka Daniel widział, jak wychodzi przez nią grupa lekarzy i udaje się do budynku szpitala. Wtedy domyślił się, że na wygrodzonym terenie znajdują się mieszkania lekarzy.

Obok furtki był dzwonek, wcisnął guzik. W głośniku rozległ się młody męski głos. Daniel nachylił się do domofonu.

– Nazywam się Daniel Brant. Chciałbym spotkać się z doktor Obermann. To pilne.

– Niestety. – Usłyszał przez głośnik. – Lekarze tu nie przyjmują. Proszę zgłosić się do gabinetu pani doktor.

– Nie ma jej w klinice. Podobno jest u siebie. Proszę przekazać jej, że tu jestem i szukam z nią kontaktu – powiedział Daniel stanowczo i poważnie.

– Chwileczkę.

W głośniku zapanowała cisza, z daleka dochodził hałas buldożerów, szykujących teren pod budowę nowego bloku mieszkalnego na wzgórzu. Po kilku minutach coś zabrzęczało i furтка zaczęła się otwierać, niezmiernie powoli.

Wszedł i znalazł się w innym świecie.

Na rozległym trawniku było kilkanaście parterowych domków, w środku znajdowała się fontanna, gdzieniegdzie kwitły jeszcze pojedyncze róże, ale pożółkłe liście na drzewach zwiastowały już zbliżającą się jesień. Gdzieś na obrzeżu był murowany grill.

Miejsce tchnęło spokojem. Danielowi przyszły na myśl otoczone murami pałacowe ogrody Orientu, położone w ruchliwych dzielnicach miasta, ale pilnie strzeżone przed niepożądanymi wścibskimi spojrzeniami.

– Zaraz przyjdzie – poinformował go dozorca, młody chłopak, który wychylił się przez okno w budce tuż przy bramie.

Daniel czekał. Fontanna pluskała przyjemnie, świerkowy żywopłot tłumiał hałas maszyn, zamieniając go w odległy pomruk.

W końcu drzwi jednego z domków się otworzyły. Gisela wyszła i ruszyła kamienną ścieżką w jego stronę. Była bez makijażu, ubrana w spodnie dresowe i T-

shirt, włosy wyglądały na nieumyte.

– Witam, panie doktorze – powiedziała, wyciągając do niego rękę.

– Wszystko w porządku? – spytał portier.

– Oczywiście.

Gisela uśmiechnęła się szeroko do Daniela.

– Przeczytałam pański raport z dużym zainteresowaniem, doktorze. Proszę za mną.

Portier zniknął w budce, a Gisela zaprosiła Daniela do siebie.

Ledwie przekroczyli próg domku, uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Chyba oszalałeś, żeby tu przychodzić! – warknęła zła.

Weszli do salonu. Był ładnie umeblowany, ale wszędzie panował bałagan i cuchnęło dymem. Dookoła leżały książki, stery papierów, puste butelki, niepozmywane naczynia. Żaluzje były opuszczone, obok jednego z foteli stała lampa do czytania, rzucając nieco światła w mroku.

Gisela szybko zabrała rzeczy z jednego z foteli i pokazała Danielowi, żeby usiadł. Kiedy podeszła bliżej, poczuł od niej zapach alkoholu.

– Portier jest nowy i nie zna jeszcze mieszkańców doliny. Powiedziałam mu, że jesteś jednym z naszych gości. Gdyby na jego miejscu był któryś ze stałych portierów, na pewno by cię nie wpuścił. Co ty tu robisz? Nie jestem już twoją lekarką, prawdę mówiąc, zabroniono mi wszelkich kontaktów z tobą.

– Wiem, ale muszę z tobą porozmawiać. Byłem u ciebie w gabinecie, powiedziano mi, że jesteś chora.

Gisela wydała dziwny dźwięk, coś między parsknięciem a śmiechem.

– Karl Fischer uznał, że mam iść na zwolnienie. Traktuje mnie jak nieznówważoną psychicznie. Twierdzi, że jestem przepracowana. Podobno potrzebuję odpoczynku. Powinnam stąd wyjechać, ale nie mam dokąd. Nie zachowałam mieszkania w Berlinie. Moje dawne życie nie istnieje. Mam tylko Rajską Dolinę.

Wzięła do ręki kieliszek, stojący między stertami papierów, wypila resztkę wina i sięgnęła po stojącą na regale z książkami na wpeł opróżnioną butelkę. Szybkimi, nieco rwanymi ruchami napełniła kieliszek, nie przerywając swojej opowieści.

– O tej porze jesteśmy tu sami – zwróciła się do Daniela. – Oczywiście nie licząc portiera. Wszyscy lekarze są w klinice, ale niektórzy wracają dość wcześnie, więc nie możesz tu długo zostać.

Lekko niezbornymi ruchami zaczęła zamykać butelkę korkiem, nagle zastygła i spojrzała na Daniela.

– Może też chcesz się napić? Mogę otworzyć nową butelkę. To bardzo przyjemne

wino mozelskie.

– Nie, dziękuję. Przyszedłem tu, żeby usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie. Kim naprawdę jest Corinne? Bo przecież nie zwykłą mieszkanką, prawda?

Jakiś szelest w głębi pokoju sprawił, że Daniel odwrócił głowę. Na stercie ubrań na krześle obok okna leżał duży biały kot perski. Wtopił się w jasne ubrania tak, że Daniel wcześniej go nie zauważył. Teraz wygiął grzbiet, przeciągnął się, zeskoczył z krzesła i bezszelestnie sunął po podłodze. Gisela schyliła się, wyciągnęła rękę i nie patrząc na kota, chwyciła go i położyła sobie na kolanach. Daniel nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział go na terenie kliniki czy w miasteczku. Domyślił się, że zwierzę pewnie nigdy nie wychodziło poza teren osiedla.

Gisela pogładziła kota, odwróciła się do Daniela i powiedziała:

– Corinne jest twoim świerszczem.

Daniel zastanawiał się, czy dobrze ją usłyszał.

– Co takiego?

– Jest twoim świerszczem. Właściwie nie powinnam ci tego mówić. Ale skoro nie zajmuję się już twoim przypadkiem, to chyba mogę się tym nie przejmować. Nie mam żadnych zobowiązań ani żadnych praw.

Roześmiała się lekko schrypniętym głosem.

– Moim świerszczem? – powtórzył Daniel zdziwiony. – Co to znaczy?

– Znasz *Przygody Pinokia* Carla Collodiego? Historię drewnianego pajacyka, który ożywa i staje się człowiekiem? Pinokio porusza się, mówi, jak każdy normalny chłopiec. Brakuje mu tylko jednego: sumienia.

– Znam film Disneya – powiedział Daniel.

Widząc jej spojrzenie, zrozumiał, że to się nie liczy.

– Zamiast sumienia Pinokio dostał Świerszcza, który siedział mu na ramieniu i podpowiadał, co jest dobre, a co złe. W końcu po wielu doświadczeniach i podszeptach Pinokio zyskał własne sumienie i stał się prawdziwym człowiekiem. Stosując fachową terminologię, można powiedzieć, że podpowiedzi Świerszcza zostały mu zaimplementowane. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Szczerze mówiąc, nie.

Gisela pochyliła się jeszcze bardziej i wyszeptała:

– Corinne jest twoim zastępczym sumieniem.

Daniel roześmiał się.

– Nigdy nie prawiała mi żadnych morałów.

– Oczywiście, że nie. To byłoby nieskuteczne. Tu wymagana jest większa subtelność. Jesteś w grupie ośmiu osób, uczestniczących w tym eksperymencie. Każda ma własnego świerszcza. Wszczepiono ci do mózgu specjalny chip, który

umożliwia świerszczowi wpływanie na twoje zachowania.

– Warunkowanie?

Daniel starał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie, obojętnie, ale był oburzony. Chip w mózgu? To chyba niemożliwe. Kiedy miałyby się to stać? Nie wierzył Giseli. Sama mówiła, że jest przepracowana. Poza tym wypła nieco za dużo wina.

– Można to tak określić. Ale nie chodzi o żadne elektrowstrząsy czy tego rodzaju brutalne metody. Chip to mikroskopijne urządzenie wysyłające fale elektromagnetyczne o niskiej częstotliwości. Nie musisz się niepokoić. Aparaty komórkowe są bardziej niebezpieczne, tak przynajmniej twierdzi doktor Pierce. Jeśli osoba uczestnicząca w eksperymencie usiłuje kimś manipulować czy wykazuje brak empatii, świerszcz może spowodować, że osoba ta zaczyna odczuwać pewien dyskomfort. Nie ból, tylko właśnie dyskomfort i może lekki strach. Jeśli osoba zachowuje się dobrze, wykazuje chęć pomocy innym, nie myśli wyłącznie o sobie, ale okazuje współczucie, świerszcz może sprawić, że osoba ta zaczyna odczuwać przyjemność.

– Skąd wiadomo, że dobre zachowanie nie jest jedynie grą? Może ta osoba po prostu udaje? – spytał Daniel sceptycznie.

– Takie rzeczy są do wychwycenia. Świerszcze przechodzą specjalne szkolenie.

– Czyli manipulują pacjentami?

Daniel nadal nie wierzył Giseli.

– Tak. Można powiedzieć, że mają swoje sposoby. Dość proste, zresztą. Prawdę mówiąc, podobne stosujemy wobec siebie na co dzień. Większość rodziców byłaby pewnie oburzona, gdy powiedzieć im, że wychowując dzieci, często posuwają się do manipulacji. Kiedy dziecko robi coś nie tak jak powinno, rodzic marszczy brew. Kiedy dziecko jest posłuszne, uśmiecha się. Robi to oczywiście podświadomie. Podobne zachowania można zaobserwować między szefem a jego podwładnymi, między nauczycielem a uczniem, między małżonkami czy w grupie znajomych. Wszyscy wysyłamy takie sygnały: grymas ust, wzruszenie ramion, zmiana głosu, wszystko coś znaczy. Tak to funkcjonuje. A wiesz dlaczego?

– Nie.

– W mózgu człowieka są grupy komórek nerwowych zwane neuronami lustrzanymi, których głównym zadaniem jest rozpoznawać intencje i uczucia innych ludzi. Właśnie owo lustrzane odbicie sprawia, że stajemy się empatyczni i społecznie dojrzały. W psychoterapii świadomie posługujemy się tym zjawiskiem. Robiliśmy to zresztą jeszcze zanim poznaliśmy biologiczny mechanizm, które je wywołuje.

– Ale manipulacja za pomocą wszczepionego chipa to co innego niż wychowanie

czy psychoterapia – wtrącił Daniel. – To nadużycie.

Gisela pokiwała głową zamyślona, przewróciła kota na plecy, tak jak przewraca się dziecko, i zaczęła gładzić go po brzuchu.

– To prawda. To nie jest to samo – powiedziała, lekko sepleniąc. – Mój opis dotyczył normalnych ludzi, posiadających zdrowy system neuronów. Wielu mieszkańców Rajskiej Doliny nie ma do końca wykształconych neuronów lustrzanych. Nie wiemy, jakie są tego przyczyny. Ale różnica jest wyraźna. Pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy pierwszy raz opowiadałam ci o dolinie? Że oczekiwać empatii od psychopaty to tak, jakby oczekiwać, że osoba sparaliżowana nagle wstanie i zacznie chodzić. To jest po prostu niemożliwe. U psychopaty neurony lustrzane są słabo wykształcone, podobnie jak mięśnie nóg u osoby sparaliżowanej.

– Pamiętam, że rzeczywiście coś takiego mówiłaś – przytaknął Daniel. – Przepraszam, mogę otworzyć okno? – zmienił nagle temat. – Trochę tu duszno.

Odsunął leżącą na parapecie stertę papierów i uchylił okno.

Przestrzeń między domami była pusta, tylko portier stał oparty o ścianę swojej budki i palił papierosa. Obok murowanego grilla spacerowało kilka wróbli, dziobały okruchy.

Daniel zaczerpnął świeżego jesiennego powietrza, wrócił na fotel i zaczął ostrożnie:

– Wspomniałaś coś o chipie...

Gisela Obermann skinęła głową.

– Ponieważ na psychopatę nie działa ani zmarszczenie brwi, ani psychoterapia, musimy posłużyć się innymi sposobami – wyjaśniła.

Sięgnęła po kieliszek, kot przesunął się na jej kolanach, pogrążony w głębokim śnie zwisał bezwładnie z jej ud, niemal jak kawałek materiału. Przesunęła go na miejsce.

– Musimy dotrzeć bezpośrednio do źródła – powiedziała, wskazując na głowę. – Umieszczamy w mózgu chip, który odbiera sygnały nadawane przez świerszcza, impulsy uruchamiające system nagród i kar. Mamy nadzieję, że taka stymulacja obudzi do życia neurony lustrzane. Do tej pory to nam się jeszcze nie udało. Na razie jest to pewnego rodzaju subtelna tresura, że tak to określe.

Gisela umilkła, opróżniła kieliszek.

– O tym mieszkańcy oczywiście nie powinni wiedzieć. Doktor Fischer wyrzuciłby mnie stąd, gdyby się dowiedział, że wtajemniczyłam cię w szczegóły projektu „Pinokio”. Niestety obawiam się, że pewnie i tak to zrobi.

– Więc Corinne pracuje dla was? Jej zadaniem jest manipulowanie

mieszkańcami?

– Jej zadaniem jest manipulowanie tobą! – powiedziała Gisela, wskazując na niego palcem. – Wyłącznie tobą! Każdy świerszcz ma przydzielonego swojego mieszkańca.

– Kim są świerszcze?

Gisela pokręciła głową i machnęła ręką.

– Już i tak za dużo ci powiedziałam. Na pewno nie chcesz, żebym otworzyła kolejną butelkę? Jest bardzo orzeźwiające. Bez niego bym tu nie przeżyła.

Daniel pokręcił głową.

– Nadal nie do końca rozumiem, kim jest świerszcz. Corinne mieszka tu od lat.

– Dobrze wiesz, jak długo tu jest – powiedziała Gisela poirytowana.

Poprawiła się na fotelu, ciało śpiącego na jej kolanach kota zafalowało, jakby zwierzę było całkowicie nieprzytomne.

– Przestań udawać, że nie jesteś Maxem. Pomysł z dysocjacyjną osobowością był, jak rozumiem, żartem. A ja, kretynka, się na to nabrałam.

– To był twój pomysł – przypomniał jej Daniel spokojnie. – Mam rozumieć, że Corinne jest psychologiem? Lekarzem? Dlatego ma wgląd w moją historię choroby?

Gisela roześmiała się.

– Corinne jest aktorką. Nie wiedziałeś o tym? Świerszcze to osoby dokładnie wyselekcjonowane, a potem szkolone tu, w klinice. Muszą posiadać określone cechy. Muszą mieć zdolność empatii, potrafić obserwować, posiadać kompetencje społeczne. A jednocześnie muszą też być silne. Corinne jest tu tylko ze względu na ciebie. Ma dostęp do wszelkiej informacji na twój temat. Mieszka i pracuje jak każdy inny mieszkaniec, tyle że jej zadaniem jest się z tobą zaprzyjaźnić.

Daniel przełknął ślinę.

– A miłość? Seks? To też należy do jej zadań? – spytał.

– Absolutnie nie. Ma się do ciebie zbliżyć, ale kontakty intymne nie wchodzi w grę. Najmniejsza próba zbliżenia zostaje ukarana, jej podopieczny natychmiast zaczyna odczuwać dyskomfort.

– A jeśli to nie skutkuje?

– Wtedy wzywa pomoc. Świerszcz ma bezpośrednie połączenie z centralą.

Daniel zamyślił się.

Z zewnątrz doszedł ich dźwięk otwieranej bramy, po chwili dołączyły odgłosy rozmowy. Najwyraźniej jeden z lekarzy wrócił już do domu.

Do Giseli nic nie docierało. Leżała odchyłona w fotelu, jej ciało wydawało się równie bezwładne jak ciało kota.

– Jeśli chodzi o ten chip, kiedy mi go wszczepiliście? – spytał Daniel.

– Po tym, jak wszedłeś do strefy II – odpowiedziała Gisela spokojnie.

Daniel próbował opanować panikę. Po porażeniu prądem był przez jakiś czas nieprzytomny. Czyżby potem został uśpiony? Pamiętał, że po przebudzeniu bardzo bolała go głowa. Ale nie zauważył, żeby miał na czaszce jakieś blizny pooperacyjne. Z drugiej strony chip był mały, ślady mogły być niemal niewidoczne. Dotknął palcami głowy. Wyobraził sobie chip, niewielki błyszczący kawałek metalu, ostry jak żyłotka, niemal czuł, jak wrzyna mu się w mózg. Przełknął ślinę.

– Czy to znaczy, że od dwóch miesięcy chodzę z chipem w mózgu?

– Nie, nie. Nie od dwóch miesięcy. Masz go już... – Gisela zmrużyła jedno oko, zamyśliła się. – Już chyba rok. Tak, nawet nieco więcej. Mieszkańcy na ogół bronią się przed takimi zabiegami, więc skorzystaliśmy z okazji, kiedy i tak byłeś w szpitalu. Byłeś wtedy w takim stanie, że nie bardzo wiedziałeś, co się z tobą dzieje.

Daniel wybuchnął śmiechem. Poczuł tak wielką ulgę, że nie mógł się powstrzymać. Gisela też zaczęła się śmiać. Była pijana.

Daniel otarł łzy, które leciały mu policzkach, i wstał.

– Bardzo dziękuję za informacje. Nie będę zajmował ci więcej czasu. Miło mi, że mogłem odwiedzić cię w waszej oazie spokoju.

– Oaza spokoju? Tu?

Gisela patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Chyba żartujesz? To siedlisko węży. Najchętniej pożarlibyśmy się nawzajem. Jeśli tylko miałabym dokąd pojechać, już by mnie tu nie było. Niestety spaliłam za sobą mosty. Wszystko postawiłam na tę przeklętą dolinę.

Pociągnęła nosem, podniosła bezwładnego kota za przednie łapy i otarła oczy jego łebkiem, niczym dużą białą chusteczką.

Idąc przez trawnik, Daniel odwrócił głowę od dwóch lekarzy, którzy siedzieli na ławkach w ostatnich promieniach jesiennego słońca. Gdyby spostrzegli mieszkańca na swoim terenie, mogłoby się to źle dla niego skończyć. Mężczyźni byli jednak tak zajęci rozmową, że nie zwrócili na niego uwagi. Kiedy przechodził obok rabatki z przekwitającymi różami, słyszał ich wzburzone głosy.

– Do zobaczenia, doktorze Brant – pożegnał go portier, uśmiechając się. Brama zaczęła się powoli otwierać.

Ile prawdy było w opowieści Giseli?

Przypomniawszy sobie opowieść fryzjera o tym, że Mattias Block zawsze miał przy sobie pewien „gadżet”. Czy właśnie coś takiego Gisela miała na myśli?

Próbował przypomnieć sobie różne sytuacje, kiedy spotykał się z Corinne, ale nie kojarzył, żeby kiedykolwiek miała przy sobie jakikolwiek „gadżet”.

Bransoletka! Bransoletka z płaskimi, kolorowymi kamykami, której nigdy nie

zdejmowała. Miała ją na sobie, kiedy ćwiczyła, kiedy trenowała boks, kiedy się kochali. Dotykała jej, gdy za bardzo się do niej zbliżył. „Przypomina mi o tym, kim jestem”, powiedziała mu kiedyś.

Biorąc pod uwagę, że Karl Fischer był szefem kliniki i ordynatorem szpitala, jego gabinet prezentował się wyjątkowo skromnie. Leżał w samym końcu korytarza i był znacznie mniejszy niż gabinet Giseli Obermann. Ponieważ okna nie wychodziły na dolinę, tylko na dość przygnębiające Żwirowisko, architekt nie zaplanował tu szyb panoramicznych. Pokój urządzony był ascetycznie: biurko, w połowie pusty regał na książki, kilka twardych foteli. Żadnych firanek. Puste ściany.

– Cieszę się, że zgodził się pan mnie przyjąć – powiedział Daniel. – Przepraszam, że zjawiam się tak późno.

Próbował skontaktować się z doktorem kilkakrotnie w ciągu dnia, ale dopiero teraz, po ósmej wieczorem, otrzymał wiadomość, że doktor może go przyjąć.

Fischer wysunął jedno z drewnianych krzeseł i postawił je naprzeciwko biurka.

– Miło cię widzieć, mój drogi. Siadaj, proszę. Co cię tu sprowadza?

– Po pierwsze: to.

Daniel położył kartkę papieru na biurku lekarza. Karl Fischer poprawił okulary, zsunął je z czoła na koniuszek nosa i szybko przebiegł wzrokiem leżący przed nim dokument.

– Twoja karta choroby – stwierdził.

– Pierwsza strona wpisu Maxa, sporządzona zaraz po jego przybyciu do Rajskiej Doliny – sprecyzował Daniel. Był podniecony, brakowało mu tchu. – Widzi pan dane osobowe na samej górze strony? Data urodzenia? Jeśli to nie problem, poproszę, żeby odczytał pan ją na głos.

Doktor rzucił mu znad okularów zdziwione spojrzenie.

– Dwudziesty ósmy października 1975 roku – odczytał na głos.

– Dziękuję, i jeszcze tutaj: sytuacja rodzinna, data urodzin brata.

– To jakaś gra towarzyska?

– Proszę to odczytać, doktorze.

– Dwudziesty ósmy października 1975 roku.

– Właśnie. Max i jego brat przyszli na świat tego samego dnia. A więc są bliźniakami. A ponieważ to ja jestem jego bratem, mogę potwierdzić, że wpis jest zgodny z prawdą.

– Ale...

– Ale pan posiada inne informacje, prawda? Bo w pewnym momencie ktoś zmienił w karcie Maxa jego datę urodzenia.

Doktor Fischer spojrział na kartkę z nowym zainteresowaniem.

– Pozostałe dane się zgadzają – powiedział Daniel. – Jedynie data urodzenia została zmieniona.

– Skąd pan to ma?

– Tego niestety nie mogę powiedzieć.

Daniel sięgnął ręką przez biurko, wziął kartkę, a właściwie wyrwał ją Fischerowi z rąk. Złożył ją i schował do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Max i ja jesteśmy bliźniakami.

Doktor zdjął okulary i zaczął je przecierać rękawem koszuli. Jakby nagle rozmowa go znudziła. Daniel jednak mówił dalej.

– To po pierwsze. Druga rzecz, jaką chcę panu przekazać, to to, że zostanę ojcem.

– Naprawdę? – Doktor uniósł brwi, ale nie przerwał pucowania okularów. – Kim jest szczęśliwa mamusia?

– Wkrótce się pan dowie. Nie pogratuluje mi pan? To radosne wydarzenie.

– Wręcz cud – skwitował sucho doktor Fischer.

– To prawda. Narodziny dziecka zawsze są cudem.

Doktor pokiwał poważnie głową.

– Jesteś wysterylizowany, co czyni to zdarzenie jeszcze bardziej wyjątkowym. Nawet jeśli chirurg miał zły dzień i mimo operacji pozostałeś płodny, co zdarza się raz na tysiąc przypadków, to raczej mało prawdopodobne, że popełnił podobny błąd w przypadku jeszcze jednego mieszkańca. A nawet gdyby... – Urwał, spojrział na okulary, chuchnął na nie i znów zaczął je przecierać. – A nawet gdyby, to prawdopodobieństwo, że akurat wy dwoje się zejdziecie, jest minimalne. Dlatego wolę uznać to za cud.

Fischer włożył okulary na nos, odwrócił się do komputera i zaczął uderzać w klawisze. Na ekranie pojawił się tekst.

– O, tutaj jest wszystko – zawołał zadowolony, wskazując paznokciem na uzyskaną informację. – Max Brant. Wysterylizowany.

– Co właśnie dowodzi, że nie jestem Maxem – powiedział Daniel spokojnie. – Jeśli okaże się to konieczne, matka dziecka jest gotowa poddać się badaniom na ustalenie ojcostwa. To drugi dowód mojej wizyty, a teraz trzeci. Po tym jak Max wszedł do strefy II, wszczepiono mu do mózgu chip. W moim mózgu nie ma żadnego chipa, można to łatwo sprawdzić za pomocą kamery magnetycznej. Nie zauważyliście tego przy okazji rezonansu magnetycznego?

Karl Fischer wyglądał na autentycznie zdziwionego.

– Nie tego wówczas szukaliśmy. Z kim o tym wszystkim rozmawiałeś?

– To nie ma znaczenia – odpowiedział Daniel zadowolony, że w końcu udało mu się zasiać ziarnko niepokoju. – Chcę, żebyście ponownie przebadali mój mózg. Jeśli nie znajdziecie w nim chipa, będzie to oznaczać, że zamknęliście tu nie tę osobę, którą trzeba, i będziecie musieli mnie wypuścić.

Doktor Fischer zaczerpnął głęboko powietrza. Odsunął okulary na czoło, przetarł oczy i skrzywił się.

– Rozmawiałeś z doktor Obermann, tak? Opowiedziała ci o projekcie „Pinokio”? No, cóż. Właściwie to bez znaczenia. Moim zdaniem to w ogóle kiepski pomysł, ale Rajska Dolina ma ambicje działać niekonwencjonalnymi metodami. Ten projekt to ukochane dziecko doktora Pierce’a. Długo o niego walczył, aż w końcu dałem mu wolną rękę. Wszczepiono ci chip, to prawda. Mam zdjęcia z ostatniego rezonansu, nie ma potrzeby go powtarzać. Proponuję zjechać na dół i przyjrzeć się im, żeby raz na zawsze załatwić tę sprawę, dobrze?

– **Jeśli nie znajdziecie chipa** w moim mózgu, czy wtedy mi uwierzycie? – spytał Daniel, kiedy czekali na windę.

Doktor Fischer posłał mu urażone spojrzenie.

– Ja nie zajmuję się wiarą, tylko nauką. Jeśli nie masz wszczepionego chipa, to znaczy, że nie jesteś osobą, którą operowaliśmy. To oczywiste.

Weszli do windy. Doktor Fischer wcisnął guzik, kabina ruszyła. Sunęli w dół przezroczyстым szklanym szachtem, mijali kolejne piętra, w dole widać było kamienną posadzkę w holu. Daniel zauważył portiera, który stał oparty o jeden z filarów.

Jednak ku zdziwieniu Daniela winda, zamiast wyhamować, minęła hol i dalej zjeżdżała w dół. Ale już nie szklanym szachtem, tylko zamkniętym, ciemnym. Kabinę rozświetlała jedynie słaba lampka, której nie zauważył, dopóki dookoła było jasno.

Coś było nie tak. Pomieszczenie, w którym poddano go badaniu rezonansem magnetycznym, znajdowało się, o ile dobrze pamiętał, na parterze. Tam powinni byli wysiąść, a potem przejść kawałek korytarzem w głąb budynku.

Spojrzał zdziwiony na doktora Fischera. Zanim jednak zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie, winda się zatrzymała.

Doktor otworzył drzwi i przytrzymał je.

Świeżo wypastowane linoleum lśniło w świetle neonówek.

– Musimy przejść kawałek – powiedział doktor i ruszył różnym krokiem przez pozbawiony okien korytarz, który po chwili rozdzielił się na dwa inne, mniejsze korytarze.

– Dokąd idziemy? – spytał Daniel zdziwiony.

– Do mojego gabinetu.

– Przed chwilą byliśmy w pańskim gabinecie.

Doktor nagle przyspieszył kroku, Daniel musiał niemal biec, żeby dotrzymać mu kroku. Na błyszczącym linoleum falowały ich cienie, niczym lekko zamazane, niewyraźne duchy.

– Mam jeszcze drugi gabinet. Pójdziemy na skróty. Jesteśmy teraz pod parkiem. Jeśli skręcilibyśmy w prawo – powiedział doktor, nie zatrzymując się – trafilibyśmy do biblioteki. System podziemnych korytarzy pozwala dotrzeć do wszystkich budynków kliniki. O ile oczywiście zna się właściwe kody. Zimą jest to bardzo praktyczne. Ale oczywiście chodzi przede wszystkim o bezpieczeństwo.

To by tłumaczyło, dlaczego lekarze tak rzadko pojawiali się na zewnątrz zabudowań, pomyślał Daniel.

Szli dalej korytarzem, który od czasu do czasu dzielił się. Gdzieś tam pojawiały się też schody, do niektórych pomieszczeń prowadziły stalowe drzwi oznaczone literami i cyframi. Daniel domyślał się, że niektóre korytarze prowadziły też do mieszkań personelu. Tylko raz, pewnego wyjątkowo słonecznego dnia, widział grupę lekarzy idących do pracy przez park. Najwyraźniej zwykle docierali tu inną drogą.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił nagle doktor Fischer i zaczął wstukiwac kod do zamka umieszczonego obok stalowych drzwi.

Wewnątrz znajdowało się niewielkie pomieszczenie, a w nim kolejne drzwi, które doktor otworzył już zwykłym kluczem.

– Może filiżankę herbaty? – zaproponował.

W kilku miejscach rozbłysły jednocześnie niewielkie lampki. Znajdowali się w sporym pomieszczeniu, gdzie podłogi wyłożone były orientalnymi dywanami, na ścianach wisiały półki na książki i obrazy, w rogu pokoju stało łóżko, nakryte ciemnoczerwoną narzutą. Wszędzie panował porządek, oświetlenie było

przyjemne, można było zapomnieć, że pokój nie miał okien i znajdował się głęboko pod ziemią. Daniel zauważył intarsjowany sekretarzyk, zwrócił uwagę na porządnie zasłane łóżko, przerzucony przez oparcie krzesła wisiał sweter doktora ze skórzanymi łatami na łokciach. Daniel nie miał wątpliwości, że to było prawdziwe mieszkanie Karla Fischera.

A jednocześnie jego gabinet do pracy.

W pokoju stało duże biurko, na nim komputer, obok półka z segregatorami i czasopismami. Daniel zrozumiał, dlaczego gabinet doktora na górze był tak zimny i bezosobowy. Najwyraźniej doktor używał go jedynie do rzadkich spotkań z pacjentami. Sam zaś pracował przede wszystkim w tym podziemnym pokoju.

Doktor podszedł do biurka i włączył komputer. Następnie udał się do niewielkiej kuchni. Daniel słyszał, jak odkręcił kran.

– Mam indyjską herbatę, która naprawdę jest godna polecenia. Zawsze wypijam kilka filiżanek, kiedy chcę się wyciszyć. Podać ci z mlekiem?

– Nie, dziękuję.

Woda w czajniku szumiała, doktor Fischer sięgnął po jakąś puszkę i filiżanki, gwizdał zadowolony. Wyraźnie czuł się tu jak w domu.

Daniel stał na środku pokoju, powiódł wzrokiem po grzbietach książek. Fachowa literatura głównie z zakresu psychiatrii i neurologii. Na ścianach wisiały ryciny przedstawiające stare budowle i kilka oprawionych w ramki zdjęć. Zwróciły jego uwagę, więc podszedł bliżej.

Jedno przedstawiało zespół naukowców Rajskiej Doliny. O ile rzeczywiście stanowili zespół. Ludzie na zdjęciu wyglądali na zdecydowanych indywidualistów. Stali obok siebie, doktor Fischer w środku, przed budynkiem kliniki, uśmiechnięci, pewni siebie. Gisela Obermann wyglądała świeżo i radośnie.

Drugie zdjęcie też było zdjęciem grupowym. Zostało zrobione wewnątrz kliniki. Przedstawiało sześciu mężczyzn i dwie kobiety, większość była młoda, byli ustawieni jak drużyna piłkarska. Nikt się nie uśmiechał, wszyscy byli skupieni, świadomi swoich celów. Z wyjątkiem jednego młodego jasnowłosego mężczyzny. Nie patrzył w kamerę, tylko na jedną z kobiet. W jego twarzy była pewna łagodność i czułość. Daniel nigdy wcześniej go nie widział, natomiast rozpoznał kobietę. To była Corinne. Rozpoznał też kilka innych twarzy, widywał je w miasteczku, w gospodzie, w stołówce. Nieco z boku, jak nauczyciel czy trener, stał doktor Pierce.

– O, proszę – powiedział doktor Fischer, który wyszedł z kuchni, niosąc dwie filiżanki z dymiącym naparem.

Jedną podał Danielowi.

– Dodałem odrobinę mleka. Dosłownie kilka kropel, inaczej byłaby gorzka –

powiedział. Wskazał głową na zdjęcie i dodał: – Doktor Pierce i jego świerszcze.

– Kto to jest? – spytał Daniel, wskazując palcem na blondyna.

Młody mężczyzna stał wpatrzony w Corinne. Jakby nie mógł oderwać od niej oczu. A może po prostu odwrócił się, żeby coś jej powiedzieć, i akurat w tym momencie fotograf zrobił zdjęcie.

– To Mattias Block. Przystojny, prawda?

Daniel przyglądał się łagodnej twarzy młodego mężczyzny. Nagle przypomniał sobie wiadomość w komórce Corinne: „Jestem szczęśliwy zawsze, kiedy cię widzę. Dbaj o siebie. M”..

– Biedacy nie mieli pojęcia, co ich czeka – powiedział doktor Fischer i się roześmiał. – Trzy miesiące intensywnych ćwiczeń, fizycznych i psychicznych na czwartym piętrze. Bez wychodzenia na zewnątrz. Następnie wręczono im ich narzędzia i zostali umieszczeni w dolinie. Jako nowi mieszkańcy. Sami musieli nawiązać kontakt ze swoimi podopiecznymi. Odważni, prawda?

– Co to za ludzie? – dopytywał się Daniel.

– Przeróżni.

Doktor Fischer zaczął wskazywać palcem na kolejne osoby.

– Były szpieg. Geniusz reklamowy. Oszust matrymonialny. Hipnotyzer. Behawiorysta specjalizujący się w zwierzętach. I aktorka. Czym zajmowali się ci dwaj ostatni, nie pamiętam.

– Co robi behawiorysta zwierzęcy?

– Między innymi komunikuje się ze zwierzętami. Podobno posiadał taką umiejętność. Rozmawiał z psami i kotami o ich problemach. Doktor Pierce uważał, że jego wiedza może być tu bardzo przydatna. Bardzo starannie dobierał swój zespół.

Fischer westchnął i pokręcił głową. Najwyraźniej nie miał na ten temat nic więcej do powiedzenia.

– Ale siadaj, mój drogi – odezwał się po chwili. – Mieliśmy obejrzeć twój mózg.

Daniel usiadł niepewnie w jednym z wysokich foteli, uszaków. Doktor zajął miejsce przy biurku, poprawił okulary i zaczął szukać czegoś w komputerze.

– Mamy go – powiedział w końcu zadowolony. Przesunął ekran tak, żeby Daniel też mógł go widzieć. – Ładny, prawda?

Przekrojony na pół mózg kręcił się wokół własnej osi, błyszczał niebiesko jak Ziemia w przestrzeni kosmicznej.

– To mój? – upewnił się Daniel.

– Jak najbardziej – potwierdził doktor Fischer.

Odwrócił ekran i za pomocą myszki i klawiatury wyodrębnił jego część.

Powiększył zaznaczony fragment, Daniel śledził jego ruchy zafascynowany.

Karl Fischer bawił się jego mózgiem. Przewracał go do góry nogami, patrzył na niego to z lewej, to z prawej strony, kroił na części, jakby to był arbuz. Potem kroił go na jeszcze cieńsze kawałki, bawił się nimi niczym kartami, unosił, analizował, badał, by w końcu przywrócić mu jego pierwotną strukturę.

Mózg Daniela zniknął z ekranu, doktor odszedł od biurka i usiadł w fotelu, w milczeniu zaczął mieszać napar w filiżance.

– Znalazł pan jakiś chip, doktorze? – spytał Daniel ostrożnie.

– Nie – powiedział doktor. Wypił łyk gorącej herbaty, odstawił filiżankę na talerzyk. – Prawdę mówiąc, wcale się tego nie spodziewałem.

– Nie? Przed chwilą zdawał się pan o tym przekonany. Czyżby pan w końcu zrozumiał, że nie jestem Maxem?

Doktor pokiwał głową.

– Od początku o tym wiedziałem – powiedział.

Daniel patrzył na niego zdziwiony. Doktor Fischer był rzeczywiście niezwykłą osobą.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego mnie tu trzymacie.

– Dlatego, że nadal jesteś nam potrzebny, przyjacielu. Bardzo mnie interesujesz. Jeśli mam być szczery, to jesteś jednym z moich najbardziej interesujących pacjentów. Powiedziałbym nawet, że jesteś moim ulubionym pacjentem.

Mężczyzna zarechotał zadowolony nad filiżanką herbaty.

– Ale przecież znalazłem się tu przez pomyłkę – zaprotestował Daniel.

Doktor pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie. Nie ma mowy o żadnej pomyłce – powiedział odstawiając filiżankę. – Zainteresowałem się tobą, jak tylko się dowiedziałem o twoim istnieniu.

– Czyli kiedy?

– Kiedy Max został przyjęty do kliniki. Studiując jego dane, wyczytałem, że ma brata, urodzonego tego samego dnia co on, czyli bliźniaka. Jak pewnie wiesz, każdy naukowiec, zajmujący się badaniem ludzkich zachowań, marzy o takim przypadku. O bliźniętach. Jednojąjowych, oczywiście. Wy takimi byliście, co szybko udało mi się potwierdzić.

– Jak? – spytał Daniel. Czuł się coraz bardziej nieprzyjemnie.

– Mam dużą sieć międzynarodowych kontaktów. Jestem w stanie zdobyć wiele informacji dotyczących naszych mieszkańców i ich rodzin. To część mojej pracy. Dowiedziałem się, że jesteś niekarany i całkiem przyzwoicie radzisz sobie zawodowo, co wzmogło moje zainteresowanie. Ty i Max powinniście mieć te same geny. Dlaczego on jest psychopata, a ty nie? A może... – zaczął Fischer i zawiesił głos. Pochylił się w jego stronę, zmarszczył brwi i z udawaną srogością, wskazując palcem na Daniela, powiedział: – A może ty po prostu jesteś lepszym aktorem? Lepiej to ukrywasz.

Daniel obruszył się.

– Twierdzi pan, że...

– Nie, nie. Jeszcze za wcześnie na wysnuwanie jakichkolwiek wniosków. Ale też nie mogę wykluczyć, że jesteś po prostu innym rodzajem psychopaty. Takim, który nie działa impulsywnie i pochopnie. Jesteś cierpliwy, spokojnie czekasz, aż nadarzy się okazja i warunki będą sprzyjające. Potrafisz szacować zyski i ryzyko. Dlatego

nigdy nie zostałeś złapany i nigdy byś nie trafił tu do nas, do Rajskiej Doliny. To najbardziej interesujący rodzaj psychopatów. Na ten temat nie ma zbyt wiele badań.

Daniel się zachnął.

– Od momentu przyjazdu do doliny słyszałem tyle bzdur, że chyba już nic nie jest w stanie mnie zdziwić. Skąd pan wie, że tacy ludzie istnieją, skoro nigdy nie trafiają za kratki? Spotkał pan kiedyś kogoś takiego?

Doktor Fischer odchylił się w fotelu, zamyślił się. Po chwili mówił dalej:

– W całym moim życiu spotkałem dwóch, może trzech takich psychopatów. Bardzo trudno ich rozpoznać. Mnie się to udało jedynie dlatego że... – Urwał i rozłożył ręce jakby w przeproszającym geście. – Dlatego że sam do nich należę – zakończył.

– Pozwala pan sobie na dziwne żarty, doktorze.

Fischer pokręcił głową.

– Mówię całkowicie poważnie. Moje dzieciństwo było typowe dla kogoś o takich skłonnościach. Kradłem matce pieniądze z portmonetki, biłem kolegów, jeśli nie chcieli mnie słuchać, z lubością dręczyłem ropuchy, koty i inne zwierzęta, które wpadały mi w ręce. Podręcznikowy przykład. Dla mnie było to coś jak najbardziej normalnego. Byłem przekonany, że wszyscy tak się zachowują.

– Dzieciom pewnie się to zdarza – powiedział Daniel, próbując złagodzić nieco ponure wynurzenia doktora.

Ale Karl Fischer się upierał.

– Takie zachowania są niezwykle rzadkie wśród dzieci, które dorastają w dobrych warunkach. Szybko nauczyłem się, że za takie zachowania czeka mnie kara, że na dłuższą metę nic dobrego dla mnie z tego nie wynika. Dlatego po pierwsze musiałem decydować się na czyny, z których mógłbym czerpać jakiś pożytek, a po drugie, które mógłbym wykonywać w tajemnicy. Ale w ogóle nie pijesz herbaty – zauważył nagle doktor Fischer. – Nie smakuje ci? Przyznaję, że smak jest dość szczególny, ale kiedy człowiek się przyzwyczai, to już nie może się bez niej obyć.

– Jest smaczna – stwierdził Daniel i posłusznie wypił kilka łyków.

Karl Fischer wyglądał na zadowolonego.

Smak rzeczywiście był szczególny. Kojarzył mu się z Bożym Narodzeniem: cynamon, goździki, kardamon i jeszcze coś. Coś gorzkiego, cierpkiego, czego nie potrafił określić.

Nie wiedział, jak traktować słowa doktora Fischera. Mówił prawdę czy jego zadziwiające wyznanie było jedynie przejawem czarnego humoru? Tak czy inaczej

Daniel nie miał ochoty ciągnąć rozmowy, postanowił jak najszybciej zakończyć wizytę.

Jednak doktor znów odchylił się w fotelu i mówił dalej.

– Jako dziecko przysparzałem rodzicom wielu zmartwień, ale kiedy poszedłem do szkoły, byli ze mnie dumni. Mówiono, że „dojrzałem”. Byłem inteligentny, przeskoczyłem dwie klasy, poza szkołą studiowałem rzeczy, które wprowadzały wszystkich w stan najwyższego zdziwienia. Uczyłem się matematyki, biologii i chemii, ale najbardziej interesowała mnie medycyna. Chciałem wiedzieć, jak zbudowany jest człowiek, jak funkcjonuje szkielet, serce, które zapewnia nam życie, mózg, który odpowiada za nasze myśli, wspomnienia, sny, który chowa je w swoich zwojach i zakamarkach. Wszystko to było niezmiernie fascynujące. Mam jednak wrażenie, że w ten sposób szukałem przede wszystkim odpowiedzi na pytanie, kim jestem. Nie miałem bowiem żadnych wątpliwości, że na pewno jestem inny niż wszyscy.

Daniel słuchał go z coraz większym zainteresowaniem. Nadal jednak nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

– Współczucie, miłość, troska. Takie uczucia były mi całkowicie obce. Chociaż bez przerwy o nich słyszałem. Znałem pojęcia, tak jak znałem afrykańską dżunglę. Wiedziałem, jak wygląda, ale nigdy w niej nie byłem – mówił doktor Fischer spokojnie. – I wiedziałem, że nigdy nie będę. Podobnie było z uczuciami. Wiedziałem, że dla ludzi są one czymś oczywistym. Dla mnie nie były. Jak analfabeta nauczyłem się różnymi sposobami ukrywać swoje braki. Obserwowałem pilnie innych, a potem naśladowałem ich zachowania. Nauczyłem się, kiedy należy płakać, pocieszać, mówić, że się kogoś kocha. Kiedy byłem nastolatkiem, miałem opinię nieco dziwnego, niezdarnego, ale z czasem udało mi udoskonalić swój wizerunek. Kiedy zacząłem studiować medycynę, słyszałem, jak inni studenci mówią, że jestem spontaniczny, czarujący i wrażliwy. Widzę, że dziwnie na mnie patrzysz. Czy to, co mówię, wydaje ci się znajome?

Daniel pokręcił głową zdziwiony.

– W życiu o czymś takim nie słyszałem.

Fischer roześmiał się.

– Nawet gdybyś siebie w tym rozpoznał, nigdy byś się do tego nie przyznał, prawda? To zawsze pozostaje tajemnicą. Trudno przyznać, że nie jest się prawdziwym człowiekiem.

– Mam wrażenie, że ma pan całkiem udane życie – zauważył Daniel.

– Tak, zrobiłem wielką karierę. Człowiek pozbawiony uczuć ma znacznie więcej możliwości. Może fałszować raporty z badań. Usuwać zagrażających mu

konkurentów. Nieszczęśliwe wypadki się zdarzają: ludzie się topią, podczas wesołej imprezy może się zdarzyć, że ktoś spadnie z balkonu albo zostanie pobity późnym wieczorem podczas kongresu w obcym mieście. Nie mówiąc o różnych lekach, do których lekarze mają dostęp, a które stosowane w niewłaściwych dawkach mogą na przykład doprowadzić do samobójstwa. Niestety, oczywiście.

Daniel z trudem łapał powietrze, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Fischer podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu w uspokajającym geście.

– To tylko możliwe przykłady, przyjacielu. Różne możliwości. Nie oczekuj żadnych faktów.

Doktor zamilkł, sięgnął po filiżankę.

Gdzieś z głębi dochodził lekki szum wentylatora. Daniel pocieszał się myślą o świeżym alpejskim powietrzu, które zapewne tu docierało.

Fischer wypił kolejny łyk herbaty i mówił dalej.

– W młodości popełniłem kilka poważnych przestępstw. Pobicia, kradzieże. Nigdy jednak nie zostałem złapany. Kiedy dorosłem, zmieniłem postępowanie. Uznałem, że za bardzo ryzykuję. Poza tym wtedy zacząłem już badania nad psychopatami. Wkrótce całkowicie mnie pochłonęły. Zrozumiałem, że większość naukowców, zajmujących się tematem, nie miała tak naprawdę pojęcia, na czym polega problem. Skupiali się na działających pod wpływem impulsu awanturnikach, całkowicie pomijając tych spokojnych, sprytniejszych. To dla ciebie trudne?

Nie czekając na odpowiedź, Fischer mówił dalej, a Daniel nagle uświadomił sobie, że siedzą tu sami, przypomniał sobie dwoje drzwi i zakodowany zamek i poczuł, że robi mu się zimno.

Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym porozmawiać o czymś innym – powiedział. Starał się nie spoglądać w stronę drzwi. – Rozumiem, że pan wie, że nie jestem Maxem i że tak naprawdę nie ma pan prawa mnie tu przetrzymywać. Przyjechałem tu, bo brat chciał się ze mną spotkać...

– Nie, nie – przerwał mu Fischer. – To nie tak. Przyjechałeś tu, bo ja chciałem się z tobą spotkać. Twój brat nigdy nie wyraził takiego życzenia. Kiedy zorientowałem się, że Max ma brata bliźniaka, postanowiłem ściągnąć cię do Rajskiej Doliny.

– Pan tak postanowił, doktorze?

– Oczywiście. Powszechnie wiadomo, że w takich przypadkach czynniki dziedziczne odgrywają pewną rolę. Jak ważną, tego nie wiemy. Jak już wspominałem, do tej pory spotkałem jedynie dwóch, może trzech psychopatów, którzy z pozoru wydawali się spokojni i opanowani. Jednym z nich był mój własny ojciec. Dobrze się maskował, cieszył się opinią wybitnego okulisty o nieposzlakowanej opinii. Ale ja rozpoznawałem w nim pewne cechy, a z wiekiem zyskiwałem coraz większą pewność. Jeśli więc syn może dziedziczyć pewne cechy po ojcu, to także w przypadku bliźniąt jednojajowych powinno być to możliwe, prawda?

Doktor zawiesił głos, zmrużył jedno oko, drugim spojrział porozumiewawczo na Daniela.

– Powiedział pan, że mnie tu sprowadził – powiedział Daniel. – Jak?

Wychylił się do przodu, udając zainteresowanie odpowiedzią doktora, ale tak naprawdę starał się uważniej przyjrzeć drzwiom. Zewnętrzne otwierane były za pomocą kodu. Czy wychodząc, też trzeba było posłużyć się kodem? Z punktu widzenia przepisów przeciwpożarowych byłoby to szaleństwo, ale Daniel wiedział już, że do takich spraw nie przykładano tu większej wagi.

– Skończyłem z Maxem – zaczął mówić Fischer. – Kilka rozmów wystarczyło, żebym zrozumiał, że był dość nieciekawym przypadkiem. To, co wiedziałem o jego życiu przed przybyciem do doliny, a potem kilka incydentów z mieszkańcami, pokazywało wyraźnie, że był typem awanturnika, działał pod wpływem chwili, bywał gwałtowny, nie myślał o konsekwencjach. Takich psychopatów mamy pod dostatkiem. Ty interesowałeś mnie bardziej. Ale trudno byłoby mi umieścić tu zdrowego, praworządnego obywatela. Kiedy w Internecie zobaczyłem jakies

ostatnie twoje zdjęcia, uderzyło mnie wasze podobieństwo. Postanowiłem was zamienić. Max dał się przekonać bardzo szybko. Był zachwycony moim planem i napisał do ciebie list. Przeczytałem go i wysłałem swoim kanałem, żeby nie musiał przechodzić przez wewnętrzną cenzurę kliniki.

– I zmienił pan nasze daty urodzenia w karcie Maxa?

– To zrobiłem niemal zaraz po tym, jak tu przybył. Egzemplarz, który mi pokazałeś, musiał być jednym z pierwszych. Powiesz mi, jak go zdobyłeś?

Daniel milczał.

– Właściwie to bez znaczenia. Na zdjęciach w Internecie miałeś brodę, dość bujne włosy i okulary. Byłem bardzo zadowolony, bo Max nie miał brody i nie nosił okularów. Poprosiłem, żeby dokładnie się golił i ściął krótko włosy, by wasze podobieństwo nie rzuciło się nikomu w oczy. Wszystko udało się znakomicie, prawda? Max odzyskał wolność, a ja dostałem bliźniaka, który mnie interesował. Oficjalnie nic się nie wydarzyło, poza tym, że do Maxa wpadł na kilka dni w odwiedziny jego starszy brat. To, że Max potem przez jakiś czas dziwnie się zachowywał, mówił jakieś dziwne rzeczy, nie zwróciło niczyjej uwagi. W takim miejscu jak to takie sytuacje się zdarzają.

Daniel pokiwał głową mechanicznie. Miał problem ze skupieniem się na tym, co doktor Fischer mówił. Był zmęczony, miał gonitwę myśli, czuł, że za chwilę uśnie. Zaczął się zastanawiać, która była godzina. Jak długo siedział tu i słuchał opowieści doktora? Tu, to znaczy gdzie? Przez moment miał wrażenie, że jest w domu swojego starszego kolegi, którego kiedyś odwiedził w Brukseli. Kiedy po chwili podniósł głowę i spojrział na grzbiety stojących na półkach książek, zdawało mu się znów, że jest w gabinecie swojego dziadka w Uppsali i że zaraz wyjdzie stąd i znajdzie się na Götavägen.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważył doktor Fischer. – Sam jestem typową sową, o tej porze myśli mi się najlepiej. Zapominam, że nie wszyscy tak funkcjonują.

– Chętnie wróciłbym już do siebie – wszedł mu w słowo Daniel. – Pańskie słowa wprawiły mnie w konsternację. Muszę to wszystko przetrwać, doktorze.

Fischer skinął głową.

– To zrozumiałe. Zaraz zakończymy tę rozmowę, którą zresztą ty zainicjowałeś. Nie ja – podkreślił Fischer. Wskazał palcem na Daniela i się uśmiechnął.

Nagle odkrył, że jego filiżanka jest pusta. Wstał.

– Tobie też trochę dolać? – spytał.

– Nie, dziękuję.

Kiedy doktor zniknął w kuchni, Daniel natychmiast ruszył do drzwi. Nacisnął

klamkę, drzwi były zamknięte. Z kuchni nadal dobiegał go głos doktora.

– Gisela Obermann zajmowała się Maxem, więc i ty do niej trafiłeś. Dziwna kobieta. Kiedy zaczęła przedstawiać te swoje bzdury i opowiadać o osobowości mnogiej, uznałem, że muszę przejąć twój przypadek. Odniosłem wrażenie, że przywiązała się do ciebie i zatraciła zawodowy dystans.

Kiedy Fischer znów pojawił się w pokoju, Daniel zdążył już wrócić na fotel.

– Giseli brakuje siły, żeby pracować w Rajskiej Dolinie. Ostatnio była przepracowana i zestresowana. Dawno powinienem był ją odesłać, ale wiem, że miała problemy osobiste i nie bardzo ma dokąd wrócić. Mam nadzieję, że jakoś sobie poradzi – westchnął doktor, zajmując miejsce w fotelu.

– A Max? – spytał Daniel. – Co z nim? Jest tu w dolinie?

– Tu?

Fischer roześmiał się.

– Nie. Dobrowolnie na pewno tu nie wróci. Tego jestem pewien. Ale nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Zostawił mi wiadomość. Nagrał się na moją komórkę – przerwał mu Daniel. – Tutejsze komórki nie mają połączenia ze światem poza doliną. Musiał tu być.

– Nagrał tę wiadomość, zanim stąd wyjechał. Tę i jeszcze kilka innych. Żebym mógł się nimi posługiwać w zależności od potrzeby. Max twierdził, że zwykle wyłączasz komórkę, a potem sprawdzasz nagrane wiadomości i nieodebrane połączenia.

Daniel przyglądał mu się coraz bardziej zdziwiony.

– Dlaczego pan to wszystko robi?

– Bo, wybacz, że to mówię, ale byłeś niezwykle nudnym przedmiotem studiów. Poza próbą ucieczki, której oczywiście się spodziewałem, zachowywałeś się przykładowo. Niemal nigdzie nie wychodziłeś, utrzymywałeś kontakt jedynie z twoim tajnym opiekunem, czy świerszczem, jak doktor Pierce fantazyjnie ich nazywa. Jedyny raz, kiedy wykazałeś gwałtowne zachowanie, to gdy stanąłeś w obronie bezbronnego, dręczzonego mieszkańca, co sprawiło, że niektórzy moi naiwni koledzy uznali cię niemal za bohatera, a biedna Gisela zaczęła wymyślać niestworzone teorie. Kazałem zabrać cię na oddział i przebadać. Wyniki testów okazały się zawodem. Rezonans nie wykazał żadnych odchylenia w aktywności fal mózgowych. Twój mózg nie pracował jak mózg psychopaty. To znaczy reagował prawidłowo na bodźce emocjonalne. A wymyślony przeze mnie praktyczny test z pożarem całkowicie pogrzyżył moją teorię.

– Test? Więc to nie papieros Marco spowodował pożar?

Karl Fischer rozłożył ręce.

– Trochę mu pomogłem. Zaordynowałem nieco silniejsze środki nasenne niż zwykle, a potem podłożyliśmy zapalony papieros. Wypożyczona z rekwizytorni maszyna produkująca dym dodała wszystkiemu nieco dramatyzmu. A ty zachowałeś się jak prawdziwy harcerz. Byłem zawiedziony. Dlatego ściągnąłem cię do Kellera, licząc na to, że może tam coś się wydarzy. Zwykle tak jest. U Adriana Kellera dzieją się różne rzeczy.

– Był pan tam wtedy?

Doktor uśmiechnął się i skinął głową.

– Oczywiście. Kowalski i Sørensen mnie tam zawieźli. Jak pewnie się domyśliłeś, mam z tymi panami całkiem dobry kontakt. Są bardzo przydatni, chętnie pomagają mi w różnych sprawach. W domu Kellera miały miejsce rzeczy, które są niezwykle ciekawe dla behawiorysty z moimi zainteresowaniami. Niekiedy, ale tylko, gdy on sam się na to zgadza, udostępnia mi swój pokój dzienny i pozwala zamienić go w studio. Lustro na ścianie to tak naprawdę lustro weneckie. Obserwując różne zdarzenia, doszedłem do wielu bardzo ciekawych wniosków, niekiedy naprawdę wyjątkowych, pokazujących, co człowiek jest w stanie zrobić drugiemu człowiekowi. Oczywiście dzisiaj jeszcze nie mogę ich opublikować.

Złość sprawiła, że Daniel nagle oprzytomniał. Musiał się opanować, żeby nie rzucić się na Fischera.

– Na ścianie jest lustro weneckie? Więc pan mnie widział?

– Siedziałem w pierwszym rzędzie. Niestety zszedłeś ze sceny nieco przedwcześnie. Zająć zakłócił nam przedstawienie. Byłeś przekonany, że to dziecko, prawda? – Roześmiał się Fischer. Zaraz jednak umilkł. – Dziecko, właśnie. Mówiłeś, że zostaniesz ojcem, ale nie wspomniałeś, kim jest matka.

Doktor wychylił się do przodu pełen oczekiwania.

Daniel zwlekał. Instynktownie czuł, że nie powinien zdradzać swojej relacji z Corinne. Że powinien ją chronić. Może dlatego, że była to chyba jedyna rzecz, której Fischer o nim nie wiedział. Postanowił zachować tę kartę na później.

– Wkrótce się to okaże – powiedział.

– Zapewne – skwitował Fischer zamyślony. – Ale jeśli cię oszukała? Może wcale nie jest w ciąży. Widziałeś wynik testu ciążowego?

Daniel milczał. Zastanawiał się, czy doktor może mieć rację.

– Niech zgadnę – Fischer odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i udawał, że się zastanawia. – To Samantha?

Daniel milczał. Fischer uznał to za potwierdzenie swoich przypuszczeń.

– Tak myślałem – zarechotał zadowolony. – Nie wiem, czy wiesz, ale Samantha bywa w ciąży mniej więcej dziesięć razy w roku. Jest oczywiście płodna jak kapłon,

ale wyobraża sobie, że co chwila zachodzi w ciążę. Żeby to uprawdopodobnić, intensywnie uprawia seks z różnymi mężczyznami. Znasz jej historię z okresu, zanim tu trafiła?

– Nie.

– Jest dość tragiczna. Kiedy miała szesnaście lat, uciekła z domu ze znacznie od siebie starszym chłopakiem. Był uzależniony od narkotyków i miał skłonność do przemocy. Samantha zaszła w ciążę i nie chciała aborcji. Kiedy była w ósmym miesiącu, chłopak skopał ją tak, że straciła dziecko. Po przedwczesnym porodzie pojawiła się u niej silna psychoza. Trafiła na psychiatrię, gdzie nafaszerowano ją lekami i wypuszczono, właściwie bez żadnego leczenia. Wróciła do rodziców, zerwała z chłopakiem i zaczęła pracować jako salowa na oddziale położniczym. Wydawała się zachwycona niemowlakami, ciągle się nimi zajmowała, niemal nie wychodziła ze szpitala. Nagle na oddziale, na którym pracowała, zdarzyło się kilka przypadków śmierci. Po krótkim czasie nastąpiły kolejne zgony dzieci. Zaczęto obserwować personel i wkrótce Samantha została zatrzymana. Okazało się, że dusiła dzieci poduszką. Początkowo, bo potem zaczęła dodawać leki do butelek z mlekiem. Nikt ci tego nie mówił?

– Owszem, teraz sobie przypominam – wymamrotał Daniel. – Tylko nie przypuszczałem, że...

– Trudno w to uwierzyć, prawda? Samantha jest bardzo atrakcyjną, młodą kobietą. Kiedy trafiła do więzienia, zaczęła uwodzić personel. Kleiła się do wszystkich facetów. Dla niektórych pokusa okazała się zbyt silna, bo chociaż odwiedzała ją tylko matka, szybko się okazało, że Samantha jest w ciąży. Zmuszono ją do aborcji. Uśpiono i siłą przeprowadzono zabieg. Po jakimś czasie znów zaszła w ciążę. Tym razem udało się jej ukryć swój stan. Kiedy sprawa wyszła na jaw, było już za późno. Urodziła, ale zaraz po porodzie zabrano jej dziecko. Wtedy wpadła w szal. Wzięła nożyczki, przebiła tętnicę jednej z pielęgniarek, ciężarną pacjentkę ugodziła w brzuch. Wkrótce potem trafiła do Rajskiej Doliny. Niektórzy z moich kolegów, reprezentujących podejście psychodynamiczne w psychologii, traktują jej nimfomanię jako wyraz tęsknoty za zapłodnieniem. Ale oczywiście jest wysterylizowana, jak wszyscy mieszkańcy. Tak więc na twoim miejscu nie otwierałbym jeszcze szampana.

– Smutna historia – powiedział Daniel.

Naprawdę jednak poczuł ulgę. Pamiętał, co opowiadała mu Samantha o Corinne i dzieciach. Najwyraźniej była to jej własna historia.

– Naprawdę można ją zdiagnozować jako psychopatkę? – spytał, tłumiąc ziewnięcie. Był zbyt zmęczony, żeby prowadzić tego rodzaju rozmowy.

– Oczywiście, że nie – obruszył się doktor Fischer. – Rajska Dolina jest rodzajem przechowalni dla wszelkiego śmiecia, którego nikt na zewnątrz nie chce. Wolelibyśmy oczywiście mieć do czynienia z jednoznacznymi diagnostycznie przypadkami, ale ponieważ zależy nam na dotacjach, musimy również przyjmować osoby, które tak naprawdę nie powinny tu trafić. Cóż, nie zawsze można grymasić.

Roześmiał się krótko, urwanie. Po chwili mówił dalej:

– Samantha, jak zresztą również większość moich koleżanek po fachu, trafiła tu z powodu obowiązków nas ilości płciowych, a nie swoich zasług. W dolinie mamy nadmiar mężczyzn, a atrakcyjna kobieta o skłonnościach do nimfomanii rozwiązuje praktyczny problem. A ty co o tym sądzisz? – dodał doktor, mrugając do niego porozumiewawczo.

– **Tak czy inaczej** – zaczął Daniel, który nie chciał wracać do swoich przygód z Samanthą – ciągle nie rozumiem, po co mnie tu nadal trzymacie? Najwyraźniej nie sprostąłem oczekiwaniom. Zastanawiał się pan, czy nie jestem „ukrytym” psychopata. Teraz, kiedy pan wie, że nim nie jestem, mogę wracać do domu.

Doktor Fischer potarł czoło zmartwiony.

– Problem polega na tym, że nie mogę ci na to pozwolić. Gdybym to zrobił, wyszłoby na jaw, że przez dwa miesiące przetrzymywałem tu niewinnego człowieka. Mam związane ręce. Musiałbym zrezygnować z funkcji szefa kliniki i ze wszystkich prowadzonych badań. Muszę więc jeszcze cię tu zatrzymać w roli Maxa. I oczywiście tylko tak długo, jak to będzie możliwe.

– Słucham?

– Nie sądzę, żeby w grę wchodził jakiś dłuższy okres. Wcześniej czy później twój brat tu wróci.

Daniel zaczerpnął powietrza, żeby coś powiedzieć, ale doktor Fischer go uprzedził.

– Nie z własnej woli. Ale na pewno wkrótce popełni tam na zewnątrz jakieś głupstwo. Jestem tego pewien. Ziaje nienawiścią do tej Włoszki. Nie mógł odżałować, że zabił jedynie jej narzeczonego, a ona przeżyła. Cały czas się zastanawiał, co zrobić, żeby i ją zabić. To był chyba główny powód, dla którego chciał wyjechać z Rajskiej Doliny. Jeśli zostanie zatrzymany, trafi tutaj. Co wzbudzi konsternację, bo przecież Max jest tu cały czas! Wszyscy to potwierdzą. Zostanie wszczęte dochodzenie, no i prawda wyjdzie na jaw. Tak więc mamy problem.

– Niekoniecznie – przerwał mu Daniel. – Musicie po prostu pozwolić mi wyjechać, zanim Max się tu zjawi. Zachowam pełną dyskrecję. Wszyscy będą przekonani, że uległem wypadkowi albo że zabił mnie któryś z mieszkańców. Jak Mattiasa Blocka. Już wcześniej się zdarzało, że ludzie znikali.

Karl Fischer rozpromienił się.

– Znakomity pomysł! Tak właśnie powiem. Że zniknąłeś bez śladu. Jak Mattias Block. Biedak. Ofiara szalonych eksperymentów doktora Pierce’a. Idiota wyznaczył mu Adriana Kellera. Miał być jego świerszczem. Wysłał go prosto w paszczę lwa. Ponoć Block potrafił rozmawiać z psami, ale lew to nie salonowy piesek, prawda? Poza tym Pierce nie wiedział, że Keller był moim lwem. Kiedy się we wszystkim zorientowałem, było już za późno. Kellerowi wszczepiono już chip. Nie żebym wierzył w brednie Pierce’a, ale jeśli Blockowi rzeczywiście chociaż w jakimś stopniu udałooby się okiełznać Kellera, stałoby się dla mnie nieprzydatny. Skończyłyby się spektakle w jego salonie. Nie mógłbym już obserwować interesujących scen tortur. Siedziałbym za lustrem weneckim i ziewał, a przedmiot moich studiów rozwiązywałby krzyżówki i podlewał kwiatki. Zastanawiałem się, czy nie poddać Kellera operacji usunięcia chipa, ale łatwiej było pozbyć się Blocka. Co prawda udało mu się uciec z miejsca straceń w domu Kellera, ale tylko, by znaleźć śmierć w jego wnykach.

Do Daniela niewiele docierało z tego, co mówił Fischer. Jego świadomość okrył welon mgły, przepuszczając tylko od czasu do czasu pojedyncze słowa czy obrazy.

– Rozumiem, że pozwolicie mi opuścić dolinę? – spytał.

– Nie, to zbyt ryzykowne. Twoje wyjście naraziłoby mnie na kłopoty. Poza tym jeszcze z tobą nie skończyłem. Prawdę mówiąc, nawet jeszcze na dobre nie zacząłem. Chociaż rzeczywiście powinieneś zniknąć z doliny. To doskonały pomysł. Myślę, że możesz zrobić to już teraz. Tak – potwierdził Fischer, zerkając na zegarek. – Już zniknąłeś.

– Co to znaczy?

– Jest dwadzieścia minut po północy. Niewiarygodne, jak czas szybko mija w miłym towarzystwie. Nocny patrol nie znalazł cię w domu, wszczęto alarm. Może już nawet cię szukają? Jutro będą kontynuować poszukiwania. Ale dość szybko je zarzucą. Jak sam słusznie zauważyłeś: ludzie pomyślą, że nie żyjesz.

– Ale... – Daniel chciał zaprotestować. Szukał odpowiednich słów, które pozwoliłyby mu dokończyć zdanie, lecz wszystkie pochłonęła mgła.

– Ale teraz powinieneś się przespać – pospieszył mu z pomocą doktor Fischer.

Daniel był pewien, że nie to zamierzał powiedzieć, tylko coś zupełnie innego, ważniejszego, ale nie był w stanie przypomnieć sobie, co to mogło być.

– Jesteś zmęczony, prawda? Pozwól, że obejrzę twoje źrenice.

Doktor chwycił go za brodę i zaczął się przyglądać jego oczom.

– Tak jak się spodziewałem, jesteś bardzo zmęczony.

Daniel chciał zaprzeczyć, ale w tym momencie zrozumiał, że rzeczywiście jest

zmęczony. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Nie wyobrażał sobie, że będzie w stanie przejść podziemnymi korytarzami do parku, a potem dalej do domku na zboczu.

Doktor Fischer wstał, odsunął kotarę po drugiej stronie pokoju i otworzył ukryte za nią stalowe drzwi.

– Pokażę ci twój pokój. Chodź.

Daniel wstał, podszedł powoli do doktora, dotarł do progu i zatrzymał się.

Przed nim ciągnął się jeszcze jeden z podziemnych korytarzy. Był inny niż pozostałe, węższy, niższy. Gdzieś z głębi dochodziły go krzyki i walenie w metalowe drzwi. Przy ścianie stał strażnik, patrzył na niego, nie okazując żadnego zainteresowania.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Daniel podejrzliwie.

Serce biło mu tak mocno, że poczuł mdłości.

– W innej części podziemnego labiryntu – poinformował go Karl Fischer. – Kiedy budowano klinikę, ja i nasz amerykański sponsor dopilnowaliśmy, żeby dodać kilka pomieszczeń, których nie było w pierwotnym projekcie.

Pchnął Daniela lekko w plecy, tak że ten potknął się o próg. Wyszli z pokoju, Fischer szybko zamknął za nim drzwi.

– Na pewno słyszałeś o tym oddziale. Mieszkańcy często o nim wspominają. Mają na niego nawet specjalne określenie.

Katakumby? - wyszeptał Daniel.

Doktor Fischer skinął głową.

– Osobiście uważam, że to nietrafne określenie. Wieść niesie, że w czasach rozkwitu klasztoru był tu podziemny cmentarz. Dzisiaj zapewne nic już z niego nie zostało. Tak czy inaczej to co tu widzisz, to bardzo nowoczesne założenie, a wszyscy, którzy tu przebywają, żyją.

Daniel przyglądał się zdumiony rzędowi stalowych drzwi, za którymi najwyraźniej kryły się więzienne cele. W drzwiach na wysokości głowy były niewielkie okrągłe okienka z grubym szkłem. W niektórych widać były przyciśnięte do szybek twarze. Widać było poruszające się usta, ludzie mówili, może nawet krzyczeli, ale żadne dźwięki nie wydobywały się na zewnątrz. Nieme, szeroko otwarte usta i grube szkło skojarzyło się Danielowi z rybkami w akwarium.

– Ta część naszej działalności nie jest powszechnie znana – powiedział doktor, kiedy mijali kolejne drzwi. – Jesteśmy niewielkim zespołem zapaleńców. Prowadzimy badania. Nasi zleceniodawcy rzadko się tu pojawiają. A ja informuję ich jedynie o tym, o czym uważam, że powinni wiedzieć. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby chcieli wiedzieć zbyt wiele. Oczekują jedynie wyników.

– Co to za badania? – spytał Daniel.

Zatrzymali się na środku korytarza, doktor Fischer zajrzał zafrasowany przez jedno z okienek.

– Bardzo szczególne – powiedział. – Na granicy neuropsychiatrii.

Wezwał do siebie jednego ze strażników.

– Proszę sprawdzić tego pacjenta – powiedział, pukając paznokciem w szkło. – To nie wygląda mi na zwykły sen.

Daniel przyglądał się twarzom ludzi z poczuciem coraz większej nierealności. Jakby obserwował istoty z innej planety. Ich głowy były częściowo albo całkowicie ogolone, ich oczy pełne smutku albo puste.

Wiedział, że powinien czuć oburzenie, a przynajmniej protestować. Ale był zmęczony, nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Jedyne, czego pragnął, to położyć się spać, a najbardziej martwiło go, że korytarz wyglądał na bardzo długi, a jego podłoga w jakiś dziwny sposób pochylała się nieco na jedną stronę, jakby byli na pokładzie łodzi. Okrągłe szybki w drzwiach wzmacniały to wrażenie, Daniel poczuł,

że zaczyna mieć chorobę morską.

Pokój, o którym wspominał doktor, pokój z łóżkiem, na którym będzie mógł się przespać, nie wydawał mu się już wcale tak przykrym pomysłem. I tak nie byłby w stanie dotrzeć do domku na zboczu, a czuł, że musi się natychmiast położyć. Zachwiał się, doktor chwycił go pod rękę.

– Już niedaleko, przyjacielu. Dasz radę iść?

Daniel skinął głową. W drzwiach po prawej stronie zobaczył nagle twarz kobiety, wziętą w okrągłą ramkę jak na fotografii. Chuda, porcelanowa twarz, niezwykle blada, niebieskie cienie pod oczyma i ciemne, bardzo krótko ostrzyżone włosy. Obca, nieludzka twarz, a jednocześnie dobrze mu znana. Na pewno już ją widział, i to z bliska. Czyżby to była jego matka? Nie, oczywiście, że nie. Jego matka nie żyła. Ale może i ta kobieta była już martwa?

Odwrócił się i skonfundowany spojrział na drzwi, które mijali. Może wszyscy ci ludzie byli już martwi? A jeśli nie martwi, to... – zaczął się zastanawiać. Doszedł do wniosku, że tak czy inaczej na pewno nie byli to żywi ludzie, niezależnie od tego, co twierdził doktor Fischer. W końcu przecież znajdowali się pod ziemią.

Przypomniał sobie grubą, dziwną książkę, która stała na półce dziadka w Uppsali. Czasem przeglądał ją z mieszaniną strachu i zachwyty. Była to *Boska komedia* Dantego, jej pierwsza część, *Piekieł*, z rycinami Gustave’a Doré’a. Nagie, powykręcane ciała, dręczone przez robactwo, ogień i plagi, które trudno było sobie wyobrazić. Nieszczęśnicy skazani na wieczne cierpienie.

– Jak się czujesz? – wyszeptał doktor Fischer tuż obok jego ucha.

– Trochę kręci mi się w głowie.

– Mam posłać po nosze?

– Nie, nie jestem chory.

Wyprostował się i ze swoim Wergiliuszem u boku ruszył dalej lekko chwiejnym krokiem.

– To tam, już niedaleko – powiedział doktor Fischer pocieszająco.

Przed nimi pojawił się strażnik, otworzył drzwi, przytrzymał je. Fischer i Daniel weszli do środka.

Uderzył ich ostry zapach środków czyszczących i uryny. Pokój był niewielki, pomalowany błyszczącą farbą olejną na biało, ściany odbijały ostre światło neonówek. W pokoju stało łóżko, blat stołu był przytwierdzony do ściany. Był też stołek w kształcie stalowego cylindra z poduszką z czarnego sztucznego tworzywa.

– Ładny – wymamrotał Daniel, pokazując ręką na minimalistyczny mebel.

Usiadł na łóżku. Był tak zmęczony, że nie bardzo nawet wiedział, gdzie jest.

– Ładny i praktyczny – podchwycił doktor Fischer. Pokazał mu, jak stołek

w prosty sposób zamieniał się w sedes.

– Fantastyczne – wymamrotał Daniel i zamknął oczy.

– Teraz będziesz spał, przyjacielu. Nie spodziewam się, żebyś miał jakieś problemy z zaśnięciem. W herbacie był silny środek nasenny.

Światło przygasło, w pomieszczeniu zapanował przyjemny półmrok. Drzwi zamknęły się, rozległ się cichy, zasysający dźwięk. Daniel otworzył oczy. Zobaczył, jak przez okienko w drzwiach Karl Fischer przygląda mu się niemal z ojcowską troską.

A potem odpłynął.

Twarze pojawiały się i znikwały, kołysały się jakby unoszone przez wodę w okrągłym akwarium. Podłużna, dziwnie mu znana blada porcelanowa twarz zatrzymała się przed nim, wyszła ze szklanej kuli i nachyliła się nad nim. Była podświetlona od dołu, jakby latarką.

I nagle wiedział już, kim była kobieta. Świadomość tego przebiła się przez głęboki sen, sprawiła, że mimowolnie się wzdrygnął, jakby chciał od niej uciec. Nie obudził się, ale i tak wiedział: to była opiekunka, ta niska, ciemna. Ta, która zniknęła, której strażnicy szukali w potoku. Bardzo się zmieniła, była wychudzona, bez włosów. Był jednak pewien, że to ona patrzyła na niego zza szkła w drzwiach.

A więc zniknął? – spytała Hedda Heine zaniepokojona. – Od kiedy go nie ma?

– Patrol zawiadomił centralę dziesięć minut po północy – powiedział doktor Pierce. – Skontaktowano się z panną Simmen – dodał, wskazując ręką na Corinne, która siedziała obok niego przy stole konferencyjnym. – Niestety, ona też nic nie wie.

– Ostatni raz rozmawiałam z nim w gospodzie Hannelore, przedwczoraj wieczorem – wyjaśniła Corinne.

Za dużym panoramicznym oknem wisiały ciężkie, białoszare chmury, przykrywały dolinę niczym warstwa waty w pudełku. Nieczęsto się zdarzało, że odwiedzała pokoje na górze. Zwykle spotykała się z doktorem Pierce'em w jego gabinecie na pierwszym piętrze w szpitalu.

– Ostatnio podczas patroli Max zawsze był w domu. Z tym nigdy nie było problemu, dlatego jego wczorajsza nieobecność bardzo nas zdziwiła – mówił doktor Pierce dalej. – Mielśmy nadzieję, że pojawi się w nocy, ale rano nadal go nie było. Ostatni widział go portier w klinice. Twierdzi, że około dziewiątej wieczorem Max pojechał na górę spotkać się z doktorem Fischerem.

– To się zgadza – potwierdził doktor Fischer. – Przyjąłem go, bo bardzo nalegał. Sprawiał wrażenie dezorientowanego. Mówił od rzeczy.

– Na przykład? – spytał doktor Pierce.

Karl Fischer skrzywił się.

– To co zawsze. Że nie jest Maxem, tylko jego bratem bliźniakiem. Nie wiem, jak to się stało, ale wiedział o projekcie „Pinokio”. Podejrzewam, że rozmawiał z jedną z naszych koleżanek. Jest obecnie na zwolnieniu i właściwie w ogóle nie powinna kontaktować się z mieszkańcami. Tak czy inaczej wiedział, że Maxowi wszczepiono chip, upierał się, żebym sprawdził wyniki rezonansu. Był przekonany, że dowiodą braku chipa, co będzie świadczyć o tym, że nie jest Maxem. Upierał się, więc w końcu, żeby go przekonać, spełniłem jego życzenie. Zjechaliśmy na dół i przejrzelśmy zdjęcia. Pokazałem mu chip. Był zrozpaczony.

– Powiedział mu pan, że chip jest całkowicie nieszkodliwy? – upewniał się doktor Pierce. – Promieniowanie jest mniejsze niż w przypadku korzystania z telefonu komórkowego.

– Powiedziałem mu to, ale mam wrażenie, że nie to było powodem jego

rozpaczy. Po prostu zrozumiał, kim jest. Dotarło do niego, że miły brat bliźniak był jedynie wytworem jego wyobraźni. Oszukiwał sam siebie, a teraz w końcu odkrył prawdę. A może od początku grał? Tak czy inaczej zrobiło się późno i chciałem się go pozbyć. Odprowadziłem go korytarzem do budynku biblioteki, skąd miał najbliżej do domu.

– Która była wtedy godzina?

Fischer wzruszył ramionami.

– Pewnie około dziesiątej.

– Widział pan, dokąd potem się udał? – spytała Hedda Heine.

– Nie. Założyłem, że wrócił do siebie.

– Więc jest pan ostatnią osobą, która go widziała – stwierdził doktor Pierce. – Był bardzo wzburzony?

Fischer potarł swoją nieogoloną brodę.

– Czy ja wiem, pewnie tak. Założyłem, że przez noc się uspokoi.

– Jest pan pewien, że widział pan ten chip? – spytał doktor Pierce, przyglądając się bacznie twarzy szefa.

– Oczywiście.

– Może przyjął pan, że tam jest i dlatego go pan tam zobaczył? Był pan zmęczony.

Fischer posłał mu pełne pogardy spojrzenie.

Pierce mówił dalej.

– Mówię to, bo osobiście pofatygowałem się na dół do gabinetu i poprosiłem siostrę Louise o pokazanie mi zdjęć. Nie było na nich chipa.

Karl Fischer zamierzał zaprotestować, ale doktor Pierce nie dał mu dojść do słowa.

– Poza tym panna Simmen ma nam do powiedzenia coś, co, jak sędzę, powinno nas wszystkich zainteresować.

Odwrócił się do Corinne i skinął głową zachęcająco.

Corinne rozejrzała się, wyprostowała i oświadczyła pewnym głosem:

– Jestem w ciąży. Z mieszkańcem, którego uznajecie za Maxa, ale który najwyraźniej nie może nim być.

Naukowcy spojrzeli po sobie, zamilkli.

Po chwili Hedda Heine pochyliła się w jej stronę.

– Jest pani pewna, panno Simmen?

Corinne skinęła głową.

– Dwa testy ciążowe to wykazały.

– I nikt inny nie może być ojcem?

– Nie – odpowiedziała Corinne stanowczo.

Carl Fischer przyglądał się jej bez słowa.

– Jest pani świerszczem tego mieszkańca, prawda – spytał Brian Jenkins. – O ile wiem, obowiązują bardzo surowe zasady, dokładnie określające relacje między świerszczem a jego podopiecznym. Relacje te powinny być bliskie, ale nie zbyt bliskie. Mam rację, doktorze Pierce?

– Dobrze wiem, jakie powinny być nasze relacje – odezwała się Corinne poirytowana. – Ale w ostatnich miesiącach z moim klientem działo się coś dziwnego. Nie miałam na niego żadnego wpływu.

Corinne podniosła rękę i pokazała bransoletkę.

– Zrobiłem przegląd aparatury, ustawiłem na nowo wszystkie parametry, ale panna Simmen twierdziła, że bransoletka nadal źle funkcjonuje – powiedział Pierce. – Pomyślałem, że może niewłaściwie jej używa i zaproponowałem, że dam jej pod opiekę kogoś innego, ale panna Simmen się nie zgodziła. Twierdziła, że Max tak bardzo się zmienił, że czuje się w obowiązku go chronić.

– Co on natychmiast wykorzystał – powiedział Karl Fischer, posyłając Corinne pełne pogardy spojrzenie. Przyglądał się jej brzuchowi.

– Ależ nie – zaprzeczyła Corinne zła. – Daniel nie jest Maxem. Nikogo nie wykorzystuje. Wszystko, co usiłował nam powiedzieć, jest prawdą. Jest bratem bliźniakiem Maxa, którego wypuściliśmy stąd w lipcu.

– Tyle że Max nie ma... – zaczął doktor Fischer.

Corinne przerwała mu.

– Owszem, ma! – powiedziała i zamachała kartką, którą trzymała w ręku. – Kilka dni temu znalazłam tę oto kartkę. Dostałam ją z materiałami szkoleniowymi, kiedy tu przyjechałam. Wiem, że nie powinniśmy trzymać w domu niczego w formie papierowej. Ale jeden z kolegów z kursu postanowił nauczyć mnie piosenki, której słowa zapisałam właśnie na tej kartce. Dlatego ją zachowałam. Okazało się, że jest to kopia pierwszej strony karty, którą sporządzono, przyjmując Maxa do kliniki. Wynika z niej wyraźnie, że Max ma brata bliźniaka. Potem ktoś dokonał w niej zmian – powiedziała Corinne i puściła kopię karty w obieg wokół stołu.

Doktor Pierce sięgnął do teczki, wyjął jakieś kartki i też podał je zebrany do wglądu.

– Panna Simmen ma rację. Sprawdziłem jej informacje z danymi Rejestru Ludności w Szwecji. Mamy tu niewłaściwego bliźniaka. Teraz zniknął i bardzo się o niego martwię. Proponuję natychmiast wysłać strażników.

Zebrani wokół stołu naukowcy patrzyli na niego zdziwieni. Pierwsza odezwała się Hedda Heine.

– Jak najbardziej to popieram. A co pan o tym sądzi, doktorze Fischer?

- Tak pewnie będzie najlepiej. Niech przeszukają dolinę – odpowiedział Fischer. Wziął do ręki papiery i nie okazując żadnego zainteresowania, podał je dalej.
- Rozpoczynamy poszukiwania Maxa. Niech Pierce skontaktuje się z centralą.
- Poszukiwania Daniela. Nie Maxa – poprawiła go Corinne.

Doktor Fischer wstał, spojrzął na zegarek.

- Mam jeszcze trochę pracy, mam nadzieję, że mi wybaczycie.

Po jego wyjściu wokół stołu rozpoczęła się ożywiona dyskusja.

Corinne milczała. Dyskusja w jakiejś mierze dotyczyła także jej, czuła się skrępowana, jej obecność nie była tu potrzebna.

Doktor Pierce rozmawiał przez komórkę z centralą. Był jedyną osobą, którą znała z tego grona, i to on zaprosił ją na to zebranie. Postanowiła, że zaczeka aż skończy rozmawiać, pożegna się z nim i wyjdzie.

W momencie, kiedy doktor rozłączył się, rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła jedna z opiekunek. W rękę trzymała komórkę.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Mam telefon z włoskiej policji. Ktoś chce rozmawiać z szefem kliniki.

- Doktor Fischer właśnie wyszedł. Proszę zadzwonić na jego komórkę.

– Nie odpowiada – powiedziała opiekunka. Zamachała trzymanym w rękę aparatem. – To chyba coś pilnego.

- Ja odbiorę – stwierdził doktor Pierce.

Opiekunka podała mu komórkę, mężczyzna odszedł nieco na bok, w stronę okna.

Kiedy skończył rozmawiać, odwrócił się do pozostałych:

– Policja w Neapolu pyta, czy Max Brant nadal przebywa w Rajskiej Dolinie. Cztery dni temu zatrzymali mężczyznę za napaść na kobietę. Podejrzewają, że jest to Max.

Daniel wziął dwie niewielkie tabletki, które podał mu strażnik razem z plastikowym kubkiem wody. Bolała go głowa, język miał sztywny, czuł absmak. Miał nadzieję, że tabletki złagodzą jego fizyczne dolegliwości i stłumią rodzący się w nim lęk i poczucie zamknięcia.

Tabletki miały dokładnie takie działanie, jakiego się spodziewał. Jego zmysły zostały przytępione, poczuł cudowną obojętność. Już prawie zasypiał, kiedy zjawił się strażnik, żeby zaprowadzić go do łazienki, gdzie miał załatwić swoje potrzeby i wziąć szybki prysznic.

Nie jesteśmy pod ziemią, jesteśmy pod wodą – pomyślał, kiedy przechodził korytarzem, umyty i przebrany w biało-czarne dresy, jak pozostali pacjenci.

Miał wrażenie, że zarówno jego ciało, jak i myśli płyną.

Przed nim szedł szczupły mężczyzna z ogoloną głową. Podobnie jak Daniela eskortował go strażnik. Mężczyzna poruszał się rwanymi ruchami, co chwila się zatrzymywał, komentując otoczenie.

– Ładne i spokojne miejsce. Tylko trochę tu ciasno. Powinno się poszerzyć te pomieszczenia.

Mężczyzna zatrzymał się i zaczął uderzać w ściany. Strażnik czekał cierpliwie. Także Daniel i jego strażnik musieli zatrzymać się i czekać, bo korytarz był zablokowany.

– I ci paskudni ludzie w środku – wycedził przez zęby chudy mężczyzna, wskazując na jedno z okrągłych okien, gdzie jakiś inny mężczyzna wykrzywił usta i bezdźwięcznie uderzał ręką w szkło. – Nie mogę na nich patrzeć. Sprowadźcie tu ładniejszych ludzi. Jakieś apetyczne laski. Nie byłyby lepsze?

Nagle odwrócił się do Daniela. Był to Tom, skory do bijatyki stolarz i rzeźbiarz. Uśmiechnął się szeroko, zanim strażnik pociągnął go dalej.

Po kilku chwilach Daniel znalazł się z powrotem w celi, a zaraz potem, chociaż może wcale nie było to tak szybko, w drzwiach stanęły trzy osoby. Doktor Fischer, hinduski lekarz i mężczyzna w jeansach i koszuli, którego Daniel w pierwszej chwili nie rozpoznał, ponieważ tym razem nie miał na sobie swojej czapki.

– Dzień dobry – przywitał się doktor Fischer. – Mam nadzieję, że dobrze spałeś. Pobierzemy ci krew do analizy. Nie musisz wstawać, wystarczy, że podwiniesz rękaw. Poczujesz leciutkie ukłucie, doktor Kalpak świetnie to robi. Zaraz do was

wrócę, muszę tylko odprowadzić pana Jonesa.

Hinduski lekarz przesunął jedwabiące miękkimi opuszkami palców po rękę Daniela, zanim wbił igłę w żyłę. Daniel poczuł ciepło, a potem lekkie łaskotanie, gdy krew zaczęła płynąć do niewielkiej rurki.

Zanim doktor Fischer wrócił, doktor Kalpak zdążył napełnić krwią Daniela szereg różnych rurek, które teraz stały na specjalnym statywie. Doktor wyjął igłę z żyły Daniela, zaklecił ranę plastrem, ukłonił się dyskretnie i oddalił.

– Doktor Kalpak jest moim osobistym chirurgiem. Jest niezwykle zręczny. Jego siostra jest pierwszą skrzypaczką w Londyńskiej Orkiestrze Symfonicznej – poinformował doktor Fischer.

– Kim jest ten drugi mężczyzna? – spytał Daniel.

– Chodzi ci o Jonesa?

– Tak. Jest lekarzem?

– Jest jednym z najhojniejszych sponsorów Rajskiej Doliny.

Daniel usiadł. Tabletki przywróciły mu spokój, sprawiły, że przestał się bać.

– To Amerykanin, prawda? Chodzą plotki, że został przysłany tu przez CIA.

Doktor Fischer wzruszył ramionami.

– Ludzie opowiadają różne rzeczy.

– W większości plotek jest jakieś ziarno prawdy. A tak przy okazji, co to za miejsce? Jakie macie plany wobec ludzi, których tu trzymacie?

– Zamierzamy im pomóc.

– Pomóc?

– Tak. I nie tylko tym ludziom, tylko ludziom w ogóle, wszystkim.

Daniel z trudem pohamował śmiech. Doktor Fischer naprawdę był szalony.

– Jak? – spytał.

– Chętnie ci to wytłumaczę, ale proponuję, żebyśmy przenieśli się do mojego niewielkiego mieszkanca. Skoro doktor Kalpak pobrał ci krew, możesz teraz spokojnie coś zjeść. A ponieważ sam jeszcze nie zdążyłem zjeść śniadania, proponuję wspólny posiłek. Herbata i tost? U mnie?

Daniel gotów był oddać wszystko, byle choćby na chwilę opuścić cuchnącą celę, przyjął więc propozycję z wdzięcznością.

Doktor Fischer poprawił kotarę zasłaniającą stalowe drzwi i zapalił światło. Mieszkanie sprawiało przyjemne wrażenie, korytarz z hermetycznie zamkniętymi celami wydał się nagle czymś nierzeczywistym, mimo że przed chwilą nim szli.

Doktor poprosił Daniela, żeby usiadł w tym samym fotelu, w którym siedział poprzedniego wieczoru, i zaczął nakrywać do śniadania na małym stoliku. Daniel miał wrażenie, jakby po prostu zasnął w fotelu, a wydarzenia wieczora i poranka

były jedynie sennym koszmarem. Ale jego biało-czarny dres i plaster na rękę po pobraniu krwi przez doktora Kalpaka świadczyły o tym, że jednak było inaczej. Mimo tabletek czuł się podniecony i rozbudzony i z trudem przełykał tost z dżemem rabarbarowym, który przygotował mu doktor Fischer.

– Zdarza się, że zapraszam pacjentów na filiżankę herbaty i pogawędkę. Oczywiście nie wszystkich, ale właśnie takich jak ty.

Daniel powędrował wzrokiem w stronę kotary po lewej stronie pokoju. Jeśli dobrze pamiętał, kryły się za nią drzwi. To właśnie tamtędy wchodzili poprzedniego wieczoru. Drzwi łączyły ich z podziemnym labiryntem. A może się mylił?

– Cenię sobie inteligentnych partnerów. Jedz, proszę. Czy coś cię rozprasza? Ach tak, pewnie tamte drzwi. Żeby przez nie wyjść, trzeba znać kod i mieć specjalną kartę magnetyczną. Poza tym na zewnątrz zawsze jest strażnik. Tamtędy na pewno nie wyjdiesz. Pijesz herbatę bez mleka, dobrze pamiętam?

Doktor Fischer dolał mleka do swojej herbaty i zamieszał.

– Niczego do niej nie dodałem – powiedział, wskazując głową na nietkniętą herbatę Daniela. – Dostałeś wszystkie potrzebne leki. Mam nadzieję, że dobrze je dobrałem. Spokojny, nieco wyciszony, ale zdolny do inteligentnej rozmowy. To jest pożądaný stan.

Nagle pochylił się w stronę Daniela i zaczął mówić do niego szeptem, jakby zwierzał mu się z jakiejś tajemnicy.

– Jeśli mam być szczery, to nie jestem zwolennikiem leków psychotropowych. To prymitywny sposób leczenia. W przyszłości będziemy stosować bardziej wyrafinowane środki.

Daniel wypił ostrożnie łyk herbaty.

Karl Fischer skinął głową zadowolony. Odchrząknął i mówił dalej:

– Jak zapewne zauważyłeś, w Rajskiej Dolinie pracujemy nad wieloma projektami. Mamy nadzieję, że dzięki szerokiemu wachlarzowi zagadnień dowiemy się w końcu nie tylko, co powoduje psychopatię, ale też jak ją leczyć. Zapoznałeś się z projektem „Pinokio”, autorstwa doktora Pierce’a. Postrzega on psychopatę jako drewnianą lalkę, będącą „prawie” człowiekiem. Jak zapewne już się domyśliłeś, nie podzielam jego przekonania. Czy psychopata miałby być w mniejszym stopniu człowiekiem tylko dlatego, że nie posiada sumienia? Chociaż to pewnie zależy od tego, jak definiujemy człowieka.

– A projekt, nad którym tu pracujecie? Na czym on polega? – przerwał mu Daniel, niezbyt zainteresowany definicjami doktora Fischera.

– Uważasz, że za bardzo zbaczam na filozofię? Prawda jest taka, że filozofia, medycyna i psychiatria coraz bardziej się do siebie zbliżają. Dlaczego ewolucja

wyposażyla człowieka w sumienie?

Daniel nie wiedział, czy pytanie było czysto retoryczne, czy Fischer oczekiwał od niego odpowiedzi. Na wszelki wypadek postanowił odpowiedzieć.

– By ograniczyć działania agresywne i egoistyczne. Gdyby nie nasze sumienie, pozabijalibyśmy się nawzajem, co doprowadziłoby do zagłady gatunku.

– Naprawdę? – zawołał Karl Fischer z udawanym zdziwieniem. – Czy szczur ma sumienie? A zaskroniec?

Tym razem Daniel postanowił milczeć.

– Nie sądzę – ciągnął doktor Fischer. – Sumienie nie jest konieczne, by gatunek przetrwał. Więc czemu je posiadamy?

Daniel nie odpowiedział. Fischer bynajmniej nie szukał partnera do rozmowy, chciał jedynie mieć publiczność do swoich wywodów.

– Prawdopodobnie... – zaczął doktor i nieco teatralnie zawiesił głos, trzymając swojego słuchacza w napięciu. Spokojnie wypił kolejny łyk herbaty. – A więc prawdopodobnie – ciągnął po chwili – wykształciło się dlatego, żeby najsilniejszy w stadzie nie zjadł wszystkiego, nie zostawiając nic innym. Przetrwanie grupy jest ważniejsze niż życie pojedynczych osobników. Głodne, błagalne spojrzenia wywoływały altruistyczne zachowania. W swojej prymitywnej formie sumienie było po prostu reakcją zwierząt na płacz potomstwa. Rodzajem instynktu, wewnętrznym głosem. Tyle że człowiek, w przeciwieństwie do zwierzęcia, potrafi działać wbrew swojemu wewnętrznemu głosowi. Dlatego został wyposażony w delikatny mechanizm regulujący jego zachowanie. Tym mechanizmem jest poczucie winy. Określiłbym je jako rodzaj termostatu, który włącza się, gdy człowiek oddala się zbyt daleko od ustalonego programu. W epoce kamienia łupanego system ten zapewne funkcjonował znakomicie. Ale dzisiaj? Czy nadal żyjemy w lesie, w stadach? Nie, jesteśmy jednostkami, które współpracują i konkurują z sobą na rynku. Sumienie i poczucie winy jest nam dzisiaj równie potrzebne jak wyrostek robaczkowy. Prawda jest taka, że radzilibyśmy sobie znacznie lepiej bez nich. Jako gatunek, oczywiście. Niektóre jednostki nie udźwignęłyby ciężaru, ale taka jest cena ewolucji.

Kiedy Fischer pił kolejny łyk herbaty, Daniel wykorzystał okazję, by wtrącić kilka słów.

– Jeśli dobrze pana rozumiem, doktorze, nie jest pan zainteresowany leczeniem psychopatów? Charakteryzujący ich brak sumienia jest według pana atutem.

– Nie podchodzę do psychopatów tak jak większość naukowców, to prawda – potwierdził doktor Fischer, kiwając poważnie głową. – Trzymając się nadal terminologii filozoficznej, powiedziałbym, że psychopata nie oznacza cofnięcia się

w rozwoju do bardziej prymitywnego stadium, jak niektórzy uważają. Wręcz przeciwnie. Tego typu odchylenia są spowodowane tym, że natura próbuje wykształcić nowe modele funkcjonowania. Jeśli okażą się dobre, wtedy zaczyna je powielać. Jest faktem, że liczba zdiagnozowanych przypadków psychopatii wzrasta z roku na rok. Kiedy zaczynaliśmy naszą działalność w Rajskiej Dolinie, musieliśmy bardzo aktywnie szukać potrzebnych nam przypadków. Dzisiaj toniemy w prośbach, kierowanych do nas ze wszystkich krajów europejskich. Rozpatrujemy pozytywnie jedynie ułamek wszystkich próśb. Patrząc na problem z perspektywy ewolucji, mogę stwierdzić, że zachowania psychopatyczne cieszą się powodzeniem.

– Nie widzę żadnych pozytywów w tym, że zwiększa się liczba morderców, gwałcicieli i złodziei – zaprotestował Daniel.

– Masz całkowitą rację. Rajska Dolina jest pełna kretynów działających pod wpływem chwili. Większości psychopatów brakuje bowiem nie tylko sumienia, ale i cierpliwości, wytrwałości i samokontroli, co sprawia, że nie nadają się do wielu zadań. Wielu szefów mafii czy grup terrorystycznych się o tym przekonało. Ich marzeniem jest psychopata, którym można sterować. Pozbawiony uczuć wyższych, ale lojalny wobec swego mocodawcy. Odważny, ale ostrożny, gdy trzeba. Inteligentny, ale niekoniecznie samodzielny i twórczy. Krótko mówiąc: robot. Wyobrażasz sobie, jak przydatna taka jednostka może być w pewnych sytuacjach?

Karl Fischer zawiesił głos i spojrzał znacząco na Daniela, jakby chciał sprawdzić, czy ten nadaża za jego wywodem.

Daniel pokiwał poważnie głową.

– Naprawdę można stworzyć kogoś takiego?

Fischer rozłożył ręce.

– Być może.

– Dlatego Jones tu przyjechał? Pracujecie dla CIA?

– CIA tak uważa – zachichotał Fischer. – Amerykanie! Uznali, że tworzę ludzkie pociski, którymi będą mogli się posłużyć w jednej ze swoich licznych wojen. Ale dopóki pompują dolary w Rajska Dolinę, nie zamierzam wyprowadzać ich z błędu. Bez ich pieniędzy nie bylibyśmy w stanie się rozwijać. Przykładem tego jest mój własny oddział badawczy – powiedział, wskazując ręką na drzwi za kotarą. – Nigdy by nie powstał, gdyby nie hojność pana Jonesa. Dlatego godzę się na jego obecność w klinice. Pozwalam mu uczestniczyć w niektórych eksperymentach, od czasu do czasu wysyłam mu jakiś tajny raport. On oczywiście nie ma pojęcia, czym ja się naprawdę zajmuję. Wierzy, że dążymy do tego, by móc okiełznać bestie. Co jest całkowicie błędne. Mój projekt to coś znacznie większego.

– Czyli?

– Chcę stworzyć szczęśliwego człowieka. Świat bez cierpienia – powiedział Fischer, wzruszając ramionami.

– No proszę. Jak można to osiągnąć?

– Na ogół ludzie cierpią z nadmiaru uczuć.

– Chce pan odebrać ludziom uczucia? – wykrzyknął Daniel. – Zrobić z wszystkich psychopatów? To jest cel pańskiego projektu?

Mimo tabletek był tak wzburzony, że ledwie mógł wysiedzieć w fotelu.

Karl Fischer położył rękę na jego dłoni.

– Pozwól mi dokończyć. Nie chcę nikomu niczego odbierać. Chcę tylko nieco zmniejszyć temperaturę.

Uścisnął lekko dłoń Daniela, uśmiechnął się uspokajająco i po chwili wrócił do swojego wywodu.

– Kiedy w czasie studiów miałem praktyki w klinice psychiatrycznej, zdziwiło mnie ogromne poczucie winy, które mieli pacjenci. Często było to bezsensowne. Bo jak można czuć się winnym z powodu czegoś, czego się nie kontroluje? Z powodu czegoś, co się zrobiło i czego już się nie zmieni. To całkowicie niepotrzebne cierpienie. Wysłuchiwałem tych ludzi i byłem coraz bardziej zdziwiony. Ponieważ sam nigdy niczego podobnego nie doświadczyłem, tym bardziej było to dla mnie interesujące. Cały ten strach. Cierpienie. Ludzie zdrowi na ciele, którzy mogliby znakomicie funkcjonować, gdyby nie te ich uczucia.

Wypluł ostatnie słowo, jakby psuło mu smak.

– Ale czy właśnie nie uczucia czynią z nas ludzi? – zaprotestował Daniel. Czuł, że ma ściśnięte gardło.

– A kto zdecydował, kim jest człowiek? Czy to jest coś dane raz na zawsze? „Człowiek jest liną rozpiętą między zwierzęciem a nadczłowiekiem” – mawiał stary poczciwy Nietzsche.

Daniel otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Fischer nie dał się powstrzymać.

– Jakie prawo każe człowiekowi cierpieć? W moim gabinecie przepisywałem pacjentom leki, by stłumić ich lęki. Ale to działania doraźne. Plaster na ranę. A ja nie chcę tylko przeklejać plastrów. Tłumić, skrywać. Chcę, by zło znikło. Wyobrażasz to sobie, Danielu? Że zła nie ma. Nie byłoby to fantastyczne?

– Nadal nie rozumiem jak... – próbował wtrącić Daniel, ale Fischer słuchał już tylko siebie.

– Pomyśl, ile zła wyrządziło właśnie poczucie winy! Pamiętaj, że rozmawiasz z Niemcem! – powiedział Fischer i pogroził mu palcem. – Jesteśmy ekspertami od poczucia winy. Po I wojnie światowej postanowiono nas złamać i upokorzyć. Nie dość, że musieliśmy płacić gigantyczne odszkodowania, oddać kolonie

i zrezygnować z armii. Najbardziej upokarzające było to, że zmuszono nas do podpisania specjalnego paragrafu, w którym uznawaliśmy się za winnych wojny. Czyli nasze cierpienia były naszą winą. Nikt nie jest w stanie udźwignąć tak ciężkiego brzemienia. To właśnie ono sprawiło, że czara goryczy się przelała. Chcieliśmy zadośćuczynienia. Czyli nowej wojny. Poczucie winy prowadzi do cierpienia, a cierpienie staje się powodem poczucia winy. Tak jest od zawsze. Dlatego twierdzę, że należy to przerwać! Poczucie winy nie jest nam potrzebne!

– Chyba nie chciałbym mieć do czynienia z człowiekiem, któremu poczucie winy jest obce – powiedział Daniel cicho.

– Ale jeśli wszyscy będą tacy sami? W moim świecie nie będzie miejsca na wrażliwców takich jak ty. Nie rób takiej zszokowanej miny. Co dała ci ta twoja wrażliwość? Wpadłeś w depresję. Dobrze ci z nią było?

– Skąd pan wie, że przechodziłem depresję? – wykrzyknął Daniel zdziwiony.

Karl Fischer zignorował jego pytanie.

– Masz duszę człowieka z epoki kamiennej, a żyjesz w społeczeństwie technologicznym. Na tym polega twój problem, Danielu. Świat potrzebuje ludzi odważnych, przedsiębiorczych, silnych. Związki zawodowe i państwo już się o ciebie nie zatroszczą. Musisz walczyć sam. Większość nie potrafi. Traci pracę, zamienia się w zdezorientowane wraki ludzkie, na których zarabiają psychologowie, producenci alkoholu i przemysł farmaceutyczny. Mam serdecznie dosyć wszystkich, którzy zbijają majątek na ludzkim cierpieniu. Terapeuci, pigularze, wszelkiej maści uzdrowiciele. Księża, pisarze i artyści. Wszyscy, którzy pasożytują na wrażliwych ludzkich sumieniach, na ich cierpiących duszach!

Karl Fischer coraz bardziej się podniecał, Daniel chciał zaprotestować, ale czuł dziwną pustkę. Wiedział, że Fischer nie ma racji, ale nagle zabrakło mu argumentów. Może był to wynik tabletek, które mu podano.

– Nie zgadzam się z panem – powiedział tylko cicho.

Doktor uśmiechnął się, ale nagle się opamiętał.

– Oczywiście. Jesteś częścią tego wszystkiego i nie możesz widzieć tych spraw z mojej perspektywy. Uwierz mi jednak, że przesadzona wrażliwość to pozostałość z wcześniejszego stadium rozwoju. Jak owłosienie ciała. Nie potrzebujemy go, więc wolno nam je usunąć.

Z kieszeni doktora Fischera dobiegły różne dźwięki *Pstrąga*. Doktor przerwał rozmowę, odebrał komórkę.

– Doskonale – powiedział po chwili, chowając aparat do kieszeni. – Dzwonił doktor Kalpak. Twoje wyniki są bardzo dobre, jesteś całkowicie zdrowy. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy jak najszybciej rozpoczęli terapię.

– Terapię? Jaką? – zdziwił się Daniel zaniepokojony.

– Nie mam czasu, żeby ci to teraz tłumaczyć. W skrócie można powiedzieć, że w pewnym sensie jest to przeciwieństwo projektu „Pinokio”.

Daniel zaczerpnął powietrza i, usiłując zachować spokój, powiedział:

– Chce pan zamienić człowieka w drewnianą lalkę?

– Tak bym tego nie określił. Ale widzę, że lalka jako symbol przypadła ci do gustu. „Pacynka, którą ktoś nałożył na rękę”. Nie tak kiedyś siebie określiłeś?

Daniel zamarł.

– Skąd pan wie?

– Powiedziałeś to kiedyś swojemu psychiatrze. Leczyłeś się na depresję, pamiętasz?

Doktor Fischer podszedł do półki z książkami i zaczął czegoś szukać.

– Nie pojmuję, jak pan dotarł do tych informacji.

– Mam szeroką sieć kontaktów. My, lekarze, musimy z sobą współpracować, jeśli nasze badania mają się rozwijać – wyjaśnił i wziął do ręki jeden ze stojących na półce segregatorów. Odsunął filizanki i talerzyki i położył go na stole.

– Karty pacjentów objęte są tajemnicą lekarską – zaprotestował Daniel.

– Niekiedy dobro ogółu jest ważniejsze niż dobro jednostki – wymamrotał Fischer, przewracając kartki w segregatorze. – Tak przynajmniej uznał twój psychiatra, kiedy uświadomiłem mu, że wiem o relacji wiążącej go z jedną z jego pacjentek. Gdyby informacja ta trafiła w niepowołane ręce, mogłaby istotnie zaszkodzić jego karierze i małżeństwu. Z twoich rozmów z nim wynika, że... O tutaj: „...że masz słabe poczucie własnego ego i że całe życie czułeś się zdominowany przez brata. Wręcz postrzegasz siebie jako jego bladą kopię”. Bardzo ciekawe. Próbowaleś odnaleźć się w życiu, ale bez niego zawsze czułeś się „pusty, pozbawiony wnętrza, gotów pozwolić się wypełnić treścią każdemu, kto się do ciebie zbliży. Jak pacynka”. No właśnie.

Doktor Fischer zamknął segregator zadowolony.

– Kiedy to przeczytałem, zrozumiałem, że możesz się okazać bardzo wartościowym nabytkiem. Niestety okazało się, że nie jesteś taki, jak sądziłem. Ale masz wszelkie dane, by takim się stać.

Sala operacyjna wydawała się prymitywna i tymczasowa, jakby ktoś rozkładał ją w pośpiechu, żeby przyjąć ofiary katastrofy: nierozpakowane kartony, zsunięta w kącie aparatura, plastikowe wiadro pełne brudnych wacików.

Ku własnemu zdziwieniu Daniel stwierdził, że nie czuje strachu. Podejrzewał, że było to zasługą zastrzyku, który zaaplikował mu doktor Kalpak. Chirurg wyciągnął strzykawkę nagle, z zaskoczenia, jakby cały czas miał ją w rękawie, i przemawiając do niego łagodnie, wkłuł mu igłę w rękę. Zastrzyk zawierał pewnie środek, który wcześniej podano mu w tabletkach, bo podobnie jak wtedy miał wrażenie, że płynie, a w każdym razie idzie przez wodę. Poczł się lekki, uległy, dwaj strażnicy nie musieli w ogóle używać siły, by ułożyć go w czymś, co przypominało nowoczesny fotel dentystyczny. Był pokryty zielonym papierem, którego najwyraźniej nie wymieniono po poprzednim zabiegu, widać było ciemne plamy, miejscami był rozerwany, jakby pacjent nie mógł spokojnie uleżeć.

Doktor Kalpak podszedł do Daniela z jakąś dziwną maszynką, która z bliska okazała się zwykłą golarką. Daniel poczuł ulgę i roześmiał się. Doktor Kalpak też się zaśmiał, obnażając rząd śnieżnobiałych zębów. Przeciągnął maszynką po głowie Daniela, kosmyki jego ledwie odrośniętych włosów poleciały na podłogę.

– Jak u fryzjera, co? – zawołał zadowolony.

Nagle po jego drugiej stronie pojawił się Karl Fischer. Między kciukiem a palcem wskazującym trzymał mały metalowy pręt o długości pięciu, sześciu centymetrów. Daniel patrzył na niego zdumiony.

– Co to jest? – spytał.

Fischer zdawał się zastanawiać nad odpowiednią odpowiedzią.

– Potraktuj to jako rękę, która cię wypełni – powiedział w końcu, trzymając w dłoniach pręt.

Daniel nie był zadowolony z odpowiedzi, ale zanim zdążył zaprotestować, rozległ się hałas, jakby głos grzmotu gdzieś z daleka. Butelki i narzędzia na półkach zaczęły drzeć.

– Boże, znów coś wysadzają! – krzyknął doktor Kalpak. – Musimy poczekać. Nie możemy operować przy takich wstrząsach.

– Już po wszystkim. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa – stwierdził doktor Fischer spokojnie.

– Żadnych wibracji! Nie może być żadnych wibracji! – powtarzał doktor Kalpak zaniepokojony. – Muszę go umieścić z dokładnością co do milimetra.

– I tak będzie. Poradzi pan sobie.

Lekarze, stojący każdy po swojej stronie fotela, patrzyli na siebie, ale w pomieszczeniu słychać było jedynie szum wentylatora.

Fischer skinął głową zachęcająco, Kalpak zgolił resztkę włosów z głowy Daniela. Rozległ się lekki szum, oparcie fotela opadło, a cały fotel został uniesiony do góry.

Doktor Kalpak położył coś na czole Daniela, rodzaj metalowej obręczy, którą przytwierdził tak, by Daniel nie mógł ruszyć głową.

Obaj lekarze spojrzeli na siebie ponownie. Lewa powieka Fischera drgnęła niemal niezauważalnie.

– Co wy zamierzacie... – zaczął Daniel.

Sekundę później jego głowa eksplodowała w iskrach bólu. Usłyszał krzyk, może własny, i jego świadomość urwała się jak przepalona taśma filmowa.

Ciemność doskonała, pomyślał Daniel zdziwiony. Gęsta materia otaczała go ze wszystkich stron, wdzierала się do ust, do nosa. Żadnego przebłysku światła, żadnego jaśniejszego odcienia czerni. Jakby znalazł się w nowym wymiarze, nie potrafił powiedzieć, gdzie góra, gdzie dół. Unosiła się gdzieś w przestworzach. Fakt, że biegun północny jest na górze, a południowy na dole, to jedynie przesąd. Dlaczego tak to określamy? Góra, dół. W stosunku do czego?

Oczywiście był martwy. Góra-dół nie istniało. Nie było żadnego punktu odniesienia. Coś ciężkiego i kanciastego uciskało jego prawą nogę i biodro, konkretnie i boleśnie. Próbował pozbyć się ciężaru, zepchnąć go z siebie, ale okazało się, że nie może się ruszyć. Gdzie byli obaj lekarze, doktor Fischer i doktor Kalpak?

Nagle zrozumiał, co się stało. Eksplozje. Podziemny świat doktora Fischera nie był formalnie powiązany z Rajską Doliną, nie uwzględniały go żadne projekty, nie istniał. Dlatego nie wzięto go pod uwagę, rozmieszczając ładunki dynamitu. Pomieszczenie, w którym się znajdował, a może nawet cały dział, legł w ruinach.

Pogrzebany żywcem! Nie chciał dopuścić tej myśli do swojej świadomości.

Zaczął krzyczeć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, czuł tylko ból. I betonowy pył w gardle. Zaczął kasłać, znów poczuł ból.

Nagle doszedł go jakiś dźwięk. Maszyny? I czyjś głos? Jakby zawodzenie, przechodzące w drżący pomruk. Leżał cicho i nasłuchiwał w skupieniu. Miał wrażenie, że rozpoznaje melodię. *The Star Spangled Banner*. Hymn Stanów Zjednoczonych. Brzmiał dziwnie. Jakby ktoś głosem usiłował naśladować dźwięki gitary elektrycznej.

– Tom! – zawołał. – To ty?

Tempo melodii przyspieszyło, słyszał to krzyki, to niskie mruczenie. Po gwałtownym *crescendo* rozległo się kliknięcie i w ciemności rozbłysnął niewielki płomień.

Nagle objawił się przed nim Tom. W ręku trzymał zapalniczkę, w jej bladym świetle Daniel zobaczył jego wychudzoną twarz i ogoloną głowę. Naśladowanie gitary wyraźnie go wyczerpało. Tom z trudem łapał powietrze, w kąciku ust miał ślinę, poza tym jednak wyglądało na to, że jest cały.

– Możesz mi pomóc, Tom? Jestem tu unieruchomiony – jęknął Daniel.

– Tak, tu jest zdecydowanie za ciasno – przyznał Tom, ale się nie ruszył.

W słabym świetle Daniel mógł teraz dostrzec zmiażdżone bloki betonu i zniszczone zbrojenia. On sam leżał na wykładanej kafelkami podłodze przygnieciony dziwnym fotelem zabiegowym.

– Tom – jęknął znów.

Tom podszedł bliżej, poświecił na niego zapalniczką. Zrobił kilka kroków do tyłu i zaczął mu się bacznie przyglądać. Przeciągnął ręką po ogolonej czaszce i w końcu stwierdził:

– Ten złom trzeba usunąć. Zasłania mi ciebie.

– W pełni się z tobą zgadzam – wycedził Daniel. – Ale nie mogę nic zrobić. Pomożesz mi?

Tom podszedł bliżej, zaczął mu się przyglądać, jakby chciał ocenić sytuację. Uklęknął obok Daniela, podał mu zapalniczkę.

– Potrzyмай.

Następnie z całą siłą oparł się ramieniem o betonowy blok. Nie był w stanie go ruszyć.

– Nie da rady – oświadczył. – Chyba musisz się z tym pogodzić. Ale nie jest to ładny widok.

– Może spróbujesz mnie wyciągnąć – wyszeptał Daniel.

Tom westchnął, zaczynał być zmęczony tą niecodzienną sytuacją. Chwycił jednak Daniela pod rękę i poirytowany zaczął ciągnąć. Udało mu się przesunąć go o dobre kilkadziesiąt centymetrów. Skutek był taki, że teraz cały ciężar spoczywał nie na biodrze Daniela, tylko na jego nogach. Daniel zawył z bólu, w jakiś sposób udało mu się przeczołgać jeszcze kawałek i w końcu był wolny. Przekręcił się na bok, chwycił ręką za kostkę i jęknął.

– Znacznie lepiej wyglądasz bez tego złomu – powiedział Tom zadowolony.

Daniel wstał, stwierdził, że nie ma żadnych złamań i poświecił wokół zapalniczką. Byli uwięzieni na niewielkiej przestrzeni, wszędzie leżały betonowe bloki i pręty zbrojeniowe.

Tom zagwizdał i wskazał na coś dłonią. Spod betonowego bloku wystawała ręka w białym lekarskim fartuchu. Skóra ręki była ciemna, powierzchnia dłoni nieco jaśniejsza, palce szczupłe i długie jak lodygi kwiatów.

– Doktor Kalpak – stwierdził Tom.

Schylił się, dotknął ostrożnie długich palców i pokiwał smutno głową.

– Byłby świetnym gitarzystą.

– Jego siostra jest pierwszą skrzypaczką w Londyńskiej Orkiestrze Symfonicznej – wymamrotał Daniel, próbując wyczuć puls na jeszcze ciepłej dłoni.

Przyglądał się kupie betonu, która sięgała niemal do sufitu. Gdzieś tam w środku

znajdował się zapewne doktor Fischer.

– Gdzie byłeś, kiedy wszystko zaczęło się walić? – spytał Toma.

– W poczekalni. Miałem być operowany zaraz po tobie. Poszedłem do kibla, strażnik czekał na zewnątrz. Spuściłem wodę i nagle zaczęło się dziać coś dziwnego. Może wcisnąłem niewłaściwy guzik? A ty? Byłeś w trakcie operacji?

Pokazał ręką na świeżo ogoloną głowę Daniela, który nagle poczuł, jak coś ciepłego i lepkiego spływa mu po skroni na policzek. Przerażony uniósł rękę do głowy, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i tylko musnął lekko bolące miejsce tuż nad prawym uchem.

Tom wyjął mu z ręki zapalniczkę i poświecił tuż przy głowie.

– Powierzchnowa rana. Pewnie dostałeś w głowę kawałkiem betonu – powiedział. – Muszę się zbierać – dodał po chwili.

Odwrócił się, Daniela znów ogarnęły ciemności. Natomiast Tom z niezwykłą zwinnością zaczął się wspinać na stertę zbitego betonowego gruzu.

– Uważaj, żeby nic się na ciebie nie obsunęło! – krzyknął Daniel, widząc, że Tom jak kozica skacze z jednego bloku betonu na drugi.

Dokąd zamierza pójść? – zastanawiał się.

– Cholernie tu ciasno. Trzeba to usunąć – prychnął Tom. – I to też – dodał.

Stał na szczycie stery gruzu, osłaniając dłonią migoczący płomień zapalniczki.

– Trzeba by usunąć znacznie więcej – powiedział Daniel.

Nagle zrobiło się ciemniej. Daniel zobaczył przerażony, że Tom znika między betonowymi blokami.

– Zaczekaj! Dokąd idziesz? – zawołał, bojąc się, że zostanie sam w ciemności.

– O, teraz lepiej – doszedł go głos Toma gdzieś z góry. Po chwili Daniel zobaczył jego głowę między stertą gruzu a sufitem. – Idziesz czy zostajesz tu? – zawołał Tom.

– A co jest tam, po drugiej stronie? – spytał Daniel zaniepokojony, wdrapując się powoli na leżące pod ścianą betonowe bloki.

– Nie wiem, czy ci się spodoba, ale przynajmniej nie jest tam tak cholernie ciasno.

– To sale zabiegowe? Korytarze?

– Coś takiego.

– Są tam jacyś ludzie?

Tom odwrócił się, ręka z zapalniczką zniknęła, zapanowała ciemność. Jego głos dochodził teraz gdzieś z dołu, odbijał się dziwnym echem.

– Nie – powiedział. – Chociaż chyba tak – poprawił się. – W pewnym sensie – dodał.

– Zaczekaj – zawołał Daniel. – Podnieś zapalniczkę – dodał i nagle się potknął.

W ciemnościach szukał jakiegoś oparcia. Na szczęście zaraz zjawił się Tom i poświecił mu. Daniel zobaczył, że niewiele brakowało, a byłby wpadł do szczeliny między dwoma blokami.

– Poświeć jeszcze chwilę, proszę.

Tom westchnął zniecierpliwiony, ale uniósł zapalniczkę. Żeby umilić sobie oczekiwanie, znów zaczął naśladować dźwięk gitary elektrycznej.

Kiedy Daniel dotarł w końcu do ostatniego bloku betonu, Tom cofnął się, żeby zrobić mu miejsce. Daniel zobaczył wąską szczelinę i w pierwszej chwili pomyślał, że nie da rady się przez nią przecisnąć. Potem jednak doszedł do wniosku, że skoro Tomowi się udało, to i on, chociaż nie był aż tak szczupły, powinien przynajmniej spróbować. Zresztą jaki miał wybór?

Otarł głową o beton, po policzkach poleciały mu strużki lepkiej krwi. Zacisnął zęby i przecisnął się na drugą stronę.

– Tom! – zawołał. – Gdzie jesteście?

Jego głos odbijał się echem od kamiennych ścian. Gdzieś w głębi słychać było kapanie wody.

– Gdyby nie było tu tak zimno, powiedziałbym, że to system podziemnych tuneli Wietkongu. – Rozległ się głos Toma w ciemnościach.

– Brzmiś, jakbyś był gdzieś daleko – zaniepokoił się Daniel. – Nic nie widzę. Masz zapaloną zapalniczkę?

Usłyszał kliknięcie, coś zasyczało, płomień rozświetlił wilgotne powietrze. Jakieś dziesięć metrów od niego stał Tom w ciasnym korytarzu ze sklepionym sufitem. Z ust leciała mu para.

– Mówiłeś, że są tu ludzie – przypomniał mu Daniel.

Tom wzruszył ramionami.

– Miałem na myśli tych – powiedział, zbliżając zapalniczkę do ściany.

I nagle Daniel zobaczył wnęki w ścianie. Podeszedł do nich i zaczął się im przyglądać w migoczącym płomieniu zapalniczki. Domyślał się, co zobaczy. Podobne widział w Rzymie i w Paryżu, a mimo wszystko widok brunatnych ludzkich czaszek z pustymi oczodołami sprawił, że zabrakło mu tchu. Było za ciemno, żeby mógł widzieć, co jest w pozostałych wnękach. Domyślał się jednak, że zapewne zobaczyłby leżące w szeregu ludzkie szkielety, jakby odpoczywające na dwupoziomowych łóżkach.

– Katakumby – wyszeptał. – A więc jednak istnieją.

– Na to wychodzi – stwierdził Tom. Spojrzał na zapalniczkę i nagle, w przyływie rozsądku, dodał: – Musimy oszczędzać gaz. Rozejrzyj się jeszcze ostatni raz i ruszamy dalej.

Daniel sięgnął po pręty zbrojeniowe, wystające ze sterty gruzu. Przydadzą się im, jeśli mają iść w ciemnościach. Nie chciał ryzykować potknięcia.

Zapalniczka zgasła, ruszyli przed siebie. Tom pierwszy, Daniel za nim. Jedną ręką chwycił się mocno dresu Toma, drugą macał prętem po ścianach, w których zaledwie pół metra od niego leżały szkielety w swoich otwartych grobach.

Nagle pręt Toma uderzył o kamień, coś zabrzęczało.

– Co to takiego? Koniec drogi? – spytał Daniel za jego plecami.

Tom zapalił zapalniczkę, zobaczyli, że korytarz skręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Był teraz węższy i niższy.

Zapalniczka zgasła, schylili się i szli dalej w ciemności. Tom podtrzymywał ich na duchu frenetycznym gitarowym solo. Daniel kilka razy uderzył głową o sufit. Krzyknął, kiedy cegły otarły się o ranę, z której znów poleciała krew. Tom zdawał się w ogóle nim nie przejmować, parł do przodu, nadal naśladowując dźwięki elektrycznej gitary.

Nagle zamilkł w trakcie drżącego dźwięku.

– Kolejna ściana? – spytał Daniel.

Tom przesunął się nieco w bok i wtedy Daniel zrozumiał, dlaczego się zatrzymali. Przed nimi widać było niewielki promyk światła.

– Wiedziałem, że w końcu gdzieś wyjdziemy! – wykrzyknął Daniel. – To chyba jakaś brama.

Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że to jednak nie brama, tylko ceglany mur, w którym była niewielka szczelina.

– Tak czy inaczej jest to ściana zewnętrzna – stwierdził Daniel.

Próbował dojrzeć coś przez wąską szparę. Mocne światło oślepiło go. Czy to naprawdę było zwykłe dzienne światło? Odczekał chwilę, chciał, żeby wzrok się przyzwyczaił. Po chwili znów spróbował coś zobaczyć, ale szczelina była za wąska, a światło nadal za mocne. Widział tylko białą pustkę. Co było za murem? Jakies pomieszczenie? Pusty gabinet wyłożony białymi kafelkami z neonówkami na suficie?

Nie, wyraźnie wyczuwalny ciąg powietrza zdawał się świadczyć, że jednak było inaczej. Nagle poczuł cudowny, orzeźwiający zapach świeżego powietrza! Na zewnątrz była dolina. Wolność.

Widział ironię całej sytuacji: dolina, która wcześniej była jego więzieniem, teraz oznaczała wolność. Tyle że droga do niej prowadziła przez centymetrową szczelinę. Ironia losu. Pewnie przyjdzie mu tu umrzeć. Razem z szalonym Tomem dołączą do innych szkieletów.

Przywarł ustami do szczeliny i zaczął wzywać pomocy. Jakby krzyczał do ściany.

Miał wrażenie, że głos wraca do niego, wątpił, czy ktokolwiek go usłyszy, nawet gdyby stał tuż obok. Szpara była zbyt wąska, żeby dźwięk mógł wydostać się na zewnątrz.

– Strasznie wyglądasz – powiedział Tom, patrząc z obrzydzeniem na zakrwawioną twarz Daniela.

– Przykro mi.

Zdziwiony zobaczył, jak Tom rozpina bluzę od dresu i zdejmuje ją. Po chwili zdjął też koszulkę, obnażając swój nagi, nieowłosiony tors.

– Co ty robisz? – spytał. – Zamarzniesz.

Kilkoma szybkimi ruchami Tom podarł koszulkę na kawałki. Daniel przyglądał się mu. Przez moment miał wrażenie, że Tom chce opatrzyć jego rany, ale Tom wziął do ręki kawałek materiału i dość obcesowo starł krew z jego głowy i twarzy.

– O to chodziło – powiedział.

Pokiwał głową i zadowolony przyglądał się zakrwawionej szmatce.

Daniel osunął się przy ścianie. Uniósł rękę, chroniąc oczy przed cienkim jak nić promieniem światła. Dotknął palcem wskazującym kciuka, jakby chciał złapać promyk w palce. Poświęcił tej dość bezsensownej zabawie kilka godzin, aż zmarzł tak, że niemal stracił czucie.

Tom chodził w tę i z powrotem w ciemności, mówił do siebie coś od rzeczy, czasem zaczynał śpiewać. Daniel go nie słuchał. Skupił się na promieniu, który stawał się coraz bledszy i cieńszy.

Nagle ceglana ściana runęła z hukiem, wzniesając tumany czegoś, co Daniel w pierwszej chwili wziął za kurz. Rozległy się głosy, wesołe, radosne. Ktoś zarzucił mu na ramiona koc i wyprowadził na zewnątrz. Stał oślepiiony światłem, zamrugał, przetarł oczy, powoli zaczął powracać do życia jak niedźwiedź zbudzony z zimowego snu. I natychmiast zrozumiał, dlaczego nic nie widział przez szparę w murze, dlaczego wszystko było białe i ciche.

Rajska Dolina była spowita śniegiem! Pofałdowana, miękka warstwa pokrywała grzebień lasów Ściany, dachy domów i całą dolinę, nawet zamarznięty potok.

Ale gdzie się znajdował? Zdezorientowany przyglądał się czarnym sztachetom ogrodzenia i pochyłym krzyżom, które wyglądały, jakby zostały spryskane bitą śmietaną.

– Miałeś szczęście – powiedział strażnik, który wycieńczony oparł się o ogrodzenie. – Ta brama miała się otworzyć chyba dopiero w dniu Sądu Ostatecznego.

Daniel odwrócił się. Kawalki zwałonego muru leżały w śniegu, odsłaniając wejście do niewielkiej świątyni. Boże, był na Cmentarzu Trędowatych. Grobowiec. Wyszedł z grobu!

Dwóch strażników podeszło do niego i zaprowadziło go do zaparkowanych przy drodze furgonetek.

– Tom? Gdzie jest Tom? – spytał Daniel, odwracając się.

– Tom? – Strażnicy byli zdziwieni. – On tu gdzieś jest?

W tym momencie z ciemności wynurzył się Tom. Strażnicy, którzy w swoim życiu zapewne widzieli już niejedno, patrzyli zdumieni, kiedy Tom wyslizgnął się z grobu, na wpólnagi, z ogoloną głową, rozglądając się podejrzliwie na lewo i prawo, niczym duch umykający z Hadesu.

Po chwili jednak doszli do siebie i szybko, i sprawnie założyli mu kajdanki, okryli kocem jego nagie ramiona i odprowadzili do jednej z furgonetek.

Na drodze pojawił się kolejny wóz, ledwie zdążył się zatrzymać, kiedy otworzyły się drzwi i wyskoczyła z niego Corinne. Miała różowe policzki, na głowie obramowaną futrem czapkę. Biegła przez śnieg na spotkanie Daniela. Objęła go mocno, całując jego policzki, usta, brodę.

Zrobiła krok do tyłu i zaczęła się przyglądać jego głowie.

– Trzeba cię zszyć – stwierdziła.

Daniel nigdy nie przypuszczał, że widok furgonetek może przynieść mu taką radość. Corinne i on zajęli miejsca w jednej z nich, w drugiej umieszczono Toma.

– Co za nieprawdopodobne szczęście, że udało nam się wydostać cię z tego okropnego grobu.

Kierowca włączył silnik, wóz ruszył świeżo odśnieżoną drogą.

Corinne zdjęła futrzaną czapkę, wślizgnęła się pod koc i przytuliła twarz do szyi Daniela.

– Jedziemy do kliniki? – spytał szeptem, nie będąc do końca pewien, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa, bo nadal nie odzyskał pełnej świadomości. Czuł się trochę jak aparat, którego bateria się rozładowała.

Przez krótką chwilę miał wrażenie, że widzi z góry furgonetkę, krążącą wokół ciasnej, teraz już pokrytej śniegiem doliny. Krążyła wkoło, bez przerwy, zatrzymując się tylko przed wejściem do kliniki. Jak karuzela, której wagoniki zatrzymywały się na chwilę, by zaraz znów rozpocząć swoją podróż. I wszystko zaczynało się od początku. Nie było żadnej drogi ucieczki. Być może nie było nawet dokąd uciekać, bo nie był pewien, czy poza doliną w ogóle istniał jakiś świat. Kiedykolwiek.

– Opatrz ci ranę – powiedziała Corinne, dotykając ostrożnie jego głowy. – Pójdę z tobą. Boże, jaka jestem szczęśliwa, że jesteś przy mnie. Szukaliśmy jak szaleńcy. Strażnicy nigdy by was nie znaleźli, gdyby nie zobaczyli tej czerwonej flagi na tle białego śniegu.

– Czerwonej flagi? – powtórzył Daniel zdziwiony. – Chodzi ci o koszulkę Toma, poplamioną moją krwią? Udało mu się przywiązać ją do metalowego pręta i wypchnąć przez szczelinę. Uznałem, że jest szalony.

– Jest – przytaknęła Corinne. – Ale uratował ci życie – powiedziała, ocierając się twarzą o jego szyję jak kot.

W apartamencie gościnnym w starym budynku kliniki Daniel i Corinne mogli po raz pierwszy położyć się spać w małżeńskim łóżu.

– Jesteś pewna, że rano będziemy mogli stąd wyjechać? Oboje? – upewniał się Daniel.

Corinne leżała na jego ramieniu. Na zewnątrz, za wysokimi oknami wirowały płatki śniegu, białe piórka w ciemności.

– Nikt nas nie zatrzyma – powiedziała. – Nie mają do tego prawa. Doktor Pierce otrzymał ze Szwecji twoje dane osobowe. Możesz jechać. Nic ci nie mówił?

– Powiedział, że zostanie wszczęte dochodzenie w sprawie działalności prowadzonej przez doktora Fischera i że wtedy się ze mną skontaktują. Ale będą musieli przyjechać do mnie – powiedział Daniel, uderzając pięścią w materac. – Bo kiedy wreszcie stąd wyjadę, moja noga już nigdy więcej tu nie postanie. Poza tym chcę wyjechać zanim wróci Max.

– Na pewno wyjedziesz.

Corinne pogładziła go po policzku i skroni, dotknęła palcami plastra, ukrywającego szwy na jego ogolonej głowie.

– Wspaniale będzie opuścić to miejsce – wyszeptła.

– Nie pojmuję, że zgodziłaś się tu przyjechać z własnej woli. Co cię do tego skłoniło?

– Myślę, że adrenalina. Ojciec się wspinał. Mam to we krwi.

– A władza? Jakie to uczucie kierować mózgiem drugiej osoby?

– To było... fascynujące – powiedziała niepewnie.

– Wyobrażam sobie. Przemieniać zło w dobro. Bawić się w Boga.

– To pewnie też miało znaczenie.

Corinne skuliła się na jego rękę, leżeli obok siebie w milczeniu, przypatrując się padającym za oknem płatkom śniegu.

– Jak dobrze znałaś Mattiasa Blocka? – spytał Daniel.

Poczuł, że kiedy wymienił jego imię, ciało Corinne zareagowało.

– Był moim kolegą z kursu. Lubiliśmy się, a z czasem nawet się zaprzyjaźniliśmy – powiedziała cicho, jakby samo wspomnienie było dla niej bolesne.

– Byliście tylko przyjaciółmi?

Corinne westchnęła.

– Chyba nie jesteś zazdrosny o kogoś, kto już nie żyje? Zakochaliśmy się w sobie. Ale romanse między świerszczami były surowo zabronione. Nie wolno nam było się z sobą kontaktować. Nie mogę wybaczyć doktorowi Pierce'owi, że przydzielił Mattiasowi kogoś tak niebezpiecznego jak Adrian Keller. Popęłił błąd.

– A Max? Próbował cię uwieść?

– Oczywiście.

– Ale powstrzymałaś go bransoletką?

– Tak. Kiedy tylko za bardzo się zbliżył, wciskałam guzik.

Wyciągnęła rękę, udając, że wciska palcem niewidoczny guzik. Bransoletki oczywiście nie miała już na sobie.

– Max twierdził, że to wina moich piegów. Wystarczyło, że na nie spojrział i przechodziła mu cała ochota.

– To chyba niezwykle uczucie tak się bawić z mężczyzną?

Corinne uniosła się na łokciu i pocałowała go lekko.

– Marzenie każdej kobiety – wyszeptwała. Przeciągnęła delikatnie palcem po jego brodzie, szyi, po jego klatce piersiowej. – Czuć pożądanie mężczyzny i móc je w każdym momencie powstrzymać. Dla mężczyzn to nic nadzwyczajnego, ale z kobietami jest inaczej. Jeśli powiemy A, musimy też powiedzieć B. Wszystkie te idiotyczne zabezpieczenia, alarmy, spraye, które trzymamy w kieszeniach, idąc gdzieś po nocy. W głębi duszy wiemy, że to nie działa. A to działało.

– Ale nie na mnie – powiedział Daniel. – Przede mną nie mogłaś się ochronić.

Położył ją na plecach, pocałował, dotknął ręką jej brzucha.

– Jeszcze za wcześnie, żeby wyczuć ruchy – powiedziała.

On jednak nie cofnął ręki. Jakby chociaż w ten sposób chciał chronić to życie, które na przekór wszystkiemu powstało w tym strasznym miejscu. Wsłuchiwał się w jej spokojny oddech i po kilku minutach zapadł w najgłębszy sen, jakiego kiedykolwiek doświadczył w Rajskiej Dolinie.

Płatki śniegu leciały z nieba, wirując powoli między skalnymi ścianami.

Koparki, które przerwały pracę, kiedy zaczął padać śnieg, ruszyły teraz pełną parą, próbując dotrzeć do ludzi uwięzionych w gruzach.

Zawalenie się całego ciągu korytarzy zdumiało kierownika budowy, ponieważ według planów, które posiadał, nie powinny sięgać tak daleko. Teraz odkrył, ku swojemu przerażeniu, że całe zbocze było poprzecinane podziemnymi korytarzami jak królicze wzgórze. Co gorsza, nikt o tym nie wiedział, łącznie z technikami, odpowiedzialnymi za eksplozje.

Daniel siedział gotowy do drogi w holu kliniki. Obok niego siedziała Corinne. Przy drzwiach stały już jej walizki. On sam nie miał niczego. Ciepło z otwartego kominka zmusiło ich do zdjęcia wierzchnich ubrań, położyli je na kanapie. Daniel poruszył się niespokojnie.

– Dlaczego nie ma jeszcze samochodu?

– Przyjedzie, jak tylko droga do doliny będzie przejezdna – odpowiedziała Corinne spokojnie.

Wzięła do ręki szklankę grzanego wina, którą podała jej recepcjonistka. Danielowi też proponowała szklankę, ale odmówił.

– Jesteś pewna, że będziemy mogli opuścić dolinę? – spytał ponownie. – Nie uwierzę, dopóki rzeczywiście tak się nie stanie.

Przyglądał się wiszącej na ścianie wypchanej głowie lisa. Blask płomieni odbijał się od jego zębów, nadając im czerwony połysk.

Jedna z opiekunek pochyliła się nad ladą recepcji z komórką w ręku.

– Znaleźli jeszcze dwie osoby – zawołała. – Są lekko ranne.

Spod gruzów podziemnej kliniki doktora Fischera wydobyto do tej pory osiem ciał, w tym ciała doktora Kalpaka i doktora Fischera. Dwadzieścia osób znaleziono żywych w celach, wszyscy zostali umieszczeni w szpitalu kliniki. Wśród nich była zaginiona opiekunka i dwie pielęgniarki, które przez jakiś czas pracowały z doktorem Fischerem, a potem ponoć nagle porzuciły pracę i wróciły do domu.

W momencie eksplozji gość i sponsor Rajskiej Doliny, Greg Jones, znajdował się w pokoju gościnnym. Doznał szoku, natychmiast posłał po swój prywatny śmigłowiec i opuścił dolinę.

Daniel wstał, podszedł do drzwi, wyjrzał na zewnątrz. Nie był zachwycony

padającym bez przerwy śniegiem.

Telefon w recepcji zadzwonił. Kobieta odebrała i odwróciła się do nich.

– Droga jest już otwarta – oznajmiła. – Samochód może wyruszyć za pięć minut.

Macie wszystko?

Kiedy wyszli, płatki śniegu nadal wirowały w powietrzu, ale śnieżycza zaczynała się już uspokajać. Samochód okazał się wygodnym bmw, które zwykle dawano do dyspozycji gościom kliniki. Kierowca umieścił walizki Corinne w bagażniku i spokojnie otworzył tylne drzwi. Daniel miał wrażenie, że wszystko odbywa się w zwolnionym tempie, jakby padający śnieg tłumił ruchy. Przyszło mu do głowy, że może jednak śni, że zaraz się obudzi, a wtedy okaże się, że nie ma żadnego samochodu i że stąd nie wyjedzie.

– Uda nam się opuścić dolinę? – zwrócił się zaniepokojony do kierowcy.

– Oczywiście.

Corinne siedziała na tylnym siedzeniu. Poprawiła czapkę, która przekrzywiła się, gdy wsiadała do samochodu. Daniel usiadł obok niej, a ona wzięła jego dłoń i uśmiechnęła się do niego, jakby chciała dodać mu otuchy.

Powoli, niemal w lunatycznym tempie samochód zaczął zjeżdżać w dół do doliny. Przysypane śniegiem drzewa tworzyły nad drogą tunel. Daniel rozumiał, że kierowca przy tej pogodzie nie może jechać szybciej, ale powolne tempo denerwowało go.

Zjechali na dół, padający śnieg otulił ich falującą kurtyną. W oddali majaczyły góry, ledwie widoczne w szarym mroku.

– Jeśli nadal będzie tak padać, drogi znów staną się nieprzejezdne i będziemy musieli wrócić do kliniki – wymamrotał Daniel.

– Nie bój się. Pługi pracują bez przerwy – zapewniła go Corinne.

Śniegu jednak cały czas przybywało, samochód powoli sunął przed siebie.

Minęli Cmentarz Trędowatych. W grobowcu ziała dziura, duża, ciemna i przerażająca, niczym brama do podziemnego świata, co zresztą było zgodne z prawdą. Nieco wyżej na zboczu zobaczyli ratowników, nadal szukających ludzi w podziemnych korytarzach. Daniel mimowolnie ścisnął dłoń Corinne. Pocałowała go, poczuł smak cynamonu i grzanego wina.

Powoli jechali przez dolinę. Śnieg sprawił, że krajobraz zmienił się nie do poznania. Trudno było uwierzyć, że białe pola, które teraz wyglądały jak uśpione, jeszcze niedawno były soczysto zielone.

Nagle Daniel coś sobie przypomniał.

– Tego dnia, kiedy leżeliśmy w trawie i opowiadałaś mi o dzieciach, pamiętasz? Mówiłaś wtedy, że najbardziej tu w dolinie brakuje ci dzieci. Płakałaś. To też była

gra?

Corinne wyjrzała w białą pustkę. W mroku samochodu jej brunatne oczy wydawały się niemal czarne.

– Musiałam grać przydzieloną mi rolę – odezwała się cicho. – Gdyby wyszło na jaw, że nie jestem prawdziwą mieszkanką, byłoby to dla mnie bardzo ryzykowne. Ludzie opowiadali o szpiegach, pracujących dla lekarzy. Nie sądzę, żeby mnie ktoś podejrzewał, ale Mattiasa ktoś przejrzał i przyszło mu za to drogo zapłacić. Nie wiem, co Keller z nim zrobił, ale wyobrażam sobie, że musiał być spanikowany, kiedy uciekał z jego domu. Inaczej nie wpadłby w sidła.

Jej ostatnie słowa zagłuszył hałas, po chwili wewnątrz samochodu rozświetliło pomarańczowe światło jadącego za nimi pług. Kierowca podjechał najbliżej krawędzi drogi jak tylko mógł, zatrzymał się i poczekał aż pług ich wyminie. Potem jechali tuż za nim, światło reflektora rzucało na nich migoczące refleksy jak w dyskotecie.

– Twój płacz brzmiał bardzo szczerze – powiedział Daniel. – Wydawałaś się naprawdę zrozpaczona.

Spojrzał na jej twarz oświetloną migoczącym żółtoczerwonym światłem.

– Jestem aktorką – odpowiedziała.

– Kiedy byłaś sobą, a kiedy grałaś?

– To trudne pytanie. Mam ci podać to w procentach?

– A nasza miłość? To też była gra?

Dotarli do zachodniego łuku drogi prowadzącej wokół doliny. Od niej odbijała inna droga, zobaczył tabliczkę z napisem „Strefa II” i migające czerwone światło ostrzegawcze.

Jadący przed nimi pług pojechał dalej główną drogą, kierując się w stronę kliniki.

– Boże drogi – powiedziała Corinne. – Nie wolno ci tak mówić.

Kierowca zatrzymał się przy rozwidleniu, wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach.

Z betonowej budki wyszedł strażnik, przytrzymując ręką kołnierz kurtki, kulił się w zamieci. Zerknął do środka samochodu i wrócił do budki.

Sekundę później światełko zmieniło kolor z czerwonego na zielony, samochód, którym jechali, skręcił i wjechali na drogę. Corinne siedziała sztywna i wyprostowana, wyglądała przez szyby samochodu. Przed nimi rozciągał się alpejski krajobraz. Kiedy Daniel pochylił się nieco, zobaczył majaczące za śnieżną kurtyną potężne szczyty. Żadne z nich się nie odezwało.

Wkrótce dotarli do kolejnego światła ostrzegającego, które, gdy tylko się zbliżyli, też zmieniło kolor z czerwonego na zielony. Szlaban uniósł się, leżący na nim śnieg

osunął się kaskadami na ziemię. Przejechali powoli, szlaban powrócił na swoje miejsce.

Rajska Dolina została za nimi.

Corinne oparła głowę o ramię Daniela, samochód jechał krętą drogą, mała zabawka w potężnej scenerii przyrody.

Spis treści

[Część I](#)

[Część II](#)

[Część III](#)

[Część IV](#)